

GAWĘDY O DAWNYM OBYCZAJU

DR. STANISŁAW MORAWSKI

W  
PETERBURKU

1827—1838



WYDAWNICTWO POLSKIE  
POZNAŃ



19.D.

And

$$\begin{array}{r} 2711 - 515 \times 55 = 1.81 \\ 3186 - 415 \times 64 = 1.45 \\ \hline 2760 \end{array}$$

W.

$$43 \quad 2638 - 415 \times 15 = 1.49$$

BOGUSŁAW STAMIROWSKI  
BIBLIOTEKA L 124.









GAWĘDY  
O DAWNYM  
OBYCZAJU

---

WYBÓR CIEKAWYCH PAMIĘTNIKÓW  
XVIII I XIX STULECIA









J. OLESZKIEWICZ      DR. STANISŁAW MORAWSKI

DR. STANISŁAW MORAWSKI

W  
PETERBURKU

1827—1838

WSPOMNIENIA PUSTELNIKA

I KOSZAŁKI KOBIAŁKI

Z 18 MIEDZIODRUKAMI

WYDALI

ADAM CZARTKOWSKI

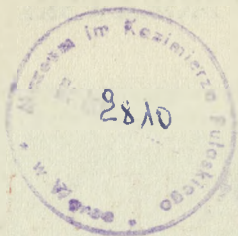
HENRYK MOŚCICKI

WYDAWNICTWO POLSKIE

---

P O Z N A Ń

Rok 1928



WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

—  
CZCIONKAMI DRUKARNI S. A. „OSTOJA”

—  
MIEDZIODRUKI WYKONANE W DRUKARNI POLSKIEJ

W  
PETERBURKU



## SPIS RZECZY:

	Str.
SPIS ILUSTRACYJ . . . . .	III
PRZEDMOWA WYDAWCÓW . . . . .	V
WSPOMNIENIA PUSTELNIKA . . . . .	1
I. Puszkín Aleksander Siergiejewicz . . . . .	5
II. Józef Sękowski . . . . .	21
III. Aleksander Orłowski . . . . .	47
IV. Gaspar Żelwíetr . . . . .	75
V. Józef Oleszkiewicz . . . . .	109
VI. Marja Szymanowska . . . . .	153
KOSZAŁKI — KOBIAŁKI . . . . .	201
I. Dwie anegdoty . . . . .	203
II. Śmierć króla Stanisława Augusta . . . . .	211
III. Aleksander Michajłowicz Kochowski . . . . .	217
IV. Caulaincourt w Petersburgu . . . . .	251
V. Kisielew — Sperański — Butiagin . . . . .	257
VI. Zemsta doktora . . . . .	265
VII. Pierwsze półrocze lekarskiego życia . . . . .	283
ANEKSY . . . . .	323
I. Józef Sękowski . . . . .	325
II. Aleksander Orłowski . . . . .	327
III. Głupie i błazeńskie notatki pisane w Peters- burgu w 1830 r. . . . .	328
IV. Pamiętniki Stanisława Augusta . . . . .	331
PRZYPISY WYDAWCÓW . . . . .	335



2015 INDEX

Introduction ..... 1

Chapter 1 ..... 10

Chapter 2 ..... 25

Chapter 3 ..... 45

Chapter 4 ..... 65

Chapter 5 ..... 85

Chapter 6 ..... 105

Chapter 7 ..... 125

Chapter 8 ..... 145

Chapter 9 ..... 165

Chapter 10 ..... 185

Chapter 11 ..... 205

Chapter 12 ..... 225

Chapter 13 ..... 245

Chapter 14 ..... 265

Chapter 15 ..... 285

Chapter 16 ..... 305

Chapter 17 ..... 325

Chapter 18 ..... 345

Chapter 19 ..... 365

Chapter 20 ..... 385

Chapter 21 ..... 405

Chapter 22 ..... 425

Chapter 23 ..... 445

Chapter 24 ..... 465

Chapter 25 ..... 485

Chapter 26 ..... 505

Chapter 27 ..... 525

Chapter 28 ..... 545

Chapter 29 ..... 565

Chapter 30 ..... 585

Chapter 31 ..... 605

Chapter 32 ..... 625

Chapter 33 ..... 645

Chapter 34 ..... 665

Chapter 35 ..... 685

Chapter 36 ..... 705

Chapter 37 ..... 725

Chapter 38 ..... 745

Chapter 39 ..... 765

Chapter 40 ..... 785

Chapter 41 ..... 805

Chapter 42 ..... 825

Chapter 43 ..... 845

Chapter 44 ..... 865

Chapter 45 ..... 885

Chapter 46 ..... 905

Chapter 47 ..... 925

Chapter 48 ..... 945

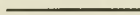
Chapter 49 ..... 965

Chapter 50 ..... 985



## SPIS ILUSTRACYJ.

	Str.
1. Dr. Stanisław Morawski według portretu Józefa Oleszkiewicza ze zbiorów rodzinnych p. Z. Morawskiego . . . . . przed tytułem	
2. Wincenty Smokowski według autoportretu . . . . .	1
3. Walenty Wańkowicz według autoportretu z „Albumu Wileńskiego” Wilczyńskiego . . . . .	8
4. Stanisław Chomiński według portretu Walentego Wańkowicza . . . . .	16
5. Józef Sękowski w stroju wschodnim według portretu Wincentego Smokowskiego . . . . .	32
6. Aleksander Orłowski według autoportretu . . . . .	48
7. Szkice Aleksandra Orłowskiego: a) szlachcic tłusty, b) szlachcic chudy, c) Gaspar Żelwietr, d) oficer kawalergardów, e) Józef Oleszkiewicz, f) oficer kawalergardów . . . . .	64
8. Aleksandra Orłowskiego: a) Widok teatru petersburskiego, rysunek ołówkowy ze zbiorów p. Dominika Witke - Jeżewskiego w Warszawie, i b) Dorozka petersburska, litografia . . . . .	96
9. Hrabia Grocholski według portretu Józefa Oleszkiewicza ze zbiorów rodzinnych hrhr. Grocholskich . . .	128
10. Dr. Mikołaj Arendt według portretu Józefa Oleszkiewicza reproduk. w „Portraits russes” w. ks. Mikołaja Michajłowicza . . . . .	144
11. Marja Szymanowska według minjatury Jacques'a w zbiorach rodzinnych sędziego Feliksa Czerwiakowskiego w Warszawie . . . . .	160
13. Kazimiera z Wołowskich Wołowska według minjatury Jacques'a w zbiorach rodzinnych sędziego Feliksa Czerwiakowskiego w Warszawie . . . . .	186





## PRZEDMOWA.

W lekkim koronkowym „pudermaniku” siadła pani Telimena przy biurku. Małe jego szufladki i schówki kryją w sobie liczne a drogie sercu pamiątki.

„W Peterburku” zbierała je, gdzie w sprawach majątkowych nieraz bawić musiała, rady doświadczonego plenipotentą zasięgając a w Senacie o ostateczne ich rozstrzygnięcie zabiegając.

„Miłe wspomnienia, wdzięczne przeszłości obrazy” stają przed nią, gdy te drobne przegląda przedmioty. Oto plan miasta, w którym tyle osób poznała i tyle posiadała wpływów; oto list księcia Sukina i portrecik ofiarowanego przezeń psiny — bonończyka (tu też kilka zwilżyło powieki — „Tak marnie zginął zdławiony przez charty” — ale wnet i uśmiech wypłynął na różowane usteczka na wspomnienie Kiryły Gawrylicza Kozodusina, carskiego jegermejstra!) A oto album — „rysunków zbiórek, który zewsząd skupiała” a w nim zamaszysty kontuszowiec, co z piękną panią w polonezie kroczy... To rysował „Orłowski — sławny malarz, który całe życie strawił w stolicy, mieszkał tuż przy cesarzu, na dworze, jak w raj” a który tak „tęsknił po kraju, lubił ciągle wspominać swej młodości czasy”...

W ten świat Telimenowego „Peterburka” wprowadza nas ten oto pamiętnik, który trzymasz, Czytel-

niku, w ręku. Jest to zarazem świat, z którym się stykał Mickiewicz za swych pobytów nad Newą.

Więc Puszkina, „co był wieszczem ruskiego narodu“ i z którym „ów pielgrzym, przybylec z Zachodu“ stał przed pomnikiem pierwszego z carów „na dźdzu pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce“; więc Józef Oleszkiewicz, co tegoż przybylca przywitał „krzyża i pogoni znakiem“ i acz malarz „od farb i pendzla odwykły, biblię tylko i kabałę badał i, jak mówią, że z duchami gadał“; więc Aleksander Orłowski, „co miał gust soplicowski“; Marja Szymanowska, której dwie córki zaślubią później dwóch przyjaciół: Celina — Mickiewicza, Helena — Malewskiego; dziekan wszystkich plenipotentów magnackich Gaspar Żelwierz, który przy swym obćwie zastawionym stole tylekroć skupiał polskich wygnańców z Mickiewiczem na czele; wreszcie Józef Sękowski, ongi student Uniwersytetu Wileńskiego i protegowany litewskich masonów, wkońcu renegat, co żarty przez ambicję wyrzekł się pracy na polu literatury ojczyźnej i stał się jednym z filarów krytyki i dziennikarstwa rosyjskiego...

A obok tych postaci głównych, pierwszoplanowych, długi szereg innych, drugorzędnych: Walenty Wańkiewicz, co malował wieszczą na Judahu - skałę, Michał Konarski, guwerner magnacki i skąpiec a wkońcu filantrop, Adam Rogalski, Wincenty Smokowski, Anastasiewicz... słowem znaczna część kolonii polskiej w Petersburgu na początku XIX wieku, złożonej z ludzi wybitnych zdolności i talentów, zaangażowanych nad Newą bądź walką o byt, bądź pędem za karierą, bądź „przemocą carskich wyroków“.

*A wszyscy jak żywi, jakbyś ich widział w sąsiednim pokoju przesuwających się, jakbyś przez otwarte narozcież drzwi obserwował ich sam niewidzialny.*

*Nic zresztą dziwnego. Wizerunki ich bowiem dał nam jeden z członków tego właśnie świata. Człowiek wykształcony wszechstronnie, zdolny, bystry obserwator, niezależny w sądach, a do tego błyskotliwie dowcipny i znakomicie władający piórem. Zamknąwszy się w swem Ustroniu, ten „wielki nieznany pisarz” dla swej przyjemności kreślił te wspomnienia, pisał je więc zupełnie szczerze i z całą lubością.*

*Dając je obecnie szerokiej publiczności po raz pierwszy zebrane razem (poszczególne z nich z pewnemi opuszczeniami w rozmaitym czasie drukowane były w „Ateneum” warszawskiem i „Kraju” petersburskim), mniemamy, że dostarczamy jej jednocześnie literatury nietylko miłej, czasami nawet wesołej, lecz również nader interesującej, bo pozwalającej poznać bliżej pewną epokę i pewne grono ludzi, dotąd mało jeszcze przez badaczy naukowych poznane.*

*W drugiej części niniejszej książki zatytułowanej „Koszałki — Kobiałki” umieściliśmy dwie nowele oraz kilka notatek i anegdot petersburskich, wyciągniętych z innych rękopisów tegoż autora. Dopełniają one bardzo dobrze pierwszą połowę książki — dając jednocześnie lepiej poznać literackie zalety autora oraz rzucając jeszcze trochę światła na jego życie. Szczególną wartość pod temi względami mają nowele „Zemsta doktora” i „Pierwsze półrocze lekarskiego życia”, osnute niewątpliwie na osobistych przeżyciach. Uważny czytelnik obu przez nas ogłoszonych tomów odrazu to sobie uprzytomni, gdy się z niemi zapozna.*

*W końcu książki znalazły się aneksy i przypisy, objaśniające te lub owe fakty lub osoby. Odsyłacze do aneksów w postaci litery A z numerkami obok — np. A. I. — znajdują się w tekście. Nie chcąc pstrzyć tekstu odsyłaczami do przypisów, sporządziliśmy je do odpowiednich stron.*

*Wreszcie zaznaczamy, że zebrane do tego tomu ilustracje, przeważnie reprodukujące mało znane lub też zupełnie nieznane utwory polskiego ołówka lub pendzla, pochodzą również z okresu, opisywanego przez pamiętnikarza, i powstały również przeważnie „w Peterburku“.*

Warszawa, grudzień 1927 r.

Adam Czartkowski.

Henryk Mościcki.



W SMOKOWSKI.

*AUTO-PORTRET*





**WSPOMNIENIA PUSTELNIKA**



Jeżeli bym przypadkiem przeciw zwyczajowi swojemu tej gryzmoły nie spalił, a ona się po śmierci mojej komu w ręce dostała, Ty, co to czytać będziesz, nie myśl sobie, że celem moim było opisać życie tych osób, o których tutaj wspominam. Nie mam do tego w mojem odosobnieniu ani dostatecznych źródeł i środków, ani nawet chęci. Życie tych ludzi opiszą inni. Ja dla siebie samego zbieram i zapisuję to tylko, co albo ma jakąkolwiek styczność ze stosunkami, w jakich byłem z nimi, albo na co własnem okiem patrzyłem, albo co własnem uchem w owym czasie słyszałem. Mało znakomitych ludzi mojego czasu czy w Litwie, czy w Polsce, czy w Rosji pokażesz, z krórymiby się w życiu choć łokciem przynajmniej nie otarł. A i cudzoziemców za granicą poznawałem wielu. Czy o wszystkich powiem? czy nawet wszystkich spamiętam? a co większa, czy mnie życia na tę zabawkę wystarczy? to inne zupełnie pytanie.

---



*I*

*PUSZKIN ALEKSANDER SIERGIEJEWICZ*

*umarł 29 lutego 1837 r. w 37-m roku życia.*

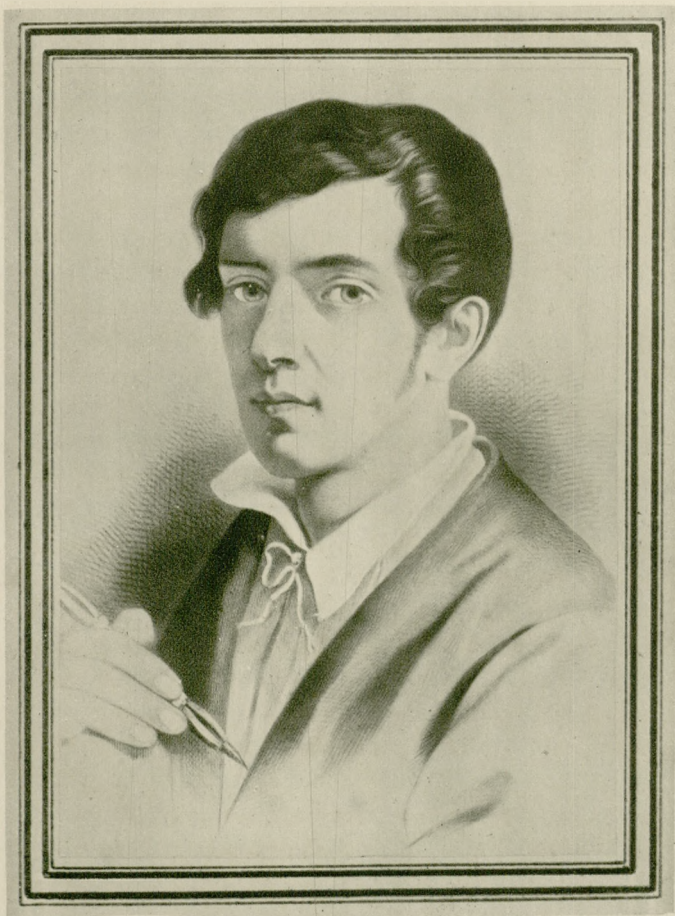


Wkrótce po przybyciu mojem do Petersburga, żeby się jakoś w obcym miejscu odosobnieniem i nudą nie zabić, urządziwszy jakkolwiek pierwsze potrzeby życia, zacząłem odwiedzać dawnych moich wileńskich kolegów i znajomych. W ich liczbie był malarz Wańkowicz, wnuk pani wojskiej Goreckiej, a siostrzan pani Wysogierdowej, obu dobrych, odwiecznych a szanownych przyjaciółek moich rodziców. Staraniem poczciwego z kośćcami Rustema Wańkowicz ze Smokowskim kosztem Uniwersytetu Wileńskiego wysłani byli do Akademii Sztuk Pięknych w Petersburgu dla doskonalenia się w malarstwie. Smokowski, człowiek niepospolitego talentu i tęgiej głowy, przybywszy do Petersburga, spaczył w sobie odrazu dar Boży. Zapatrzywszy się na sławnego i noszonego na rękach podówczas Daua (Dawe), chciał olejem zuchwale szkicować swoje obrazy i od pierwszego rzutu pędzla wielkie robić efekty. Chciał być tem z pędzlem na wielkim płótnie, czem nasz Orłowski był z ołówkiem i piórem na małym kawałku papieru. Rzadko to się komu udaje. Chcieć i móc to tak różne jak niebo i ziemia! *Gaudeant bene nati!* Smokowskiemu to się nie udało, bo się tylko nawpół do tego urodził. Mimo to upór silniejszy był od głosu rozsądku, od rady i natchnienia dobrego smaku. Do zguby i skoszlawienia jego talen-

tu przyłożyła się nieobaczna młodzież nasza, śpiewając mu hymny i wmawiając w niego entuzjazmem swoim, że właśnie na dobrej jest drodze. Smokowski, mój dobry znajomy, któremu raz od okropnej trwogi, ukąszeniem psa wściekłego wzbudzonej, i radą i perswazją ratował, skończył na tem, że, rzucawszy paletę pod ławę, nabywszy żółciowego poglądu na rzeczy i na ludzi, wyuczył się medycyny w Wilnie, ożenił się z bogatą, garbatą i na wszystkie cztery wiatry pogiętą starą panną, Kublicką, i jest teraz oficjalnym lekarzem miasta Warszawy. W tym charakterze widziałem go tam właśnie w 1846 roku. A wielka szkoda.

Wańkowicz, póki był w Wilnie, i cichy, i skromny, i chłodny, ożeniwszy się z Ordzianką, malutką, ale dziwnej rafaellowskiej piękności panienką, w Petersburgu wmówił w siebie, szturchając się kułakami pod boki, że jest i że być musi natchnionym artystą - poetą. Ciągłe sobie różnemi najdziwniejszemi wyobrażeniami mózgi podsmalał (!), aż nakoniec bez nauki, bez przygotowania w jakiegoś mistyka przeszedł i tysiące głupstw w życiu potocznem i domowem narobiwszy, z dobrą i piękną żoną swoją się rozstał i na towiańszczyźnie zakończył. Chciało mu się koniecznie wspólności żon, a na to właśnie jego żona, choćby zapewne lepiej wyjść mogła, zgodzić się nie chciała i, jak warjatowi, pięknemi swymi oczyma patrzyła mu w oczy. Pamiętam, że kiedy nieprędko potem, wracając z Paryża, wpadłem na dni kilka do Wilna i tam się przed kimś z toku rozmowy przyszło mnie wygadać, żem lekcyj saint-simonistów, bucheristów i Furiiera słuchał, Wańko-





W. WAŃKOWICZ

*AUTOPORTRET*



wicz, powziąwszy o tem języka, wpadł do mnie natychmiast, jak szalony, o jedenastej w nocy i całą noc spać nie dał, żądając, żebym mu koniecznie w treści zasady tych, dotąd przynajmniej marzycieli wyłożył. Owóż, przyszedłszy do Wańkowicza, przedstawiony arcymięj żonie jego, dla którejbym się z ochotą do jego późniejszych teoryj wspólności podpisał, przeszliśmy nakoniec do jego pracowni. Nie licząc rozwieszonych po ścianach robót, dwa wielkie uderzające oko portrety na dwóch warsztatach obok siebie stały.

Jednym z nich był to właśnie ów szczęśliwie zrodzony portret Mickiewicza, opartego o skałę w burce. Portret, który się stał potem popularnym nieledwie tak, jak i sam Mickiewicz. W tym portrecie udało się artyście upoetyzować, uidealizować, upiększyć twarz naszego wieszczka, a jednak zrobić go najzupełniej podobnym. Z radością patrzyłem na ten pług pendzla artysty - rodaka!

Tychże samych zupełnie rozmiarów stał obok drugi portret. Wyobrażał on mężczyznę, udrapowanego w szeroki z kratkowaną podszewką płaszczalmaviva, stojącego w kontemplacji i rozmyślaniu pod cienistem drzewem. Twarz wielce niemiała, koloryt jej jakiś dziwny, a jednak instynktem poznać się dający, że jest naturalnym; fizjonomia tem mniej interesująca, że portret *en face* lażącym w oczy był zrobiony; światelka z cieniami od drzewa, niejako migające po twarzy; wszystko to razem sprawiło, żem z widoczną na ten blejtram patrzył odrazą.

„Któż to jest?” — zapytałem. „Czyż nie znasz? Ach! prawda, tyś świeżo tu przyjechał! To Pusz-

kin i Puszkina podobny jak dwie krople wody". „No“, pomyślałem sobie: „winszuję! i w obrazie, i w postaci, i w dziełach Mickiewicza wierzchem, górą idzie nad Puszkinem!“ Oglądając jednak inne portrety, poznałem w jednym z nich Stanisława Chomińskiego, przyjaciela mojego, pięknego podówczas jak anioł, a zawsze i dotąd dobrego, jak anioł, chłopca. Ale na portrecie zepsował tę śliczną fizjonomję kochany mój Wańkowicz, a to tem gorzej, że i podobnego zrobił i piękne, dziewicze lice zeszcpecił. Byłem tedy pewny, że i Puszkina tej samej uległ metamorfozie. Nie wiem, jak było potem, ale wówczas Wańkowicz miał w sobie wadliwy dar portretowy, bo dar schwycenia podobieństwa na krzywdę twarzy. Śmiało o tem mówić mogę, bo mnie nie malował nigdy. Takem się tedy pierwszy raz spotkał z rysami Puszkina.

Niedługo potem dawny przyjaciel, Mickiewicz, przybyły z Moskwy do Petersburga na stały pobyt, zaprosił mnie biletem na obiad w *Vauxhallu* w *Eka-terinhofie*. Pojechałem. Wszedłszy do sali, znalazłem już tam i amfitrjona i kilka jeszcze osób, z pomiędzy których jedna, stanąwszy pod światło, skoczyła mi w oczy właśnie pamięcią owego portretu, com go u Wańkowicza widział. Był to Puszkina. Mickiewicz poznał mnie z nim natychmiast. Ten zaś obiad dawał on dla swoich moskiewskich przyjaciół, łącząc ich razem z literatami petersburskimi. Był tam książę Wiaziemski, Delwig, Muchanow, Polewoj, na dni kilka z Moskwy przybyły, i wielu innych. Z Polaków był tylko Franciszek Malewski i ja. Na tym męskim, choć proszonym bankiecie,

byliśmy wszyscy w surdutach. Nie spuszczałem oka z Puszkina, siedzącego prosto naprzeciw mnie. Abnegacja jego ubioru, rozczochrane, a był nieco łyśawy, włosy i bakenbardy, wykrzywione w przeciwnie strony najzupełniej w obcasach i tyłkach buty ckazywały więcej trochę niż zaniedbanie, bo kapcaństwo. Mickiewicz także nie muskał się, ale w jego abnegacji widzieć zawsze było można jakąś godność, szlachetność i wyższość. Cera Puszkina była osobliwsza. Pochodziła ona z przymieszania się do żył jego murzyńskiej krwi Annibala, która po kilku nawet pokoleniach, jeszcze swoją sadzę mięszała do naszego słowiańskiego mleka.

Rozmowa była wesola bez pedanterji. Mało o naukach, coś o literaturze i poezji, nic zgoła literackiej obmowy, wiele ploteczek o mieście, więcej o teatrze. Na temesmy się rozjechali po wykwintnym i pełnym dobrego smaku obiedzie. Odtąd spotykaliśmy się często z Puszkinem. Nie widziałem go nigdy prócz jednego razu na balu w niewykrzywionych butach. Maniery nie miał żadnej; cały układ taki, że nigdybyś się nie domyślił, że to Puszkini i że to już od *stu lat* szlachcic. Dobroduszności w obejściu się dużo. Był niskiego wzrostu, a idąc włókł nogi za sobą niezgrabnie, i chód miał koszlawy. Portrety jego podobne wszystkie, ale upiększone. W kłótniach literackich, które w człowieku z boku stojącym litość wzbudzają i usprawiedliwiają odwieczne słowo: *genus irritabile vatum*, Puszkini ohotnie brał udział i do tych mikroskopijnych konspiracyj, jaką jedna partja na drugą knuje, wielce był pochopnym. Mowa ustna, potoczna, czę-

sto się u niego z gburowskim językiem w wyrażeniach mieszała. Czułem ciągle, będąc z nim chwilę, że dla mnie przynajmniej przykleić się do niego, jak do człowieka, trudno. Cenić go, jako poetę, można było i bardzo można! Otoczony był podczas entuzjazmem, zachwyceniem, ekstazą całej publiczności w stolicy do najwyższego stopnia. Wkrótce się ożenił w Moskwie z panną Gonczarow, której starego i majątnego stryja, obywatela kałuskiej gubernji, dobrze znałem z odrębnych zupełnie powodów.

Pani Puszkina była jedną z najpiękniejszych kobiet Petersburga. Twarz, świeżość, młodość, talja — wszystko za nią mówiło, wszystko warte ruskiego wieszca. Prawdziżo się jednak i na niej przysłowie włochów: „*Nel molino e la sposa, sempre manca qualche cosa*“. Twarz była bardzo piękna, ale coś mię w niej zawsze kułakiem biło takiego, żem tam błąd jakiś rysunkowy widział. Nakoniec doszedłem, że najrzadszym w twarzach ludzkich przykładem — oczy jej, bardzo piękne i bardzo duże, osadzone były tak blisko siebie, że wrzeszczały na to aksjoma rysunkowe: „Oko od oka powinno być oddalone na miarę całego oka“.

Z panią Puszkiniową bywała zawsze i wszędzie panna Gonczarowówna, jej siostra. Dwór, mianując Puszkina swoim kammerjunkrem, zrobił i żonie i mężowi zaszczyt ciągłego do siebie przystępu. Po rewolucji paryskiej, która wyniosła na tron Ludwika Filipa, niejaki Dantes, młody uczeń szkoły wojskowej w St. Cyr, udając wierne rojalistę i niezachwianego żadnym wypadkiem Burbonów służyć,

przybył bez grosza do Petersburga. Cesarz Mikołaj dowiedział się o tem, kazał go sobie przedstawić i, protegując legitymizm, zrobił go oficerem kawaler-gardów i z własnej szkatuły po 6000 rubli asygna-cyjnych rocznie, prócz żołdu, wypłacać mu kazał. Dantes z tych wszystkich powodów stał się wiadomym i interesującym w całej stolicy.

Był to młody chłopiec ni brzydki, ni piękny, dość wysoki, w ruchach niezgrabny, blondyn, z bia-łemi umiarkowanych rozmiarów wąsami. Jeszcze w vicemundurze było mu jakkolwiek, ale przy ru-skich oficerach, jak się w paradny mundur ustroił i wlaźł do botfortów, mało kto miny jemu zazdro-ścił. Zresztą *bon enfant*, jak mówią, lepki, wyborny chłopak, wesoły, lubiący karty. To go właśnie z na-szymi członkami Sekretarjatu Stanu Królestwa Pol-skiego zbliżyło, a szczególnie z dobrym przyjacie-lem moim Konstantym księciem Giedroyciem, pierw-szym sekretarzem legacji, u którego często bywałem i często tam Dantesa widziałem. Był wtedy w Pe-tersburgu posłem niderlandzkim baron Heckeren, sztuczka niepozorna, czarna, śniada i chuda. Żył skromnie bardzo w stosunku do innych ambasado-rów, lubo mówiono o nim powszechnie, że ma ogromną fortunę w biletach banków całego świata. Chodziły o nim czasem i złośliwe słuchy, że niby do nonkonformistów należał i płcią nie-wieścią najzupełniej gardził.

Dowiedzieliśmy się wkrótce w Sekretarjacie, że baron Heckeren Dantesa przysposobił za syna i na to nawet ukaz monarszy uzyskał. Dantes do nowego ojca swojego przeniósł się na mieszkanie.

Jedni powiadali, że Dantes jest siostrzanem barona Heckerena, drudzy, że jest synem dawnej jego kochanki. Co było prawdą — nie wiem. Ale czy tak, czy owak, Dantes odtąd do swego nazwiska jeszcze i imię przysposobionego ojca swojego dołożył. Pogadano o tem dni kilka i zapomniano. Kancelarja Sekretarjatu Stanu była podówczas nad Fontanką w domu Miżujewa, o kilka kroków od publicznego ogrodu, Letnim Ogrodem zwanego. Tego nazwiska do petersburskich pleonazmów nie wypada zaliczyć (do takich naprzykład pleonazmów, jak ten: *Winotorgowla winogradnych win* (Handel winny), bo Petersburg ma piękne i zimowe kryte ogrody. Znużeni skwarem afrykańskiego słońca tej stolicy w lecie, wymykaliśmy się czasem odetchnąć powietrzem świeżem, pod cieniem lip tego ogrodu, ręką Piotra Wielkiego sadzonych. Letni Ogród w Petersburgu jest dla kochanków błogosławieństwem, dobrodziejem, opiekunem. Pełny spacerujących pod wiosną, kiedy ani jednego liścia niema; w lecie żywej duszy tam nie zobaczysz nigdy, oprócz kilku nianiek. Całe miasto od wiosny wynosi się na wieś, na *dacze*. W Letnim więc Ogrodzie *rendez-vous* miłośne najbezpieczniej się odbywają. Delikatność w tym względzie każda para wzajemnie zachowuje dla siebie z całym ugrzecznieniem dawnego rycerstwa. Jeden drugiemu nie lezie w oczy, każdy mając dla siebie więcej niż potrzeba uliczek, ławek i miejsca. Przez całe lato bywając tam codzień, widziałem zdaleka naszego Dantesa, asystującego w tym osamotnionym ogrodzie żonie Puszkina, której jednakże ledwie że nie zawsze asystowała jej



siostra. Między Dantesem i Puszkinem, jako mężczyznami, pod względem powierzchowności była kolosalna różnica. Puszkina, jako męża, oswojony już ze stanem małżeńskim, abnegując celibatowskie drobiazgi, te *riens*, które tyle u kobiet znaczą, jeszcze się bardziej w zewnętrznych formach skapcał. Dantes codzień więcej nabierał manieri, coraz się stawał zgrabniejszym. Nieraz westchnąłem w duchu, żałując męża i jako małżonka, i jako męża! Dziwiłem się temu płci naszej przeznaczeniu, że nawet i wielki poeta tyle w żonie swojej dla siebie wzbudzić uniesień nie może, żeby mu nakoniec, tak jak i najlichszemu wyrobnikowi, róg na łbie nie wyrósł.

*Il n'y a pas de grand homme devant son valet de chambre!*

Nadeszła zima. Puszkina postrzegł się. Dantesowi okropne porobił sceny. Tygrysią zazdrość objęła wszystkie zmysły afrykańską krwią zarazanego poety, drażniąc co chwila w progresie geometrycznym wrodzoną burzliwość i pyłkość (!) duszy jego. Dantes szczerze zakochany, postąpił uczciwie. Widząc to wszystko, innego środka na grzech swój nie znalazł nad poświęcenie się i ofiarę z siebie. Wmówił Puszkiniowi, że się grubo myli, wyznał, że się kocha, ale kocha w siostrze jego żony. Prosił go nawet w tym celu za swata. Puszkina wziął go za słowo i tego, jak tonący brzytwy, się chwycił. Siostra żony jego z radości ledwie nie umarła, parę razy zemdląca, oświadczenie z pocałowaniem przyjęła. W kilka dni ślub. W kilka dni Dantes był już żonaty i związany ciężkim i nieprzewidzianym:

łańcuchem na całe życie. Podjął to na siebie, byleby kochankę od podejrzeń i szorstkiego a może krwawego prześladowania ochronić. No, zdaje się, że teraz wszystko pójdzie dobrze!

O, ludzie, patrzcie, co grzech robi!

Szydła nie utaisz w worku! Wkrótce znowu Puszkina, ciągle już na straży będący, znalazł powody pomacać się za czoło i znowu tam znalazł hańbiący go nienawistny wyrostek! Tą razą wściekły rzucił się na Dantesa i na Heckerena. Obydwoh w szatańskim piśmie krwawą i najhaniebniejszą zelżył obrazą, między innymi zarzutami wszeteczny i zbrodniczy pomiędzy sobą zadając związek. Rzecz doszła do tego, że tylko krew jedna zmyć mogła tę hańbę i ze tylko ofiara życia jednego z nich drugiemu jakakolwiek mogła być w przyszłości rękojmią pokoju! Puszkina wyzwiał; Dantes przyjął wyzwanie. Trzy dni przed tem Dantes, niczego nie spodziewając się jeszcze, grał w mojej obecności u Giedroycia w djabełka. Dziś, jadący na saniach na pojedynki, spotkał się z nami na Newskim Prospekcie i coś jeszcze do nas jadąc powiedział, aleśmy nie dostłyszeli, co mówił. A nikt z nas o tym pojedynku nie wiedział. Strzelił Dantes pierwszy. Puszkina padł twarzą do ziemi. Dantes rzucił się go ratować. Ale Puszkina ze wściekłym wejrzeniem, zgrzytając zębami, ryknął mu: „Na miejsce!“ podniósł się nieco i nagarnawszy śniegu pod siebie, leżąc, na Dantesa wycelił, wystrzelił... Padł i Dantes!

Sekundanci Puszkina porwali go, podnieśli, wsadzili rannego poetę w sanie. Jechał w przekonaniu,



W. WAŃKOWICZ

STANISŁAW CHOMIŃSKI



że ubił rywala. Zmuszony wysiąść, postrzegł krew z uryną dziurgiem walącą i w ciągłej nieuhamowanej wściekłości i pasji, powiedział: „*Je voudrais bien pisser de ce sang dans le cul de ma catin!*”

Homerycznie!

Przywieziono go do domu. Można sobie wyobrazić pozycję żony, której nie puścił na oczy! Sonda odkryła, że i kość pacierzowa zgruchotana i nerki bez ratunku zranione. Nie było sposobu. We trzy dni największy współczesny ruski poeta do lepszego przeniósł się życia.

Wszystko, co żyło w Petersburgu, a szczególnie czerni i brody, jak w konwulsjach, dyszało najzaciętszą zemstą na Dantesa. Nikt ani z małych, ani z wielkich wyperswadować sobie nie dał, że Dantes nie był zabójcą. Chciano się nawet rzucić na chirurgów, co Puszkina leczyli, dowodząc, że to był spisek i zdrada, że cudzoziemiec go ranił i cudzoziemców do leczenia go użyto. A Dantes? trafiony był kulą — w guzik! Guzik ten od śmierci go uratował! Przeznaczenie! kontuzja tak mu w tej chwili dech zajęła, że upadł i zemdłał. Nim go rozpięto, całe już piersi były granatowe i wypuchłe, jak bomba. Osadzony natychmiast w fortecy, sekretnie potem, jak się podleczył, nocą za granicę wywieziony został. Lękano się bowiem, żeby go rozszrożony lud nie rozszarpał na sztuki. Baron Heckeren z posady ambasadora także odwołany. Chociaż dzisiaj entuzjazm już słabnie, a oczy robią się większemi i otwierają się lepiej, dotąd jednak i poniekąd słusznie uważają Puszkina za największego ruskiego poetę.

Może się zawsze myliłem, może się mylę, ale ja go ciągle miałem i ciągle mam go za wielce, nadzwyczajnie gładkiego, pełnego dowcipu i muzycznego ucha wierszopisa. Że lepszego, w masie biorąc, dotąd w Rosji nie było, to nie racja i to inne zupełnie pytanie. Bez żadnej wątpliwości Puszkina wykształcił, ogładził język i lżejszym, wytworniejszym go zrobił. Ale w tem bodaj czy nie więcej dla Rosji zrobił nasz Polak, Bułharyn, a pewnie sto razy więcej Sękowski, który, kilkanaście żywych i martwych języków znając doskonale, przy niepospolitych zdolnościach swoich z każdego języka coś do ruskiego zastosował i wprowadził, a tym sposobem, nie wводяc makaronizmów, zmiękczył go, zrobił podatnym, salonowym i uczonym, a do najważniejszych rozpraw zdatnym tak, że dziś język ten jest jednym z najpiękniejszych i najbogatszych żywych języków. Ledwie, że nie takiego zdania był i ów sławny mąż Sperański, a on się jednakże znał na tem. Moje zdanie małej tu wagi. Widzi mi się jednak, że potomność, a nawet idące za nami pokolenie, toż samo, co ja, o Puszkynie powie. Kiedy jeszcze nie znano, nie domyślano się nawet rozdziału między klasycyzmem i romantyzmem, ja, ucząc się w szkołach i retoryki i poezji i tłumacząc Ody Horacjusza, po każdej przebytej odzie mówiłem: „Nie, to nie oda! jeśli odą ma być to, co my w prawidłach wymowy i poezji czytamy, czego nas jednocześnie o naturze ody uczycie“. Ja i dziś po leciech tylu nie wstydzę się, nie waham w oczy każdemu powiedzieć, że Horacjusz był najgładszym, często pełnym dowcipu wierszopisem, ale, że nigdy nie był, a na-

wet nie mógł być poetą. Jak się inni wstydzic nie będą, zapewne toż samo przed ludźmi powiedzieć odważą się.

Puszkin mało miał nauki. Dopiero wygnańcy z Litwy, a w szczególności Mickiewicz, Malewski i kilku innych, w ciągłych z nim w Moskwie będący stosunkach, otworzyli mu oczy, pokazali różnostronne uwagi i również, jak Polewoja, praktycznie doprowadzili na to, czego obu tym niepospolitym w Rosji mężom niedostawało do wykształcenia ich talentów.

Oddajmy sprawiedliwość. I Puszkin i Polewoj do śmierci stateczną dla tych naszych Polaków zachowali przyjaźń.

*2 stycznia 1849 r.*

---





*II*

*JÓZEF SĘKOWSKI.*



Może ja grzeszę! Ale jeśli przypuścić, że Bóg w niezbadanych wyrokach swoich, w pewnej epoce stwarza czasem człowieka na to, żeby źle robił prosto dla miłości złego; żeby jego ruchy, jego czyny, jego mowa, jego myśli, jego pisma zawsze w żółciowym brodziły oceanie; żeby był zły *con amore*, z rozkoszą; żeby się każda jego własna złośliwość na jego twarzy malowała zawsze radośnie i z jakimś rodzajem triumfu; żeby ta złość była jeszcze tem gorszą, że jej szafarz obdarzony został różnostronnym, najtrafniejszym, najzabawniejszym, najdotkliwszym, najjadowitszym, genialnym dowcipem i jedną z najrozleglejszych nauk; gdyby to można było przypuścić, powiadam, rodak nasz Józef Sękowski tym właśnie byłby człowiekiem i palmę za to, jeśli już nie w całej Europie, to przynajmniej w całej Słowiańszczyźnie pewnoby otrzymał. Ja widzę i teraz jego szatański uśmiech, kiedy już jest zapewne dotąd przypruszony śniegiem podeszłego wieku, kiedy już, jak słyszałem, strawiony i znękany jest ciągłą mozolną i ciężką pracą umysłu i ciągłą fatygą żółci. Widzę, jak on sobie drwi z za węgła, rzuciwszy przed rokiem na złość całej Europie, a bardziej jeszcze na złość całemu słowiańskiemu światu kilka genialnych i prawdziwie porywających pomysłów o naturze, treści i ducha tych osobliwych po skałach perskich

ćwiekowych i strzałkowych napisów, które były wiecznym szkopułem historyków i antykwaryjuszów, i które tylko po tylu wiekach pozornej śmierci pod jasnym Sękowskiego spojrzeniem nabierać na nowo prawdziwego życia zaczęły. Rzucił nam to, jak kość jaką w oczy. Kilka kart nakreślił, naelektryzował, zapalił, zadziwił wszystkich i zamilkł. Nie myślcie, że on czy nie mógł, czy nie chciał natychmiast tego genialnego dzieła dokończyć. Nie. On, jak Mefistofeles, zaciął się tak naumyślnie; jego dusza raduje się teraz, że tylu uczonych, tylu ciekawych ludzi, tylu poczciwych Polaków, Anglików i Niemców łamie sobie głowy i niecierpliwie czeka na inne ogryzki, które im rzucić obiecał. A czego na złość nie dotrzymać gotów. Sękowski, czy Senkowski, bo się i tak i tak sam podpisuje dla tego zapewne, że w Petersburgu naszej litery ę nie znają, przez lat ośm nie to żeby tylko był moim przyjacielem, ale żył ze mną w ścisłych stosunkach. Niejedną wzajemną sobie zrobiliśmy przysługę.

Poznałem go u dawnego guwenera mego wówczas, kiedy mnie uczył, biednego człowieka, a dziś magnata — Michała Konarskiego, bawiącego w Petersburgu w tej właśnie porze, kiedym tam na mieszkanie z rodzicielskiego domu się wyniósł. Nawiasem mówiąc Konarski, jako guwerner, jest Rafflesią, Victorią regią, należy do monumentalnej guwerner-skiej antologii. Należy do najrzadszych przykładów, żeby domowy pedagog przez pedagogię urósł w milionowego bogacza. Oddaliwszy się z Litwy od jedynych tutaj uczniów swoich, to jest ode mnie i dwóch Obuchowiczów, w 1812 r. uciekł przed Fran-

cuzami i przed sztyftującemi się w Wilnie pułkami i wpadł do Tulczyna, tak okolonego przez rosyjskie wojska, że przy całym zapale tamtejszym ani zdźbła nie wiedziano, co po Litwie i Rusi robił Napoleon. Konarski przyjechał tam opuchły i chory na fluksję. Ale go zwietrzył natychmiast ów sławny generał Chackiewicz i obwiązanego tak, jak był, otrębiami na pokoje Potockich gwałtem wprowadził. Konarski to człowiek pełen dowcipu, taktu i nie wrzód w gębie! A jeszcze w tej chwili był dobrodziejem Tulczyna, bo plotki przywiózł. Podobał się i zaraz się dostał do Świejkowskiego; ale potem Greczynka, Szczęsnowa Potocka, odbiła go stamtąd dla syna swego Bolesława. Że się uczeń nie udał, to nie wina mistrza. Oba jednak domy ogromnie pomogły mu datkiem, gratyfikacją, pensją, zapisami do zrobienia znacznego funduszu, który on wyklótem natychmiast w sobie prototypowem skąpstwem potroić potrafił. Guwerner takich magnatów nabył zabawnej, a może jedynej na świecie guwernerskiej arystokracji. Kiedyś po wielu latach w stolicy z duszą pełną przywiązania i wdzięczności, jak do swojego dawnego nauczyciela, do niego niespodziewanie przyszedł, czy mu to mało było, że nie Potocki, czy co innego, dosyć, że sobie, że był guwernerem moim, niełatwo przypomniał! Otrząsałem wychodząc na jego progu pył z mojego obuwia. Ale nazajutrz, dowiedziawszy się, że ja o nic nikogo nie proszę, a wiedząc i sam oddawna, że sroce z ogona nie spadł, przybiegł do mnie wzajemnie, tysiące uprzedzających zrobił grzeczności i dobra poszła zażyłość. Konarski, którego w mojem dzieciństwie (miałem wtedy lat 7 czy 8)

do szaleństwa kochałem, ledwie że nie pierwszy dał mi uczuć, co to jest suchość i egoizm serca. Co to jest nie czuć przynajmniej wdzięczności za to najrzadsze dobro na świecie: być kochanym, *n'importe* przez kogo! Kiedym bowiem innemu powierzony nauczycielowi, rozstając się z nim, dosłownie we łzach się topił, on, uściskawszy mnie zimno, objęty widać pedagogicznym na rzeczy poglądem, odwrócił się do obecnych i powiedział: „Patrzcie, państwo, to rzecz szczególna, jak się dzieci do mnie przywiązują”. Choć wtedy jeszcze koszulę w zębach nosiłem, łzy mi oschły natychmiast, a przez wiele mil, podówczas do Zausza do generała Morawskiego wieszony, o tem już tylko myślałem, żebym się nauczył zapomnieć tak nieczułego na anielską i bezinteresowną siedmioletniego dziecięcia miłość. Już minęło odtąd około lat czterdziestu, a dotąd to wszystko jakby wczoraj pamiętam. Konarski, mieszczanin słonimski, zręczny i dowcipny, tylko tłustawych artykułów dziennikarskich układacz, tłumacz kilku dawnych romansów, autor kilku komedijek i kantat, raz tylko za młodu z wileńską aktorką Bogusławską sekretnie ożeniony i potem w czasie, kiedy mnie uczył, sekretnie rozwiedziony, wszystkie swoje kilkakrotne podróże po całej Europie odbył na koszt ucznia swego, Bolesława Potockiego. Wszystkie książki najwytworniejszych edycji kupił i czytał; wszystkie litografie i sztychy kupił i przepatrzył, wmówiwszy temuż Bolesławowi, który był Bogu duszę winien, że honor takiego pana wymaga, żeby to miał w swojej bibliotece. Wszystkie pojazdy, jakie chciał mieć Potocki, za pieniądze Bo-

lesława sobie robić kazał dlatego, żeby Bolesław wprzód widział, czy zgrabnie wyglądać będą. Kościółek nawet, jak mi niedawno w Warszawie mówiono, kosztem Bolesława u siebie wystawił także dlatego, żeby Bolesław mógł mieć ideę, jak ta budowa na wielką skałę bić będzie w oko! Jadł z kuchni Bolesława najwymyślniej; u siebie na wsi przez rok obrączkowy — jaglaną kaszę. Bez żony, bez dzieci, bez kochanki, dla kogoż zbiera? czemu samemu nawet sobie żałuje i cudzem się żywi?

Na jego rękę skonał Trembecki, po którym papiery jemu się dostały. Wiele ma także najciekawszych materiałów do historii życia Szczęsnego Potockiego i drugiej jego żony. Wróćmy jednak do Sękowskiego. Będąc jeszcze w Wilnie, słyszałem dobrze o Sękowskim, czytałem jego *Collectanea*. Wiedziałem, że silnie zalecany przez Kazimierza Kontryma oprócz lichego wsparcia od rządu Uniwersytetu wziętego jeszcze przez składkę Masonów znacznego dostał zasobu na podróż swoją po Wschodzie. Wiedziałem, że jest człowiekiem niepospolitych zdolności, że natychmiast po odebraniu pomocy i wsparcia zażartym polskiego imienia stał się nieprzyjacielem i gniazdo swoje, gdzie mógł, mową i pismem szpecił. Że w Wilnie powiedzieć komu — „Sękowski” było to dać gorącemu koniowi pod bok ostrogę, każdy się zaraz na to imię zasłupił. Słyszałem, że w Litwie jeszcze ożeniony z panną, która mu 30 000 złotych przyniosła, ucząc się wschodnich języków, zjadł z nią razem wszystko po turecku na bakalje, sorbety, lody, konfitury, tytonie i inne błazeństwa. Wiedziałem i to, że podczas jego kilkoletniej podró-

ży, gdyby się pod turbanem, który podówczas nosił, za głowę z przypadku był macnął, trafiłby tam na niewątpliwe znaki, że go, jak Akteona, w potężnego przemieniono jelenia. Wiedziałem, że za powrotem swoim do Wilna, nie znalazłszy tu nic dla siebie, rzucił się do Petersburga i tam katedrę wschodnich języków, a wkrótce i dziekanstwo objął. Wiedziałem nakoniec, że z urzędu swojego nie miał co robić, bo podówczas jeszcze było tam trzydziestu sześciu profesorów uniwersytetu, a pięciu w uniwersytecie uczniów! Dla wschodnich zaś języków był oddzielny instytut pod kierunkiem Adelunga, gdzie się właśnie Chodźko, Szpitznagel, Żabowie, Szemiot i wielu innych Polaków wykształciło.

W Petersburgu żaden rodak lub kolega poznać się z Sękowskim mnie, świeżo przybytemu, nie życzył. Raz w czasie bytności mojej u Konarskiego wszedł tam średniego wieku i włosów blond, suchy, cienki, przyzwoitego wzrostu, dobrze ospowaty z zapadłymi policzkami mężczyzna. Uderzył mnie szczególnie kolor ust, dosłownie koralowy, tego człowieka. Niema najdrowszej piętnastoletniej pannenki, któraby tak jaskrawo ponsowemi wargami pochwalić się mogła. Twarz miał babią, nieporastającą włosom. Suknie wytworne, ale bez wymysłu i ubiegania się za modą wisiały na nim, jak na kołku. Znać było przez te suknie, jak to ciało pod spodem na mumję wysuszonym było. Gość usiadł. Zdawał się być jakoś nieśmiałym w układzie. Przebaknął słów kilka z dosyć miłym uśmiechem. Powiedział, że, jadąc gdzieś z wizytą, na moment tylko wstąpił. Co mówił, jękając się niejako i z wielką



trudnością. Po kilku chwilach wyszedł. Konarski powiedział mi aż wówczas, że to Sękowski. Byłem temu rad zupełnie, bo i widziałem minę człowieka, i Konarski miał tyle dobrego instynktu, że mnie z nim nie zapoznał, chociaż do siebie przemówiliśmy kilku słowami.

Latem zaproszony na obiad za miasto do cesarskiego lekarza Arendta znowu się z tym człowiekiem spotkałem. Tym razem sam przysiadł się do mnie i długo ze mną mówił. Trudna jego wymowa, odznaczając się niełatwym doborem i wyszukaniem słowa, nie przeszkodziła mu być wielce interesującym, a chociaż nie piękny, kolor ust jego i uśmiech przyjemny więcej przyciągały niż odpychały go od ciebie. Jeszcze raz potem przyjaciel mój, najgodniejszy w świecie człowiek, praktyczny filozof, Anglik Dobell, niedawno jeszcze generalny konsul rosyjski w Kantonie i autor znanego w całej Europie dzieła o Chinach, mając mnie u siebie na herbacie, znowu mnie z dawnym przyjacielem swoim Sękowskim zetknął. Znowu tedy gawęda. W kilka potem miesięcy już w mieście wśród zimy na poniedziałkowym pańskim u Arendtów wieczorze ubawiłem się Sękowskim przedziwnie z zupełnym dla niego aplauzem. Anegdota warta być opisaną. Znalazł się u Arendtów książę Aleksander Lubomirski, urodzony z Potemkinówny, *simplex Dei amicus*. Nim się wszyscy zebrali i nim do kart i tańców młodzieży przyszło, siedzieliśmy w kółku, otaczając kanapę gospodyni domu, arcy miłej Francuzki i wielkiej przyjaciółki Polaków. Bajdurzyliśmy o różnych rzeczach. Właśnie wtedy wyszło było z druku coś Sę-

kowskiego. Lubomirski, chcąc swoje wsunąć trzy grosze, nasłuchawszy się gdzieś cudzego zdania, wszczął o tem rozmowę, ganił dzieło i samego autora najsilniej, a mowę swoją do potakującego mu we wszystkim i siedzącego obok sąsiada obracał. Pani Arendt była na szpilkach. Kiedy się Lubomirski wygadał nakoniec, sąsiad ów przyjął podaną od gospodyni kartę i poszedł do wielkiego salonu grać w wista.

„Kto jest ten miły człowiek? zapytał Lubomirski.“

„To właśnie autor tego dzieła... To sam Sękowski...“

Te częste, a niekiedy wodewilowe spotkanie zbliżyły nas bardzo do siebie.

Mickiewicz, Malewski, Chodźko śmieli się, kiwali głową. Tegoż podobno roku Sękowski, już z pierwszą żoną rozwiedziony, ożenił się powtórnie z zakochaną w głowie jego baronówną Rall, córką sławnego niegdyś a upadłego już wtedy bankiera dworu. Chociaż się nazywał upadłym, jego ubóstwo nie ledwie na innych bogactwo można było zamienić. To, co zostawało, właśnie dawało ideę, co to być musiało, kiedy nazywał się bogatym. Wówczas, jak już wszystkich opłacił i dom swój zamknął i biednym był, miał jeszcze 577 dusz luźnych, płacących mu podatek za pozwolenie wolnego służenia po mieście; miał fabrykę sławnego papieru, miał ogromny dom murowany na Kapitałnem w Petersburgu nadbrzeżu(!) i ze dwanaście dacz, to jest wil do najęcia za miastem. A w piwnicach, suterrenach i na poddaszach mnóstwo malowideł, kosztownych win itd.,

które się już tam walały, jak błoto, zawsze bez żadnego porządku.

Ale warto powiedzieć wprzód słów parę o pierwszej żonie Sękowskiego. Pierwsza pani Sękowska należała widać do tego rodzaju kobiet, które z jakiegoś wrodzonego instynktu przekładają stale jeden stan mężczyzn nad drugi. Kto dobrze obserwował, chodząc po świecie, a szczególnie kto z pozycji swojej wchodził w sekrety rodzin, nie mógł czasem tej monomanji nie widzieć, nie mógł nie dostrzec, że są kobiety wyższej nad gminne sfery, co nie wiedzieć dlaczego prosto z natury i usposobienia swojego przenoszą nad wszystko naprzykład patrzeć na księży, inne na prostych żołnierzy, inne na furmanów, inne na lokajów. Otóż właśnie pani Sękowska na tych ostatnich najszczególniejszym patrzała okiem. A miała na nich prawdziwy urok, *mauvais oeil*. Jak popatrzyła na którego z nich kilka tygodni, chłop, jak dąb, niewart był potem głodnego szczura, wysuszył się jak trzaska. Już po rozwodzie z Sękowskim ksiązę Ignacy Lubecki, wróciwszy z Wilna do Petersburga z dawnym swoim lokajem Ludwikiem, przed rokiem jeszcze, jak lew, jak żubr silnym i barczystym, a jak niedźwiedź po twarzy zarosłym mężczyzną, żalił mi się, że się lęka, żeby biedny Ludwik z konsumpcji nie zmarł, i pod sekretem powiedział, że pani Sękowska, mieszkając w Wilnie właśnie w domu Ignacego Lubeckiego, tak szkodliwem okiem na tego biednego człowieka wpływała!...

A i przyczyna rozvodu taka. U Sękowskiego był lokaj Józef, tęga sztuka. Raptem coś zaczął

schnąć, kaszlać, cherlać i kaprysić. Ale go Sękowski lubił, wszystko na chorobę składał i oddać nie chciał. Raz, wróciwszy z jakiegoś egzaminu na który był zaproszony, spotkany został u drzwi przez żonę, łzami zalaną. „Patrz mężu do czego u ciebie już doszłam! Wszak to twój Józef w twarz mnie uderzył!” Mąż struchlały woła zuchwalca: „Łotrze, co to ma znaczyć!”

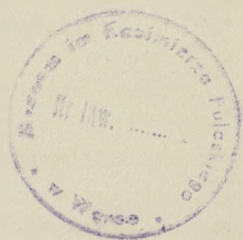
„A co panie? dałem jej w pysk i dobrze zrobiłem! Zemściłem się i za pana i za siebie! A wszak ta szelma pokoju mi swoim wzrokiem nie dała! Każe ustawicznie patrzeć i patrzeć na siebie! Zobacz pan, oto zrzucam surdut, widzisz pan tę chudiznę, a czy taki ja byłem? A kto temu winien, kiedy nie ona?” itd. itd. Mąż nie odpowiedział ani słowa, ale natychmiast rozstał się z żoną i rozwód prowadzić zaczął, na tę ją tylko kondycję wezwawszy, żeby mu pani Sękowska nie *im-* ale *praepotentiam* w Konsystorzu zarzucała. I na tej właśnie kanonicznej przyczynie, jak powszechnie mówiono, cały jego rozwód oparty. I tu nie bez szatańskiego pazura.

Sękowski przez powtórne ożenienie się został tedy zięciem barona Ralla, osiemdziesięcioletniego, pełnego światła, powagi, manieri, słicznego jak gołąbek starca. Rall stracił swój ogromny fundusz przez swawolę jednego z synów swoich, którego niezaprzeczonem talentem, a co gorzej młodości i cnotie niebacznie zaufał, sam już wszystkim interesom domu wydołać nie mogąc. Dał mu księgi i w zastępstwie za siebie podpisywać weksle pozwolił. Jakże się raptem kawaler za gor-



W. SMOKOWSKI

JÓZEF SĘKOWSKI



setem i kartami żwawo rozpętał, powydawał i takie weksle, których do księgi lękał się wciągnąć. Wróciły one swoją drogą do starego barona; oczywista zaprzeczył im. Rozeszło się, że po Europie chodzą fałszywe papiery barona Ralla. Brać jego weksłów lękano się. Kredyt upadł.

Ale w Rallu było coś innego, co mnie o nim tutaj wspominać zniewala. Była w nim osobliwość osobliwości; była to bezprzykładna, najgodniejsza podziwu, niesłychana, niewidziana popędliwość i pasja, której ani wielce staranne, jako po wszystkim widać było, wychowanie, ani wiek już tak podeszły, ani cierpienia ciała uhamować w żaden sposób do samej śmierci nie mogły. Proch nie tak się prędko zajmuje i wybucha, race kongrewskie mniej dokazują. Tysiące osobliwszych o tem chodziło anegdota — a i to, co i ja sam nieraz widziałem, było także dobre, było wcale nielada! Jak szedł po pokoju — najlepszy, najmiłszy, najśłodczy, byleby tylko choć krzesło gdzie nie na miejscu dostrzegł, żeby tam było tysiące obcych osób, rozwrzeszczał się, rozmachał konwulsyjnie, nożem, szczypcami, krzesłem, czy co miał pod ręką, na ludzi ciskał.

Raz naprzykład w epoce całej swojej świetności, kiedy wszystko, co tylko było także najświetniejszego u dworu, czcąc złotego cielca, cisnęło się do jego salonów, Rall dawał wielki obiad dla ambasadorów i ministrów. Chciał, żeby była zupa żółwiowa. Goście, mężczyźni i damy, zasiedli. Rall spojrzął na swój talerz, postrzegł, że inna zupa, rozdał się w mgnieniu oka i jak targnął za obrus w impecie, wszystko zrzucił ze stołu, oblał, oparzył zupą gości swoich,

butelki, kandelabry, frukta, wazony i co tam tylko było na nich wyrócił i sam z jadalnej sali się wyniósł. Na pięć minut przed śmiercią, a umierał z marazmu starości, jeszcze podnoszącemu go lokajowi dwa razy wyciął w policzek. Były to prawdziwe paroksyzmy wściekłości, szaleństwa. Można sobie wyobrazić, co wycierpiała dobra, szanowna, pocziwa staruszka, żona jego, przez czterdziestoletnie z nim pożycie. Zaczynała ta dama przeżyła go pomimo ciągłego cherłania i chorób wieku i pomimo tego, że co godzina była i żyła w śmiertelnej trwodze, żeby mąż kogo nie zabił na miejscu. Wyjechała potem na odpoczynek, wdową już, zagranicę. A tak zawsze na mnie była łaskawa, że, mieszkając w Manheimie, umyślnie przyjechała do Heidelbergu, żeby się ze mną zobaczyć.

Sękowski oprócz gruntownej nauki w wielu gałęziach wiedzy był niepospolity, nadzwyczajny językarz. Posiadał dobrze wszystkie główne wschodnie i europejskie języki, nieco po chińsku, dobrze po grecku i nowogrecku. Znał skandynawski idiomat, łacinę i wiele słowiańskich narzeczy. Tym jednak językiem, który i najlepiej posiadał, mówić zawsze mu trudno było. Jakże wziął pióro do ręki w każdym języku szło mu wszystko, jak po maśle. Po Wolterze, nie wiem, czy znalazł się człowiek, aby miał tyle, jak Sękowski, sarkastycznego dowcipu. Wszystko, co kiedy napisał, pełnem jest tego. Sypał ironją, jak z rękawa. Dostyc tylko przeczytać od 1834 do 1842 r. kronikę bibliograficzną w jego dzienniku, póki on sam ją pisał, żeby zobaczyć, kto to wiedzieć umie, jakie to tam morze najpocieszniejszych



a różnokształtnych ucinków, aluzyj, żartów i drwinek. Szkoda tylko, że wbrew woli Pisma św. rzucał perły przed tymi, przed którymi rzucać ich nie trzeba. Nie wszyscy go byli w stanie zrozumieć, ale go się wszyscy literaci rosyjscy lękali, jak ognia. I choć go czasem wspólnie, jak małe kundelki, znie-nacka skubnęli, cichaczem drasnęli, to zaraz tak się sami panicznie strwożyli, że biegli nadskakiwać mu i jakkolwiek odrzucić grot zemsty, którą on najczęściej w jednym tylko wierszu, owszem w jednym tylko słowie zamykał, ale tak morderczą, że pamięć jej zostawała u wszystkich na długo. Grecz, jadowity, dowcipny i języczny kalemburzysta, którego wszyscy w Petersburgu się bali, sam drżał przed Sekowskim, jak listek. Bułharyn toż samo, a najczęściej szyli tylko pod nim pokątnie. Wiem dobrze, że dowcip stosownie do epoki jest bardzo względny. Że sól jego zależy od ducha czasu, wyobrażeń, zwyczajów i obyczajów społeczeństwa tak, że to, co w jednym czasie ludzi śmieszyło, bawiło, w drugim więcej niż nudzi. Wiem, że najdawniejsi i najdowcipniejsi autorowie, od których konceptów Grecy i Rzymianie boki sobie zrywali, dzisiaj najmniejszego nie wywołują uśmiechu, że sławny dowcipnik i mędrzec Erazm Rotterdamski, który cały świat kiedyś uczył i bawił, dziś jest trudnym do strawienia nudziarzem. Zdaje mi się jednak, że dowcip Sekowskiego długo jeszcze będzie dowcipem.

Zarozumienie i literacka duma tego człowieka przewyższały bardzo jego wielkie zdolności. Dostyc było sprzeciwić się mu w czemkolwiek, żeby go natychmiast na siebie oburzyć. A choć czuł, że wi-

nien, nie miał siły siebie zwyciężyć. Raz naprzykład przychodzę do niego i znajduję go nad świeżo wyszlą jakąś tam książką o Ormianach czy o Armenji, której krytykę zaczął już pisać. Czytał mnie kilka ustępów, ale najdowcipniejszy, jak mówił, zachował mi na koniec. Położył tedy książkę i pismo swoje na stole, chcąc mnie o treści tego ustępu oświecić i powiada: „Nie wiesz, co to są u nas za mędracy, czego ci nasi autorowie nie wykoncypują! napewno nie domyślisz się nigdy, że u nich P. Jezus i pisał i odbierał listy; gotowi nawet nazwać ówczesne pocztowe kantory!” Ja, żem o tej tradycji przed kilkunastu laty przypadkiem czytał i to sobie zanotował w pamięci, rzekłem: „I owszem wiem o tem; jest podanie, że Abgar, król Edesy, pisał do Chrystusa i odpowiedź Jego otrzymał”. Jakbym Sękowskiemu w ten moment kijem dał po boku! Zmarszczył się, do seksternu nie wrócił, wyszedł ze mną z gabinetu, w najgorszym był humorze tak, że, nie znalazłszy środka rozweselić go, pożegnałem dziwaka. A to wszystko dlatego tylko było, żem nie chcąc miłość własną jego obraził. Że może być ktoś, co wie to, czego on nie wiedział! A przytem złączył się i żal, że krytyka i dowcip jego na tym właśnie artykule najsilniej oparte w łeb przeze mnie wzięły i że cały koncept w seksternie zamrzczyć z mojej łaski musiał. Lubo znosić nie mógł Polaków i zawsze, gdzie mógł, i źle o nich mówił i łatkę im przypiął, a nawet będąc wizytatorem szkół białoruskich, pierwszy on w opinii swojej tak nazwany katolicyzm polski i orzekł i na stół rządowi położył, że go potem wszędzie ze zgubą i ludzi i rzeczy szukano, lubo go-

rzej jeszcze nienawdził Polki, mając może niejaką i rację z uwagi na pierwszą żonę — chciał jednak zrazu pisać po polsku wszystko to, co potem w innych językach napisał. Wziął nawet na siebie redakcję „Bałamuta“, pisma satyrycznego, zaprowadzonego w Petersburgu przez Adama Rogalskiego, i umieścił tam kilka przedziwnych artykułów, a szczególnie „Żywot i peregrynacje Pana Frystejki“, ale żadnego stąd nie miał zysku. Z naszych księgarzy żaden niczego i darmo drukować nie chciał. Wytłumaczył tedy to samo na ruskie i za kilka arkuszy tej pierwszej próbki księgarz petersburski Smirdin zaliczył mu natychmiast 10 000 rb as.! Odtąd wpadł już na myśl wziąć z polskim językiem zupełny rozbrat, a nawet starał się go zapomnieć, żeby polonizmów do pobratymczego nie wnieść języka. Co odtąd pisał, było albo po rusku, albo po francusku. A naostatek w 1834 r. on pierwszy zaprowadził najlepszy rosyjski dziennik „Biblioteka dla cztienija“, którego wydaniu cały się poświęcił i do reszty kości wysuszył, siedząc nad nim dzień i noc w kacawejce żony i smaląc bez miłosierdzia cygara. (Kacawejka, rodzaj szerokiego z aksamitu lub atłasu lekkim futrem podbitego kaftanika z rękawami uciętymi po łokcie, kładzie się zwykle na suknię w pokoju i dziwnie każdą kobietę idealizuje i zdo bi. Moda unarodowiona w Rosji, a kiedyś przeniesiona z Holandji). Jak tylko dziennik jego pomyslnie iść zaczął, Puszkina, Grecza, Bułharyna i mnóstwo innych spiknęli się na niego, ale on im wszystkim zaraz dał radę.

Sękowski, jakem już wyżej powiedział, w Wilnie marnotrawny, w Petersburgu zupełnie zachorował na pana. Trzymał piękny ekwipaż. Wchodziłeś do niego jak na bal. Sień i schody, doskonale opalone, zimą i latem całe ustawione były najpiękniejszymi wonnymi kwiatami. Meble wykwintne i bogate, bilard, rezerwoary wody na strych sprowadzonej dla wygod domu, obok sypialnego pokoju wymyślne wanny, wszędzie pyszne kobierce, ogień na wszystkich paradnych kominkach, stół wykwintny, smaczny. Wina stare i wyborne. W tem ostatniem pomóc mu zapewne musiały od lat kilkudziesięciu zarzucone i zapomniane w suterenach starego Ralla butelki, które Sękowski za życia jeszcze teścia *incognito* do swojej przeniósł piwnicy. Tym sposobem widziałem i kosztowne bardzo dzieła, których sama oprawa po kilka dukatów za tom ceniona była, pierwiej w szafach starego barona a potem na podłodze w gabinecie zięcia.

W obejściu się Sękowski nie miał nic ani uprzedzającego, ani szorstkiego, ani odznaczającego się czemkolwiek. Na dawanych przez niego wieczorach i sam i żona jego, mało mówiący, więcej jakoś gości nudzili, niż rozrywali. Ale ci, co chcieli zjeść i wypić smaczno, narzekać na wieczerzę gospodarza nie mieli nigdy powodu! Rzadko jednak było, żeby i w konwersacji kogo z obecnych nie ukąsił, albo przynajmniej nie ukłuł, czy skieżem, czy prosto w oczy. Pochodziło to stąd, że przyjaźń, miłość, nadzieję, o jakiej marzył, słowem wszystko na ten moment gotów był poświęcić, byleby tylko złośliwy koncept, jaki mu na kogo na myśl wtenczas przyszedł, mógł natychmiast z siebie na świat wyślinić, wypienić.

A że więcej pisał, niż mówił, a to co napisane mniej więcej zostaje, stąd pisma jego pełne są takich do najlepszych jego przyjaciół zastosowanych jadowitych przymówek i żartów. W tem zdaję mi się, że ani żonie, ani rodzonemu ojcu nie darował. Wątpię nawet, żeby w duszy swojej rzeczywiście był do tego stopnia złym, jak się wszystkim wydawał i wydaje. Bodaj czy nie próżność była prawdziwą matką tego wszystkiego. Okoliczność, która wszystkie moje z nim stosunki najniespodziewaniej na zawsze zerwała, da najlepszą ideę, jak ten człowiek nie miał nad sobą mocy, żeby najniewinniej i pomimo ludzkiej wiedzy zadartą zarozumiałość swoją uhamować jakkolwiek, a co gorsza da miarę, jak się zaraz za to szkodliwemi umiał mścić drogami. Była pierwsza od założenia Petersburga wystawa sztuk pięknych w stolicy. Cały świat o tem tylko mówił. Był to też razem kulminacyjny moment tej wielkiej ogólnej niechęci, którą Rosjanie mieszkającym w Petersburgu Polakom dla tego tylko, że Polacy, w każdym zdarzeniu okazywali. A lubo rewolucja 1831 r. już była dawno przeszła i stłumioną najzupełniej została, niechęć ta jednak zamiast ulatniać się i niknąć coraz w górę rosła. Delacyj było mnóstwo. Najszczęśliwszym ich skutkiem było, kiedy komu we 24 godziny miasto opuścić kazano. Często jednak wywożono oskarżonego do oddalonych rosyjskich gubernij w asystencji żandarmów. Ten, co temu losowi uległ, naturalnie, że odrazu i na teraz i na potem zupełnie był zgubiony. Widząc się gdzieś w owym czasie z panią Sękowską, której rodzona siostra była za profesorem Akademji Sztuk Pięknych Bruloffem.

prosiłem ją, żeby, biorąc dla siebie bilety wejścia na wystawę, nie zapomniała i o mnie. Tymczasem tegoż dnia z innej zupełnie strony przysłano mi aż trzy bilety. Użyłem ich natychmiast, zwiedziłem obszerne Akademji sale i jak zwyczajnie w początkach podobnych próbek nie znalazłem tam nic prócz dwóch czy trzech malowideł, jakiegokolwiek godnych uwagi. Sękowska, nie wiedząc, żem już tam był, napisała w parę dni do mnie, wzywając mnie na dzień następny z sobą i całą familją na tę wystawę. Podziękowałem i doniosłem, że już tam trzy razy byłem i na ten raz mam już więc dosyć. Nazajutrz był duży proszony wieczór w domu pewnego Rosjanina, bardzo wysokiego urzędnika państwa, gdzie Sękowscy czasem bywali, jako znajomi, a gdzie ja ledwie nie codzień, bo zacni staruszkowie gospodarze lubili mnie oddawna, jak krewnego, jak własne dziecko. Przyjeżdżam. Znajduję już Sękowskich. Sam Sękowski bierze mnie natychmiast pod rękę, sadza w oknie, i dalej mnie rozpytywać się o wystawie. Odpowiadam, że mi się tam nie podobało. „Ale to?” — „Nic warte”. „A to?” — „I to nie lepsze.” „A ten pejzaż?” — „Wart tamtych dwóch”. „A toż, czyż nie arcydzieło?” — „Żartuj zdrów!”...

Tymczasem zaczęło się robić powoli około nas kółko słuchaczów i coraz więcej rosło. Raptem Sękowski, najniespodziewaniej rozdaśany, z największem zadziwieniem mojem zrywa się z krzesła i, obracając się do słuchaczów, powiada głośno: „Niech się panowie nie dziwią, bo pan Morawski należy właśnie do tej koterji Polaków, którzy wszystkim, co ruskie, pogardzają i wszystko, co ruskie,

gania!" Myślałem, że zwarjował. Gospodarze struchleli. Bo jaki tego mógł być skutek? Pierwszy z tych słuchaczy, coby wystąpił z delacją, a tam byli wszystko Rosjanie i dużo mnie nieznanym, sprawiłby to, że za kilka godzin mogła zająć po mnie kibitka z żandarmem. Na szczęście innego tam łotra prócz Sękowskiego nie było! Odpowiedziałem mu, o ile mogłem najzimniej, że napewno nie zastanowił się nad tem, co powiedział, ale, że jeżeli mowa o koterjach już być ma, może być pewnym, iż od tego momentu ja będę względem niego należał do tej wielkiej koterji Polaków, która jego sercu oddawna zupełną, jak teraz widzę, sprawiedliwość oddaje. Ukłoniwszy się odszedłem. To były ostatnie słowa, które do niego wymówiłem w życiu.

Generał podszedł do Sękowskiego z wymówką, że w jego domu charakter delatora na siebie przybiera. Wyniósł się stamtąd natychmiast, podkurczywszy ogona, jak kundel, co kąsa cichaczem. Generałowa podobnych duser powiedziała żonie. Biedna, poczciwa Sękowska, moja zawsze najlepsza, szczerza przyjaciółka, widząc, jak ich dom codziennie puścieje, jak zółć i złośliwość męża codziennie z ich znajomości kogokolwiek oddala, długo różnych używała sposobów, ażeby nas znowu zbliżyć do siebie, ale napróżno. Po takiej lekcji nie dałem się! Wyraz szarady jego gniewu, którego odgadnąć nie mogłem, jak mi potem żona jego mówiła, był taki. Sękowski, właśnie wyjeżdżając już na wieczór, dokończył długi artykuł do dziennika swojego, w którym wszystkie małowidła, wszystkie „pastisze i kruty" wystawy niepomiarowanie chwalił. O tem wszystkim, rozu-

mie się, ja z żadnego względu wiedzieć nie mogłem. Zdanie więc moje wbrew zdaniu jego artykułu przeciwne oburzyło go do tego stopnia, że nie miał czasu nawet zastanowić się nad tem, że ja, nic zgoła o piśmie jego nie wiedząc, mówię z nim jak o rzeczy obojętnej a zgoła bez celu obrażenia go w jakimkolwiek sposobie. Któż go na przyszłość w podobnych razach mógł zgadnąć.

Już mi on był dawniej jeszcze na rok czy na parę lat przedtem lepskiego także wyplatał figla. Zastał mnie raz u ministra Turkułła i wśród rozmowy powiada mu: „Namów, pan dobrodziej, Morawskiego, żeby też cokolwiek pisał do mojego dziennika! Cóż on na tem straci? A jeszcze ja, jako redaktor, ręczę, że za każdy arkusz druku po 200 rb. asyg. mieć będzie.“ Tłumaczyłem się, że nie piszę tak, jak wypada po rusku. „Oto tylko idzie? pisz sobie po polsku, ja sam wytłumaczę wszystko! Zgoda?“ — „Zgoda“. Nim wróciłem do siebie, już mi przysłał kilka ksiąg z biletem, wymagającym, ażebym sobie jedną z nich wybrał dla napisania recenzji. W tym zbiorze była książeczka o wodach mineralnych sztucznych w Petersburgu, wydana przez intryganta i szachraja, Żyda z Warszawy, niejakiego Mejera, wysłanego z hrabią Skarbkiem dla obejrzenia szpitalów petersburskich i zaprowadzenia takichże w Warszawie. Włazł on jakoś do ministra finansów Kankryna, rozpalił mu głowę projektem towarzystwa akcyjnego dla wód mineralnych. Przy takich plecach i protekcji towarzystwo zaraz stanęło; on książkę o tem wszystkiem wydał. Wziąłem się więc za krytykę tej całej miasto interesującej rzeczy,



a wierząc, jak doświadczenie zaraz potem pokazało, że kuracje wodami sztucznymi w Petersburgu z każdego powodu są wierutnem nonsensem, cały ten projekt należycie zbłaźniłem. Była to, jak mówię, podówczas palpitująca jeszcze dla stolicy kwestja. Sękowski wytłumaczył wszystko natychmiast, a nawet list mój z tego powodu do niego pisany do samego artykułu w rodzaju przedmowy wcisnął, pieniędzy jednak obiecanych ani grosza nigdy nie dał. Ale mi dał słowo honoru, że w żadnym razie nikomu imienia autora nie wyda. Spodziewałem się bowiem, że ten artykuł jakąkolwiek wywoła burzę. Przez dni kilka miałem tę przyjemność, że cały Petersburg nad tem błazeństwem unosił się i chwalił, nie wiedząc, kto to napisał, w oczy mi ciągle o tem gadano. Mejer mój, zbity z tropu, chodził z długim nosem po same kolana. Ale odezwało się w nim żydostwo, dając że żalić się przed Kankrynem, że cała spekulacja w łeb wzięła, że piekielny wyszedł o wodach sztucznych artykuł, że trzebaby koniecznie zdrajców ukarać. Kankryn, tak napompowany, udał się do Cesarza i rzecz źle przedstawił. Kazano śledzić autora. Sękowski, jeszcze urzędownie nawet nie zapytany, niepomny na dane słowo honoru, sam mnie o tem uwiadomił i, że razem ze mną i cenzorem czeka mającego na nas spaść aresztu, doniósł. Szczęściem dowiedział się o tem przypadkiem minister oświecenia hr. Uwarow, sam z siebie pojechał do Cesarza, rzecz w przyzwoitem świetle wyłożył i, mające już wyjść rozkazy tym sposobem wstrzymawszy, zawiadomił Sękowskiego, żebyśmy wszyscy trzej o to byli spokojni.

Mówiąc o Puszkynie, wspominałem, jak wiele język rosyjski winien Sękowskiemu, więc powtarzać tutaj nie będę. Jakkolwiek tego człowieka nie można, niepodobna było długo lubić, jako człowieka, boś zawsze z nim na jakiś sęk albo na kolce natrafił, będę jednak zawsze z ochotą czytał jego pisma. Bo on jest przedziwny, bo od każdego przedmiotu, który traktuje, oderwać się nie można, tak najsuchszemu z nich przyjemną nadać umie barwę. Największą jego zaletą w pisaniu przy gruntownej nauce i logicznym porządku myśli jest usunięcie wszelkiej pedanterji i umiejętność zachowania tego tylko dobrym smakiem dającego się uchwycić środka, który w samej uczoności, w samem zaciekawieniu się głębokiem nad rzeczą trafia: zawsze wszystko czywić, wszystko łatwym do pojęcia, a pełnym dowcipu i gustu wyłożyć sposobem.

Ręcę, że gdyby pisał o dębowej trzasce, i tu jeszcze sosem *à la dinde truffée* potrafiłby ją zaprawić i miękką a smaczną zrobić. Że tedy Sękowski był i jest niepospolitym człowiekiem, tego mu nikt sprawiedliwy ze spółczesnych nie ujmie. Szkoda tylko, że głowa i serce jego rozstajnymi chodziły drogami. Poczciwy, święty, anioł w ludzkim ciele, Oleszkiewicz, który nigdy złego o bliźnim nie wymówił, nazywał Sękowskiego zawsze — Izmaelita, o których w Piśmie powiedziane jest: „że namioty i obozy przeciw wszystkim braci swej stawić i wytykać będą“. Do tak dziwnie trafnego i mądrego orzeczenia, które nasz pobożny mistyk w natchnieniu wymówił, jeszcze każdemu z nas i ta nastęczała się uwaga, że właśnie Sękowski, Polak, nauce

wschodnich języków oddany i gruntownie je znający, po arabsku, to jest po izmaelitańsku, jak rzepeę gryzł i śmiało za Araba mógłby uchodzić.

Jest u naszego ludu podanie, że wąż, król węzów i gadzin litewskich, ma osadzoną i ubraną głowę najdroższymi klejnotami, iskrzącemi się, jak słońce. Ten myt urzeczywistnił i uosobił w sobie Litwin — Sękowski. (A. I.)

*13 lutego 1849 r.*

---



III

ALEKSANDER ORŁOWSKI

ur. w Warszawie 9 marca 1777 r. um. w Petersburgu  
13 marca 1832 r.







A. ORŁOWSKI

AUTOPORTRET





Będąc jeszcze pierwszy raz w Petersburgu, jako wojażer tylko, i nie myśląc nigdy, że mi tam kiedyś długo mieszkać przyjdzie, starałem się przez cały ten czas, przez całe ośm miesięcy mojego tam pobytu widzieć i poznać wszystko, co w tak wielkiej stolicy osobliwszego było czy w ludziach, czy w rzeczach. A doprawdy jest tam co widzieć, kto szukać umie! Wtedy jesszcz trzeba to było starannie odgrzebywać. Dziś, jak uważam, już się wszystko samo nastრęczać ludziom zaczyna. W tem epoka dzisiejsza szczęśliwsza od dawnej. Pomiedzy innemi różnego rodzaju znamienitościami najslawniejszym podówczas lekarzem w stolicy, jako praktyk, był Mikołaj Fiedorowicz Arendt. Petersburg nosił go ciągle na ręku przez 24 godziny na dobę, bo mu nieborakowi nigdy ani w dzień, ani w nocy usnąć i wywczasować się nie dał. Zaczny ten, najlepszego serca człowiek, jako lekarz wojskowy, z korpusem Woroncowa we Francji załogą pewny czas przebył i w Maubeuge ożenił się z piękną i dziwnie miłą pannienką, urodzoną w Sénégal, wychowanwą sławnego Stanisława de Boufflers, protegowaną przez pana de Breteuil. Za powrotem do kraju śmieie i szczęśliwie odbytych kilku operacyj zrobiło mu sławę. Uwierzono, że tak doskonały chirurg nie może nie być równie doskonałym lekarzem i dotąd niezna-

jomy, a nawet ubogi odrazu został sławnym doktorem, wyrocznią stolicy. Nie mogłem, wyuczywszy się sam medycyny, nic żądać jego znajomości. Podjął się mnie to ułatwić ziomek nasz, Piotr Orda, jeden z ówczesnych brylujących petersburskich plenipontentów, dziś z tego źródła bogaty i możny obywatel a oddawna z Arendtem znajomy. Orda, który mówiąc nawiasem, wizytowemi biletami swojemi dla czytających je głośno fatalną i w polskich i rosyjskich uszach dobrowolnie robił kakofonję, kazawszy je niebacznie wysztychować tak: „Pierre d' Orda“ — I nie czułem tego!

Arendtowie oboje przyjęli mnie wielce uprzejmie. Sama wzięła mnie natychmiast pod swoją opiekę. Często mnie na obiady prosili, szczególnie wtedy, kiedy się na nich ktoś wart uwagi i poznania miał znajdować. Dowiedziawszy się, że radbym bardzo poznać sławnego podówczas portrecistę Daua, przez cesarza Aleksandra jeszcze dla zrobienia galerji wojskowej w Ermitażu specjalnie sprowadzonego, Daua, który swoje portrety cudownie podobne i piękne zawsze bez poprzedniego konturu malował i naprzód oko, potem nos, potem drugie oko i tak dalej wykończył, ponieważ do tego dziwaka i skąpca wielce trudny dostęp, zaprosili Arendtowie i jego i mnie na obiad do siebie. Dau był tego dnia w różowym humorze. Podobałem się bardzo jemu. Ze mną jednym tylko prawie w ciągu całego obiadu rozmawiał. W ciągu tej rozmowy powiedziałem mu, że jedno z najgorętszych moich życzeń już skutek swój wzięło i że poznałem tak sławnego, jak on sam, człowieka. „Ale“, dodałem: „jeszcze mi trudny orzech

do zgryzienia zostaje, to jest poznać sławnego rodaka mojego, Orłowskiego, zanudzonego, zamęczonego wizytami do tego stopnia, że żadnych już, jak mi mówiono, nie przyjmuje odwiedzin“.

— „O!“ rzekł Dau: „wdzięczen panu jestem, żeś mnie na jednej linii z tak wielkim, jak Orłowski, artystą postawił. On ma sławę europejską, ja tylko ją mam w Petersburgu, a może i w Londynie. Żebym się więc panu za to wywdzieczył, pozwól sobie zaproponować, żebyśmy stąd prosto pojechali do niego. Ręczę, że przyjmie nas. Zobaczysz pan przy tej okoliczności wszystkie jego skarby, cały jego gabinet. A jest co widzieć! Kilka dni temu, jak mu jeszcze przyszły ogromne zbiory dawnej włoskiej Faency, które i ja sam rad byłbym obejrzeć. Służę panu“.

Uszczęśliwiony i wdzięczny siadłem z nim do jego karety. Wyznaję, że nie myślałem bardzo o tych szacownych zbiorach, cały dla mnie interes skupiał w sobie sam Orłowski. Mieszkał ciągle w Marmurowym Pałacu, dawniej oddanym królowi naszemu Poniatowskiemu, potem należącym do w. księcia Konstantego, który już był dawno dla Warszawy Petersburg opuścił. Oprócz tego paradnego mieszkania, darem przez w. księcia Orłowskiemu oddanego, jeszcze ten książę z własnej szkatuły sześć tysięcy rubli asygnacyjnych aż do dnia śmierci swojej wypłacał mu pensji. A bodaj czy i cesarz Aleksander od siebie czegoś tam nie dodawał, bo wiem, że Orłowski, niby do urzędników Głównego Sztabu zaliczony, obowiązany był po raz na miesiąc przynieść Cesarzowi szkic, wyobrażający jakakol-

wiek żołnierską grupę. Śmierć Aleksandra, a w lat kilka potem i Konstantego znacznie w dalszym czasie zmniejszyły Orłowskiego dochody. Zajechaliliśmy. Wyszedł do nas aż do drzwi salonu z paletą i pełną garścią różnych pendzli w rękę. Aż mi po sercu poszło, jakem spojrział na tę szlachetną postać! Ja sam nieułomek i dosyć słusznego wzrostu byłem mu ledwie nie pod pachę. Twarz męska, dziwnie znacząca i miła, gdzieniegdzie z piętnem od ospy, okolona gęstemi bakenbardami, symetrycznie podstrzyżonemi i pięknie układającemi się z natury; wąsik nie wielki, strzyżony; włos blond; czoło wysokie; głowa do góry zadarta; uśmiech uprzejmy; bas silny. Cały kształtny, prosty jak wygięta struna, pleczysty, barczysty a po słabiznach, jak panienką, przewięzisty i cienki. Ogółem kształty takie, że choć zaraz lep z niego statwę Apollina. Miał na sobie ciemno szafirowy aksamitny, złotem szyty i na pętlę za szyję zaczepiony kontusik. Spodem kurtę czerkieską wiśniową z obcisłemi rękawami. Dolną odzież także czerkieską, takiegoż koloru ze srebrnym wąskim lampasem. Buty czerwone. Cygaro w gębie. Do kogo mówił, prosto, otwarcie patrzył mu w oczy. Dau niski z czerwoną twarzą i czerwonym nosem, z czerwonemi rzadkiemi włosami wyglądał, jak szczur, świeżo z burakowego rosołu wylazły, i wielce żalosaną przy Orłowskim miał minę. Znaleźliśmy tam francuskiego konsula pana de Vallade, dawniej już mnie znajomego. Orłowski bardzo nam był rad, bo wizyta dumnego, odludnego a silnego u dworu Daua była dowodem jakiegoś faworu. Naturalny, wielce uprzejmy, bez najmniejszej prze-

sady, ludzki i pięknej manjery w ujęciu gospodarz nasz prócz postaci swojej uderzył mnie naprzód tem, że, mówiąc do Daua, ciągle z największą łatwością po angielsku, odzywał się do Vallade'a po francusku, do mnie z warszawska mówił po polsku, lokajowi swojemu z taką łatwością dawał rozkazy po rusku. A każdym językiem tak pięknie, dźwięcznie i biegle wymawiał i mówił, jakby się w nim urodził. Przez ten czas ciągle kręciła się około niego, jak zmyślny piesek, biała papuga, kakadu, z którą i on zawsze i co moment miał coś do czynienia wzajemnie. Powiedzieć to zaraz muszę, bo potem bym o tem zapomniał, że żaden z portretów Orłowskiego, jakie widziałem, nie był do niego podobnym. Chociaż miał wybitną i bardzo znaczną fizjonomję, niezwykła jednak ruchawość rysów jego, kiedy mówił, była przyczyną tej nieprzełamanej w schwyceniu prawdziwego wyrazu twarzy jego trudności. Ten zaś portret, który on sam przed lustrem zrobił z napisem w półkole „*Se ipsum fecit*“, a o którym ja, kiedy już z nim był blisko, ganiąc portret i parafrazując ten napis, mawiałem, że nie sam siebie, ale że on go sam na siebie zrobił, ten, powiadam, portret mniej jeszcze podobny do innych. W dwóch oddzielnych epokach znajomy nasz portrecista, Ksawery Kaniewski, z pamięci zrobił u mnie przy herbacie ołówkiem profil Orłowskiego. Raz kiedy był zdrów; potem w lat kilka zrobił inny przed samą jego śmiercią. Zachowałem je w swoim zbiorze i te znajduję najpodobniejszymi. Dziwna rzecz, że po trzyletniej blisko chorobie w więcej już niż dojrzałym człowieku nos, który dawniej u niego

dosyć był ostry, stępniał przed śmiercią zupełnie. I to własnymi uważałem oczyma.

Orłowski pokazywał nam swoje pokoje, swój przepyszny arsenał i zbroje, które potem cesarz Mikołaj nabył u niego za kilkadziesiąt tysięcy rubli asygnacyjnych, swój olbrzymi zbiór Faenc, obrazy różnych sławnych mistrzów, bibliotekę. A wszystko to z takim uprzedzeniem, z taką miłą szczeropolską uprzejmością, że nie można było nie być mu wdzięcznym za taką grzeczność. Wróciliśmy do stolika z herbata. Przechodziliśmy około tylko co zaczętego czerkiesa przy koniu, na którego nam jeszcze patrzeć nie radził, zamawiając to sobie za dni parę.

Dowiedziawszy się, że z Wilna, bo mię, nie wiem dla czego, zrazu za warszawianina miał, rozpytywał się ze spólcuciem o zdrowiu i powodzeniu szlachetnego i zacnego profesora Rustema, z którym się kiedyś razem u Norblina uczył. „O z tym człowiekiem“, rzekł: „to prawda, że kolegowałem i u Norblina i u Bacciarellego, ale nie z tym starym błaznem Śliwickim, który im obu farby wtenczas rozcierał, a teraz się chwali tu wszędzie, że naszym jest kolegą. Jeśli pan Rustema kiedy zobaczysz, ucałuj go ode mnie w ten wielki, turecki, garbaty, ale pocciwy nos i w tę czerwoną myckę, którą wiecznie nosi na głowie. Proszę pana tylko spojrzeć na tę ścianę, widzisz pan, jak tu dwa jego figurują portrety? O godna to i pocciwa dusza!“ Przy rozejściu się prosił mnie, dodając, że nie dla formy, ale że mię jak stary szlachcic szlachcica zaprasza, że bym u niego o każdej porze, jak mi się podoba, był i że mu nigdy w niczem nie będę przeszkodą.

„Ja” — rzekł: „z duszy kocham Polskę i Polaków, ale petersburskich Polaków nie bardzo; wszystko to po większej części oprócz Żelwietra intryganci i plotkarze. Kto od nas stamtąd przyjedzie, to jeszcze czyste złoto”. Mówił, jak myślał. Jak go potem dobrze poznałem, przekonałem się, że miał prawdziwie staropolski charakter. Kogo lubił, to lubił. Kogo nie lubił, to w oczy i za oczy o nim od *Jean f.....* i takiego syna zaczynał.

Wyjechałem od niego oczarowany. W Litwie słyszałem o nim nadzwyczajnie sprzeczne zdania. Jedni go wyobrażali jakimś gburem, inni hulaką i lampartem, inni dziwakiem i nieużyтым! A tu widziałem człowieka pełnego wychowania, przyzwoitości, delikatności i gustu. Później dopiero poznałem, że ci, co takie o tym mistrzu dawali zdanie, gniewali się za to, że na grubjańskie i dokuczliwe ich prośby żadnej im nie chciał narysować pamiątki. A byli niesprawiedliwi i głupi, bo się sami za to wziąć nie umieli. Nie było na świecie nic łatwiejszego, jak mieć jego rysunków kopami. Orłowski w Petersburgu na takiej oddawna już był stopie, że czasem dla żartu i próby, bo miał zawsze pieniądze, czy w domu czy w traktjerze przy jakimś obiedzie, albo w innem jakim miejscu, narysowawszy jakiego szatana na oderwanym kawałku papieru, afisza lub bibuły, posyłał do Angielskiego Magazynu lub do innych, jako zapłatę za towar, który chciał kupić i oznaczał cenę i zawsze mu za takim wekslem wszystko z podziękowaniem wydano. Znał się on bardzo na sobie. I dla tego roboty swoje inaczej zupełnie od innych artystów cenił. To jest albo je

miał za nic i rzucał je darmo każdemu za igraszkę, za pamiątkę, albo, jak tylko ktoś się z tem odezwał, że chciał co kupić od niego, za kilka sztychów ołówkiem ceny znaleźć nie umiał. Ale nigdy w życiu chciwym i łakomym nie był. Długo z jego dobroduszości korzystali cudzoziemcy, a szczególnie Anglicy. Orłowski kochał się w morzu i w wielkich pustyniach wód. Kapitanowie okrętów angielskich, oficerowie morscy, znajdując się w Kronsztadzie, sadzili się jeden przed drugim, żeby się z nim poznać, zapraszali go na obiady na okręt, tam wyłudzali u niego bez końca rozmaitych szkiców, które on im robił dla zabawki, nie wiedząc, że zaraz nazajutrz każdy taki kawałek papieru szedł do Londynu, Edynburga, do Ameryki i do innych krajów, jak towar, i dziesięć tysięcy razy więcej niż na wagę złota był przedawany.

Wracając do wspomnień o moich z nim stosunkach, powtarzam, że odtąd, jakem się z nim poznał przez Daua, datuje się dobra pomiędzy nami znajomość i poufałość, która za moim powtórnym do Petersburga przyjazdem w szczerą zamieniła się życzliwość i przyjaźń. O Orłowskim tylko jak o artyście mówiło wielu, mówi wielu i wielu jeszcze mówić będzie. Ten, coby zdań i sądu tutaj u mnie szukał — przepraszam — ale tego tu właśnie nie znajdzie. Ja o nim piszę tylko jak o człowieku i jak o poecie, bo że nim był, choć nie pisał wierszy, o tem nikt, kto go znał, nie wątpił. Sławie jego nie ujmie niejaka wiadomość o potocznem jego życiu, o jego cnotach i wadach. Owszem, miło jest mówić i miło słuchać o takim człowieku, o którym, położywszy



rękę na sercu, śmiało tylko bardzo wiele dobrego powiedzieć można!

Orłowski, jak na artystę, *per modum* Rubensa żył wystawnie. Lubił i dobrze zjeść i co smacznego wypić, czy u siebie, czy u drugich, ale bez zbytku. Sam, przedziwnym będąc amfitrjonem, wszędzie także pożądanym był biesiadnikiem dla wielce miłego zastolnego (!), że tak powiem, dowcipu. Ci, co w większym świecie żyli albo żyć przywykli, rozumieją mnie odrazu. Dowcip obiadu lub wieszery różni się wielce od dowcipu salonowego koła. We środy, a potem w soboty był u niego stół dla przyjaciół nakryty. Dochodził prawie zawsze do trzydziestu osób. Obiad u Orłowskiego angielsko-francuski w materialnej treści swojej był jeszcze prawdziwą mozaiką z powodu natury spółbiesiadników i z tego względu jedyny, jak mi się w życiu spotkać zdarzyło. Widziałem tam książąt, generałów, radców stanu albo i tajnych i wielkie imiona obok emerytów płci obojej francuskiego teatru, dentystów, dymisjonowanych od jakichś magnatów z czasu Katarzyny kochanek i kamerdynerów, wyszłych już z handlu dawnych kapeluszników, modystek i jubilerów, a wszystko co do nogi cudzoziemców, żadnego Polaka, jeśli mnie i czasem portrecistę Kaniewskiego wyłączyć. Wszyscy tam byli na stopie równości i nikt u niego głowy nie zadzierał, jak też również tam stanu swojego się nie wstydził, tak dalece, że ja z własnych ust każdego z tych pań i panów dowiedziałem się, czem byli dawniej.

Narów jego wiadomy był wszystkim, co go choć troszkę znali. Prosić go, żeby co odrysował, jak

Amen w pacierzu, odmówił, choćbyś rodzonym był bratem. Ale był na to inny najprostszy fortel. Miał być naprzykład u ciebie na śniadaniu, na obiedzie, z wizytą. Położyłeś na jakimś stoliku arkusz białej bibuły; na oknie niby z przypadku kilka arkuszy welinowego papieru, na komodzie lub serwantce był sobie od niechcienia w serwskiej filiżance włożony ołówek, tam gdzieś w kącie kałamarz z piórem. Kto chciał czego lepszego i dziwniejszego, ten nic nie kładł oprócz grubego rygałowego papieru. Dopiero, jak Orłowski przyszedł, nieznacznie śród rozmowy wrzuciłeś tam jakąś staropolską anegdotkę, jakąś historję o kontuszu, o wąsie, jak tam gdzieś w Szawlach czy Telszach szlachta roznosiła ludzi na szablach i jak się jaki szlachtura w ką, jak w fortecę, zaparłszy, dziarsko szerpentyną zastawiał; opowiedziałeś coś może o polskim koniu, coś o Kaukazie albo Czerkiesach; w opisanu jakiegoś zdarzenia przyszła ci jakaś wątpliwość albo coś podobnego, Orłowski zaraz się zrywa, dowodzi tobie, jak to być musiało, rozprawia cudownie, prześlicznie gestykulując, ale sam zaraz powiada: „Ja tego tak dobrze nie powiem, bo nie umiem, ale bym ci to narysował zaraz”. Tu mu podłożysz bibułę czy papier, chwyta za nią. „A czy nie macie tam gdzie ołówek?” — „Jest” — robi ołówkiem. Kiedy chcesz innego rodzaju, powiedz: „Jak na licho niema!” — „Ach jacyż wy partacze: nie mieć ołówek! Kaźcież choć świecę łojową podać, choć tę mieć przecież musicie!” Podają świecę. Natychmiast knot jej staje się czarną kredą, łój służy do półcieniów, palec jego wielki robi się tuszemblikiem, zwinięty i przypalony

kawałek bibuły ołówkiem — i poszedł!! Jakże już raz zaczął, wielu was jest, choćby stu było, gadajcie tylko i podawajcie materje, ale go nie proście; każdemu z was co dwie minuty robić po arcydziele i będzie kilka godzin dla każdego z was pracował! Wszyscy opakowani szkicami jego wyjdziecie. A on, jak tylko za drzwi wyszedł, już na schodach o tem wszystkiem zapomniał i na myśl mu nawet nigdy w życiu nie przyjdzie, żeby tego dnia cokolwiek rysował!

Rodzaj Orłowskiego, w którym celował, był zamaszysty, hajdamacki, śmiałorzutny, rubaszny, *grotesque* co nazywają. Tu był zawsze i wiecznie nieporównany. Jak tylko chciał wyjść za tę granicę, a często mu się tego chciało, jak mu się zdało linje połączyć, garby zgładzić, kontury złagodzić, cienie wyrobić, słowem wykończyć, stawał się miernym, albo i mniej jeszcze jak miernym. Tego, jak wszyscy prawie artyści, autorowie, poeci, nie znał do siebie i w sobie. To, co istotną jego stanowiło wartość, miał za fraszkę i błazeństwo. To, do czego najmniejszej nie miał zdolności i co mu się nigdy nie udawało, zdawało mu się wartem najwyższego podziwu. Koń jego od ręki rzucony był arcydziełem. Koń jego wypracowany, wykończony, oglądzony był prosto szkapą. A on się nad tem właśnie przed tobą unosił. Trudna dla świadka pozycja. Orłowski do szkicowego talentu łączył jeszcze sposobność, nie każdemu daną, zaczęcia każdego przedmiotu, jaki mu podałeś, od ręki, nogi, boku, od członków, któremi nikt nigdy żadnego nie zaczyna rysunku. A doprowadził zawsze wszystko zgrabnie i zręcznie do pożądanego końca.

Stąd to sławne jego sztuki i fokusy, *tour de féerie*, ten sekret z dwóch, trzech, pięciu, dziesięciu punktów, danych przez kogokolwiek naoslep, zrobienia zawsze prawie godnej podziwu figury lub grupy.

Takeśmy sobie żyli z Orłowskim, kiedy mnie raptem, najniespodziewaniej i we 24 godzinach z rozkazu Cesarza w głąb Rosji w interesach służby wyjechać przyszło. Bawiłem w tej uciążliwej podróży około roku. Wróciłem nakoniec do Petersburga. Jeszczem się nie był z nikim nie widział, nie wywczasował i ledwie że parę godzin przespał po tak trudzącej włóczędze, kiedy mi podano list od Orłowskiego. Nie wiem już, jak się w tak wielkiem mieście tak prędko o moim powrocie dowiedział, ale mię na wszystko zaklinał, żebym natychmiast do niego pospieszył. Pojechałem. Znalazłem go do niepoznania! Rzucił się mnie na szyję ze łzami w oczach! „Myślałem, że już ciebie nie zobaczę nigdy! że się nie doczekam ciebie! Przyjacielu mój, spółziomku mój, ratuj mnie! Na tobie cała moja nadzieja! Ratuj mnie nie od śmierci, od której obadwaj wykręcić się nie będziemy mogli, ale od tego okropnego stanu duszy, zabójczej nudy i rozpaczy, jaka mnie co moment porywa, a która sto razy gorsza jest od samej śmierci. Czuję”, rzekł, z lekka uderzając się w piersi: „jak to wszystko stąd idzie!”

W oka mgnieniu zrzucił z siebie wszystko i stanął przede mną, jak palec. Nie mogłem nie być zgóry uderzony rzadką Antinousową budową i kształtnością wszystkich jego członków, z których nie jeden swoim rozmiarem dla Herkulesa nawet mógłby być być źródłem zawiści, a w Dejanirze

większąby jeszcze obudził zazdrość. Ale chociażem się uśmiechał i wesołym starał się pokazać, łzy mi w oczach stanęły, jakem tylko spojrział na jego piersi! Skakały one jakby pod młotem kowalskim. A to najstraszliwsze było, że serce jego, ciężarem swoim przesuając się powoli coraz to dalej i dalej, stanęło nakoniec na prawej już stronie i właśnie z tej strony, jak taranem w żebra waliło. Bystry był jak lichy! Postrzegł złą wróżbę na mojej nieszczęśliwej nic nie tającej twarzy! „A więc niema już ratunku?” — „Uspokój się! Jest ratunek. Ale cierpliwości trzeba, a ty taki gorączka. Nie odrazu Kraków zbudowany! Pokaż mnie jak ciebie leczą. Będziesz zdrow, tylko trzeba czasu”. „O ja czytam w oczach twoich, ja wiem, co to jest. Widzę, żem już umarły! Nie przyciskaj mnie do siebie, odejdz ode mnie, bo przyciskasz trupa”... A potem w parę sekund ochłonął. Zaczął wkładać powoli na siebie cbuwie i bieliznę. Zaśmiał się głośno, dobrodusznie i powiedział: „*Eh bien soit! Je m'em f...!* Marsz, panie Aleksandrze, marsz! woła na mnie ta stara wiedźma, ta śmierć koszczawa(!), którą ci zaraz odrysuję, jak na mnie ostrzy pazury” i nawpół nagi kościotrupa, mocującego się z olbrzymem, rysować począł. „No to i pójdę”, mówił rysując: „zobaczymy, kto się kogo złęknie.” Potem, obejrawszy ciało swoje, dodał: „Ale patrz, mój Morawski, jaka to jeszcze żyłasta, jaka muskularna ręka! O ja dziś jeszcze, jak konający Napoleon, powiedzieć o sobie mogę: „*Oui c'est encore moi!*”

Widzenie się to nasze skończyło się na zupełnej Orłowskiego przede mną z całego życia spowiedzi.

Zarodek choroby począł się już oddawna. Kiedyś przed laty, mając romans z córką mularza, w sąsiednim domu mieszkającego, a wielce srogięgo człowieka, nie mógł się do niej dostać inaczej, jak idąc po belce, pod którą wielka znajdowała się przepaść. W nocy zdradziła go, zbłądziła mu noga. Upadł na dół na plecy. Już od tego czasu częste miewał bóle plec i bicie serca. Różne zmartwienia i uczucia późniejsze, wiek, gwałtowne przełknięcie przy ratunku własnych dzieci od rzucającej się nie rozsrożonej krowy i grot, który niedawno z wysoka go uderzył, o którym zamilczeć wiele mam powodów, który tak jego miłość własną, jako artysty rozkrwawił, że tego wydychać nie mógł, rozwinęły najzupełniej długo przyczajoną w nim chorobę. Rozszerzone serce, rozszerzone żyły jego żadnej przy dzisiejszym stanie nauki nie rokowały nadziei. Najwięcej co zrobić można było, ostatni medycyny wysiłek leżał w tem, żeby umieć zmniejszyć trudne do zniesienia przypadłości nieszczęśliwej niemocy. Przy tej spowiedzi z własnych ust jego słyszałem osobliwszą i rzadką indywidualną wyłączość, fenomen rodzajowego życia, stosujący się tylko do niego jednego, o którym wspomnieć jakkolwiek warto, bo to i fizjologom przydać się może.

Orłowski, jako lew zbudowany, Orłowski atleta, Orłowski, co nagą dłonią łyżki srebrne i ćwieki żelazne na świder skręcał, Orłowski, który to zawsze widział, że kobieta, jemu oddana i której się on oddał, ciągłemi mdłościami szczęścia okupywać musiała siłę jego przywiązania i chwile poświęcenia się dla jego miłości, Orłowski, mówię, tę w sobie oso-

bliwszą miał własność, że ani piękność, ani inne zalety kobiet, które cała płeć ceni, nie obudzały w nim gry wyobraźni, ale że jakieś sympatyczno-magnetyczne pociągi i wpływy na duszę i serce jego działały. Najpiękniejsze, najslawniejsze z wdzięków w całej Europie kobiety, które mnie cytował, robiły nieraz wszystko, co mogły, żeby w nim wzbudzić do siebie silniejsze uczucie. Tymczasem był naprzykład w ciżbie i przechodząc otarł się tylko o jaką kobietę, której twarzy nawet nie widział, której głosu nie słyszał i natychmiast jak wściekły szalał! Tym sposobem człowiek ten przy wszelkich możliwych sposobnościach, nastęrczających się jemu ciągle i ciągle do znudzenia, bardzo mało na świecie ściśle znał kobiet. Te jednakże, z którymi się tą sympatyczną siłą już raz zapoznał, chyba tylko na zbytek mjąłości jego narzekać, a nigdy opuścić go lub zapomnieć nie mogły.

W tej właśnie osobliwszej magnetycznej dyspozycji zmysłów jego leżał niepojęty dla świata sekret powtórnego jego małżeństwa, bo, jak niżej zaraz coś o tem powiem, był dwa razy żonaty. Druga żona jego tak, jak i pierwsza, była Francuzka. Była to dobra, prosta, ale brzydka z twarzy i wielce nieokrzesa kobieta, nie warta takiego męża. Niejaka pani Oeffenberg, wdowa czy z prawdziwem, czy z przybranem, jak u nich zwykle bywa, nazwiskiem przyjechała z menażerją swoją do Petersburga. Orłowski chodził zawsze na takie widowiska, żeby się ruchów zwierząt z natury nauczyć. Dowiedziawszy się o tej nowej menażerji, poszedł tam i znalazł wielką ciżbę. Przeciskając się pomiędzy widzami, otarł się przy-

padkiem o kobietę, tyłem do niego w czarnej salopie stojącą, której twarzy nie widział, ale w tym momencie magnetycznie w uśpionych zmysłach silnych doświadczył wybryków. Zainteresowało go to, bo takie kobiety nie często mu się zdarzały. Spojrzał na nią — twarz fatalna! Była to sama właścicielka menażerji. Ale kość już była rzucona! Zakochał się w niej, do wysprzedaży lwów i tygrysów nakłonił i zaraz się z nią ożenił. Była to, jak powiadam, wielce prosta i nieokrzesała kobieta, proste naczynie! Żył z nią jednak lat wiele najszczęśliwiej w zgodzie i dwoje spłodził z nią dzieci. Konarski z uwagi na jej anteriora przezwał ją „Iwicą“ i to nazwisko u nas dla niej zostało, choć mąż o tem nie wiedział. Nie przewidywaliśmy wtenczas jeszcze, że za lat kilka wyraz ten w całej Europie zupełnie innego nabierze znaczenia. Od chwili, kiedym go za powrotem z Rosji zobaczył, Orłowski tłał tylko i dogorywał powoli, zawsze od wiernej swojej i ukochanej karesowany papugi. Jeszcze rok jakiś, nim się budowa jego z lekarstwami oswoiła, niby trochę odżył, ale zło górę brało i brało. Wkrótce nowe przybyły kłopoty. Odebrano mu mieszkanie, stracił po śmierci w. księcia Konstantego pensję, musiał się zatem z całym ogromnem swoim muzeum przenieść na miasto. Znosił jednak wszystkie pociski losu, jak prawdziwy filozof, nigdy nie sarknął, zawsze był w pogodzie. Jeszcze mam u siebie szkic jego na dwa dni przed śmiercią na poduszce słabą już ręką zrobiony, w którym narysował szlachcica, kłócącego się z Żydem o pieniądze za karczmę. Mam wiele innych robót jego, ale dużo swawolnych (*obscènes*),





A

B

C



D

E

F

SZKICE A. ORŁOWSKIEGO

A SZLACHCIC TŁUSTY  
 B SZLACHCIC CHUDY  
 C GASPAR ŻELWIETR

D OFICER KAWALERGARDÓW  
 E JÓZEF OLESZKIEWICZ  
 F OFICER KAWALERGARDÓW



które bardzo rzucać na papier lubił i w różnych arcy pociesznych, szczególnie w tem, co się naszej płci tyczy, członki ciała ludzkiego przedstawiał widokach i pozach. Posiadam jeszcze oprócz tego dwa jego szkice tuszem robione, które historyczny walor mają. Przedstawiają one rosyjskich żołnierzy gwardji. Zaniósł je był raz cesarzowi Aleksandrowi. Ale ten w linji żołnierzy, naprędce rzuconemi strychemi zrobionej, dostrzegł, że jakiemuś żołnierzowi wyraźniej zabrakło nogi i przyjąć roboty nie chciał. Było to już około obiadowej pory. Orłowski upokorzony, rozdaşany wrócił do siebie, gdzie był już stół nakryty i śledź, oliwą i octem przyprawny, czekał na jego przybycie. Cisnął ze złości na stół w trąbkę zwinięte rysunki i te akurat padły na śledzia! Oliwa zrobiła plamy. To mi on raz na pamiątkę wypadkowo oddał. I te dwa rysunki jak drogą chowam spuściznę, choć mi za nie jeden lord angielski sto pięćdziesiąt dawał dukatów.

Wesoły, pusty i psotnik, póki mu zdrowia służyło, nieraz z rąk lub innych części ciała swojego, domalowawszy na nich coś farbami, dziwne wyrabiał figle. Jeden z zabawniejszych był taki. Raz latem mieszkał za miastem od wielkiego gościńca na dole. Jak się dowiedziano, że tam mieszka Orłowski, rady nie było. Mnóstwo ludzi ciągle zbierało się pod jego oknami i zazięrało do środka. Znudziło go to i najokropniej dojadło. Zrobił tedy transparent na swoje okno z dużym okrągłym w samym środku wykrojem, wyobraziwszy na nim różne atrybuty słońca. Samo zaś słońce namalował przed lustrem na odwrotnej i dobrze okrągłej części ciała

swojego, i tak rzecz ułożył, że podstawivszy krzeselko mógł w owym otworze transparentu resztę malowidła swojego wygodnie i łatwo pomieścić. Wszystko razem jeden i wielce efektowny sprawiało widok. Mnóstwo wszelkiego stanu ludzi, nie domyślając się niczego, schodziło się na gawronadę i podziwiała, nie mogąc tylko zrozumieć niektórych wielkich plam i szczerb na tem słońcu, ale rozwiązanie tych wątpliwością zostawiało astronomom. A Orłowski śmiał się, jak dziecko, że aż słońce jego się trzęsło, i cieszył się, że całemu uprzykrzonemu gronu spektatorów takim fortelem choć to pokazać może, co się zwykło przed okiem ludzkim najstaranniej ukrywać!

Takie albo tym podobne koncepty, dzieci dobrego zdrowia i wesołego humoru, jak ptak pierzchliwy, uniosły się z jego życia w ostatnich latach, z życia, dotkniętego ciężką chorobą, przeciwnościami i smutkiem. Na śmierć jednak swoją ciągle, jak stoik, spoglądał i ideą jej, ideą bliskiego końca, dobrze przez siebie zrozumianą, zgoła się do ostatniej chwili nie strwożył. Przykre mu tylko były i oburzały wrodzoną już jego drażliwość te nieznośne cierpienia, te nudy, które miejsca człowiekowi nie dają, zwykłe towarzyski aneuryzmatu, który w sąsiedztwie serca założył swoją stolicę.

Podług mnie Orłowski był i jest dotąd jedynym naszym prawdziwie polskim rysownikiem-poetą, poetą - improwizatorem. Poematy jego, rozproszone i koczujące, jak śpiewki rapsoda, po drogach i rynkach całego świata, może kiedyś jaki Pizystrat czy Hipparach w jedną całość, w je-

dną kontuszową epopeję ułoży! Przedewszystkiem (sama ręka już go do tego ciągnęła) najmilej mu było zawsze przedstawiać nasze krajowe sceny, w których mógł wsadzić starego, brzuchatego z bystrem marsowem okiem, z okrągłym podbródkiem poczciwosza Polaka w kontuszu. W złośliwej karykaturze zrobił Polusa długim, wysmukłym i chudym jak smyczek, tak że się słucka jego pasina na biodrach trzymać nie mogła. Orłowski znał na palcach długość podgolonej czupryny lub sieledca, długość wąsa, wielkość i kształt szpinki od koszuli, wiele powinno być guzików w kontuszu, jaka długość wylotów, pas jak siedzieć na biodrze był powinien, jak czasem inaczej przez abnegację lub inną jaką przyczynę na brzuchu siadywał. Umiał wlot, jak się nosił żupan na opaszkę i jak wtedy na nim zawieszano kontusz. Znał na pamięć, jakie bywały karabele i szable i jak one czasem któremu niezgrabnemu szlachciurze zawadzać umiały. Wszystko to było przedstawione z takim dowcipem, tak doskonałym schwyleniem charakterów i typów, a przytem z dobroduszością, tak tam żadnej nie było złości, tak tam widać poczciwe serce i szczere przywiązanie do tych piórem jego stworzonych figur i żal, że one tylko już na papierze egzystować mogą, że nie tylko wielkiemu artyście żaden Polak za złe igraszek jego fantazji mieć nie mógł, ale owszem sto razy więcej jeszcze co moment nabierał dla niego za to życliwości i szacunku. Dar obserwacyjny tego człowieka był rzadki. Najczęściej kilka tylko strychów dawało ostateczne piętno charakterowi przedstawionego szlachcica. Naprzykład kilka szczecin,

z nosa sterczących, kilka włosów, w różnych kierunkach rzuconych na brodzie, tak doskonale od pierwszego wejrzenia malowało safandulę i gapia, że się nikt na tem nie mógł pomylić. Do tego służyły mu jeszcze dziwnie umiejętnie pojęte i oddawane wykrzywione w obcasach buty. Czasem szlachcic u niego i na cholewach nawet już chodził, ale ani tęgiej miny, ani powagi karabeli swojej nigdy nie tracił.

Mylą się ci, co myśleli lub myślą, że Orłowski winien był to wszystko talentowi, danemu z natury, i że własną pracą jej nie dopomógł. Zapewne, że zdolność ta urodziła się z nim razem, że oko jego, rękę Bóg mu darował. Ale i to pewna, że wiele sekretnie nad oddaniem każdego szczegółu pracował, nim wprowadził w to swoją rękę. Świadcami tego były znalezione po śmierci jego etiudy, gdzie but wykrzywiony, czapka stara i podarta, kapelusz schylony i wgnieciony itd. po sto razy z różnych punktów widzenia ołówkiem robione były, nim doszły do stanu żądanej przez artysty doskonałości. Znał widać i sam dobrze, co o nim mawiano. Na kilka dni przed śmiercią, bo zgasł w nocy niespodziewanie, jak świeca, przebierając swoje papiery, dał mi książkę podługowatą w rodzaju sztambucha oprawną, prosząc, żebym ją przyjął od niego na pamiątkę. „Nie dla tego“, rzekł: „żebyś tu co godnego mnie znalazł, bo tu nic niema, ale dla tego, żebyś kiedyś, kiedyś ziomkom moim powiedział, że Orłowski nie był próżniakiem i że się uczył sam żmudną i nudną pracą oddawać z łatwością te rzeczy, które potem, jakby odniechcenia wychodziły z pod jego ręki“. I w rzeczy

samej w tym sztambuchu były tylko narysowane same maleńkie stare chłopskie kapelusiki, stare buty, chłopcy maleńkie w odzież rodziców swoich ubrane i w niej, jak w worach jakich, komicznie chodzące, rozmaite pozy śpiących i pijanych chłopów, barki, baciki i różne wodne statki, które przed oknami jego na Newie stawały, a w których każdą linię, każdy maszcik, każdy poprzecznik starannie pomieścił.

Orłowski, zdaniem mojem, szpecił czasem te swoje szkice, w okamgnieniu od okoliczności robione, pisaniem na nich tego, co wyobrażony człowiek myśleć mógł wtedy lub mówić. Te słowa dawał im w same usta. A że mówiąc najpiękniej każdym językiem, bez żadnej ortografii każdym językiem pisał i jeszcze do tego litery ruskiego alfabetu do europejskiego mieszał, że nadto i wielce brzydki miał charakter ręki, litery te przy rysunku cały urok szkicu zepsuły. Dziwiłem się potem w Warszawie, poznawszy młodziutkiego Roźnieckiego, syna generała, z nadzwyczajnym w takimże rodzaju talentem chłopca, który nigdy w życiu nic Orłowskiego nie widział, a mimo to jednak, robiąc także wielce zgrabne szkice, brane z przedmiotów ulicznych nieoszacowanej, pocziwej Warszawy, z własnego instynktu pisał akurat takie obok tych figur swoich rozmaite słyszane u ludu koncepty. Zdaje mi się, że Roźniecki, jeśli się nie spaczy, będzie godnym Orłowskiego następcą; i jak ten dawną szlachtę, tak nasz młodzieniec dzisiejszy średnią klasę ludu i mieszczan w rysunkach swoich późniejszym pokoleniom opowie. Dodajmy uwagę, że możeby w Orłowskim to wszystko na taki stopień nie wzrosło,

gdyby ciągle w Polsce był mieszkał i codziennie na to patrzył. Ale jak się tam znalazł, gdzie tego nigdy już zobaczyć nie mógł, obudziły się w oddaleniu silnie za młodu wyryte obrazy w jego pamięci, ozdobiła to wszystko swoją porcją żywa i bujna wyobraźnia i rzeczy wychodziły z pod jego ręki dziwnie szacowne.

Po szlachcicu polskim, którego on sam okrzyszczonym, upoetyzowanym, ueteryzowanym był typem, koń, koń czerkieski i sam Czerkies były przedmiotem największej jego miłości. Dlaczego? Łatwo się każdy sam z siebie domyśli... Orłowski miał ślicznego czerkieskiego konia i wszystkie jego żyłki po tysiąc razy na nim policzył. Rząd na konia, przez Czerkiesów już tylko używany, siedział cały w głowie artysty z najmniejszą ozdobą i sprzączką. Sam ubiór czerkieski ciągle w domu nosił i ten mu dziwnie do wysmukłej i przewięzistej talji przystawał. Miał także *ad hoc* pod halsztukiem zapuszczoną brodę którą, jadąc w tym ubiorze konno za miasto, wystawiał, tak, że go już nikt z nas wtedy poznać nie mógł. Nawet dzieci swoje po czerkiesku stroił. Miał oprócz tego mnóstwo ubiorów tak zwanych *de fantaisie* i bogatych, i skromnych, i jaskrawych, i ciemnych, ale zawsze czy na kontusz, czy na czerkieski archałuk zakrawających. Te zawsze naprzemian u siebie nosił i nigdyś go inaczej do samej śmierci w domu nie zastał. Takie malownicze ubiory bardzo i tak już z siebie pięknego i okazałego mężczyznę zdobiły. Wychodząc na miasto, kładł zawsze angielski białawawy, a raczej światło piaseczkowy surdut. Żyjąc z nim lat wiele nigdy go nie widział we



fraku. Raz dla tego, że podówczas bardzo już rzadko u kogo i to u poufałych tylko bywał, a zawsze u siebie, jak go znaleziono, to jest w fantastycznym stroju przyjmował; drugi raz może być dla tego, że mi się z nim nigdzie w takim domu spotkać nie wypadło, któryby wymagał fraka.

Orłowski, pełen konwersacyjnego dowcipu i talentu, łatwego i oryginalnego wysłowienia się w towarzystwie był wielce przyjemnym i pożądanym. Czytał dużo i to, co czytał, pamiętał. Ale z każdej książki to tylko, co było w duchu Voltaira, Volneya w siebie wsysał i wciągał, resztę, jak gruby koniec szparaga, precz odrzucając. Znał dużo ludzi, bo się do niego dla sławy jego mnóstwo cudzoziemców i krajowców cisnęło. W obejściu się dla wszystkich stanów był jeden i tenże sam. W ogólności zwa więc i popędliwy, śmiały był i zuchwały a nawet dumny w potrzebie. Z tego względu sławna była jego kiedyś w. księciu Konstantemu Pawłowiczowi dana odpowiedź. W. księżę Konstanty przy nadzwyczajnej białości cery z powodu ogromnych brwi białych nad oczyma nawisłych, bardzo małego niknącego nad ustami nosa i wielkiej z przyrodzenia popędliwości zawsze straszny i trwożący widza miał wyraz twarzy. Orłowski, faworyt W. Księcia, w ciąglem był jego towarzystwie i, jak mówiłem, mieszkał nawet w jego pałacu. Raz, nie wiem już za co — łaska pańska na pstrym koniu jeździ — rozchodził się na niego W. Księżę, po swojemu i zapomniał się do tego stopnia, że ścisnąwszy kułaki, skoczył do Orłowskiego, mówiąc: „Czy wiesz, co ja z tobą zrobię?” — Orłowski bynajmniej nie strwożony, wyprę-

żywszy się i wyrósłszy od tego jeszcze na kilka cali, z najzimniejszą krwią odrzekł: „A czy wie wasza książęca mość, co ja z nim zrobię?” Wielki Książę, który się nigdy z podobną odpowiedzią spotkać nie spodziewał, odskoczył od niego na kilka kroków. Orłowski z flegmą kończył dalej: „Ja odmaluję waszą książęcą mość takim, jak go teraz widzę!” Wielki Książę pojął natychmiast mimo całego swego zapędu, jaka by to ogromna była zemsta, rozśmiał się, przeprosił, uściskał Orłowskiego i tego momentu najlepsza znowu nastąpiła zgoda. Człowiek tak pełen rozumu, obserwacji, tak świat znający, stał się jednak w życiu swoim ofiarą, niepodobnym do wiary przykładem, krwawego i śmiertelnego szalbierstwa, któreby nazwać można było okropną zbrodnią, gdyby powody jego nie miały źródła w czystym przywiązaniu i miłości małżeńskiej.

Orłowski, pojawiwszy pierwszą żonę swoją, jakem już wspomniał, Francuzkę, wielce miłą i wielce do niego przywiązaną kobietę, był z nią szczęśliwym. Jedno go tylko trapiło, że nie miał dzieci, których namiętnie żądał i o nich tylko marzył. Żonaby duszę swoją oddała, żeby mu dogodzić. Po kilku latach bezpłodnego pożycia na ostatku zrobiła mu szczęśliwą nadzieję, że będzie matką. W rzeczy samej urodziła mu się córka. Chciało się Orłowskiemu jeszcze koniecznie syna. Bóg dał mu go także. Ojciec uszczęśliwiony nie odchodził od kolebek swoich dzieci, przywiązał się do nich całą potęgą życia. Precz ołówki i palety! Precz czlachta, Czerkiesy i konie! Dzieci tylko i żona całym światem były dla niego. Zaczęło to trochę podrastać i szczebiotać.

Orłowski widział już w nich rysy swoje i ciągle „orłętami” nazywał. Raz dawna sługa, garderobna pani Orłowskiej, coś tam zbroiła, że czy silnie zgromioną, czy nawet może i uderzoną przez swoją panią została. Przysięgła się zemścić. Orłowska wyjechała do miasta. Garderobna wezwała męża do jakiegoś ukrytego składziku i tam, pokazawszy mu zamszowe różnej wielkości bandaże, któremi pani Orłowska dwa razy udawała ciążę, oświeciła go, że żona jego, jak była, tak dotąd jest niepłodną. Że te dzieci są wzięte z domu podrzutków przy pomocy takiego i takiego lekarza i takiej a takiej akuszerki!

Niech każdy sobie wyobrazi, co się tu dzieć musiało w Orłowskim, który i żonę kochał i do tych dzieci tak się już przywiązał! Z biedną żoną, która przez zbytek przywiązania do męża zgrzeszyła, rozwiódł się natychmiast. Pomocnikowi jej zdrady, sądownie przekonanemu, oprócz kar stosownych dziatki na wychowanie i uposażenie oddano.

Prawda wymaga, żeby nakoniec to, do czego przystąpić takem się długo wzdragał i wahał, wypowiedziane także zostało. Orłowski pod względem wiary był zakamieniały ateusz!

W nieszczęściu, zgryzotach, chorobie, cierpieniach, rozpaczy aż do samej śmierci, bo ledwie że nie na mojem ręku skonał, ani mu na myśl nigdy nie przyszło, że może być Bóg na świecie! Tak się za młodu skorupa wyobrażeń XVIII wieku napiła! Jeśli bólem do żywego dojęty zawołał kiedy: „*O mon Dieu!*”, to tylko było jak frazes, jak zwykły wykrzyknik z nałogu. Żałując tak upornego zaślepienia tego dobrego i poczciwego człowieka, dodać to

przynajmniej winienem, że nie był szalbierzem, że tak w grucie duszy był przekonany i różnym od innych wiadomych mi ludzi przykładem, co drugich złośliwie gorszyli, a skrycie sami przed tym przeczonym od nich Bogiem kornie schylali kolana.

Z tego powodu, jako ludzie diametralnie przeciwnych zasad, oddając sobie wzajemną sprawiedliwość, szacując się wzajemnie, Oleszkiewicz z Orłowskim nigdy się zbliżyć prawdziwą przyjaźnią nie mogli. Ich wewnętrzne, głębokie przekonania całem się niebem od siebie różniły. Oleszkiewicz z chrześcijańskim miłosierdziem i wyrozumiałością miał Orłowskiego za bezbożnika. Orłowski Oleszkiewicza za szczerego, ale spaczzonego w rozumie bigota.

Jednakże pomimo ateizmu Orłowski był człowiekiem najzupelniejszego honoru. Był tyle uczciwym, ile tylko człowiek być nim może. To w nim wszakże było zgubne, że nie przestając na własnym błędzie, wszystko, co go otaczało w domu, takąż ateistyczną drogą starał się prowadzić i zarazę tego rodzaju w przekonaniu, że lud oświeci i dobrze czyni, ile mógł szerzył.

Bóg będzie go sądził za jego wiarę. Ale ludzie nic mu tutaj do zarzucenia nie mieli.

Zamykając już teraz te moje o nim wspomnienia, zostawuję wszelkie możliwe o Orłowskim zdanie, jako o artyście, właściwym tego przedmiotu sędziom! Tem tylko zakończę, że trudno w życiu spotkać kogo, coby był więcej od niego prawdziwym męzczyzną, i niełatwo znaleźć takiego, coby był więcej od niego zacnym człowiekiem. (A. II.)

*4-go marca 1499 r.*

*IV*  
*GASPAR ŻELWIETR*



## Prolog.

Chcieć mówić o Żelwietrze z dokładnością byłoby to przyjmować na siebie dwa obowiązki: to jest mówić o nim, jak o „plenipotencie petersburskim”, i mówić jak o człowieku. Ja chcę mówić o nim tylko, jak o człowieku. Plenipotent, o ile można, zostanie na boku. Porozumiejmyż się tylko! Położmy naprzód zasadę, a nie myślcie, że ja żartuję.

Ktoby chciał sądzić plenipotentą petersburskiego zwyczajnym społeczeństwa kodeksem, w najokropniejszym topiłby się błędzie! Kasta tych ludzi do zupełnie odrębnego należy rodzaju; coś pośredniego między rodzajem *Homo* i gatunkiem *Vespertilio spectrum, le Vampire*; przeczytajcie no o tem starego Jundziła.

Plenipotent petersburski, naprzód, może, kiedy chce, nic nie umieć i najczęściej nic nie umie i nie zna. Rzadko nawet umie po rusku. Powtóre, do praw nigdy w życiu nie zajrzał, ale bez najmniejszego wyrzutu sumienia żyje, używa, gra w karty, przegrywa, wygrywa, zbytkuje, swawoli albo zbiera w kapitale majątek kosztem i na koszt procederujących kommetentów swoich litewskich, wołyńskich, ukraińskich, podolskich. I pamiętaj to sobie, że w tem najszczerzej najmniejszego nie widzi grzechu! *C'est*

*l'ordre du jour*. Nigdy zaś nic nie pocznie za własne pieniądze. Raz dla tego, że swoich nigdy nie miał i nie ma, bo taka już od stworzenia Petersburga i powrócenia do Rosji zachodnich gubernij jego natura. Drugi raz, że tych asygnat, depozytek, klin-kerów i peców, które na bok od wydatku dla usta-lenia przyszłego losu swojego odkłada i które on za swój pocziwie, cnotliwie zapracowany grosz uwa-ża, jeśliby je i naruszył z przypadku w momencie ja-kiejs niezwykłej hojności, jakiegoś zapomnienia się w szulerce, to znowu my, prowincjonalna hałastra, my, wiejskie bałwany, my biedne i godne politowa-nia dudki, my — albinosy, my — kakarlaki, my, nie pojmując tego rodzaju subtelných dystynkcyj, my, powiadam, szlachтуры, nigdy tego grosza za jego prawdziwą własność uważać nie będziemy mogli. Bo formuła matematyczna w tej rzeczy taka: a) na in-teres, który w czystym rezultacie wart rb. 500, klient przysłać musi rubli srebrnych 1000;

b) na interes, który w czystym rezultacie wart rubli 1000, klient przysłać musi rubli srebrnych 5000;

c) z tego co w 1-ym przypadku na promocję inte-resu idzie rubli 5; w 2-im przypadku na promocję interesu idzie rubli 50;

d) reszta dla plenipotentą.

Ale to nic nie znaczy! Sumienie plenipotentą petersburskiego w tym względzie, serjo, szczerze, dobrodusznie, najzupełniej milczy, jakem to już wy-żej parę razy dla jasności trudnego psychologicznego zadania powiedział. Tę zatem ogólną wszystkich stołecznych plenipotentów obejmującą cechę, to zna-mię rodowe w każdym sądzie o nich w ogólności,



czy też w sądzie o każdym z nich w szczególności w ich duchu przyjąć, a wszelkie sprzeczne z nią rezonowania na stronę uchylić i usunąć trzeba. Należy to uważać za fakt dokonany i milczeć o tem. Po usunięciu bowiem tej jedynej różnicy wracają oni w zupełności do rodzaju Blumenbacha *Homo*. I dopiero zapominając o wyżej wspomianej a im służącej normie, sądzić już można o każdym z nich z reszty działań jego na świecie, jak o człowieku w społeczeństwie ludzkim żyjącym, a nieraz wielce potrzebne zajmującym miejsce.

Odrzucając tedy w tem podwójnem życiu plenipotentą petersburskiego to życiu kleszcza, częściej wprawdzie na psiem, ale często także i na ludzkim wpijającego się uchu i z niego całą siłę i żywność potem biorącego, odrzucając raz na zawsze tę pasorzytną egzystencję jemioły, która najczęściej, rozrosłszy się bujnie, kończy na odebraniu samemu dębowi ostatnich soków jego żywotnych, każdy plenipotent petersburski zresztą jest i może być we wszystkim innem człowiekiem bardzo dobrym, bardzo uczciwym, bardzo uczynnym, bardzo dobroczynnym. A może być także bardzo złym, bardzo nieuczciwym, bardzo nieuczynnym i nikogo biednego ani groszem jednym nie wesprzeć. Słowem może on być zresztą, jak każde inne stworzenie, na obraz i podobieństwo Boskie ulepione z gliny. Dla lepszej zrozumiałości położmy tutaj tabelę ze spisem niektórych znakomitych plenipotentów i cyfrą fortuny, jaką sobie w przeciągu danych lat zrobili.

Tabela ta wykazuje liczbę plenipotentów petersburskich mnie osobiście znajomych, oprócz

jednego ober - infamisa Kotwicza, znajomego tylko z widzenia, których liczba nie stanowi piętnastnej części ogólnej masy plenipotentów stołecznych, i z załączeniem cyfr zrobionego przez każdego z nich funduszu, ułożona z danych rozmaitych na miejscu.

Adnotacja	Liczy się wedle dawnego kursu, jak było za mojego czasu, po dwa złote za ruble asygnacyjne	Przez wiele lat plenipotentował w Petersburgu	Fundusz na złote polskie wyliczony
Najmniej każdy z nich zjadł drugie tyle albo i dwa razy tyle na życie, karty, kobiety i zbytki.	Ksawery Kotwicz ober i oberplenipotent . . . . .	3	600 000
	Kozuchowski z darów Radziwiłłów i Wittgensteina . . . . .	5	6 000 000
	Kamiński ze zmian asygnat i pożyczek w banku . . . . .	6	540 000
	Popowski . . . . .	6	600 000
	Rupejko . . . . .	7	800 000
	Piotr Orda . . . . .	7	800 000
	Jan Pawliczyński . . . . .	8	900 000
	Bobiński, najskrupulatniejszy . . . . .	12	186 000
	Marjan Piasecki z interesów więźniów politycznych . . . . .	13	960 000
	Rybczyński . . . . .	14	1 000 000
	Baron Weidlich . . . . .	14	400 000
	Mazurkiewicz, zrazu skrybent Żelwietra	18	500 000
	Piotrowicz, z początku chłopiec u Żelwietra . . . . .	19	400 000
	Dubiecki z powodu strat doświadczonych tylko . . . . .	20	700 000
	Żelwietr całą nieskończoność pieniędzy, infinitum . . . . .	45	—
			<hr/> 14426 000.

P. S. Można jednak mniej więcej śmiało powiedzieć, Żelwietr przez ten czas miał przynajmniej

6 000 000 zł. polskich dochodu ale wszystko zjadł, strwonił, zmarnował i roztraktował po większej części na przyjęcia i ugoszczenia rodaków. Dobrze, że choć to przeszło przez polskie kiszki! Dodawszy to, co inni z wymienionych na tabeli przepili i przejedli, i dodawszy resztę plenipotentów, o których się nie wspomina, ręczę, że w ciągu lat pięćdziesięciu 100 000 000 zł. polskich poszło prosto na nich z Wołynia, Podola, Ukrainy i Litwy.

Widzisz tedy sam, że jak tylko tej mojej zasady nie przyjmiesz, jak tylko na zwykłą skalę mierzyć ich zechcesz, wpadniesz albo w aberację umysłową, albo w logicznym rzeczy porządku stać się musisz kryminalnym ich sędzią, musisz w myśli kazać postawić długą, długą szubienicę i każdego z nich, co do nogi, na tęgich postronkach powiesić. A i tak wielu się zerwać może i znowu, jak wilk, dusić owczarnię. Gdyby kto chciał pilnie dośledzać i dobrze podkopać się do gruntu, bodaj czyby na to nie wyszło, że pierwsze zarodki komunizmu XIX-go wieku w Europie wzięły początek od naszych plenipotentów w stolicy Rosji.

Oni zdaje się pierwsi wyrzekli i czynem dowiedli, że własność Litwinów, Wołyniaków, Ukraińców, Podolaków to kradzież, to istna kradzież. A my się dla tego prawujem a prawujem!!!

Jakby to oni mnie kochali, jakby wdzięczni byli, czego to by na mnie nie wymyślili, żeby mnie obsłużyć, gdyby wiedzieli o tych kilku wierszach, które ku czci ich poświęcam! Wielebym to spraw miał na karku i z kretesem przegrał! Ale co robić. *Pereat mundus, fiat justitia!* Na cóż mówić fałsze?

Tysiąc osób na to, co mówię, przysięgnie, ale nie każdy otwarcie o tem tak, jak ja, mówić się odważy. Nie może być jednak, żeby ktoś kiedyś nie opisał we wszystkich szczegółach tej drapieżnej, morderczej żelaznej ręki, jaka przez tyle lat dobrowolnie i za naszą zgodą nad głowami i kieszeniami naszemi ciążyła! Teraz już rozumiemy się, mój przyjacielu? Zaczniemyż znowu od tytułu.

### *Gaspar Żelwietr.*

1. W 1800 roku za kieliszkiem starego węgryna siedziało dwóch starych także i doświadczonych przyjaciół. Tadeusz Wysogierd, wojski wileński, jeden z najlepszych i najświętszych ludzi, i Apolinary Morawski, szambelan króla Stanisława Augusta. Jakkolwiek węgryzn rozweselał myśli, pocziwy Wysogierd, biorąc cudze rzeczy więcej niż swoje do serca, z kwaśną miną, ale dobitnymi słowy malował przyjacielowi swoje kłopoty. Przyjął on był na czas jakiś, obowiązkiem przyjaźni zagniony, interesy pierwszego w Litwie po Radziwiłłach magnata, Pocięja, dobrego, pocziwego, najzacniejszego, ale rozrzutnego, wielce ograniczonego i tyleż upartego człowieka. Ogromne te interesy niedawno jeszcze z więzień rosyjskich uwolnionego Pocięla tlały po całym zabranym kraju i w Petersburgu; trzeba było albo ogień ugasić, albo go już tak rozniecić, żeby wszystko spłonęło na popiół. Trzeba było wysłać kogo i do Petersburga. A tu ochotnika nie było! Petersburg był dla nas podówczas gorzej jak za morzem, każdy go się tutaj lękał. Wszedł właśnie wtedy młody dwudziestoletni aplikant czy skrybent

Wysogierda, człowiek przyjemnej postaci, układny, pokorny, — przyniósł do podpisania papiery. Wysogierd podpisał; skrybent wyszedł.

„A czemużbyś tego chłopca do Petersburga nie posłał? Młody, jak uważam, pilny, staranny, stateczny, zawsze go tu u ciebie za robotą widzę. I sobiebyś ulżył i jemubys może los zrobił“.

„Jużciż chłopiec dobry, ale zanadto młody“.

„Mospanie, młody zawsze prawie lepiej robi jak stary“.

„Ha! Dobrze Waszmość mówisz! A i doprawdy, może sam Pan Bóg tę myśl podaje? Zapytam go i spróbuję.“

W kilka dni potem leciał już do Petersburga na głowę Gaspar Żelwietr, szlachcic oszmiański, skrybent Wysogierda, opatrzony w plenipotencję na wszystkie stołeczne interesy Pocieja. A dotąd nie wie, kto dał myśl pierwszą, która mu los zrobiła. Ani się domyślał nigdy, że to mój ojciec!

Co mogło być wówczas w głowie, w myślach tego młodego człowieka? Jak każdy, co nic nie miał i nie ma, co jest pod ferułą pryncypała swojego. marzył napewno o wolności ptaków powietrznych, o dostatkach, o wielkości, o tem wielkiem ludzkim szczęściu — mieć dużo pieniędzy. I teraz, jak gaz, w szklanym balonie długo ściśnięty, dążył by rozsadzić ten balon i użyć.

I wpadł do wielkiego miasta, do morza wielkości i zbytków. I zachciało mu się w tem morzu wykąpać. I kąpał się w niem, jak i wiele sam chciał! Bo i jeden tylko, czy dwóch było tam Polaków, co przed nim poszli tą drogą, i nikt takich,

jak plenipotent Pocieja, pleców nie miał; i mnóstwo mniejszych zewsząd obywateli, co tam mieli interesa, za łaskę, za dobrodziejstwo prawdziwe przyjęli, że przy tym wielkim Pocieja ogniu i swoją lichszą upieką pieczeń, kiedy Żelwietr rożem obracać zechce. Lało się złoto od czterech wiatrów! Kijów, Żytomierz, Kamieniec, Wilno, Grodno, Białystok, Widze, Wilejka, Mińsk, a nawet Połock i Witebsk, pławiąc je potokiem, aż rwały ziemię.

W najparadniejszym, najmodniejszym i najdroższym mieszkaniu, zajmując całe piętro ogromnego Czaplica domu, siedział Żelwietr w Petersburgu, jak udzielny książę. Kareta czterokonna, kocz także, faeton w parę zaprzężony koni, drążki pojedyncze i koń angielski wierzchowy codzień i ciągle gotowe stały, czekając na rozkaz i kaprys satrapy. Przyznać jednak należy, że w nim była prawdziwa krew szlachecka, która i na ogrodzie z wojewodą się równa! Miał w sobie pańską naturę. Patrząc na cudze zbytki, żeby głowy nie zniżyć, i sam zbytkował; to prawda. Mieć chciał, ale użyciem zbytku pogardzał i, mając tyle, co szach perski, powozów, sam zawsze chodził piechotą. Żywili się tylko i korzystali ze szczodrobliwości jego znajomi mu panowie, Polacy. Ci wszyscy, co darmo całe mieszkania jego zajmowali piętro, bo on dla siebie samego na jednym pokoju przestawał, ci, co darmo jedli u niego i darmo jego karetami jeździli i co potem, wróciwszy do siebie, zamiast wdzięczności za doznane łaski robili z niego Heliogabala, prawili o nim smalone duby i głośno imię jego po wszystkich końcach zabranego kraju ze szkodą jego roznieśli. Po-

ciej tymczasem nie tyle przez Żelwietra, co przez siebie samego upadł. Zbytki zaś Żelwietra, już wtedy tysiąca innych ludzi plenipotentą, stały się wieczną bajką kilku pokoleń. Ale ten rozgłos, ta sława sprawiła, że rzucono się ze wszech stron do tej nowej kopalni diamentów i złota, do tej nowej dzisiejszej Kalifornji, do Petersburga. Każdy sobie mówił: „Czem ja gorszy od niego? czemużbym i ja tego samego nie mógł dokazać, co Żelwietr?“ Sam z siebie zatem wyniknął i podział tej plenipotentckiej pracy i podział wynagrodzenia za nią, które dotąd na dwóch, a najwięcej na trzech tylko ludzi w Petersburgu spływało. Bo tam teraz znalazło się ich ze dwóchset. Ciśniej tedy być zaczęło i od roku do roku ciśniej. A przyzwyczajenie i nałóg ścisnąć się już nie chciały, nie mogły.

Tymczasem czysty rozsądek i zdrowa przyrodzona logika stanęły Żelwietrowi za pierwiastkowe wychowanie i polor. Jednego nabrał w obejściu się i obcowaniu z najrozmaitszego stanu osobami, będąc amfitrjonem całego świata, drugi, bystrem okiem przyswojony, posłużył mu do nabycia tego gustu w ocenianiu materialnych rzeczy, jaki tylko ludziom, w zupełnie innych okolicznościach urodzonym, nauka i szkiełko nauczycielskie dać mogą. Można było pójść o zakład, jak dwa i dwa są cztery, że w Petersburgu, co było najpiękniejszego, z największym gustem dokonanego, że wszelkie wyroby zagraniczne, trwałość i delikatność roboty w sobie łączące, znajdują się w salonach i składach Żelwietra. Że kupcy sami ochotnie je tam zanoszą. Złoto, srebro, klejnoty, kobierce,

najdroższe porcelany, kryształy, fajanse, owo zgoła, o czemś tylko pomyślał, wszystko tam było i wszystko pierwszego doskonałości stopnia. Żelwietr był całą gębą panem! Niczego sobie odmówić nie umiał. Na wszystko mu stawało. Lada czem nie kontentował się. Świat przywykł szanować w nim i wierzyć w tę szczęśliwą gwiazdę. Trud plenipotentą w Petersburgu leżał i leży w tem tylko: pójść do urzędnika, powiedzieć mu: „Zanotuj wp. sobie, że taka i taka sprawa pod moją jest opieką. Że trzeba, żeby mój klient wygrał koniecznie. Róbże, szanowny panie, jak umiesz, bo ja sam nie umiem. Byleby dobrze rzecz się skończyła, zaręczam w pana, że tyle a tyle mieć będziesz”.

A wiele się obieca, tyle uczciwy plenipotent do-  
trzymać i oddać powinien. Nieuczciwi jeszcze i tu kręca.

Jeśliby czego trzeba było specjalnie, tego sama strona zawsze nauczy albo w liście, albo w prośbie swojej. Zdaje się łatwo!? Nie złamiesz głowy! Ale z latami życia Żelwietrowi, który w żadnej publicznej służbie nie miał nigdy udziału, nowa jeszcze przybyła potęga. Ci, co służyć zaledwie zaczęli przy jego zjawieniu się w stolicy, czy zasługą, czy zdolnością, czy pracą, czy biegiem samego czasu na wyższe coraz wstępując stopnie, stali się ludźmi możnymi, ludźmi potężnymi, ludźmi trzęsącymi departamentem, gdzie pierwiej byli małymi ludźmi. A wpływy Żelwietra, od lat wielu krążącego ciągle około ich życia, były na tych panów, na tych starych przyjaciół i przeważne i zawsze te same. Tym sposobem on jeden samą już przestrzenią czasu, jaką



w stolicy ogarnął, sto razy silniejszym był w związkach swoich od nowych plenipotentów, przybyszów, co się dopiero tym wysokim urzędnikom uczyć kłaniać musieli i radzi bardzo byli, kiedy godzinę tylko trzymeni byli u nich za drzwiami.

Dlatego też, jakkolwiek przez klientów swoich okrzyczany różnostronnie, Żelwietr miał tę pewność i tę pociechę, że w ważniejszych sprawach uciekano się jeszcze zawsze tylko do niego jednego, bo znano jego stosunki. Był on wiecznie przez wszystkich uważany za głowę i za dziekana wszystkich plenipotentów w stolicy. W ciągu pierwszych dwunastu lat swoich petersburskich zatrudnień, zjechawszy do Litwy, poznał się i ożenił z panną Czapską, córką walecznego, poczciwego, ale biednego pułkownika dawnych wojsk polskich. Spłodził z nią dwóch synów i tyleż córek. A wszystko się to poczęło w macierzyńskim żywocie w tak złym, jak widać, momencie, pod taką konstelacją, że i wspominać o tem nie warto. Najlepiej uważać go za bezdziejnego człowieka. Tak ja przynajmniej ciągle w stosunkach z nim moich czyniłem. Cóż tedy pisać o nim w tych wspomnieniach? zapytasz. Dotąd to człowiek taki, jak i każdy petersburski plenipotent. Dotąd prawie tylko cyfry dochodów różnią go od innych jego kolegów. Powoli! Poczekajcie chwilkę! Ja mówię, że to niepospolity człowiek. Pospolityż to człowiek, kiedy jakieś tylko o Petersburgu napomknął, cała Litwa zaraz wołała: Żelwietr, Żelwietr, Żelwietr! Pospolityż to człowiek, kiedy w Litwie przynajmniej nie było takiego zaścianka, takiej okolicy szlacheckiej, gdzieby

nie wiadano, że jest Żelwietr na świecie. At, gadajcie!

Jakem jechał do Petersburga, dano mi do niego z piętnaście listów przynajmniej, a każdy mi mówił: „Poznaj się z nim, poznaj!” Ja i sam rad byłem poznać i zobaczyć tak interesującego wszystkich człowieka.

Na nieszczęście nie znalazłem go w stolicy. Wyjechał był na plenipotencką rozdobędę i ledwie aż w maju powrócił.

Rozdobębą zaś nazywano w taktyce plenipotentów petersburskich przyjęty powszechnie manewr wojażu po kraju, kiedy interesów i pieniędzy brakować zaczyna, kiedy już węch ostrzega, że „pizus” w kieszeni grozi swoim nieubłaganym batogiem. W takim razie dwa, trzy projekty, niby z ogólnem kraju dobrem złączone, dwie, trzy wielkie pożyczki w banku, z łatwością dokonać się mogące, są dla petersburskich znajomych dostatecznym do wyjazdu pretekstem. Dla prowincji zaś plenipotent jedzie niby dla poratowania zdrowia. Jedzie do błot Krymskich, do piasków Czarnego morza, do Baldony, Smerdony, Malun, Poswola; do Lipawy, do Połągi; jedzie czasami prosto do Niemna, do Wilji, do Trockiego jeziora, do konfitur kijowskich w Kijowie. A tymczasem po drodze szlachta czepia się, a czepia na wędę. A tymczasem szlachta zewsząd z interesami i pieniędzmi ciśnie się do Dobrodzieja, do Opiekuna! A tymczasem szlachta błaga Opiekuna, żeby interes i pieniądze jej przyjął, w Senacie sprawy jej wygrał, żeby jej skórę dobrze obłupił, żeby nie odmówił czasem, broń Boże! Bo czasem

się i drożyć plenipotentowi przychodzi dla lepszego efektu.

Wlazłszy między wrony, trzeba krakać jak i one!

Żelwietr także pojechał.

Jużem się był dobrze Petersburgiem nacieszył. Pewnego ranka w maju siedziałem sobie pod oknem w szlafroku, patrząc na bardzo ładną Żydóweczkę, córkę liweranta, niejaką panną A... mieszkającą okno w okno po drugiej stronie ulicy. Panna nie wiedziała nic o zdradliwym świadku i całą toaletę niewinności najbezpieczniej odbywała przede mną w swoim pokoju. Wtem oddano mi ogromny pak listów i całą obserwację astronomiczną przerwano. „Wszelki duch Pana Boga chwali! Skądże to tyle listów?” Długa i włos na wszystkie strony głowy najeżony mająca figura kozim głosem odpowiada: „Z Wilna”. — „Któż to przyniósł?” — „Pan Żelitr. Dziś w nocy przyjechał. To jest widzi pan, nie to żeby powiedzieć, że zupełnie w nocy, ale tylko już dobrze na brzask się zabrało. Strasznie drogą zmęczony! O niema co mówić, strasznie zmęczony; kazał mi powiedzieć, że przeprasza, że sam teraz u pana być nie może, bo śpi.”

„A przedziwny człowiecze! Bardzo dziękuję, kłaniaj się swemu panu, tylko jak się obudzi! Proszę wpana na piwo. A jakże się nazywasz?” — „Samiel, wielmożny panie!” — „Samiel? To z Freyszyca?” — „Nie, wielmożny panie, mieszkaliśmy obok Schytza, w Klota domu”. Adnotuję ten moment, jako dla mnie wielce pamiętny, żem poznał wówczas

najgłupszego, jakiegom tylko kiedy w życiu widział, lokaja; był nim pan Samuel.

Oto, naprzykład, jedna z najtrafniejszych i najszczęśliwszych odpowiedzi jego, której świadkiem byłem sam, w kilka potem tygodni. Samuel, niosąc przez salę dwa tuziny bardzo kosztownych japońskich talerzy, swoim zwyczajem wypuścił je z rąk na parkiet i strzaskał wszystko na kawałki.

Żelwietr zrywa się. „Ośle przekłety! mazgaju! a kiedyż to temu koniec będzie?! Tłuczysz mi wszystko a tłuczysz! Powiedz mi choć raz, dla czego jesteś takim już durniem?!“

— „Kiedy ja, panie, mam hemoroidy!“... odpowiada Samuel z największą flegmą.

Przyczyna wyborna z siebie; a tem więcej jeszcze pocieszna, że sam Żelwietr ciągle się na to uskarżał i ciągle od tego leczył.

2. Zobaczycie teraz, jak sam odtąd najzupełniej zapomnę i mojego prologu i wszystkiego, com dotąd w tych bredniach powiedział. I wy tak uczynicie!

Poznałem go nakoniec. Uprzejmy, pełen naturalnej, a wysokiej prostoty w obejściu się z ludźmi, pełen tej staropolskiej szczeroty, której już oddawna w tych, co chodzą we frakach, nie widać, Żelwietr łączył w sobie ton dzisiejszego świata, praktycznie nabyty, z dawną pokorną i uniżoną na oko, ale pełną znaną się na sobie, na swojej godności manierą kontuszowego szlachcica. Była to tranzycja od żupana do tużurka. A na tej linii przechodniej stał bezwątpienia Żelwietr.

Żelwietr — z siebie przystojny i okazały mężczyzna. Wzrost więcej niż średni i męski. Twarz

pełna wyrazu dobroci, dobroduszości, energii, życzliwości dla bliźnich, ale niepiękna. Włosy czarne, kręjące się w lśniące długie kędziory, zbierające się masami i wijące się dobrowolnie po wszystkich stronach ogromnej głowy. Czoło wysokie, oczy naukos nieco osadzone, ale wyraziste, końce brwi w górę zadarte. Twarz duża, tu i owdzie ospą pokryta. Budowa ciała atletyczna, herkulesowa! Ręka jego, jak trzy moje ręce. Ścisnął cię jak zwykle przy powitaniu za twoją, winszując, kiedyś nie wrzasnął z bólu. Wzięłeś go sam znowu za ramię, to wzięłeś za kawał żelaza. To był metal, a nie ciało! I tak wszystko z porządku jedno po drugim. Wszystkie rysy, pojedynczo wzięte, wzięte artystycznie pod kontur malarza, nieregularne i poszczególnie mało czego warte. Ogół tylko znaczący, ale wart pierwszorzędnego pędzla.

Żelwietr tak, jak i wielu poetów nazewnątrz, nie mógł się nigdy w życiu przekonać, że są ludzie źli z gruntu na świecie. Wolał wierzyć dobru. Opinie i zdania ludzi o tych osobach, co go otaczały, wielce zatem na niego wpływały. Sam w ocenianiu ich mało sobie ufny szedł za cudzym wyrokiem i dlatego tym, o których wiele dobrego słyszał, zgóry ufność i życzliwość swoją oddawał. I najczęściej tą ufnością błądził. Prawdomówny i szczery, nieraz to, co myślał, wprost w oczy wypowiedział i nieraz może tą swoją pocziwą otwartością niejednego młodego na lepszą naprowadził drogę. Żelwietr zawieść, zdradzić w jakimkolwiek względzie przyjaciela, zdradzić nawet obojętnego człowieka nie był sposobnym. Kogo nie lubił, pilnie od tego

się stronił. Nieraz jednak z musu, jak człowiek żyjący między taką masą ludzi, tych u siebie widział i słodkie robił oczy, dla których nietylko nie miał szacunku, ale miał szczerą pogardę. Kto go jednak znał dobrze, zaraz to postrzegł, że się frasował, że czmychał, że wychodził ze swojej przyrodzonej prostoty, że gwałt sobie robił. Kogo kochał do prawdy — kochał całą duszą. Powiedz mu co tkliwego, choćbyś to mówił z historii greckiej czy rzymskiej, a niech on słucha, albo daj mu samemu coś takiego powiedzieć, lica jego mimowolnie zaleją się łzami. To, co czuł, czuł mocno. Nędza, czy nieszczęście rodaka, czy cudzoziemca jak tylko do niego doszły, już pewnie bez przypomnienia wsparcie znalazły. Mało ludzi tak dobroczynnych naliczyć! A dobrodziejstwo, a wsparcie tak będzie zrobione, podane, jakby to było rzeczą najprostszą na świecie, bez żadnej przesady, bez żadnej stąd chluby, bez pretensji do jakiegokolwiek wdzięczności. Odważny, a może nawet zuchwały w rzeczach, które prawdziwie tego od mężczyzny wymagać mogły, trwożliwy był, jak każdy prawie uczciwy człowiek, na te pokątne knowania, na te nieszczęsne delacje, które cię chwytają wówczas, kiedy się tego najmniej spodziewasz, których złość i fałsze okazują tylko ostateczny stopień spodlenia, do jakiego rodzaj nasz dojść może w pewnych okresach czasu.

Żelwietr i własnym wpływem i ciągle pełnym domem przychodniów rozmaitego stanu, wpływu, wykształcenia i nakoniec stołem, dla każdego rodaka otwartym, był w Petersburgu przez całe półwieku, sam o tem nie zawsze wiedząc, opiekunem, do-

broczyńcą, karmicielem, dawcą przytułku mnóstwu Polaków. Dla wielu uczonych, dla wielu zdolnych, a bez sposobu do życia młodzieńców, dla wielu poczciwych, a przez los niefortunny prześladowanych ludzi był prawdziwą Opatrznością! Wszystko to zerowało u niego. Zajrzyjcie w moją tabelę: jego lokaje, jego skrybenci, których sam bez butów widziałem, zostali potem przy jego pomocy panami. A i ten, co materjalnie nic nie potrzebował od niego, trąc się o znakomitych ludzi, co tam bywali, sam się przecierał, sam tracił skórę niedźwiadka, sam liniał.

Zwyczajem to już było i, choć na oko trywjalnym, w grucie jednak wielkiego znaczenia i sensu przyjęte do niego wielu osób wyrażenie. Ilem sły-  
szał, największa część Polaków w poufnej z nim gawędzie mówiła do niego: „Ojcze”. O tak! on był najczęściej ojcem tych biednych ludzi, szkoda tylko, że prawie wszyscy ze zmianą losu o tem zapomnieli!

Ścisnąwszy wogóle wszystko, Żelwietr był dobry, jak dusza; leniwy, jak Bradypus; obżartuch, jak wileński Dołgoruki; sybaryta, jak Vitellius; dobroczynny, jak św. Urszula, jak św. Franciszek z Asyżu. Dziwactwa miał za czterech najlepszych na wybór dziwaków; zdrowego rozsądku i czystej praktycznej logiki za dwunastu rozsądnych ludzi; nauki za pół studenta, co wyszedł z trzeciej klasy.

Ależ zato bez nauki, bodaj właśnie dlatego, że jej nie znał, Żelwietr miał dar szczególny, osobliwszy upoetyzowania, sam o tem nie wiedząc, po roku, po dwóch leciach każdego, by najlichszego w potocznem

życiu wypadku tak, że i całą prawdę i prostotę w jego opowiadaniu znalazłeś i rzecz w dziwnie miłych i interesujących przedstawiała się kolorach. Ale nadto Żelwietr miał dar szczególny uchwycenia w osobach, sobie znajomych, właśnie samych najwybitniejszych, a mało w życiu codziennem od kogo dojrzanych rysów tak, że skoro ta osoba ruchem okoliczności z widowni otaczających ją dotąd ludzi zniknęła, już u niego w karykaturze czy w poważnym rodzaju upoetyzowanych nabierała poz i konturów. Cały ten skarb leżał tylko w ustach Żelwietra, w darze opowiadania. Bo Żelwietr z trudnością mógł list napisać, tak był leniwy i tak do tego najmniejszej nigdy nie czuł ochoty. To też w jego języku, jak w pławie wieloryba, cała mieszkała po tęgą.

Żelwietr, z tego względu w początku drugiej ćwierci XIX-go wieku od Mickiewicza, Malewskiego, Chodźki, Juljana Korsaka, Przecławskiego, mnie i kilku jeszcze osób za oczy chwalony, dowiedział się o tem i wielce rad był, że taki skarb posiada, którego się sam ani domyślał. Ale odtąd już połowa uroku zginęła. Żelwietr, dotychczas prawdziwy poeta, rapsod w prostych, a pełnych życia i kolorytu opowiadaniach, nabrał zaraz pewnego rodzaju pretensji i sadzić się zaczął! Wyszło tedy na to, com ganił w malarzu Orłowskim. Żelwietr, chcący się popisać anegdotą, wykończyć ją i ozdobić, był ciężkim i nudnym, wszystko było *fiasco!* A że się już często na to wysadzał, trzeba było odtąd chwycić takie tylko u niego momenty, kiedy przyrodzony talent jego pomimo wiedzy i chęci gwałtem się na świat wybijał.



Wprowadzić go na ten piedestał było nietrudno i wtedy samemu sobie zostawiony przedziwnym był Wajdelotą. Gdyby nie Żelwietr, prawie pewny jestem, że Książę „Panie Kochanku“ dotądby jeszcze twardym letargiem spoczywał. A niktby o nim ani pomyślał. Żelwietr te anegdoty po swojemu rozpowiadał, a Mickiewicz, słuchając go, na świat je wyprowadzać i budzić ze snu starego Księcia-konfederatę zaczął. Żelwietr był i jest jeszcze tą struchlałą hiszpańską książką, w której, jak mówią, Cerwantesy, Calderony, Lopezy de Vega chwyтали pierwszą myśl, pierwszy wątek swoich arcydzieł. On w tym wielkim rysunkowym poemacie Orłowskiego, o którym wyżej mówiłem, powinienby dopowiadać czy dopisywać słowa i teksty. To też z sobą w wielkiej, mówiąc nawiasem, żyli przyjaźni. I jeden był tylko Żelwietr, któremu Orłowski dał przywilej umyślną sporządzić księgę, żeby mu w niej przy zdarzonych okazjach rysował.

Nikt inny tego przywileju nie miał. Bo jakem już o nim powiedział, szkice Orłowskiego tylko przypadkiem i niewinnem podejściem można było otrzymać.

Zwróćmy się teraz do potocznego i materialnego życia Żelwietra. Żelwietr pomimo całej logiki swojej nigdy nie pomyślał, że jest jakie „Jutro“ na świecie. „Dzisiaj“ było zawsze najzupełniejszym panem jego kieszeni.

Jeżeli przy ogromnych, kolosalnych jego dochodach udało mu się teraz już na końcu jakąś drobną cząstkę dla zabezpieczenia wygod starości ochronić, to nie z przewidzenia, to nie z rachunku, to tylko

stało się dlatego, że ta suma dzisiaj przyszła i dzisiaj na to ubezpieczenie obróconą została. Jutro jużby jej najpewniej nie było. Bo dla niego, jak mówię, „Jutra” nie było nigdy. Niech mu dziś przyszlą ty-siące, jutro wylecą one na wszystkie cztery wiatry! Parmenazy, stiltony, chestery, kapłony, sterlety, dropie, sarny, jarząbki, królewskie śledzie będą na-tychmiast figurować na jego obiedzie. To prawda! Ale także niech ma tylko czy sto rubli, czy trzy gro-sze całego majątku, a przyjdzie do niego biedny, już ani tych stu rubli, ani tych trzech groszy w jego kie-szeni nie znajdziesz! Idź po nie do kieszeni tego bie-daka.

Po tych sławnych rzymskich obzartuchach mo-że nie było większego za stołem jak Żelwietr. Jadł prawdziwie *con amore*. Ćpał i cmokał ustami, że mu aż w szczękach łupało, a ślinkę z uniesieniem po-łykał, jak przyszło zmiatać talerze. Gdybyś umarł-szy otworzył oko z przypadku i popatrzył wtedy na niego, jużby się tobie pewno jeść zachciało! Jadł on prawdzie tylko raz na dzień, do samej trzeciej po południu oprócz czystej herbaty nie brał nic w usta, ależ zato ten raz jeden jadł uczciwie. Jak się już najadł porządnie, po obiedzie chwytane widać razem ze smaczными kęskami powietrze wydoby-wało się w górę z jego żołądka. Nie w sposobie od-rażliwych dla świadka odbijań się, ale z jakimś oso-bliwszym i *sui generis*, jak spalił z panewki, szele-stem. A szelestem istotnie gastronomicznym, który on czasem raptownem ust przymknięciem na dwa tempa rozdzielał, a który bynajmniej wstrętu nie ro-bił otaczającym, owszem rozkosznie dowodził, że



A. ORŁOWSKI

WIDOK TEATRU  
PETERSBURSKIEGO



A. ORŁOWSKI

DOROŻKA PETERSBURSKA



szanowny Żelwietr już dobrze podjadł, że brzusek ma pełny. Fenomen ten nawet dla spółlakotnisiów był znakiem najlepszej wróżby; było to prawdziwe objawienie się, jakieś konwulsyjne i poniewolne wyrwanie się nazewnątrz i żołądkowego zadowolenia i szczęścia. Nic przedziwniejszego, nic w duchu komiczniejszego nie było nad jego dietę, kiedy się nie czuł dobrze, albo nawet kiedy na tę biedę zmuszony był wezwać rady lekarza. Żeby się czasem pokusie uwieść nie dał, stawiano mu wtedy na boku oddzielny stolik. Wychodził do obiadu ze zbiedzoną miną: „Darujcie mnie, przyjaciele moi, że z wami dzisiaj razem jeść i z wami użyć wszystkiego nie mogę; chory jestem, nie mam chęci do jadła, a i osadzono mnie jeszcze na diecie! będę jadł tu sobie na stronie, żeby mnie czasem djabeł nie kusił!” — I zmiótł na tej diecie wagę zupy ze sterleta, bifsztuku z funt jaki, ze cztery bite kotlety, całego pieczonego kapłona, albo pulardę. A zapił to dla strawności: wołu — butelką koszowego angielskiego porteru, kapłona — butelką wybornego reńskiego meternichowskiego wina. Taka była jego dieta; taki post nieboraka! I sam szczerze, nie żartem w to wierzył, że ledwie co na ząb położył. Patrzyłby ci w oczy i miał za warjanta, gdybyś odważył się powiedzieć, że taka dieta, taka prywacja akurat sytym byłaby obiadem dla trzech żołnierzy i drabów, którzyby trzy razy przez ten jeden dzień na szturm baterji chodzili.

Stół Żelwietra, lubo on miał zawsze wyśmieni-tych i do wszystkiego ułożonych kucharczów i lubo sam się znał na tem wybornie, był zawsze czysto litewsko-polski; tylko ucywilizowany, ugrzecznony.

wymuskany i w kształtach i przyprawach swoich. Nie znalazłeś tam nigdy tych wybrednych potraw, na które się zwykle sadzą i amfitrjoni i kucharze, małpując Vatelów, Verych, Karemów, po których nosim zawsze na języku przez dni kilka warstwę jełkiej słoniny. Nie, jego stół był prosty, naturalny, ale to, co było, było świeże, w najlepszym gatunku, pachnące zdrowiem, łechcące oko, proszące się, wążące samo do gęby. Szczupak sążnisty, że aż strach było na tę głowę spojrzeć; karp na centnara, co się urodził za bitwy pod Narwą; polędwica z chołmogorskiego wołu; kapłon jak bomba okrągły, cały tłuszczem obłany; barszcz zawieszisty z pływajacem w niem mnóstwem różnych hordewrów; duszona kapusta z kiełbasą; kołduny litewskie; jusznik jak limonada; chłodnik smaczniejszy od mrożonego ponczu z pstrągiem i rakami; pieczeń cielęca od funtów dwudziestu pięciu cała przerastała, sarna, łoś, pardwa, bekas, kuropatwa, jarząbek, zając, dzik, bażant... A każde pieczyste po naszymu na różnie pieczone, nie tak, jak moda w Petersburgu, co je w piecu głumią i duszą. A węźże teraz ciasta i mączne, i owe serniki, owe łazanki, żmudzkie przedziwne szal-tanosi, upoetyzowane, uparmezowane, jakby krewne jakie włoskich tortellów i galantinów. A zrazy nasze zawijane ze schwyconym jeszcze w sekretach świątyni Izydy farszem, co się same rozpływają w ustach! I to wszystko zalegało na stole! Ale kiedyś mu tylko nasz prosty ser litewski pokazał, a kiedy był jeszcze owczy, radowała się dusza jego natychmiast; już wtedy parmezany i chestery zjedli jego lokaje! Wina i wszelkie trunki zawsze miał do-

skonałe i z pierwszej ręki. Mogłeś dostać francuskiego, angielskiego, włoskiego stołu w Petersburgu za własne kilka groszy, ale takich, jak u niego, naszych krajowych specjałów nie dostałbyś za nic w świecie. Żelwietr jako mistrz sztuki i znawca krwi naszej dobrze o tem wiedział i był w tem wielce zazdrosny. Kucharze jego i słudzy pod klątwą wydawać obcym sekretów jego kuchni nie mogli. Dom Żelwietra, jak Eleuzis, święcie chował tajemnicę brzuchowego świata. Czasem tylko dobra, zacna panna Juskiewiczówna, trzymająca rząd domu Żelwietra, dla nas, własne mających kuchnie, z miłością nad nami odważyła się sprzeniewierzyć swojemu mecenasowi. A i takie miał sekrety, które ściśle i zawsze przy sobie chował. Wtedy wszystek dwór jego musiał się wynosić z kuchni i on tylko jeden całe na siebie przyjmował kapłaństwo. Kiedy kolosalny węgorz, naprzykład, miał być dla wszystkich smacznym a nikomu z gości nie szkodzić, wszystkie swoje sługi i kucharzy Żelwietr wtedy wzywał na ustęp! Żalono się często, objadając się ciągle, że stół jego ciężki i niestrawny. I to go śmiertelnie bolało, w tem czuciu leżał jego najpotężniejszy narów i dziwactwo. Wszelkie oskarżenia, obmowy przebaczał, to, kiedy o strawność jego obiadu chodziło, zostawało mu na zawsze w pamięci. Byłem świadkiem, jak nieraz w lat piętnaście i więcej zarzucał ludziom, dawno już zeszyłym ze sceny, zarzucał ze zgrozą, jak niewdzięczność i zbrodnię, że się z tym sądem odezwali niebacznie. Dzieci jego i domowi intryganci, jak go z kimś chcieli pokwaścić, tylko przed nim tej niewinnej użyli potwarzy, bo

znali, że tego będzie dosyć. I rzeczywiście tego jednego bywało dosyć na wieczny rozbrat z Żelwietrem! Tymczasem, jeśli doprawdy dużo ludzi czuło po jego obiadach i ciężar i ospałość i strawić ich dobrze nie mogło, to była tylko wina tego właśnie, że wszystko było tak smaczne, tak dobre, tak że własną niewstrzeźliwością sami siebie od obżarstwa utrzymać nie mogli i że przez naganne zwierzęce łakomstwo więcej jedli, niż trzeba. W takim razie i czysta kryniczna woda, kiedy jej nad miarę użyjesz, stać się może trucizną! Żelwietra ta była tylko wina, że tak ogromne dawano półmiski, że taka była każdej rzeczy obfitość, że każdy, braku przy stole obawiać się nie mogąc, góry sobie na talerz wyżej nosa nawalał. Ja, lubo nie bardzo często na jego bywałem obiadach, w życiu mojem nigdy z tego powodu źle się nie miałem, a zawsze z przyjemnością prawdziwą chleb jego jadłem, bo mi najzupełniej i kraj mój i ojca mojego przypominał. A wieleż takich było, którym stół ten wyborny był chlebem powszednim?! Którym nie stawało na obwarzanek za grosz, a którzy jednak przez lat kilka innego stołu nie mieli, nie znali! Którzy grosza jednego w Petersburgu z łaski tego Żelwietra nie wydali na zaspokojenie żołądka! Panowie A, B, C, D, E, F... powiedzcie, o nie, powiedz lepiej cały alfabetcie, czy prawdę mówię?

Żelwietr miał zawsze i mieć koniecznie musiał czy konia, czy muła, na którym i po którym w ciągu obiadu swojego statecznie jeździł bez najmniejszego miłosierdzia. Była to zawsze nie tyle biedna, bo niedostatek szanować umiał, co głupia i nawpół bez-



wstydna figura, co się już w psią, w psa warującego skórę poszyła, co na to już się ofiarowała, byleby tylko soczysty Żelwietra zjeść obiad i tęgiego się wi-na nażłopać. Bo też za stosowane do muła takiego koncepty, ani hojnych libacyj, ani poprawek z półmiska Żelwietr nietylko nie żałował nigdy, ale owszem samemu ciągle nastęczał do tego zrzęczości. Ostatnim jego, ile sobie przypominam, plastronem był radca stanu, staruszek Anastasiewicz. Biedny, jak szczur w opróżnionym świrnie, obdarty, z łatanem dolnem odzieniem, pokorny, literat, uczony jakoby, jak mówiono, bez końca, Anastasiewicz, co od lat pięćdziesięciu zbierał się pisać jakieś swoje uczone dzieło, co jak mól trawił książki po bibliotekach, co kufry i paki zawalone miał przygotowanemi do tego materiałami, co miał po wszystkich kątach swojego mieszkania kratkowane szkatułki i kartony, dokąd alfabetycznie rzucał ulotnie zbierane notatki; Anastasiewicz, co zabierając się ciągle i serjo do tej ważnej pracy, jeszcze ani jednego nie napisał arkusza. Znaliliśmy go stąd, że będąc cenзором ksiąg puścił w świat bez szykany sławnego „Wallenroda”. To był prawdziwy portugalski muł, którego Żelwietr w najrozmaitszych sposobach hasał i zajeżdżał, że aż żal czasem było, ale nigdy zajeździć nie mógł. Biedny, a raczej zbiedziony, jak dawny rzymski poeta u swojego patrona magnata, Anastasiewicz przyjmował z uśmiechem wyrozumiałości wszystkie przycinki Żelwietra, a czasem i groźby.

Żelwietr śmiertelnie nie lubił, żeby się kto spóźnił na obiad, żeby mu we drzwi zadzwonił, kiedy już

wszyscy zasiedli, a gospodarz już koniec serwety przez dziurkę od guzika przesunął. Doprowadzało go to do wściekłości. Tem więcej, że godzina stale zawsze wiadomą i naznaczoną była, której, ponieważ sam się pilnował, każdy grzeczny gość jego już ciż tem samem pilnować się dla przyzwoitości był powinien. Robiąc z obiadu jakiś rodzaj liturgji, przykro Żelwietrowi było, kiedy mu kto w tym rodzaju spełnianego kapłaństwa niespodzianie przez drogę przeszedł. Nadto, mając dużo różnych interesów, które go nudziły i które zawsze do obiadu załatwić i uprzątnąć starał się, przychodziło mu zaraz na myśl, czy nie znowu jaki drapichrust na jego kieszeń z jakiegoś pieniackiego powodu zniecka napada — i rozumie się, że w takim razie przyjęty i do stołu wezwany cały mu już odbierze apetyt.

Anastasiewicz, jakby umyślnie, regularnie i wiecznie się spóźniał. Jak już wszyscy rozmówili się z zupą, dopiero on wtedy dzwonił i dobijał się do drzwi, jak żołnierz na egzekucję przysłany. Żelwietr ze złości ledwie nie pękał i każdy już kąsek pod włos wchodził mu do gęby. Ten Anastasiewicz był wyśmienitym aktorem, jak się okazało potem: aktorem, jakiego nie znajdziesz łatwo na całym świecie! Biedny, jak powiadam, biedniutki, golutki, skurczony jak zachoruje bywało, nuż każdy z nas Polaków biec na jego usługi. Ten go darmo leczy, ten z osatków daje na lekarstwo, ten dniem, ten nocą siedzi i pilnuje, ta mu koszulę, ta frak, tamta sprawa buty. Jakże biednego rodaka, biednego starca nie wesprzeć, jak nie mieć nad tym poczciwym, a otwartym, jak dusza, człowiekiem litości. Tak

było ciągle przez lat trzydzieści. Nakoniec Anastasiewicz zachorowyywa śmiertelnie, przyjmuje starania ziomków, wdzięczny jest za miłosierdzie i litość. Luzują się przy nim i w dzień i w nocy Polacy i Polki; on Polkom całuje ręce i łzami wdzięczności oblewa. Ale niema ratunku! Śmierć silnie kołata! Na pół godziny przed skonaniem jeden z rodaków, co go odwiedzał, wsuwa mu ostatnie, jakie miał, dziesięć rubelków na lekarstwo! On oczy wdzięczności, łzami oblane, do niego jeszcze obraca i pieniądze w ostygłej ściska dłoni. W kilka chwil potem umiera. Wszyscy myślą o składce na pogrzeb. Zaczynają spisywać inwentarz jego paperasów, jego ubożuchnych manatek. Otwierają koszlawe i bez dwóch nóg oparte o kąt ściany biurko; i tam znajdują kilka bankowych biletów na sumę kilkudziesięciu tysięcy rubli, do niego należących, z niepobieranym od lat z górą dwudziestu procentem, to jest *cum altera tanto* przynajmniej!!! O dobrze, że ten stary szalierz umarł po moim już ze stolicy wyjeździe!...

Ale wyznajcie — trudno dłużej i stalej tak podłą grać rolę, a grać ją tak dobrze, żeby się z nią przez lat trzydzieści przed nikim nie wydać!

Pierwszą myślą Żelwietra po wstaniu od stołu było kazać podać do sąsiedniej sali dla rozwalonych i sapiących po ogromnych sofach spółżarłoków swoich rozmaite likiery, grogi, lipce, dzyny, morningi, negusy i tym podobne pływne przysmaki. Drugą myślą jego było — co będzie jadł jutro? Jaki nabój brzuszny na dzień jutrzejszy wymyślić? Jeszcze gęby nie otarł, a już odprowadzając cię od stołu, wzięwszy pod rękę, na ucho powiada: „Panie Sta-

niślawie, panie Franciszku, panie Adamie, dziękuję wam za dzisiaj, — ależ zróbcie mnie tę łaskę, przyjdźcie jutro na sterleta. Proszę was, zróbcie mnie tę łaskę”.

Jak tylko Żelwietr miał pieniądze, jak je dziś, naprzykład, dostał, jutro pewno o piątej, szóstej najdalej siódmej zrana cichaczem piechotą obleciał już wszystkie rynki i sklepy, różnych przysmaków nakupił i kilku drażkami lub saniami zwiózł do swej spiżarni. Jeśliś go przypadkiem na tej operacji zdaleka przydybał, nie leż mu w oczy, nie pokazuj się jemu, udaj, że go nie widzisz, bo mu cały dzień zbuntujesz i draśniesz wątrobę. Domyśl się, że on się tego wstydzi i chce, żeby ten narów był tylko jego sekretem.

Jednym z najpocziwszych na świecie ludzi i jednym ze sławnych wileńskich dawnych lekarzy był Szpitznagel. Duże dobra na Litwie, dom wielki w Wilnie i kapitał, a to wszystko pocziwą i świętą pracą nabyte, świadczyło o zaletach tego czciwego ze wszechmiar męża. Dosyć było spojrzeć na tego schludnego, ślicznego, pudrowanego staruszka, żeby go już kochać. Był on profesorem materji medycznej w Wilnie i ledwie że każdego z nas uczniów za własne nie uważał dziecko, bo ledwie że był kto z nas, którego by on czy ojca, czy dziada nie leczył albo nie wyleczył. Szpitznagel pasjonowany był do historii naturalnej i znał ją doskonale. My młodzi, jak nas już trochę staruszek czasem lekcją swoją przenudził, żeby ją przerwać, na taki puszczaliśmy się fortel. Każdy z nas przed lekcją chodził po dziedzińcu, po ulicy,

łaził po kątach, patrzył po ścianach, żeby złapać jakiego żuka. Złapawszy, każdy trzymał swojego w papierku, czy w słoiku. Jak tylko nadszedł czas nudy, za danym znakiem ktokolwiek z siedzących przy półkolistym demonstracyjnym stole nieznacznie na stół wypuszczał żuka. Żuk szedł sobie po stole. Jakże znowu tylko Szpitznagel zobaczył go, zaraz zapomniał o wszystkim, złapał go natychmiast własnymi rękami, lekcję zawiesił, determinował z pamięci, jak się nazywa ten żuczek, a my tymczasem i nauczyliśmy się żuka i odświeżyliśmy zmordowaną uwagę i ubawiliśmy się własnym, konceptem. Otóż ja myślę, że gdyby Żelwietr jechał za najpilniejszym interesem, gdyby jechał w cwał i galopem, a ktoś mu z figlami po drodze wystawił tu i owdzie tam królewskiego śledzia, tam się wędzoną, tam baryłkę kawioru, tu wielkie koło szwajcarskiego sera, Żelwietr także, jak nasz poczciwy Szpitznagel, zapomniałby o Bożym świecie, cały interes rzuciłby w pokrzywę, chociażby o miljon chodziło, a na te łakocie rzuciłby się z całym zapędem. Żelwietr z instynktu miał wiele serdecznego szczerego uszanowania dla ludzi uczonych, albo dla ludzi, co taką mieli reputację. Ten rodzaj uczucia został mu od czasów kiedy uczeni w naszym kraju oddzielną tworzyli kastę i kiedyś ich tak co krok nie spotykał, jak piasku pod Mercezem. Dziadowie i ojcowie nasi, kiedy wielkiej nie posiadali nauki, sami to czując, oddawali hołd należny tym, co w tym względzie byli od nich wyższymi. Odtąd, jak wszyscy już są uczeni, jak się ich namnożyło dużo, bardzo dużo, rozumie się, że już

takich spowszedniałych uczonych niema za co szanować. Żelwetr, żadnych nie posiadając języków, osobiwie po 1826 roku, kiedy się dużo w Petersburgu prawdziwie uczonych Polaków znalazło, czytał wiele ksiąg polskich. A taką miał pamięć, że co mu raz weszło do głowy, jużes mu tego i klinem stamtąd nie wybił. A i to dodam, że co wiedział i umiał, to także w danym razie należycie w rozmowie zastosować umiał. Ale to dziwna, że przez pół wieku mieszkając w Rosji nie nauczył się nawet pisać po rusku! Ledwo, że na kopercie czasem coś tym alfabetem nagreżał. Z nasłuchania się i oswojenia mówił niezłe tym językiem. A wrodzoną zdolnością swoją i obserwacyjnem okiem umiejąc schwyć z dziwną łatwością wszelkie zamaszki (!), wszelkie uchwatki (!), wszelkie wyłączości miejscowe ludu tamtego kraju, poetyzował śmieszności tłumu i w rozmowach swoich z wybornym, a żółci pozbawionym komizmem, z rzadką trafnością przedstawiał najchętniej i chłopów ruskich, i kupców, i mieszczan. Anegdota tego rodzaju, ktoby je zbierał, zebrałby ogromne tomy.

Człowiek ten w ciągłej ze znamienitościami naszymi styczności, co raz posłyszał, już tego drugim nie wypuścił uchem. To było przyczyną, że przy jakimś, o którym wyżej mówiłem, czytaniu do konwersacji uczeńszych od niego ludzi, jeżeli nie zawsze własną mową, to przynajmniej roztropnem i trafnem słuchaniem tego, co mówią, umiał się przyłożyć. A i ten talent słuchania nie u wszystkich bywa.

Zagadką, wieczną szaradą, do której nigdy znaleźć nie mogliśmy klucza, było pytanie: skąd Żel-

wietrowi zawsze na tak ogromne stawało wydatki? Bo kiedy mu pieniędzy brakło, a chciał się oszczędzić, cztery razy więcej jeszcze podówczas wydawał. Wynosił się latem na wieś, za miasto w tym celu. Ale tylu mając znajomych, a każdego tęskniącego do wiejskiego powietrza, kto mu raz na wieś wpadł na głowę, wracać się naturalnie nie mógł i musiał pić i jeść cały dzień u niego. Przy tej tedy ekonomice nieraz się zdarzało, że mu w jeden dzień pięćdziesiąt butelek samej madery wypito, nie licząc żadnego innego trunku. Sumując jego wydatki, trzeba było wziąć się za głowę! A żaden jednak kupiec nie narzekał na niego, każdy mu wierzył i za najlepszą praktykę uważał. W latach zwyczajnych, choć mu się już rwało oddawna, można było myśleć, że pieniądze na interesy przysyłane wszystkie garby gładzą. Ale koniec 1830 roku, cały rok 1831 i część 1832 roku były to lata, gdzie przerwana z Petersburgiem komunikacja z powodu politycznych zaburzeń, żadnych plenipotentom stołecznym interesów i żadnych nie dawały dochodów. A Żelwietr żył zawsze i mieszkał jednostajnie na tejże samej stopie, bo żył tak, że mało pięćdziesiąt tysięcy rubli asygnacyjnych na rok wydawał! Później wygrane wielkie ze skarbem interesy, które mu hurtem wielkie sumy w ręce oddały, zapewniły dostatecznie starość jego. Inaczej bieda byłaby wielka.

Do najciekawszych widoków należały wszystkie Żelwietra ze stolicy wyjazdy. Jadąc na miesiąc, wybierał się w drogę codzień najmniej przez ośm miesięcy. Zawsze coś przeszkadzało. Od trzech

tygodni codziennie rano najęte do kilku pojazdów zakładano konie i codziennie je znowu odprzęgać musiało. Jeździł sam w ogromnej bryce. Pogardzał koczem i karetą, które miał, bo w nich tyle jadła, co w bryce, napakować nie można było. Dopiero za bryką jego szły jeden albo i dwa furgony, pełne koszów wina, pełne romów, serów szwajcarskich, parmezanów, czesterów, śledzi królewskich, kawiorów, fruktów, cukierków, pierników, babek i konfitur. Może i innych różnych specjałów, które mi na razie na myśl nie przyjdą, a które potem z swoimi w Wilnie, Żytomierzu, Mińsku, Witebsku, Widzach szczęśliwie spożywał.

Jak znowu wrócił do Petersburga, wynoszono z tych korabiów sarny, dziki, łosie, dropie, faski z litewskim masłem, z marynatą z węgoża, szynki, salcesony, kiełbasy, sery nasze zwyczajne, baryłki ze starą wódką, śliwki na prątkach słomianych duszone, różnemi przyprawami nadziane, i wszelkie produkty naszego kraju, w Petersburgu za osobliwość miane.

Po obejrzeniu tego przelotnem piórem rzuconego szkicu wątpię, żeby się znalazł ktokolwiek, coby Żelwiera za zwyczajnego tuzinkowego wziął człowieka. Ktoby miał serce to powiedzieć, żałowałbym takiego znawcę. Ja pewny jestem, że w tem wielkiem mnóstwie wszelkiego rodzaju znajomych, co go się ciągle uczyli, znajdzie się ktoś, co go jako typ wciśnie do jakiejś naszej narodowej powieści.

*2 kwietnia 1849 roku.*

---



V.

*JÓZEF OLESZKIEWICZ*

*ur.: 1777 r., um : 1830 r.*



Z jakąż rozkoszą, z jak słodkiem uniesieniem duszy, z jak wdzięcznym wzniesieniem serca do Boga, przeszedłszy połowę ciernistego życia, kiedy już nic przed sobą dalej nie widzi, cofa się człowiek myślą w ubiegłe lata, ogląda się za siebie i zatrzymuje pamięcią nad ludźmi — niestety! już znikłymi z tego padółu, ale dobrocią, ale cnotą, ale rzadką we wszystkim prawością, ale anielskiem sercem i anielską duszą przedstawiającymi ten typ człowieka, któremu Stwórca nie pozazdrościł w miłosierdziu swoim własnego tchu swego!

Takim był zacny, godny, nieodżałowany, powszechnie czczony, najpocześniejszy z ludzi — Józef Oleszkiewicz.

Dwa lat dziesiątki już ubiegają od tej chwili, kiedy ta święta dusza opuściła swoje ziemskie pokrycie, kiedy zerwała węzły z niegodnym jej światem, kiedy się złączyła z Bogiem. Los gniotący mnie innym kamieniem, zostawiając życie, w inne podówczas strony mnie zarzucił. Bóg nie dał mi tej pociechy, tego zaszczytu i chluby, żebym te szlachetne, czysto chrześcijańskie zamknął powieki. Ale i dzisiaj jeszcze po tylu latach każde o nim wspomnienie szczerą łzę na moje naprowadza oko.

Tak się już widać podobało Bogu, który nad każdym czuwa pyłkiem, żeby uszy moje jeszcze

w niemowlęctwie już się otarły z dźwiękiem nazwiska Oleszkiewicza. Noszono mnie jeszcze na rękę, kiedy Oleszkiewicz, wróciwszy z Paryża, gdzie się był pod Dawidem i innymi mistrzami szkoły francuskiej wykształcił w sztuce malarskiej, obraz swój w Wilnie na sąd publiczny współrodaków wystawił.

Wysłany i długo zagranicą utrzymywany kosztem promienistego wielkich cnót przykładem i wiecznie jaśniejącego sławą wielkich Chodkiewiczów domu, Oleszkiewicz, nabywszy już pożądanego doskonałości stopnia w swoim zawodzie, tęsknić zaczął za dymkiem ojczyzny. Wrócił więc do kraju, niosąc z sobą na plecach, jako hołd wdzięczności wspomniałemu dobroczyńcy swojemu to, na co mu stało.

W obrazie swoim, wielkich rozmiarów, przedstawiał hetmana Chodkiewicza w tym właśnie pełnym chrześcijańskiej i obywatelskiej cnoty momencie, kiedy zstępującego ze stopni ołtarza, u których wspólnie z Anną Ostrogską dożgonną sobie zaprzysięgli wierność, woła narodu i króla powołała na ratunek zrozpaczonej przed mordem Turków ojczyzny. Obraz ten, świętą wielkich przodków malujący ofiarę, wystawiony był na widok publiczny w jednym z przedsionków ogromnego uniwersyteckiego gmachu św. Jana Tłumy się tam zbiegały. Mnie przy babce i matce, tamże idących, w towarzystwie nominata guwernera mojego, który do niańki mojej, Niemeczki, Johanny, nie miałem podziwieniem mojem ciągle miał jakiś interes, zanesiono na rękę. Pamiętam jak przez sen ten

obraz, który się potem w galerji Chodkiewiczów znajdował w Warszawie i wespół z innemi ręką przodków i obecnego właściciela zgromadzonemi skarbami w momencie nieszczęścia — sprzedany z licytacji został. Ale jam tego obrazu już od Wilna nie widział. Snuje mi się, jak przez sen, pamięć sądów o tem malowidle; sądu tłumów, które się do niego jakby w procesji schodziły. Ten chwalił wszystko, ten nic nie chwalił, ten tylko konia, tamten hetmanową, a ta hetmana, ten ganił zarzucone na szyję rumaka cugle, tamta bogactwo, a ta lichotę ubiorów. Jednem słowem jak zawsze *tradidit mundum disputationi coram*; mnóstwo było zdań i sprzeczności z jednym już zawsze dla obrazu skutkiem.

Ta okoliczność w zaledwie kilka słów jeszcze wymawiającem dziecięciu, nie wiem, jakim sposobem została dotąd w żywej mojej pamięci. Wiedziałem zawsze, że był, jeśli go już niema, jakiś Oleszkiewicz, malarz. Tym więc prawie sposobem i od takiegoż wieku pamiętałem zawsze Damela, którego dopiero aż w kilkadziesiąt lat poznał i pokochał.

Kiedym już był przyjechał do naszych ówczesnych Aten — do Wilna, nieraz o Oleszkiewiczu słyshałem najrozmaitsze zdania — jak zwykle. To mówiono o jego kochanych dziwactwach, które nikomu nie szkodziły nigdy, to o jego sztuce. Ale wszyscy jednym a wielkim głosem oddawali dank i śpiewali sprawiedliwy hymn uwielbienia jego rzadkiej dobroczynności, poczciwości i cnocie. Nakoniec do tego już przyszło, że kto był w Petersburgu i z nim się nie poznał, wróciwszy do nas, wchodził

w poczet tych ludzi, co ojcom naszym dali przysłowie: „Był w Rzymie a papieża nie widział!”

Syn dawnego przyjaciela ojca mojego, Despoty Zenowicza, byłego gubernjalnego mińskiego marszałka, prześlicznego, z gwiazdą na kontuszu — siwego starca, Ignacy Zenowicz, kolega mój i po rodzicach spadkobierca przyjaźni, poznał mnie z Oleszkiewiczem.

Zadzwoniliśmy. Wpuściła nas mała schludna staruszka, oświadczając, że pan jej znajduje się w swojej pracowni.

Przeszedłszy światły, przestronny i po wielu ścianach mający rozstawione duże obrazy — salon, weszliśmy do małego co mniejszego i dobrze oświetlonego pokoju.

Powstał przed nami pracujący przy dużym portrecie gospodarz. Był to mąż dobrze już więcej, jak się zdawało, niż średniego wieku, słusznej dosyć urody, zacnego i poważnego wyrazu w całej swojej postaci. Łagodność, wyrozumiałość, dobroć i względność patrzyły mu z każdego rysu. Czaszkę wielką, na około wypukłą i na środku głowy obnażoną, pokrywały z boków w rodzaju korony wyrastające gęste, ciemne, a prawie czarne z przebijającą się, gdzie niegdzie siwizną włosy. Oczy duże, wielkimi powiekami i rzęsami w trzeciej części pokryte. Brwi szerokie i gęste. Twarz męska, piękna, świeża i czerstwa. Uśmiech przyjemny, głos wdzięcznie wpadający do ucha. Nie miał wyszukanej maniery i świetnego układu, ale był naturalny, jak być należy, i tak przyzwoity w obejściu się, jak tylko można. Trzymał się nieco garbato; a nogi w kola-

nach z trudnością prostował, pieszcząc i hodując w nich artretyzm, nabyty w klimacie bezsłonecznym a który już był raz zaczął i do rąk wędrować i tą podróżą wielce człowieka z pracy rąk żyjącego zatrwożył o dalszą przyszłość. Było to wogóle piękne i szlachetne ciało. Ale to piękne i szlachetne ciało, ta piękna i szlachetna postać były tylko przydatkiem, były niezbędnym przydatkiem do tej pięknej duszy. Była to najmniejsza cząstka tego wielkiego skarbu, który Bóg w miłosierdziu swoim dla zaszczytu naszej ojczyzny w jego osobie umieścił.

Wprost naprzeciw drzwi stał ogromny z ciemnym kolorytem obraz, przedstawiający śmierć Klytemnstry. Figury były w półtorej wielkości człowieka. Po ścianach mnóstwo pozaczynanych, albo już skończonych portretów. Cztery stały oddzielnie na środku pracowni na kozłach. Ten, przy którym draperje układał, był portretem sławnej podówczas ze świeżości i piękności swojej Olgi Naryszkinowej, z domu Potockiej.

Wisiało tam jeszcze kilka innych jego obrazów, wyraźnie wiekiem swoim inną zupełnie wykazujących metod od tych, co były świeżo zaczęte.

Dwie otwarte bibljje leżały na stołach; „Cuda nieba i piekła“ Swedenborga na taburecie, tuż przy Oleszkiewiczu stojącym.

Kotów kilka siedziało w zamyśleniu po kątach. Dwoje kociąt ciągle drapało już i tak do szczętu odrapane kozły.

Oleszkiewicz odrazu mówił ze mną tak, jakżebyśmy się od stu lat znali.

„Czas mój drogi“, rzekł: „dzień tylko przez pół roku tutaj mieszkamy. Przebaczcie, że będę swoje robił, — to nie przeszkadza rozmowie. Pan z Wilna?“

— „Z Wilna, to jest z Litwy“.

„A, to ja znałem ojca — ślicznie się nosił po polsku. Sławny był z tego. A jaki był piękny mężczyzna. Czy jeszcze w życiu?“

— „Żyje — ale już bez kontusza. Chodzi po naszymu.“

„A to szkoda, wielka szkoda. Mało kto z takim gustem ubierał się po polsku. A wąsik, ten sławny wąsik?...“

— „Gdzież tam — niema i wąsów! Jeszcze był je raz w 1812 r. zapuścił po dawnemu, ale jak zaczęto wozić za to na Sybir, rad nie rad, ogolić je znowu musiał.“

„Szkoda. Piękny to był człowiek. Twarz prawdziwie do portretu. Jeszcze i teraz na starość musi być przystojny, bo to taka twarz.“

Na stoliku leżało kilkadziesiąt pomarańcz, grzeczność i przysługa jakiejś damy, która tylko co swój seans, jak mówią, u niego skończyła i na parę minut przed nami odjechała. Na te pomarańcze uprzejmie zaprosił. Pomówiwszy na ten raz trochę o deszczu i pogodzie, o niezwyklej gorącości petersburskiego lata, pożegnaliśmy szanownego mistrza, a ja z wdzięcznością przyjąłem otwarte i szczerze zaprosiny, żebym go, kiedy mi się podoba, odwiedził.

Że się już ku wieczorowi chyliło, a był dzień znojny, korzystając z wieczornego chłodku, wszedłem po drodze do tak zwanego Jusupowa ogrodu, który do hercoga Wirtemberskiego, wuja cesarskie-



go należał. Księżę ogród swój z uprzejmości dla publiczności otworzył. Tłumy znalazłem tam wielkie. Usiadłem więc sobie na ławce, zewsząd piękną zielonością od promieni słońca zakrytej, i stamtąd zdaleka na przesuające się masy patrzyłem.

Możem tam sobie z dobrą już godzinę wysiedziać i dobrze odpocząć, kiedy z za krzaków zagiętej, angielskiej, samotnej mojej uliczki spostrzegłem idącego z nijaką trudnością i dosyć ciężko opierającego się o kij mężczyznę. Szedł schylony, zamyślony, jakby coś mrucał do siebie. Kapelusz dobrze spłówiały nasunięty był na czoło. Zrównawszy się z moją ławeczką, odwrócił się do mnie, poznał mnie odrazu, i, z pełnym dobroci uśmiechem powitawszy, obok mnie zasiadł. Był to Oleszkiewicz.

Dla zaczęcia byle o czem rozmowy oświadczyłem mu zadziwienie, że mię poznał natychmiast.

„Wiedziałem, wiedziałem, że ciebie tu znajdę,” rzekł. A potem dodał: „Przepraszam pana za taką poufałość, ale je pana znam już od lat kilku”.

Spojrzałem mu w oczy, szukając sekretu tej zagadki.

„O ja wiem! Słyszałem o panu. Pan się zajmowałeś, a może i tutaj zajmujesz magnetyzmem zwierzęcym... Można to robić źle — można i dobrze. Wiem, że szukałeś szczerze, pobożnie sekretu, postępowałeś jak uczciwy człowiek — aleś sekretu nie doszedł. Hę? Jeszcześ młody, jeszcześ bardzo młody! Szukaj tylko z Bogiem, a jeśli wytrwasz, może go i znajdziesz.”

Tu kręconym i sękowatym kijem swoim narysował na twardo ubitej czerwonej ścieżce dwa przewrócone trójkąty.

„Skądże się pan dobrodziej o tem wszystkim mogłeś dowiedzieć?” zapytałem: „nigdy z tego przed nikim nie robił parady!”

„Wiem, wiem,” mówił, patrząc na odrysowaną przez siebie figurę: „mówiono mi o tem. Wiem, wiem i to, żeśmy na przyjaciół stworzeni.” Potem, powstawszy i z jakimś rodzajem powagi i godności podnosząc rękę prawą do góry — „Młodzieńcze,” rzekł: „ja więcej ci powiem — zanotuj dobrze słowa moje — ty na próby wszystkich mąk ciała i duszy stworzony, ty, co tak pióra nie lubisz, ty sam o tem nie wiesz, że kiedyś pisać o mnie z upodobaniem będziesz. A teraz umiej tylko milczeć!...”

To, mówiąc nawiasem, rzecz dla mnie dziwna, że odtąd przy wieloletniej znajomości naszej, o ile wiek nasz mógł się zgodzić — i ściślej przyjaźni, słowa te, z jakimś pewnym uniesieniem wymówione podówczas, tylko w mojej pozostały pamięci. Już on mi nigdy tego nie powtórzył. Owszem zdawało mi się, że o tem najzupełniej zapomniał. Raz tylko, kiedy mu wpadł w rękę numer polskiej gazety, w której, mówiąc kilkanaście wierszy o geometrycznej formie czaszek ludzkich, z jakiegoś powodu przelotnie o jego teorji wspomniałem, rzekł do mnie: „A co? zaczynasz już o mnie pisać! Ale czas jeszcze daleko od ciebie!”

Wszystko, com dotąd słyszał o Oleszkiewiczu, było tylko jak o człowieku pełnym anielskiej dobroci, cnót i miłosierdzia dla bliźnich; o jego kotach,

o jego marzeniach, o jego filozoficznych dyskusjach, albo nie słyszałem nigdy, albo mi to, jeśli słyszałem, przez drugie wyleciało ucho.

Można sobie wyobrazić, jakie podobny rodzaj rozmowy w młodym i na ten moment nie przygotowanym człowieku wywołał sądy. „Kanikuła teraz,” pomyślałem sobie w duchu: — „i stary warjuje!”...

Myśl ta więcej jeszcze nabierać zaczęła pewności, jak mi się o geodach rozgadał. On widział w nich, czy na biedę moją, nie wiem dlaczego, zdawał się w nich widzieć czaszki przedpotopowych i starem, pierwotnem objawieniem oświeconych ludzi, co tego wszystkiego dobra na grzech okropny użyli; w rozbitym takim czerepie i w skryzalizowanych kwarcach często z fioletowym ametystu odblaskiem widział on skrzepty mózg do ostatniego stopnia niewiary, rozpusty i złości doprowadzonego człowieka i ujęte w te kryształowe kajdany dopóty, nim je nowy ogień miłosierdzia i łaski znowu kiedyś w godne duszy ludzkiej, nie zamieni siedlisko.

— „Czy widzisz tę figurę, com ją tu na tym czerwonym narysował piasku? To gwiazda. Uczyłeś się tyle rzeczy, znasz morskie gwiazdosze i te sławne asterje. Szukajże w głowie swojej, czemu Bóg im nadał tę zagadkową i tak matematycznie foremną postać? Ucz się przyrodzenia i sekretu liczb”... i poszedł (!) mówić dalej i dalej!...

Patrzałem na niego, jak na człowieka, co świeżo „Tysiąc nocy” wieczorem przeczytał i pod ich wpływem w dziwnym i pełnym łudzających marzeń śnie szczęśliwym roi banialuki.

Myślałem sobie: „To człowiek, co ma *une idée fixe*, to pełen wzniosłości i osobliwszych urojeń warjat, a nikt mnie o tem pierwej nie ostrzegł!“...

Ale kiedyśmy zaszli do tajemnic samego stworzenia, kiedy się znalazły prawdziwe punkty zetknięcia pomiędzy nami, kiedy w różnych wprowadzie sposobach widzenia zgodziliśmy się na to, że człowiek, z dwóch postaci złożony, wyrażnią linią graniczną podzielony na dwoje, nosi w samym sobie tajemnicze dwóch różnych początków zarody. Że sekret prawej i lewej strony obszerniejsze od użycia pięciu palców tej lub owej ręki może mieć znaczenie. Że serce źródło miłości, poprawia wady i złości osadzonej umyślnie na prawej stronie jadowitej żółci, a ta znowu serca pomyłki prostuje. Że mózg wielki, co nad tym światem króluje, strasz nego ma współzawodnika w malutkim mózgu średnicy ciała, co to, jak Dawid Goljata, małym go kamyszkim uśmierca i nieraz go nawet zwojuje. Kiedyśmy doszli do tego, że szatan, z przypadku źle podejrzawszy kartę tajemnic stworzenia i odkrywszy w jakiejś tylko części sekret naszych dążeń, szepnął go do ucha Gallowi, który usłyszał i pojął, że dzwonią, ale dojść nie mógł w jakim kościele. Kiedyśmy nakoniec odrębnie przygotowanem już okiem na tajemnicę przeczuć, prorocत्व, na tajemnicę pokoleń cierpiących za grzech przodków swoich patrzeć zaczęli, nie mogłem się w duszy nie zgodzić, że mówię z niepospolitym wieszczem, z wielkim Bóżym poetą, który, patrząc na zażrzebane i pieczęcią Salomona przed oczami mas w kamiennych płytach zamknięte domysły lub prawdy, tchem myśli swojej

wieka tych odwiecznych tajników odbija, a silną potęgą słowa ożywia je i pojęciom naszym dostępnymi czyni. Nie mogłem w duchu nie wyznać, że on mnie w inny świat przenosi.

Oleszkiewicz był najzupełniejszym i sobie tylko właściwym poetą. Był wieszczem. Rozum jego, wyobraźnia jego, uczucia jego wyszukiwały ciągle dróg nieznanymi i nowych, nieprzetartych jeszcze nogą dzisiejszych pokoleń, a nieraz znalazły je i odgadły. Każdy wypadek czy dawnych, czy współczesnych dziejów świata, odrębnym on i sobie właściwym tłumaczył sposobem. Ta odśrodkowość myśli jego od ogniska wyobrażeń dzisiejszych robiła go dla siebie zupełnie niezrozumiałym, ale zawsze w każdym przypadku wielce samorzutnym, oryginalnym i ubarwiała słowa jego kwiatami, branemi, jak się wszyskciem zdawało, zupełnie z innego — niż nasze ziemskie — ogrodu. Może się w tym względzie i cofał nazad o kilka wieków, może zaglądał tylko w przepaść przeszłości? — Może i swój wiek wyprzedzał?

Oleszkiewicz nie miał wielkiej książkowej nauki. Miał ją — kiedy chcesz — ogromną tradycyjną, praktyczną. Miał naukę z teorii w dotykalne skryształizowaną pewniki; z nasłuchania się i przez związki, o których niżej natychmiast powiemy. Taił on to w sobie i rzadko się komu odkrywał, przestając na ciągłym głoszeniu prawd moralności chrześcijańskiej. Wolał on stosowną do duszy swojej nosić postać baranka, niż zdziwionemu i nieprzygotowanemu oku profana raptem pokazać głowę olbrzyma, która się nieraz stać mogła dla tego oka — głową Meduzy!

Znalazłszy się we Francji w samym kulminacyjnym momencie zerwanej równowagi i ogólnego rozprężenia duchowych pierwiastków przez zbytne folgowanie ciału i materji młody, bez doświadczenia Oleszkiewicz, jak mnie sam mówił o sobie, uległ zrazu pokusom, jakie słodka trucizna wielkiego węża, jakie pierwiastek, przedstawiający się podówczas w kształcie rozpasanej na wszystko kobiety, za sobą prowadzi. Zakosztował zła i dobra! Ale to było krótko. Bóg go łaską swoją oświecił, pokazał mu przypadkiem, że i w tym kotle, gdzie wrzały, aż za brzegi naczynia buchały pieniące się bezwstydem wszelkie nieprawości, że w tym kotle, jakim był podówczas Paryż, szczęśliwszym od Sodomy losem wiele jeszcze Bożych ludzi było. Oleszkiewicz przyłączył się do nich. Stał się członkiem różnych stowarzyszeń, załęknionych rozbrykaną na wszystko bezbożnością i swawolą. Stowarzyszeń, które ginącą w ciemnościach grzechu społeczność, jakimi tylko mogły środkami — uratować chciały. Najwyższe stopnie wolnego mularstwa, **Rose - Croix**, illuminatów, martynistów, michelistów, mesmerystów, podnosząc część zasłony, zakrywającej przed pogańskim podówczas okiem Francuzów przedwieczne moralne prawdy, silnie wpłynęły na umysł jego z przyrodzeniu do mistycyzmu skłonny. Żywa imaginacja i nieposzlakowana cnota dokonały reszty.

Mistycyzm dla ludzi, cnotliwych i obdarzonych z wysoką mądrością, albo szczerą szukania jej żądzą, jest niezmierną okiem świątynią, w której człowiek zawsze i ciągle przed nieskończoną potęgą, Stwórcy, przed wyrokiem Jego na twarz upada. Mi-

stycyzm dla głupców i oszustów, dla mędrców ludzkiej nauki jest ogromną zieloną, pełną zmysłowych nadziei płaszczyzną, po której we wszystkich kierunkach bujać i na łatwowieznego zwierza polować mogą. Prawdziwy mistycyzm wszystkich sił swoich szuka w Bogu, wszystkie siły bierze u Boga. Spaczony i fałszywy — szuka ich ciągle w tak nazwanej naturze.

Któż z nas to w tem, to w owem nie jest, lub nie był mistykiem? Kto z nas dzisiaj — naprzykład — położywszy rękę na sercu, przy tylu kometach, słupach i niebieskich znakach, tylu ognistych i krwawych na firmamencie okazujących się krzyżach, tylu niepraktykowanych zorzach północnych choć raz w duchu nie zadrżał pomimo całej nauki ludzkiej, tłumaczącej natychmiast te fakty?!!!

A jednakże mistycyzm jest jak ów na włos tylko szeroki most Mahometa, po którym przechodząc zarówno można mieć nadzieję dojścia do najwyższego światła, jak i potknąwszy się upaść na zawsze w państwo wiecznej ciemności!...

Bodaj, że lepiej tego przechodu nie tykać!...

Bo gdzież ta czysta ręka, gdzie takie serce, gdzie dusza, coby godną była pojąć i przyjąć z rąk Wszechwładnego Pana tajemnicę magnetyzmu zwierzęcego, somnambulizmu, zachwycenia, lunatyzmu, jasnowidzenia, tajemnice przecucia, duchowych przyciągań i odpychań, odgadnięcia przyszłości i tylu innych sekretów i zjawisk, niewątpliwie rodzajowi naszemu udzielanych tchem Stwórcy naszego, tajemnice, których skutki dotąd tylko na szkodę ludzkości w pogańskiej i bezbożnej dzisiejszych ludzi zosta-

ją wiedzy. Ażeby tajemnicę zrozumieć według Ducha Bożego, trzeba być do niej przygotowanym moralnie. Dlatego też nie żartujmy z tych podań, z tych dawnego objawienia obłomków, które naszym następcom, jeśli tego warci będą, do nowych pojęć otwierają drogę. Przed naszym wzrokiem stoją jeszcze zasłony wiecznego przecznika, który przez swoje pryzma każe nam patrzeć na wszystko.

Oleszkiewicz takiej zasłony nie miał przed sobą, albo ją miał bardzo już przejrzystą.

Mówiąc bez przygotowania płynnie, czasem z największą biegłością, z największą łatwością swoim ojczystym, francuskim i ruskim językiem, kiedy się dotknął podobnych materij, przejmował się całą ważnością ich treści... Zdawało się wtedy, że jakieś nowe weszło w niego życie.

Kiedy się już raz to szlachetne oblicze rozjaśniło wpływem wyższego natchnienia, kiedy się rozplamiło blaskiem unoszących się wtedy nad nim aniołów, kiedy się Boski ogień w Oleszkiewiczu rozniecił, kiedy był w zapale, a byłeś z nim sam na sam w szarej, mistycznej, tajemniczej godzinie, słowa jego, jak potok ognisty, z ust jego się lały. I zdawało się czasem, że nas obudwóch wokoło powietrzne otaczają duchy. Że jakieś niewidzialne i niepojęte siły owinęły się naokoło nas i oplotły nas w ten moment swoją niebieską siecią; że się coś nad tobą z góry unosi, że się coś do ciebie z dołu, z boków i za tobą przekrada! Lękałeś się poruszyć i na stronę oglądnać, a dreszcz mimowolny przechodził po twojem ciele. Zdawało się, że to stary jakiś hierofant egipski, wywołujący cienie starszych od siebie, dawno



już zagastłych mędrców, mistrzów jeszcze potopem nie zalanej nauki. Zdawało się, że to eleuzyjski najwyższy kapłan, mający otworzyć księgę prawdziwej mądrości i odkryć przed tobą inne jakieś przezroczone plemię, inny, a niewidzialny rodzaj stworzenia, patrzący ciągle na ciebie, kręcący się i snujący ciągle około ciebie, ocierający się co moment o ciebie, a któregoś dotąd ziemskim okiem twojem nie dojrzał i tylko instynktem byt jego przeczuwał.

Kiedy znowu zaczął przed tobą malować okropność zbliżających się do kuli naszej i wprost na nią przyspieszonym biegiem idących mściwych niebieskich płomieni, kiedy ci odkrył źródła i przyczyny słonecznego światła, kiedy się uniósł wichrem straszliwej ziemskiej katastrofy i na mapach wykazał skutki potwornej siły, która oderwała świat Kolumba od starego Azji i Afryki świata; kiedy po całym oceanie Spokojnym wytknął ci palcem ostatki tych strasznych zadziorów; kiedy ci w Botokudzie, Karaibie, Papuasie odszukał węzłów, które przodków jego kiedyś z naszym europejskim i słowiańskim światem łączyły; kiedy ci tłumaczył cuda upadku murów Jericho, jakkolwiek pojęcie twoje z jego widzeniem, żadną miarą do równowagi przyjść nigdy nie mogło, byłbyś jednak bez czucia, bez głowy, bez oczu, gdybyś nie czuł, nie rozumiał, nie widział w tem wszystkim kolosalnych zarodków podobieństwa do prawdy. Gdybyś nie wyrzekł, że głowa, co te rzeczy w tym sposobie pojęła, że usta, co to wszystko tak wymownie malują, do poetycznych, do niepospolitych zjawisk należą.

Ale ten dźwięk głosu jego za wczesny był dla naszej materialnej epoki. Rozproszył się on w przestrzeni i krążyć będzie długo jeszcze wokoło ziemi, w drganiu cząstek poruszonego jego mgłami powietrza dopóty, póki nie trafi nakoniec na ucho takiego wieszacza, co usłyszy, co to pojmie, co to zrozumie do tyła, że je w więzy pisma obejmie i ludziom Europy, wtedy już może jak Botokudy z pierścieniem przewleczonym przez wargę chodzącym, rzuci to wszystko przed oczy, jak rzecz rozumiałą i jasną.

Tak, Oleszkiewicz był mistycznym poetą! Był, że się tak wyrzec ośmielę, ledwie nie jak prorocy Pańscy, którzy także w pismach, widzeniach i przepowiedniach swoich rzadko znaleźli czy serce, czy głowę, coby ich pojąć i zrozumieć mogły. Rzadko oni nawet w przyszłości znaleźli wiernych i szczęśliwych siebie tłumaczy. Tem bardziej, że ta przyszłość jeszcze przyszłych, a może i bardzo odległych od nas wieków dosięga. Oleszkiewicz opierał wszystko na Piśmie Świętem i na Objawieniu. Z tych punktów zawsze wychodził i do nich wracał. Bóg u niego był zawsze tą wielką Jednością, przy której nieskończone miliony nicości świata, nieskończone miliony zer, powiększają tylko i podnoszą cyfrę Jego potęgi. Z tego tedy stanowiska ja go do rzędu tych wielkich Pańskich poetów w myśli mojej zaliczam.

Oleszkiewicz pomimo całej łagodności, wyrozumiałości, dobroci miał w sobie wiele siły charakteru i męskiej energii. Świadcami tego były liczne, z odwagą stoicką przebyte przeciwności i nieszczęścia; wiele kolących i wpijających się w serce czarnych zdrad i niewdzięczności, wiele cierpień duszy i ciała.

znoszonych i zniesionych zawsze z niezwykłą stałością umysłu i bez rozkrwawienia w sobie tych ran, jakie mu w życiu jego zadano, bez wyklucia w sobie żadnej skłonności do zemsty. Był on ciągłym powiernikiem wszystkich lepszych Polaków w stolicy. W niego jak w konfesjonał rzucano i smutki, i grzechy, i utajoną niedolę, i wesołą tęczę nadziei, i czarne chmury niedostatku i nędzy. A nie było przykładu, żeby się starzec o tem przed kim wymówił. Nie trzeba go było prosić o sekret. Sam, przez wszystkie życia przeszedłszy łamańce, znał, czuł i pojmował wszystko. Znał głosy szatana i umiał nadstawić ucha niebiańskim słowom anioła.

Oleszkiewicz był żonaty, ale z żoną oddawna nie żył. Już pewny czas znaliśmy się z sobą, kiedym się o tem dopiero dowiedział. Pomiędzy wielu obrazami dawnej jego czarnej metody i epoki, rozwieszonymi w nieładzie po ścianach pracowni, uderzył mnie raz jeden z nich, przedstawiający kobietę okrytą białą, piękną draperją z rozpuszczonemi, długimi, czarnemi włosami, z czarnemi ognistemi oczami, ze szczególnym wyrazem twarzy. „Co to za obraz?” zapytałem go, siedząc za jego krzesłem, kiedy malował. „To portret mojej żony,” odpowiedział mi z jawną w głosie swoim niechęcią. W ciągu dosyć długo trwających i bliskich naszych stosunków to było jego pierwsze i ostatnie o żonie wspomnienie. Unikał pilnie wszystkiego, coby się do tego przedmiotu stosować mogło, tak dalece, że najdawniej mieszkający znajomi jemu w Petersburgu Polacy nic zgoła nie wiedzieli o przyczynach, które ten zerwały związek. To tem więcej było ciekawem,

że żona Oleszkiewicza zwykle w stolicy mieszkała. Nie widziałem jej nigdy w życiu, ale jeśli sądzić z portretu, a mąż jej wszystko jeszcze pendzlem swoim upiększał i gładził, każdy w tej namiętnej twarzy musiał widzieć kobietę wulkanicznej formacji, Wezuwjusz, zalewający ognistym, szerokim strumieniem i Herkulanum i piękną Pompeję. Delikatność, a bardziej uszanowanie, jakie go otaczało, nie dozwoliły nigdy nikomu żadnego pytania, któreby w jakimkolwiek względzie ciekawość naszą zaspokoić mogło. A jednak chciało się wiedzieć. I nic znikąd nie dowiedziano się nigdy. Raz tylko jeden z naszych uczonych Polaków, wówczas w biedzie i nędzy, a któremu dziś nie z powodu jego obszernej nauki i krukiem nosa nie dostać, powiadał mi, nie wiem, czy prawdę, że złapał gdzieś urywek listu żony, pisanego w niemieckim języku do męża, w którym, prosząc go o przysłanie pieniędzy, te dodała francuskie wyrazy, zdające się być odpowiedzią na list Oleszkiewicza, wzywający do upamiętania się i zgody: *„Excusez moi, je ne puis consentir à être aimé à votre manière, je préfère de l'être à la mienne“*.

Żona Oleszkiewicza mieszkała ciągle w kraju i zagranicą, u ścisłej przyjaciółki swojej, księżnej M....., wiadomej całemu Petersburgowi nieprzyjaciółki mężczyzn.

Co tedy było powodem rozłączenia się tych dwojga małżonków, wiecznym już dzisiaj pozostanie sekretem. To tylko pewna, że nic na świecie łatwiejszego nie było, jak zgodzić się w pożyciu z takim człowiekiem. Wśród wielkiego, ogromnego miasta, opływającego we wszystkie zbytkowe materialne



J. OLESZKIEWICZ

*HR. GROCHOLSKI*



życia potrzeby, do którego się z krańców świata wszelkie zbytkowe cisnęły łakocie, w którym, po niczem nie dającej się nasycić ambicji i powszechnem drapaniu się w górę, jeden brzuch tylko ważną grał rolę i przynajmniej wybornie nasycić się dawał — dziwnem było naprawdę i rzadkiem zjawiskiem widzieć człowieka, osobliwszym sposobem wstrzeźmięzliwego, żyjącego ciągle, bez żadnej przerwy, jak dawni anachoreci na puszczy. Pokarm Oleszkiewicza, który nigdy u nikogo nie przyjmował obiadu, pokarm jego zwyczajny, codzienny, niezmienny był: albo talerz mleka, albo kilka jaj na miękko, albo duże trzy kartofle, albo parę małych rybek morskich, z rodzaju sielawy, koruszką w Petersburgu zwanych, i kawałek chleba. Mięsa, ani zwierzyny od lat kilkudziesięciu, od tego czasu, jak mówił, kiedy mu się otworzyły oczy, nigdy do ust swoich nie wziął. Upowszechnionem morderstwem zwierząt domowych i rozlewem krwi ich najszczerzej się brzydził i to za piętno Kaina, na rodzaju ludzkim ciążyące, i za źródło mnóstwa nieszczęść i ślepoty świata tego uważał. Z tegoż samego powodu miał za wielki grzech polowanie i myśliwych, z pewnym rodzajem politowania na niego patrzących, ile mógł i jak mógł, od tej pełnej śmiertelnego grzechu zabawy odkłaniał i odwracał. Jak Indjanin jaki żadnego nigdy żyjącego stworzenia nie zabił. A to było dziwniejszem, że w samej rzeczy, czy sekretem jakim, czy cudem, czy instynktem wdzięczności tych stworzeń, muchy, komary i wszelkie inne robactwo, tak w Petersburgu do rozpaczki obfite, nie znajdowały się, nie drażniły go nigdy w jego mieszkaniu; chociaż wśród lata, kie-

dyśmy się od tego opędzić niczem nie mogli, u niego wszystkie okna ciągle otworem stały! Tak chodzą pszczoły po niektórych naszych litewskich bartnikach i nie kęsają ich nigdy.

Pośród tych dyskusyj i dysput o prawie odbierania ciepłego życia jestestwom niewiele niższej od nas porody wyprowadzał często na pole bitwy pełne tajemnicy pytanie: „Gdzie się kryją zwłoki przyrodzoną śmiercią zagastych zwierząt, na swobodzie, w stanie dzikości żyjących?” Rzeczywiście nikt nigdy z myśliwych, nikt z kopaczów, lub pasieczników, nie znalazł nietylko trupa, ale nawet szkieletu takiego zwierzęcia, lub ptaka, chyba że nagłą a sztuczną śmiercią były zamary. A jednak one i naturalnie umierają, tak jak wszystko, co tu wzięło życie!

„Gdzież się to podziewa? odpowiedźcie mi, proszę!” mówił: „Czego dalej szukać? Wróble są półdomowem ptactwem. Wszak one umierać muszą? Pokażcież mnie zwłoki lub szkielety wróbli, oprócz tych, które człowiek, jastrząb, krogulec, mróz wielki lub inny przypadek zabije? Ale wtedy śmierć ich jest przypadkowa.”

Nikt mu tego pytania nigdy rozwiązać nie umiał! On sam także na nie nie odpowiedział nigdy nikomu, chociaż mówił jakby o rzeczy, której tajemnicę posiadał. Ale to najlepsze, że w siedemnaście lat po jego śmierci jeden z tych, co go mówiącego słuchali i słyszeli, w piśmie polskiem publicznem toż samo pytanie za swoje i przez siebie wyszukane ogłosił, nie wspomniawszy nic o tym poczciwym starcu, któ-



ry tyle równie ciekawych, albo i ciekawszych jeszcze nam zadawał pytań.

Oleszkiewicz oddawna mieszkał w ogromnym domu Kotomina, na Jekateryńskim Prospekcie, w domu, mającym wychody i bramy na kilka po-  
mniejszych krzyżujących się ulic. Druga połowa domu tego od tyłów była także oddawna całemu Petersburgowi znajoma, jako ciągle siedlisko najsprośniejszych kobiet.

Tak tedy dziwnym wiecznego antagonizmu wypadkiem najwyższa cnota i najsromotniejsze zepsucie na jednym drzewie i tutaj sobie uwiły gniazdo!!

O różnych tego niepospolitego człowieka serdecznej dobroci dowodach i o niewyczerpanej dobroczynności jego mnóstwo po stolicy i kraju chodziło anegdot, a wiele w takim rodzaju:

Chemik, jakiś z jego przyjaciół, spotkawszy go na ulicy, powiada: „Zajdź do mnie, mam dużo obłamków syberyjskiego lapis-lazuli, spróbowałem z tego zrobić nieco ultramaryny; jeśli będzie dobra, zrobię jej i więcej. Weź to do siebie, użyj i powiedz, czy może być co z tego?” Oleszkiewicz zachodzi, bierze spory paczek, w kwadrat złożony i zawinięty w bibułę, wychodzi z chemikiem razem na ulicę, trzymając ten paczek w ręku, i tu dopiero na trotuarze rozpina surdut i wkłada swoją ultramarynę do dużego starego pugilaresu, znajdującego się w bocznej wewnętrznej kieszeni surduta. W momencie tej operacji przechodził brodac, rzezimieszek, który, dostrzegłszy i wielkości i formy pakietu, akurat domyślił się, że to być mogą asygnaty. Przyja-

ciele, pomówiwszy jeszcze chwilę, rozeszli się. Rze-  
zimieszek krok w krok śledził za swoją zdobyczą.

Oleszkiewicz w mieście, gdzie lud tylko pu-  
blicznych urzędników z nałogu szanuje, nosił zwykle  
surdut mundurowy członka Akademii Sztuk Pię-  
nych, zapinający się aż do szyi. Raptem w ścisku  
czuje, że go coś w piersi ukłuło. Spojrzy, aż ów  
brodacz, przerznawszy mu surduta na piersiach umyśl-  
nie do tego przez złodziejów używanymi nożycami,  
dobywa już stamtąd pugilaresa! Chwyta go tedy  
Oleszkiewicz żelazną ręką za wyciągniętą jeszcze  
łapę i strapionego do pierwszej bramy zaciąga. Bro-  
dacz stał blady jak trup, trząsł się i o miłosierdzie  
prosił. Oleszkiewicz z największą łagodnością za-  
czął mu robić moralne uwagi, pokazał mu, że w tym  
pugilaresie nic dla zysku jego nie było, a grzech po-  
zostałby grzechem. Wyjął z zupełnie innej kieszeni  
ostatnie dziesięć rubli asygnacyjnych, jakie miał  
przy sobie, i oddał złodziejowi z tem, że, ponieważ  
go zapewne niedola i nędza zmuszają do tak ciężkich  
przestępstw, oddaje mu dobrowolnie wszystko, co  
sam ma. Brodacz skruszony, łzami zalany, upadł mu  
do nóg, przysiągł, że więcej już nigdy kraść nie będzie,  
a w dowód tego dobyte z zanadru złodziejskie no-  
życe do głębokiej jamy rynsztokowej wrzucił.

A jakże to nadużywano ciągle jego dobroczyn-  
ności. Naprzykład prześliczna panna Ja..., ubo-  
żuchna, ale dobrze urodzona osóbką, z twarzą  
Madonny, z talją Silfidy, podobała się śmiertelnie  
oficerowi gwardji, hrabiemu B..., sławnemu bogaczo-  
wi, młodemu bardzo człowiekowi, ale najpiękniej-  
szych nadziei i zalet. Hrabia ledwie że nie warjo-

wał z miłości. Już się nawet nieraz przed kolegami z tem oświadczył, że chce się z nią ożenić, byleby wzajemności był pewnym. Za dwa dni miał być bal, na który i panna Ja... zaproszoną była. Rzeczby się na tym balu ułożyła najpewniej, bo i panna do swojego wzdychacza nie miała wstrętu. Ale sukni balowej nie ma za co sprawić! a to w Petersburgu bardzo drogie. — „Oleszkiewiczu, ojczy, dobrodzieju, ratuj nas!” wołają ze łzami matka i córka: „Tylko trzysta rubli na tualetę i los najświetniejszy zapewnisz nam na zawsze!” — Pocziwe trzysta rubli Oleszkiewicza poszły. Bal był świetny. Panna Ja... była najpierwszą jego ozdobą. Hrabia rozkochany, odchodząc od zmysłów, ofiaruje już przecie rękę swoją w jakimś zakątku... ale — trafia właśnie na moment podobnie szczerego ze strony panny obłędu, na moment wzajemnie do ostatnich granic posuniętej słabości!... Hrabia po takich chudopacholskich zaręczynach znalazł natychmiast, ze podobnych przygód wiele dla niego być jeszcze może na świecie i że nie warto z ożenieniem tak bardzo się śpieszyć. — Ale panna Ja... tymczasem rychło będzie matką. — „Ty okrutniku”, wołają teraz na Oleszkiewicza matka i córka, załamując ręce: „ty nas zgubiłeś swojemi trzystu rublami, sprawieniem tej przeklętej sukni! Lepiejbyśmy były nie dożyły tego momentu, kiedy nam szatan podszeptał, żeby się po to udać do ciebie!”... I zbrodniarz Oleszkiewicz, żałując pomimo jej jadu tej pięknej twarzy, i sekret, i akuszerkę, i wszystkie z tego powodu kłopoty i biedy swoim groszem, jakby za własną winę opłacić musiał.

Takich anegdot o nim setkami narachować można.

Niezbędne stworzenia, bez których nikt z nas, co znał Oleszkiewicza, i wyobrazić go sobie w realnem i domowem życiu nie może, były: Fiokła i koty.

Fiokła, Czuchonka! Fiokła, brzydka, jak grzech śmiertelny, siedmdziesięcioletnia staruszka, z piędziesięciu trzema brodawkami i rodzimemi znakami na nosie, szyi i twarzy. Nieoszacowana Fiokła, od lat wielu kucharz, kamerdyner, praczka, szwaczka, słowem wszystko Oleszkiewicza. Fiokła, malutka, sucha jak trzaska, czysta, schludna, najpocziwsza na świecie babina, pełna dobroci, współczucia, miłosierdzia nad każdą niedolą ludzką czy zwierzęcą. Zastanowić się nad tem wszystkiem głową, serce jej nigdy nie dało czasu. Ileż to razy z litości gorzkiemi zalała się łzami, dowiedziawszy się ode mnie, że mi włosy naprzykład puchnąć zaczęły, że pierścień mój na palcu okropnie narywa, że czapkę moją żandarmy do więzienia wtrąciły, albo że podeszwy od kaloszków moich tej nocy okradziono do nitki.

A kiedyś ją potem naprowadził na drogę rozsądnego rzeczy pojęcia, ocierając pocziwe łzy swoje, nie gniewała się za żart na ciebie i z wdzięcznym cnotliwej starości uśmiechem cieszyła się zaraz, że nikogo i niczego żadne nie dotknęło nieszczęście. Serce tam było anioła, a rozumek wróbla. — Nie widziała nic na świecie nad pana swojego — i to zapewne słusznie i mądrze. Ale mnie zawsze inne przychodziły myśli. Nie mogłem odżałować, że Fiokła w tak podeszłych znajduje się latach. Gdy-

byż ją można było cofnąć o jakie lat trzydzieści i z Samuelem Żelwietra ożenić! — Wyszłaby z tego najpewniej nowa i oddzielna rasa ludzi, któraby z czasem zmusiła cały świat wprawdzie obchodzić się bez szkła, fajansu, porcelany i wszelkiego krucho- łatwo stłuc się dającego naczynia, ale której serce, jak za patriarchalnych czasów, radowałoby duszę i oko anielskiego po tej ziemi przechodnia.

Jakie sympatyczne pociągi łączyły Oleszkiewicza z kotami, a kotów z Oleszkiewiczem, tego nikt z nas nigdy nie dociekł. To pewna, że Oleszkiewicz bez kotów żyć nie mógł. To było jego jedyne dziwactwo.

Już zaraz na samym wstępie, kiedy mnie Zenowicz do niego pierwszy raz prowadził, na wielkich paradnych schodach uderzony byłem tym silnie etero-narkotycznym i powszechnie znajomym zaduchem, który dowodził, że tu jest Chanaan, ta prawdziwa ziemia obiecana kotów! Wszystkie jego pokoje tak przejęte były tym silnym odorem, że nieraz damy, co się do niego dla portretów swoich zjeżdżały, wpadały w zupełne mdłości. Jemu to nigdy nic nie szkodziło, ani się nawet tego domyślał. Kiedy umierając polecił, ażeby książki jego przyjaciele na pamiątkę po nim rozebrali pomiędzy siebie, a ja aż w sześć miesięcy po jego zgonie do stolicy wróciłem, oddano mi książki dla mnie przeznaczone, — ale wtedy nawet, dla silnego kociego swędu, w ręku trzymać ich nie było można.

Zwykle, na oczach i w pokojach było u niego od ośmiu do dwunastu kotów różnego wieku, maści i kształtów. Liczba przyzwoita i znośna. Te zamysłone

siedziały, te po kątach i krzesłach spały, tamte nie cacką jakąś bawiły, inne kocim zwyczajem drapały przednimi nogami kozły jego warsztatu, na których się stawia blejtramy; a tak je, o ile dostać mogły, ze wszystkich stron wydrapały, że już u spodu były wszystkie cienkie jak trzcina. Każdy z tych kotów miał swoje imię. Ten — Jaś, ten — Michaś, ten — Ignas, ta — Zosia, Marynia, Rózia. Każdy z nich, za jakimby przez pokój szedł interesem, musiał pierwszej zawsze otrzeć się około nóg jego i drgnąć podjętym do góry ogonem.

Ale to było nic w porównaniu z tem, co było schowane przed okiem profanów, co było u Fiołki! Wstydził się sam przed nami swojej słabości, nikomu nigdy całego kotów swoich nie śmiał pokazać pułku. Raz jednak, nie zastawszy go w domu, skorumpowałem różnemi grzecznosciami Fiołkę, że mi do swoich apartamentów drzwi otworzyła. Ażem się zadziwił. Mało, jeśli pięćdziesiąt innych kotów tam jeszcze gościło oprócz tych, co były w pokojach.

Oczywista, że się ciągle między te zwierzęta, w tak wielkiem towarzystwie i w izbie ciągle trzymane, wkradać musiały rozmaite zarazy. Największa ich część była chora, wychudła, kaszłała, kichała i różne tym podobne, a mniej estetyczne, co moment jawiła symptomy. Wszystko to zostawało w mieszkaniu Fiołki i gorzej jeszcze zarażało powietrze. W przecięciu, najmniej dwanaście kotów ciągle było chorych. Tym sam Oleszkiewicz sprowadzone z apteki administrował lekarstwa. Namazane i natarte własną ręką jego maściami i mikstu-

rami, sadzane były latem i więzione we szwedzkich piecach. Ale najśmieszniejszy widok czyniły koty z wanien świeżo wyjęte, zmokłe, oblaźłe, wychudłe, żałośnie miauczące, czchające i coś jeszcze głośno robiące tak, że nie można było wytrzymać od śmiechu, z którego Oleszkiewicz wcale nie był kontent, bo sam ledwie że nie płakał, patrząc na ich niedolę. Tegom na sobie doświadczył, kiedy raz, zrozpaczony rozprzestrzenioną w jego menażerji nieuleczalną piersiowych suchot zarazą, w moich aż wiadomościach szukał współczucia i rady na to wielkie swoje nieszczęście.

Baron Weidlich, ogromnie, kuliście tłusty i potrzebujący mocji, a wesołego humoru człowiek, nie mając względu na te znakomitego męża słabości, kiedy raz w lecie, nie znalazłszy go w domu, zastał w jego pokoju kilka kop kotów, używających przy otwartych oknach świeżego powietrza, ogromnym, co go miał w ręku, kijem tak je pomimo próśb i łez Fiołki jał tłuc, upędzać i ganiać, że większa połowa nieboraków, z takim obejściem się nie zwykłych, przez okna na ulicę sadzić zaczęła. Tam się wylęгло znowu największe podziwienie przechodniów, których się zaraz wielka masa naprzeciw okien Oleszkiewicza jak na cud jaki zebrała, pojąć nie mogąc, skąd tyle razem stamtąd bierze się kotów. Oleszkiewicz zawsze o tym Weidlicha postępku z niejaką goryczą i ubolewaniem wspominał.

Koty i kocięta, czy w wielkich ogólnych, czy w cząstkowych epidemjach, albo i w sporadycznych chorobach u niego zmarłe, starannie owinięte w bibułę, a potem w siny papier od cukru i szpagatem

obwiązane, chowano na poddaszu domu, gdzie ciągle mieszkał i gdzie jakby umyślnym i szczęśliwym dla tego egipskiego obrzędu trafem, ogromne masy piasku na sufity nawieszane były. Można sobie wyobrazić, ile to, przy nieustannej śmiertelności, przez kilkadziesiąt lat zebrało się mumij na tym poddaszu. Z jakim to zadziwieniem kiedyś antykwaryusz, albo naturalista jaki, znalazłszy tam te szczątki, skrobać się będzie w łysinę i robić domysły o przyczynach, które na to miejsce tyle kocich zwłok ściągnęły.

Czy swawola, czy litość zaprowadziły modę podrzucania Oleszkiewiczowi kociąt tak, jak gdzie indziej podrzucają dzieci. Przyjmował je i wychowywał. Ale, kiedy i sam już wiedział, że się tego zanadto nabrało, rozdawał je znajomym, oddawał babom, stróżom domu na tej ulicy, stróżom policyjnym, budnikami zwanym. A jak ci przyjąć tego ciężaru nie chcieli, albo jak się z ich miny zgóry domyślił, że wychowańcy jego nieraz i głodem morzeni będą, naznaczał za nie miesięczne pensje i te sumiennie i akuratnie zawsze wypłacał.

Wypadałoby teraz powiedzieć może słów kilka o Oleszkiewicz, jako malarzu, a szczególnie o kolorycie jego, ponieważ ten w swoim czasie największe u znawców i za i przeciw — wywoływał spory.

Trudne to dla obcego tej wielkiej i boskiej sztuce zadanie! Jak odważyć się mówić o tej poezji, skryształizowanej w szacie kolorów i objętej kołem wszystkich pierwiastków tęczy!...

Włóścianie nasi mają przysłowie: „*Koli nie pop, nie ubierajsia w ryzu*“. To też nie będę o tem mówił



jak znawca... Śmiałość moją chyba tem jednym jakkolwiek usprawiedliwić mogę, że wrodzoną do tej sztuki miałem namiętność, że jedną z największych przyjemności życia mojego było siedzieć za krzesłem artysty i patrzeć, jak pomału na jego płótnie i świat i ludzie rodzić się, zaokrąglać, wychodzić i przyrodzonych form albo i wzniosłych ruchów i kształtów zaczynają nabierać. Że od młodości z wielu wielkimi artystami ścisłymi byłem połączony węzłami i zdań ich słuchałem. Żem dużo widział w życiu najślawniejszych arcydzieł. Że dziś powiem jeszcze na pamięć, gdzie jaki obraz zawieszony, naprzykład, w Muzeum Luwru, że nakoniec nieraz niejeden sławny i wielki mistrz sztuki zaszczycił mnie ufnością i z planu swojego zwierzył się przede mną, a niekiedy nawet i przyjął uwagę...

Ale tu jeszcze nowa trudność i bieda, że ja tym pięknym, szumnym, cacanym, buńczucznym językiem, jakim teraz o sztuce mówią, na moje nieszczęście mówić nie umiem!

Dziwiłem się nieraz, że ludzie, co bez porównania mniej ode mnie widzieli, mniej widzieć starali się, co bez porównania mniej o tem w życiu ze sławnymi artystami mówili, a nawet co mniej czuli, tak bogatemi słowy przyozdabiali potem po książkach i gazetach sądy swoje o sztuce. Nie wiem dlaczego, zdawało mi się wtedy zawsze, że to była tylko owa śnieżnej białości piana, w ogromnych do brzegu morza zbliżającą się kłębach, a która, jak ją ujmiesz w naczynie, za ledwie kilka kropel da wody. Podług mnie im kto suchszy i głupszy, tem więcej mówi i pisze o sztuce i o filozofji, tem więcej lubi napuszoność, albo jak

Rosjanie przedziwnie mówią, *wysokoparnost'* frazesów.

Zdarzyło mi się raz w Petersburgu, że przyjechałem wieczorem na chwilę z wizytą do pewnego domu. Prócz wielu dam i mężczyzn zastałem tam i Mickiewicza. Trafiłem właśnie na rozmowę o homeopatii, której samo imię w stolicy zaledwie znajome jeszcze być zaczęło podówczas. Proszono mnie, żebym im dał jakieś wyobrażenie tej nowej teorii. Obejrzawszy się naokoło i widząc, że niema nikogo prócz naszego wieszczka, coby mnie mówiącego językiem nauki rozumiał, zebrałem myśli, zastanowiłem się chwilę, jak mam powiedzieć, i potem teorię, objaśniając jej tajniki w sposób do pojęcia każdemu łatwy, wyłożyłem, jak umiałem. Damy i mężczyźni zrozumieli wszystko, zadawali mnie logiczne dosyć zarzuty, dziwili się, że to tak proste, i ogólny wykrzyknik naszego kółka był: „*N'est-ce que cela!*?”

Wyjechałem. Po mnie wszedł tam ktoś inny, co także miał prawo o tem mówić. Temu podobnąż zadano kwestję. Różną jak z katedry, wtykając tysiące niezrozumiałych greckich wyrazów, starał się, ile można, zaciemnić materję, bo tam nawet zasad i celu teorii nie rozumiał zupełnie. Nikt go także nie mógł zrozumieć. Ale użyte techniczne wyrazy wszystkim były w uszy. Cieszono się, podziwiano, że do nich tym uczonym językiem mówią! Po wyjeździe jego oddano palmę wykładu temu, którego i nie zrozumieli i zrozumieć nie mogli. Nazajutrz Mickiewicz, który tego wszystkiego był świadkiem, spotkawszy mnie, śmiejąc się opowiadał rzecz i srodze natrząsał się z głów ludzkich, jak woła raczej nic nie

wiedzieć, byleby rzecz dla nich w tajemniczych wyrazach wyłożoną była, niż poznać coś gruntownie, jak tylko się to wykłada i czysto i jasno.

Odrzućmy tedy napuszone i kwieciste wyrazy, a mówmy o tem poprostu, jak stary kontuszowy szlachcic. Może nas wówczas każdy zrozumie i algebraicznego w tem wszystkim nie znajdzie zadania...

Oleszkiewicz był bez żadnych wątpliwości jednym z największych naszych polskich malarzy. Nie jest jednakże jednym z najpierwszych malarzy w masie europejskich wielkich artystów nowoczesnej sztuki. A lubo zostało po nim kilka obrazów, które do arcydzieł kiedyś w całej Europie świat śmiało i sprawnie policzy; lubo za takie szczytne zostawienie po sobie pamiątki ucałowaćby mu trzeba i ręce i nogi, to jednakże nie dają prawa temu, co go znał, we wszystkich kierunkach spełnionego kapłaństwa sztuki nazwać go geniuszem.

Oleszkiewicz, sądzony, rozumie się, jako mistrz, niezupełnie śmiały i pewny w rysunku, nie łatwo doskonałej anatomji ludzkiego ciała pamiętny, nie namiętnego, rzutkiego, zuchwałego pendzla, trudny był dosyć i w kompozycji. Każda poza kosztowała mu długiego namysłu i długiego czasu, kiedy się do tego zabierał. Nie tak, naprzykład, jak Suchodolski, co setkami obrazów na miesiąc, jak z rękawa, sypie i *alla prima* wszystko wykończa. Ale rodzaje tych dwóch mistrzów są od siebie całkiem różne. To są indywidualności i Suchodolski nigdy tego znowu nie robi, co jak z płatką wywijał Oleszkiewicz. Pewny nawet jestem, że mu to

wszystko łątwoby nakoniec przyszło, bo miał pełną ognia imaginację i wiele gustu, gdyby mu gwałtu nie wołał nad uchem wyslizgujący się z rąk co moment kawałek powszedniego chleba i zmuszał go oddać się później wyłącznie portretom.

Dwa wielkie, prześlicznie ugrupowane i dziwnie piękne obrazy jego, kiedyś do Potemkinowej, a potem do drugiego męża jej, Markiewicza, Polaka, należące, i kilka boskich Madonn, nie licząc mnóstwa portretów — jeśli tego jaki przypadek ze świata nie zbierze — pozostaną wiecznymi świadkami jego niepospolitego, świetnego i wyższego talentu. Ale, jak mówią, żeby się tym wyższym rodzajem ciągle zajmować, trzeba było mieć los zapewniony. A tu mu nie stawało nigdy!

Jeszcze nie skończył portretu, a już pilnowano go, już czatowano z piętnastu punktów u wszystkich drzwi domu, owszem u wszystkich rogów ulicy, o tem tylko myśląc, jak lepiej napaść na niego, jak pod pretekstem nędzy, choroby, głodu, potrzeby wyprosić wszystko, jak wydrzeć mu wszystko w rodzaju jałmużny i wsparcia. A on się, jak jagnię pomiędzy kolcami i ostem, nigdy z runem swoim nie bronił. Owszem sam mieszek otwierał z ochotą, rozdawał wszystko i znowu turecki święty do domu wracał. I znowu nie było za co kupić dwóch małych rybek i kawałka chleba.

I Fiokła znowu załamała ręce — a koty znowu smutne rozeszły się myśleć po kątach.

„Nie płacz, uspokój się, Fiokło! Dostań dla nas skądkolwiek kawałek chleba, tylko na dzisiaj.

Jutro, widzisz, znowu te dwa portrety będą gotowe i będą pieniądze“...

I zaśmiała się Fiołka weselszym śmiechem, i koty zrozumiały go także i swawolić zaczęły. Wyszły na świat jutro nowe i duże dwa portrety — weszły znowu za nie duże pieniądze. I znowu różnego stanu i wieku nielitościwa hołota wszystko w siebie z jego kieszeni wciągnęła.

O jakże każdy z nas wtedy żałował, że mu Bóg nie dał wielkiego majątku dla podtrzymania takiego anioła.

Ale zważcie tylko tymczasem to sobie, że każdy grosz jego był sumienną pracą nabyty. I że Oleszkiewicz, jak ów apostoł-artysta, to, co z niej otrzymał, wszystko oddawał bliźniemu, sam podług ewangelicznej nauki pozostając przy kromce chleba i małej, ubogiej rybce.

Nie pamiętam rodzaju i stylu naszego artysty w obrazie Chodkiewicza odchodzącego od ślubu, bom się z nim nigdzie od owego, jak opisałem, czasu nie spotkał. Ten jednak ogromny obraz, który już w Petersburgu, dla otrzymania stopnia członka Akademji wykonał „Śmierć Klytemnestry“, stał ciągle u niego i był czarny jak węgiel. To była pierwsza jego epoka. Wszystkie z owego czasu malowidła jego tenże sam miały charakter. Ale im się więcej dusza jego w ogniu religji, cnoty i miłości bliźniego przepalać, jak amiant, zaczęła, tem więcej koloryt jego stawał się światłym, miękkim, powietrznym. Średnią epokę i właśnie tę, co mu najwięcej przyniosła sławy, stanowią dwa ogromne obrazy, jeden z Ewangelji — „Chrystus wśród apostołów“, drugi

alegoryczny — „Dobroczynność“, które, jak już wspomniałem, zostały w posiadaniu Markiewicza po żonie jego Potemkinowej. Co się dalej z niemi stało — nie wiem, bom słyszał, że i Markiewicz stracił swoją wielką po żonie otrzymaną fortunę. Szczególniej obraz święty uderzał swoją wzniosłością, pięknością i dobrym smakiem, a oba prześlicznem ugrupowaniem osób, wdziękiem ich twarzy, rzadkiem bogactwem draperji — a co najwięcej — życiem i duszą. Twarz uosobionej dobroczynności jest portretem cesarzowej Elżbiety, małżonki Aleksandra I.

Oleszkiewicz jednym był może artystą na świecie, który miał dar, miał genjusz stworzenia najszlachetniejszych, zadziwiających pięknością draperji prosto z pamięci. Nikt u niego nigdy manekinu nie widział. A jakież to boskie robił draperje! Szło to jemu od ręki, jak z płotka. Nieraz siedząc za nim własnym oczom moim wierzyć nie mogłem, że ten człowiek to wszystko w głowie swojej znajduje i szukałem gdziekolwiek po ścianach zawieszzonego wzoru, z którego on te prześliczne składki szat i sukien bierze. Wielem widział pracujących malarzy; ale podobnej wyłącznej zdolności nigdy w życiu mojem w nikim nie dostrzegł. To nawet może główną jego pozostanie cechą, jak tylko ludzie od kogo się dowiedzą, że te zadziwiające miękkością i dobrym smakiem draperje leżały tylko w głowie artysty.

Wszystkie prawie jego portrety, nigdy inaczej jak naturalnej wielkości nie przedsiębrane, były wygładzone, wycackane. Były, że tak powiem, duże minjatury, malowane olejno. Świeżość kolorów,



J. OLESZKIEWICZ

*DR. ARENDT*





świeżość rumieńca — były w oczy! Nie znalazłeś tam nigdzie owych śmiałych rzutów pendzla, owego światła, jak guz, nachlustanego i przylepionego jednym zamachem do wypukłości twarzy, jak się to praktykuje u wielu innych portretowych artystów z wielkim niekiedy dla niektórych rodzajów fizjonomij efektem i z wielkim zawsze dla artystów poklaskiem. Prawda każe powiedzieć, że ręce u niego w portretach czy męskich, czy żeńskich były zawsze zaokrąglone, pulchne, wymuskane, — i, odrzuciwszy rozmiar, były zawsze żeńskie, a nawet wychuchane żeńskie. Nie znalazłeś tam tych żył, tych rowów, tych marszczek, tych narostów, tych pękacizn, jakie się ciągle na męskiej łapie postrzeżać dają i których twardą, silną, potężną niezgrabnością tak się często i słusznie inni chełpią artyści. Były to zawsze wielkie, albo małe rączki. Czy nie chciał tego zrobić inaczej, czy nie mógł? — to już jego sekret. Gust w doborze kolorów, draperyj, sukien miał nieporównany. Mógłby pójść *de plagis* z najpierwszą modystką Paryża.

Oleszkiewicz, dusza czysta, anielska, miał dar szczególny upiększania twarzy, zachowując jej podobieństwo. W portrecie jego włos posępny i smutny załśnił się zaraz szklistym odblaskiem; oczy małe przerobiły się na wyraziste i wielkie; zapadła szczęka zrównała się z dumną i na wierzch wyłazłą kością i zarumieniła wdzięcznym, młodości rumieńcem. Gęba szeroka przysła do stosownych rozmiarów; bladeść ust śmiertelna pokryła się koralem. Nastawione uszy do ciemion przyłgnęły; wole nawet zmieniło się w okrągłą i pełną, lecz wiele żądz obudza-

jącą szyję. Gładka, jak stół, a sucha, jak stokfisz piersiowa deska proporcjonalnych wypukłości nabrała. Sterczące i ostrokołem najeżone obojczyki i żebra gdzieś tam daleko pod tłuszczem i białego ciała sinemi żyłkami — przycichły. A wszystko razem było podobnem. Oleszkiewicz w życiu swoim portretu *en laid* nie zrobił, bo go zrobić nie umiał. Tak czuł on siłę piękności, tak wiele miał dobrego smaku, tak wrodzonym, własnym instynktem pomyłki formacji twarzy ludzkiej odgadnąć i sobą samym naprawić je umiał.

Czy to rzecz łatwa, czy to jak po maśle każdemu idzie? — Odpowiedzą ci, co się sami sztuką zajmują. Umieć uidealizować, upoetyzować fizjonomję mało znaczącą — wielki talent i wielka zasługa.

Stąd kobiety ostatni grosz niosły, przy takiej ciźbie malarzów, byleby tylko mieć portret Oleszkiewicza. Szalały za tem.

Gdyby portrety jego nic nie były warte, dla czegożby cała najdrażliwsza połowa stolicy, wszystkie wszystkich stanów kobiety tak się do jego pendzla cisnęły? Możnaż tej płci odjąć te przywileje, które ona od Boga posiada: takt i czucie lepsze, pewniejsze, prędsze od naszego? Z pomiędzy dwóch sędziów o tem, co piękniejsze, co miłsze wpada do oka, któremuż zawierzysz? Czy sądowi mężczyzny, czy sądowi kobiety? Odpowiedź jasna i pewna: zawierzysz kobiecie.

Zapewne nie znalazłeś w jego portrecie tych plam i brodawek, tych wad ukształcenia twarzy, które się znajdowały w subjeckie — zgoła. To była twarz upoetyzowana, więcej do podobieństwa Bo-

skiego zbliżona. Alboż to grzech? — Nie tak prawda było u Daua, co światła twarzy, jak płachty zuchwale na płótno lepił, co wszystkie twoje policzył zmarszczki, co ospę i brzydkości twoje i nieprawości duszy twojej na dłoni pokazał; i oko twoje, jeśli je masz kose, bardziej jeszcze skosił dla lepszego efektu. A tymczasem i u tego, i u tego twarze były nadzwyczaj podobne. Czemu się to żadna z kobiet do także równie sławnego Daua po swój portret nie poszła?

Rodzaj Oleszkiewicza był rodzajem serdecznym, ckliwym, czułym, rzewnym i w tym tylko kierunku wzniosłym. Przedstawiłby on ci cudownie Heloizę płaczącą nad nienagrodzoną stratą Abeillarda, Wandę poświęcającą się dla kraju, — Jadwigę, przenoszącą przez ducha ofiary obrosłego jak niedźwiedź i trącającego wilkiem Litwina nad oblanego wszelkimi wonnościami Wschodu, wystrzyżonego, utrefionego, wypieszczonego Niemca. Możeby on ci nawet odkrył całą piękność przedśmiertelnej, majestatycznej rozpaczy Marji Stuart; a może i pieczoną na ogniu etruskim bohaterskiego Scevoli rękę. Ale Brutus, ale Neron, ale Atylla, ale Bolesław Śmiały, ale Iwan Groźny, ale Cezar Borgia — wyglądałiby u niego jak tylko co wyszłe z pensji szesnastoletnie dziewczęta. *Unicuique suum!*

Robiono zarzut Oleszkiewiczowi, że cienie jasnych, a szczególnie ponsowych, szafirowych i zielonych draperyj, oznaczał tymże samym, tylko bardzo zciemnionym kolorem. Tak rzeczywiście było w jego przepysznym allegorycznym Potemkinowej obrazie. Ale, jakże myślicie? Czyż on o teorii cie-

niów nie wiedział? Kiedy my, w tej sztuce profani, tak dawno o tem wiemy? Czyż ten obraz nie był zachwycającym i pięknym? Czy nie miał wlanego ducha i życia? Teoria cieniów zaczęła się od świadectwa oka. A więc, dla samego różnym zmianom uległego ukształtowania u nas tego szlachetnego organu rzecz ta musi być i pozostać względną i w indywidualnym tylko czuciu mieć swojego sędziego.

Czyż dla tego, że widzisz po nocy trzydzieści osób, w różne ubranych suknie, ubranemi na czarno, wszystkie ich suknie czarne być mają?

Wogóle mówiąc, gdyby nie zostało nic więcej, prócz owych dwóch obrazów, czterech czy pięciu Madonn i kilku tylko portretów Oleszkiewicza, wy, wszyscy Polacy, zegnijcie przed nim kolana i idźcie się modlić na jego grobie.

Oleszkiewicz do śmierci był czcياً przejęty dla mistrza swojego Dawida. Miał go za cnotliwego, ale ziemskiego, materialnego człowieka, za czystego republikanina z czasów Brutusa. Nieraz mi komentował owe sławne, a straszne, a włos na głowie jeżące słowa, które Dawid, z zimną krwią przy czynnie działającej gilotynie siedzący, jednemu ze znajomych przechodniów powiedział: „*Que fait tu là David?*“ zapytał ów znajomy. „*Je saisis les derniers instants de ces misérables*“ — odpowiedział Dawid.. I w rzeczy samej, kiedym się sam wzrokiem duszy mojej na siebie obrócił, kiedym sobie przypomniał, że ja, kochając świat i ludzi, w pierwszym jeszcze życia mojego poranku, z miłości ludzi, z miłości nauki dla nich stworzonej, nie raz siedząc przy łóżku bez nadziei chorego człowieka uczyłem się ostat-

nich jego momentów, — kiedym sobie przypomniał, że pomimo to, gdyby wówczas Bogu podobało się wziąć moją duszę w miejscu rozciągniętego na tem łożu boleści konającego bliźniego, dusza moja możeby godną była jeszcze podówczas stanąć prosto przed Najświętszym Najświętszego Tronu Podnóżkiem, pojąłem wtedy, że i wielka ziemską cnota, może w gminnych oczach za wielką uchodzić nieczułość i zbrodnię. I że równie Zło jak Dobro nieraz trącać mogą o też same struny i też same, choć z innym zupełnie celem, dla uszu ludzkich wywoływać dźwięki.

Któż po tem wszystkim, com o Oleszkiewiczu powiedział, nie przyzna mu monumentalnej wyższości nad tą wielką masą ludzi naszych, co już w pierwszej połowie XIX wieku z widowni świata zniknęła. Śmierć jego była śmiercią cnotliwego i Bożego człowieka. Mimo całej wstrzemięźliwości życia, w średnim już wieku nabyta w klimacie dla Polaków zabójczym i probująca cierpliwości jego po wszystkich stawach podagra męczyć go silnie zaczęła. Długo ją znosił. Ale potem zmuszony ratować ręce sam się gwałtownie począł leczyć środkami i pomimo ostrzeżeń wielokrotnie dawanych wpędził ją nakoniec, jak to zwykle bywa, do płuc i do kiszek i z ich gwałtownego zapalenia otoczony wszelkiem spółrodaków staraniem umarł — i umarł, jak święty.

Żal powszechny po nim długo się jeszcze we wszystkich sercach odzywał. Można go bowiem było kochać mniej, albo więcej, ale nie kochać go było niepodobieństwem. Niektórzy nasi Polacy-magnaci, co za życia jego jednym zamówionym por-

tretem, jemu nieraz wsparcie, a sobie piękną daliby pamiątkę; ludzie, którzy nie zawsze umieli go cenić, potem łzami zalani kładli tysiące na jego trumnę dla sprawienia mu przyzwoitego pogrzebu.

Oleszkiewicz i z powodu wziętości swojego talentu, i z powodu rzadkiej cnoty i dobroci serca, i z powodu wysokich stopni w szanowanym zawsze, a dozwolonem długo w Rosji wolnomularstwie był w bardzo ważnych, a niekiedy zadziwiających nawet naszą młodzież stosunkach z mnóstwem osób, bardzo wysokie piastujących posady. Przyjmowano go tam z wielkiem poważaniem, czasem jak poczciwego marzyciela, zawsze jak godnego uszanowania i niepospolitego pod każdym względem człowieka. Skromny był wielce w pokazywaniu się w tych kąpiących złotem i zbytkiem pokojach i używał tego, jak pisma, w ostatecznych tylko zdarzeniach. Kiedy się tam pokazał, kiedyś go tam spotkał, mogłeś pójść o zakład, że to było zawsze i wyłącznie dla poratowania jakiegoś wielkiego nieszczęścia, że to było w celu wyzyskania pomocy i protekcji przeważnej osoby dla zdolnego, a bez wszelkiej opory wplątanego w wir świata nędzarza.

Jednem słowem, wszystko, coś w nim i około niego kiedykolwiek widział, zdawało się mówić, że oprócz powołania swojego i poświęcenia się sztuce inną jeszcze ten człowiek miał misję. Ale też wszystko dzisiaj mnie przekonywa, że on odszedł niepoznany od nas dla tego, żeśmy go poznać nie byli warci. Już i to szczęściem dla niego było niemalem, że nikt na niego nie rzucił kamieniem.

Stoisz już u podnóżka Najwyższego Tronu od dwóch lat dziesiątków, święty człowieku, i purpurę płaszcz twojego rozciągasz zapewne nad ukochaną od ciebie, ale nieszczęsną dotąd krainą!...

Cóż znaczą lat dziesiątki, kiedy je porównamy z tym dalekim czasem, w którym i nasze i przodków naszych grzechy okupić już będzie można!...

---





VI.

*MARJA SZYMANOWSKA*



Witaj mi stary, drogi, wierny, jedyny już w życiu przyjacielu! witaj druhu, którego powrót w mój domek tak wielkiem co rok dla mnie jest świętem, z którym rozstanie gorzkiemi zawsze oplakuję łzami, którego oblicze tylko mi zawsze radosne w życiu przyniosło chwile! Witaj przyjacielu! Duszo duszy mojej!...

Od tylu lat, jak mnie porzucasz, żegnam się z tobą zawsze jakby po raz ostatni, i dotąd dobroczynna Wszchemocnego wola jeszcze mi ciebie spotykać na progu moim dozwala. Witajże wiosno! nasza anielska, litewska wiosno! Witajcie rozwijające się listki drzew wszelakich! Witajcie kwiatki, pierwiosnki! Witaj drgające ciepłem, świeżością i życiem powietrze! Witajcie, jasne, ożywcze, długie promienie słońca! Witaj życiodawcza wiosno! Witaj rodzący się Maju!... I ty mój drogi, mój nieoceniony ptaszku, co z bracią twoją w mały raj co rok zamieniasz mój skromny ogródek, moje piękne Ustronie, witaj wielki Boży śpiewaku, wielki Boży artysto, witaj słowiku!... Witajcie wszyscy wiosny towarzysze! Wchodźcie tu w dobrą godzinę! Domek mój czysty i schludny! Serce moje dla was na rozcież poczciwie otwarte! Uściskajmy się myślą z tą serdecznością, z jakąśmy się przez lat tyle serdecznie kochali... W tej chwili — kiedy nas nikt

już nie kocha, kiedyśmy wszystkie życia stracili złudzenia, kiedy krew własna przeciwko krwi własnej stawi obozy, samotni, odłączeni, oddaleni od świata odszukajmy przynajmniej dzisiaj pamięcią dawnych naszych ludzi! Zbudźmy ich wyobraźnią ze snu wiecznego. Oddajmy hołd należny ich przyjaźni, ich sercu, ich zasługom, ich cnotom. Z nimi nie jeden maj zaczynaliśmy razem!... Tak, niechaj ten dzień poświęcę pamięci przyjaźni!

O, pamiętam — kiedyś — to już dawno było — jedna z jasnowidzących, uspiona przeze mnie, prosto tylko dla uczczenia modlitwą dawno już zgasłej matki swojej klęczała w dzień pogodny i jasny u jej świętego grobu. Ona upadła na twarz. Ja tuż przy niej stałem; ona wmawiała we mnie, że duży, piękny nieznanomego mnie gatunku motyl, co wkrótce po wzniesieniu się do Boga jej gorącej modlitwy na krzyżu grobowym był usiadł, co śliczną kolorów swych tęczę i oczom słońca i naszym oczom odkrywał, co tam jakby umyślnie, jak przykuty przez cały ten czas przylgnał do krzyża, a po modlitwie natychmiast uleciał, był właśnie duszą jej matki, świadcząca i objawiająca się w tym kształcie ziemskim córki pobożnej oku! Urażałem tej myśli w sercu mojem. Radą i dowodami czystego rozumu prostowałem te spaczonej egzaltacji wyobrażenie. Byłem wtedy młody! Byłem sprawiedliwy? Nie! kto z nas zgadnie, jaka i czyja dusza w jakim i czyjem bawi się życiu...

Kto zaręczy, że i ty, wdzięcznego pienia ptaszku, że ty, słowiku, co taką rozkosz rozlewasz na moje zmysły, nie jesteś w tej chwili tłumaczem uczuć zga-

słego już przyjaciela? — lub przyjaciółki naszej? Przyjaciela! Przyjaciółki!... Imiona to znajome... rzecz dawno zmarła!...

Gdyby się jednak rzeczywiście w tem pienu czyjaś przejawiała dusza, czyjażby ona tutaj być mogła, jeśli nie twoja, starodawnemi cnoty, staroświecką jeszcze przyjaźnią kiedyś ze mną złączona, ozdobo płci twojej, polski nasz słowiku, Marjo Szymanowska?! Ty, jak ta kula niebieska, którą meteorom zowią, wyrzucona wichrem domowej burzy z pod łagodnego nieba naszej poczciwej Warszawy, zbiegłaś oświecić ledwie że nie ostateczne krańce ciemnej, zimnej, dalekiej północy ostatniemi promieniami bengalskiego ognia. I ozdobiwszy ten koniec świata jasnością twego genjuszu, tam, na tych wiecznych błotach ziemi, na tych wiecznych bagnach serca, jak meteor także zgasłaś. Tam w tych lodami skrzepłych, nienawiścią ku nam dyszących strefach leżą zwłoki pięknego ciała, które kiedyś pełną Boskiej miłości kołysały duszę.

I żaden Polak przez lat dwadzieścia nie wspominał o tobie! Żaden w samotnych życia swojego marzeniach nie zbudził pamięci tych złotych chwil, które twojej gościnności, twojej uprzejmości, twojemu rzadkiemu talentowi był winien. Żaden z domu twojego nie uniósł ani zdźbła wdzięczności za to, że obcy przybysz w stolicy w tobie tylko jednej znalazł najczęściej i współczucie, i pociechę, i pomoc, i radę i że u ciebie poznał tych ludzi, którzy mu potem do-pomóc mieli w dalszym jego losie!...

I przyjaźń, starsza siostra miłości, w wiejskiem Ustroniu przez lat blisko dwadzieścia z utęsknie-

niem czekała, kiedy się o jej serce odbije echo tego zacnego imienia, kiedy go pióro godne tego przedmiotu wywoła... Ale wszędzie głucho i pusto. I oto niedoleżna pustelnika ręka rzucać musi nakoniec więdnące w jej dłoni kwiaty na te znakomite i pełne zasług popioły!...

---

Zbieg rozmaitych i krzyżujących się z różnych kierunków na jednym punkcie okoliczności zbliżył mnie w stolicy Rosji z Marją Szymanowską. Wzajemne podobieństwo naszej ówczesnej pozycji wkrótce tę znajomość w ściślejszą zamieniło przyjaźń. W przyjaźń tem szacowniejszą i większej godną pochwały, żeśmy wtedy byli oboje młodzi, że ona była piękną, a ja nieułomek. Jeszcze był w Wilnie, kiedy mnie jej sławne *Exercices* kosztowały dużo i dni i nocy. Bo kiedyś i ja miałem do fortepianu i pretensję i skłonność. Rodzice moi, co zimę mieszkając w Warszawie, ściśle zbliżeni byli ze znakomitym i szanowanym powszechnie domem Ludwikostwa hrabiostwa Platerów. Sam uważany był za jedną ze stałych gwiazd na horyzoncie warszawskim; sama, Hilzenówna z domu, łagodnością, dobrocią, pobożnością, miłosierdziem w sercu każdego warszawianina sprawiedliwy uszanowania hołd odbierała.

Ludwik Plater, w podróży zagranicą napatrzywszy się na fenomena magnetyzmu zwierzęcego u profesora Wolfarta w Berlinie i u wiadomego szarlatana - Żyda, a wszystkich rządów północnych szpiega, Koreffa, który wtedy był domowym księcia Hardenberga lekarzem i z niejaką panną Haenel cu-

da magnetyzmu wyrabiał, Ludwik Plater, powiadam, rzucił się do magnetyzmu z niestosownym do wieku swojego, bo z młodzieńczych porywów zapałem. Szymanowska, z zacnego, dostatniego i z cnót prywatnych znajomego domu w Warszawie idąca, miała dobrze starszą od siebie rodzoną siostrę pannę Julję Wołowską, od dzieciństwa przez ospę najzupełniej pozbawioną wzroku. Jak zwykle w nieszczęściu Bóg jej nie odebrał nadziei. Roilo się tej poczciwej i dobrej Julji, że nadzwyczajne i cudowne środki mogą stracony organ cudownie przywrócić. Myśl ta pochlebiała szczerze kochającemu ją rodzeństwu, a Szymanowskiej szczególnie, bo ją ta siostra pomimo ślepoty swojej wynosiła na rękę i jak własne dziecko kochała. Szymanowska, perła rodziny, udała się z tym projektem do magnetycznego zażorzalca Platera. Ta styczność z domem Platerów wprowadziła ją w styczność z domem moich rodziców, w którym także kwitnął magnetyzm. Ojciec mój, odwieczny wielbiciel kobiet i szalejący za muzyką, a i sam nawet kiedyś na dwóch instrumentach amator i śpiewak, nie mógł się nacieszyć boską grą Szymanowskiej i rzadki talent naszej pięknej Polki najszczytniejszemi ustami wysławiał. Jeszcze dotąd zdaje mi się, że mi zostały w uszach ogromne dziury od wszystkiego tego, co mi zawsze i ciągle za powrotem swoim do Litwy o niej rozpowiadając wysłuchać kazał. A kufry całe jej kompozycjami ładował i woził je dla mnie z Warszawy. Znałem tedy i lubiłem już Szymanowską, jak pełną czucia kompozytorkę.

Mąż jej p. Szymanowski, człowiek majątny, uczciwy, cywilizowany i światły, ale prawdziwy mąż,

mężczyzna, *mari monstre*, nie mógł się w żaden sposób nastroić w ton młodziutkiej żony swojej i stąd ciągle w domowej orkiestrze robił dysonanse; zagorzały amator gospodarki rolnej i koni, chciał z żony koniecznie skrzętną i dobrą zrobić gospodynię, chciał ją z wdziękami nie wsi, ale gospodarstwa wiejskiego oswoić i bez żadnej wstecznej myśli nieraz jej, na przykład, w połoгу leżącej, kazał do łóżka pięknego przyprowadzić źrebca, żeby się nim przed kochaną żoną popisać. Nieraz też w takiejże epoce i nad uchem bębnić kazał, zwołując na śniadanie lub obiad domowy czeladkę, i myślał, że to ją doprawdy rozewie, rozśmieszy, serdecznie zabawi. Na nieszczęście to wszystko zupełnie przeciwne wywołało skutki. Tenże sam człowiek z drugą żoną swoją był i żył wzajemnie szczęśliwy, bo się do siebie dobrali. Pierwsza do tego stopnia stoicyzmu nigdy dojść, nieboraczka, nie mogła. Oboje ludzie dobrego serca i czystej woli, uczuli to nakoniec, że się dla siebie wzajemnie nie zdali. Szymanowski nie był, jak widzicie, poetą; przy rozstaniu się z żoną, udzielając coś na ich wychowanie, narzucił na nią spłodzone z nią troje dzieci, ona je z otwartymi przyjęła rękami. I dotąd dostatnia, owszem majątna młoda kobieta raptem w innych stanęła szatach.

Ale przeniosła nad wszelkie dostatki swobodę duchowego życia, przenosząc czarowne dźwięki swego fortepianu nad miłe dla jej męża, ale mało dla niej ponętne rzenie tureckich źrebiąt. „Mam dany talent od Boga”, powiedziała sobie: „wyżywię nim i siebie i dzieci”. Powiedziała i zrobiła z tą szla-





JACQUES

MARJA SZYMANOWSKA



chetną dumą, która godnego człowieka jeszcze godniejszym w takich razach czyni.

Szymanowska bo się już urodziła z duszą muzyczną, każdy dźwięk Boskiego natchnienia zaraz trafiał na odpowiednią i gotową strunę jej czułego serca. Całe skarby, jakie sobie zebrała, winna była sobie samej wyłącznie. Nikt ją wtajemniczyć w sekrety sztuki nie umiał, bo Warszawa podówczas żadnego w tym rodzaju mistrza nie miała i kiedy w 1812 r. za świetnym dworem Napoleona, Paër, Rhode, Cherubini, jak porwane wirem tej wielkiej komety świetelka nagle wśród Warszawy błysnęli, młodziutka i prześliczna podówczas kobieta wywołała swoim talentem serdeczne zadziwienie, zachwycenie i życzliwość tych wielkich mistrzów. Życzliwość nieudaną i trwałą, bo wiele lat po tem, kiedy się już ona, jako artystka, w podróżach swoich z nimi spotkała, ludzie ci znakomici, wszyscy co do jednego dobrze ją pamiętali i otoczyli ją w cudzym kraju tem poważaniem, podziwieniem, szacunkiem, okryli ją temi skrzydłami ojcowskiej przychylności i opieki, jakich godną ze wszech miar była.

Przypomnijmy sobie, nawiasem, że podróż po Europie nie była jeszcze wtedy tą ślizgawką na łyżwach, jaką dziś odbywamy po żelaznych drogach. Była to podróż prawdziwa, równą miarę dotkliwych trudów, co i duchowych dająca rozkoszy.

Nie rzuciła się jednak na oślep na tak trudne dla płci jej przedsięwzięcie. Czowała ona to dobrze, że ze sławnej amatorki trzeba jej zostać koniecznie wielką

pierwszorzędną artystką. Dnie i noce kamienną pracą pracując, doskonaląc i tak wysoki już talent, wyrabiając w sobie godną znawców całego świata zasługę i wartość, zamknęła się przed okiem ludzi w takim, o ile przyzwoitość dozwalała, osamotnieniu i oddawała się przez lat kilka statecznie celowi, który jej szlachetne poświęcenie się miał nakoniec uwieńczyć, który jej dzieciom miał zapewnić i wychowanie i kawałek codziennego chleba, który miał stworzyć obcym jej ludziom tyle chwil zachwycających, tyle szczęśliwych momentów, a polskiemu krajowi przynieść tyle zaszczytu i sławy. Dopiero kiedy się już prawdziwie na siłach poczuła, kiedy sobie śmiało powiedzieć już mogła: „*Anch'io son pittore*“, puściła się na czteroletnią artystyczną pielgrzymkę po Francji, Niemczech, Anglii i Włoszech w towarzystwie również miłej, dobrej i pięknej siostry swojej Kazimiery, sławnej już w Warszawie z niepospolitego, ucieznego, ale bez najmniejszej żółci dowcipu. Zaraz na pierwszym wstępie w Wiedniu zachwycony tą duszą, jaka przez jej grę do serc ludzkich mówiła, cesarz Aleksander, który już w ścisłej sprawiedliwości, tańcząc z nią na balu w Warszawie, naprawił tę wysoką grzecznością niesłuszną obrazę ojcu jej przez w. ks. Konstantego w momencie porywczego zapomnienia się zrzadzoną, cesarz Aleksander tutaj w Wiedniu z własnego natchnienia mianował ją pierwszą fortepianistkę dworu swojego.

Odtąd noszona na rękach całej Europy wiele tam znalazła współczucia, wiele nabyła rozgłosu i sławy. Nie pokażesz jednej ówczesnej wyższości,

z którąby Szymanowska nie weszła w stosunki i z którąby wzajemnym szacunkiem i przyjaźnią na długo złączona nie była. Świadcami tego są jej sławne albumy, o których niżej na swoim miejscu powiem. Monarchowie, książęta, dyplomaci, wodzowie, poeci, literaci, muzycy — wszystko, co żyło podówczas, otaczało ją wielce pochlebnyim hołdem uwielbienia.

Goethe, stary Goethe pomimo wiadomej dumy, zarozumiałości, oziębłości i suchości, z jakimi w ostatnim okresie długiego życia swojego cudzoziemców przyjmował, pomimo całej swojej poezji, a raczej dla tej właśnie poezji oczarowany był Szymanowską. I tak sobie nią głowę zawrócił, że wszędzie czy u wód, czy w Wejmarze, gdzie się tylko z sobą spotkali, już nieodstępnyim był jej towarzyszem. Ten rodzaj przyjaźni i uwielbienia trwał w nim stale, bo nawet w dobre kilka lat potem, kiedy już Petersburg był Szymanowskiej ciągłym mieszkaniem, Goethe w częstej z nią był korespondencji i rekomendowanych przez nią podróżników z największą zawsze przyjmował dystynkcję. Oto na przykład list jego przy poświęconych jej wierszach przysłany. „*Malheureusement, Madame, étant condamné partir demain, il ne me reste que de soigner mes lèvres informes, que je déteste de tout mon coeur. Je me vois à grand regret privé de l'aimable société, qui me préparait une si belle soirée, et je serais tout à fait inconsolable, si je ne me répétais toujours, en prose, ce que j'ai osé dire en vers y joignant l'esperance de me rejouir bientôt à Weimar du plus beau talent et de la plus interessante société, qu'on puisse*

*imaginer. Adieu donc, Madame, gardez moi Votre precieux souvenir. Goethe*“.

*Marienbad le 19 Aoüt 1823.*

Przypomnijmy, że Goethe już i podówczas, a później więcej jeszcze po zmarłym już Byronie był pewnym rodzajem Napoleona Europy i reprezentował słusznie, albo niesłusznie najwyższą jej moralną potęgę.

Oprócz tych zalet, odnoszących się wprost do jej osoby, należy wiedzieć, że Szymanowska nie wyjechała zagranicę z próżnemi rękami, poprzedziła już ją i sława.

Dobrze jeszcze przed swoją podróżą znajomą była w muzycznym świecie i ze swojego talentu i kompozycyji swoich. Już wtedy albumy jej muzyczne przelatywały z końca w koniec Europy od Beethovena w Wiedniu do Mercandantego w Madrycie, którzy w nich, jako dla niepospolitej artystki, umyślnie dla niej ułożone zapisywali pamiątki. Oprócz owych sławnych *Exercices et Préludes* wyżej wspomnianych, które w liczbie dwudziestu poświęciła wielbionej podówczas z wdzięków swoich Zofji hr. Chodkiewiczównie, a potem hr. Ossolińskiej, oprócz „Kaprysów“, poświęconych sławnemu Fieldowi, „*Divertissement*“ z akompanjamentem skrzypiec, i „*Romans sur le depart*“, sześciu Menuetów, „Poloneza na arję ulubioną księcia Józefa Poniatowskiego“ i przeslicznych „Ośmnastu wielkich tańców“, poświęconych księżnej Wiaziemskiej, w których szczególnie wieloczęściowy „*Cotillon*“ wszystkich zachwycał, oprócz tych mówię kompozycyji „Muzyka wojskowa“ w sześciu marszach objęta, przypisana w.

księciu Konstantemu, i „Serenada” z akompanjamentem wiolonczeli, ułożona dla sławnego amatora księcia Antoniego Radziwiłła, wielkorządcy poznańskiego, „Fantazja” dedykowana księżnej Zajączkowej, namiestnikowej Królestwa Polskiego, i mnóstwo innych zachwycających ulubionych produkcji sławę jej w kraju i zagranicą szeroko już rozniosły. Dodać do tego należy, że śpiewano podówczas wszędzie trzy jej arje o Jadwidze, Janie Albrechcie i Glińskim, dla Śpiewów Historycznych Niemcewicza złożone, które we wszystkich znajdowały się rękach — i epidemiczną popularność miały. Wszystko to napisała ona między ósmym a dwudziestym rokiem wieku swojego.

Te pełne dobrego smaku, czucia i prawdziwej muzyki utwory tem więcej zadziwiały znawców, że były owocem szczęśliwych i instyktownych natchnień tej niepospolitej kobiety, były one wyłącznie wypadkiem jej wrodzonego talentu, którym ludzie tylko już z Wyższej Ręki obdarzonymi być mogą. Nikt wierzyć nie chciał, że Szymanowska, jakem już raz napomknął, nigdy w życiu dobrego nie miała metra, bo ich wtedy w Warszawie nie było. Nikt jej tam nie był w stanie dać pierwszych nawet początków generał-basu i zasad kompozytury. Co tedy po ten czas stworzyła, była winna sobie samej wyłącznie, własnemu genialnemu przecuciu, własnemu natchnieniu. A i w ciągu podróży wszędzie jeszcze rzucała kwiaty fantazji swojej po drodze. Ile sobie przypomnieć mogę — „*La danse nationale polonaise*”, przypisany Bailottowi i Nocturn „*Le murmure*” w Paryżu, „Świtezianka” ballada Mickiewicza

w Moskwie, „Trzy śpiewy” Mickiewicza i sławny „*Le murmure à trois mains*” w Petersburgu były owocem ciąglego tej rzadkiej kobiety natchnienia. Dom Szymanowskiej wszędzie zagranicą, gdzie się zatrzymywała tylko, stawał się natychmiast jakimś przybytkiem, w którym wszystkie miejscowe znamienitości czy rodu, czy literatury, czy sztuki zbiegały się i kochały, jak w środku promienistego koła. Pełna wychowania, wykształcenia umysłowego, pełna dobrego tonu, naturalności, prostoty, dowcipu umiała salonowi swojemu nadać także pełen godności i szlachetności kierunek, nadać mu prawdziwe życie. Przykładała się do tego niemało i wyręczała ją dostojnie i z ujmującym wdziękiem w obowiązkach gospodyni domu siostra jej Kazimiera, piękna, świeża jak róża, z cudownymi oczami i prześlicznymi, nie wiem już jak długimi, czarnymi rzęsami brunetka, bardzo mile drobniutkim głosem śpiewająca francuskie romanse.

Wtedy jeszcze wojażujący artysta niemałą był rzadkością. Otaczano go szczerą życzliwością, względami, opieką, zapraszano i zachęcano go wszędzie, jak jaskółkę na wiosnę, jak dudarza do chatki naszego rolnika. Dziś co wytkniesz palce, to na artystę, co czapkę rzucisz, to trafia w geniusza. Świat nimi wprowadzie już śmiertelnie znudzony.

Wówczas kochano muzykę ze szczerego serca, każdy szedł słuchać koncertu jak na modlitwę.

Rhode, Lafon, Paganini, Lipiński, Romberg, Catalani oto ledwie, a bodaj czy nie cała lista wielkich mistrzów, wirtuozów ciągle wojażujących owego czasu. Reszta się tylko, jak komety, zjawiała. Nie



było jeszcze wtedy owych ustawicznych cudownych dzieci, owych dziesięcio i czternastoletnich genialnych podrostków, tych Orfeuszów jeszcze w skorupce od jaja, co, przewłóczywszy się po połowie kuli ziemskiej, nikną potem nie wiedzieć gdzie, jak kamfora. Nie każdy podówczas odważał się na uszach biednej Europie robić próbki swego talentu. I jeden Liszt tylko w tych ostatnich kilku latach zasłużył na to powszechne *furore*, jakie podówczas otaczało wszystkich wybranych kapłanów tej sztuki.

Kiedy już w taki sposób objechała sam ekstrakt cywilizowanego świata, zebrawszy dla talentu swojego skarby przez ciągłe stosunki z mistrzami sztuki swojej, Szymanowska, odwiedziwszy na chwilę rodziców w Warszawie, otrzymawszy powtórne ich błogosławieństwo, zabawiwszy czas jakiś w Moskwie i Kijowie, postanowiła nakoniec stale w Petersburgu zamieszkać. Jeszcze tam była niedawno osiadła, kiedy łaska rządu dozwoliła wywiezionym od lat kilku z Litwy przyjaciółom i kolegom moim, Malewskiemu i Mickiewiczowi, przenieść się także do tej stolicy. W tymże samym czasie i mnie okoliczności do Petersburga zaniósł.

Mickiewicz i Malewski, już dobrze od Moskwy w domu Szymanowskiej znajomi, bardzo sobie tego życzyli, żebym i ja się z nią zapoznał. Aleksander Chodźko i kilku innych kolegów z uniwersytetu, a od lat trzech już ciągłych mieszkańców Petersburga, bywało u niej i słów dobrać nie mogli na dostateczną tej zacnej kobiety pochwałę. Wyznam szczerze, że pomimo całą namiętność do muzyki, pomimo całej żądzy poznania naszej wielkiej artystki, jednakże

doświadczenie, chociaż w młodym wieku, ale dobrze już nabyte, odradzało mi tę znajomość: opierałem się długo naleganiom moich przyjaciół. Było tam akurat pięć kobiet, razem na jednym punkcie ciągle skupionych! A wiedziałem oddawna, że gdzie się dużo tych miłych istot pod jednym dachem znajduje, tam dla mężczyzny zawsze mało nadziei, żeby z tej znajomości był kontent. Kobiety mają rzadki i zadziwiający talent utylizowania mężczyzn, jak wołów roboczych, niby od niechcienia, mimojazdem, nawiasem, lubo same zawsze najpierwsze zgrozą egoizmu bywają przyjęte i o tem ciągle na różne tony przed nami śpiewają. Plotki więc i różne, a ciągle polecenia i komisy są zawsze nieodłączną takich stosunków plagą, od której żaden takt, żaden na świecie rozsądek uwolnić mężczyzny nie zdoła. W obcym kraju między rodakami i rodaczkami niebezpieczeństwo było podwójne, bo się oni ściślej z sobą w tym razie łączyć zwykli. W przyjętej *ad hoc* przeze mnie manierze, niedozwalającej łatwego pod tym względem zbliżenia, zbudowałem był wprawdzie sobie jakąś zasłonę i tarczę przeciw tym często od samego nieszczęścia trudniejszym do zniesienia pociskom.

Wszelakoż i to nie było dostateczną obroną od wystrzałów, wymierzonych nieraz ze wszystkich punktów kobiecej baterji w człowieka, który powolność, grzeczność i uszanowanie dla płci pięknej wessał już w siebie z mlekiem, bo się urodził w epoce, kiedy te uczucia i zalety wszystko na świecie znaczyły i świętą były powinnością. Wprowadzony nakoniec, a raczej wciągnięty do niej zostałem.

Przyjęła mnie z dziwnie uprzejmem ujęciem, z tą pełną poloru naturalnością, z tą ukształconą prostotą, która się tylko w osobach wyższego wychowania spotykać daje. To sprawiło, że od pierwszej chwili byliśmy tak, jak żebyśmy się od stu lat znali; a w tem właśnie leży największy dar i takt gospodyni domu. zmuszonej żyć na wielkim świecie. Obok niej był rzadkiej piękności aniołek, młodsza jej córka Celina, prześliczna jak róża w połowie rozkwitła, wychylająca się dopiero z pączka, świeżutka z cudownymi czarnymi oczyma panienka. Oko uważne i wprawne odrazu poznać mogło, że Szymanowska była bardzo cywilizowaną i światłą. Wszystko, co mówiła, bez żadnego naciągania i popisywania się płynęło najnaturalniej samo z siebie, nie miała najmniejszej do uczoności pretensji, najmniejszej chęci dumy desynowania się(!) i zrobienia efektu i tem właśnie przekonywała, że dużo umiała, że dużo widziała, że się dużo sama uczyła i że z nasłuchania się w wyższych towarzystwa sferach wszystko, co pożyteczne i miłe, potrafiła z prawdziwą korzyścią wcielić w swoje pojęcia. To pewno, że, gdyby nawet nie miała swego nieocenionego talentu, i tak jeszcze byłaby ona zawsze nieskończenie miłą i odznaczającą się od tłuszczy cywilizowanych kobiet kobietą. Obezna była dobrze z całą piękną literaturą Europy, posiadała języki: angielski, włoski, niemiecki, a francuskim tak pisała i mówiła, jak żeby rodowitą była Francuzka.

Chcielibyście może widzieć jej portret?

Była piękna. A dla mnie bodaj czy nie więcej, jak piękna, bo silna, hoża i nadzwyczajnie przyjem-

nej, od pierwszego wejrzenia przyciągającej twarzy. Wzrost słuszny. Kibić prawdziwej muzy, prosta, szykowna i kształtów przyzwoicie pełnych, łechcących zmysły. Ruchy jej były zgrabne i miękkie, faliste, łabędzie, rozkoszne. Ale ona sama nie domyślała się tego, nie wiedziała może o tem, jak każde jej poruszenie wdzięczne, zaokrąglone, spiralne, malownicze dyszało przyrodzoną, a drażniącą oko swobodą i gracją. Gdyby nawet chciała, nie byłaby w stanie, nie umiałaby dać ani jednego niezgrabnego albo wymuszonego kroku. Wszystko to, widać było, jak wylewało się samo z siebie, jak tchnęło jakąś gorącą świeżością, jakąś zieloną daleką nadzieją, jakimś chłodkiem bukietu kwiatów, jakimś *patchuli* rozkoszy, jakąś energją silnie splecioną z jednoczesnem, a wdzięcznem zamiłowaniem póż, któremi się ludzie tak bardzo zachwycają w kreolkach. Ręce od ramion do samych różowych paznokci jakby toczone. Plecy atlasowe, pulchne, dziwnej śnieżnej białości ze dwoma cudownemi dołkami — i o tych dobrze wiedziała. Biust cały artystycznie złożony. Nóżka jej warszawska, co dosyć powiedzieć, a zawsze najstaranniej ubrana, w piramidalny z nogami wszystkich dam petersburskich przychodziła kontrast i krwawą z nimi toczyła wojnę. Damy te dopiero po 1831 roku, już po śmierci Szymanowskiej, jak z Polski ich krewni i bracia po wojnie wrócili, zaczęły się zaledwie domyślać, że noga jest częścią ciała kobiety, mogącą wymagać jakiegokolwiek by najmniejszego starania. Do tej epoki strach było spojrzeć. Najpiękniejsze Rosjanki, strojne w gazową powietrzną albo cienką ale najbo-

gatszą odzież, żadnej zgoła na nogi swoje nie zwracały uwagi! Tam się już u nich zaczynał ciemny korytarz! Chodziły one i tańczyły nawet w okropnych papuciach, trzewikami morderczo zwanych, i w brudnych pończochach, obwisłych i spadających im w obwiązki aż do samej stopy.

Szymanowska miała oczy błękitne, włos blond ciemnawy, zęby białe, jak kość słoniowa, uśmiech polskiej szczerości na ustach, z róż i koralów utkanych. Głos jej, dla mnie przynajmniej, mało był dźwięczny i śpiewać nie mogła.

Jak pani de Stael lubiła nosić turbany, berety, które w wielkiej modzie były podówczas, i te jej były dziwnie do twarzy. Dodajcież do tego to, co się w środku tej pięknej i szlachetnej znajdowało główki, dodajcie to, co tak dowcipnie i mile przez te piękne i zawsze wesołe wybiegało usta; a wtedy domyślicie się łatwo, dlaczego tak wielu ludzi za nią szalało, a ona za nikim! Uchodzące, owszem zgadzające się z dobrym tonem i przyjęte podówczas, jako ostatki dawnego salonowego z kobietami dowcipu, dwuznaczne i śliskawe aluzje, których język francuski tak obficie dostarcza w potocznej rozmowie, rumieniły ją, jak młodziutką panienkę. I ten zbyt czyny, a bardzo często objawiający się wstyddek, który mnie zawsze gniewał, jako gość niepotrzebny w kobiecie jej położenia i wieku, chociaż szczery i nieudany, do wad jej należał — bo się z resztą jej hożej i wcale niemniszej manieri nie zupełnie zgadzał.

Jeszcze jeden, kiedy chcecie, miała w sobie osobliwszy kaprys: od urodzenia wstręt nieprzewyzię-

żony miała do kotów i na sam widok albo nawet na same przeczucie zbliżającego się kota mdłości ją brały. To w Petersburgu, gdzie dużo tych zwierząt i to wielkiego gatunku zwykle chowają, nieraz ją w przykrej stawiało pozycji.

Przyjaźnią serdeczną z poczciwym Oleszkiewiczem złączona, diametralnie przeciwne w tym względzie miała z nim skłonności i dlatego nigdy prawie odwiedzić pracowni jego nie śmiała. Szymanowska nie miała w sobie ani cienia tej, jak puch edredonu sprężystej, a miękkiej egzaltacji, która dzisiaj tak wiele kobiet niewypowiedzianym w towarzystwie otacza urokiem, która dla mężczyzn jest dziś tak czarującą i odurzającą ponętą. Myśli jej, uczucia i zdania były myślami, uczuciami tkliwej, prawdziwej kobiety, ale kobiety sądzącej zawsze o wszystkim naszym męskim, zdrowym rozumem. Ta jej praktyczna wyższość, usuwająca ze sceny w obcowaniu z ludźmi tak miłą słabość kobiecą, stąd zapewne pochodzić musiała, że przy wszystkich do marzeń gotowych już w sobie żywiłach ledwie nie od pierwszej młodości zmuszoną była myśleć o sobie i czuwać nad losem dzieci. Nie miała zatem czasu wyrobić w duszy swojej tych idealnych światów, do których osoby jej płci i jej wychowania przez zbytek ziemskiego szczęścia dochodzą z tak wielkim poklaskiem w salonie, a tak szkodliwymi następstwami w rodzinie.

Ale co mnie uderzyło najwięcej przy tej pierwszej wizycie, to była owa nieudana i anielska ławność, z jaką na pierwszą prośbę, na pierwszy cień prośby choćby trzyletniego dziecka nie drożyła się

ze swoim talentem i siadała natychmiast do fortepianu. Znałem do roku 1838 włącznie ledwie że nie wszystkich sławnych w każdym rodzaju europejskich artystów, ale takiej pod tym względem łatwości, takiej względności, takiego zastosowania się do woli każdego, takiego niedrożenia się z darem, od Nieba sobie nadanym, nie spotkałem w nikim! Jeden Orłowski miał w tem niejakię z nią pokrewieństwo. Ale na niego, jakem w innym miejscu powiedział, trzeba było użyć prostego i niewinnego zresztą fortelu, a tu się wszystko samo z siebie wysnuło, wylało. Już była przy fortepianie, kiedy weszła do sali z piórem za uchem, ze zwalanemi w atramencie paluszkami śmiałym bardzo krokiem młodziuchna, ale już sformowana, milej twarzyczki i nieco pochyło trzymająca się osóbką; była to starsza córka pani Szymanowskiej — Helena, która tylko co lekcję swojego ukochanego niemieckiego języka była skończyła. Śmiała i ledwie że nie zanadto już naturalna a przytem pełna dystynkcji zaraz mnie o uczone rzeczy zagadła i o nich szeroko rozprawić przede mną zaczęła. Bawił mnie w komicznym sposobie ten rodzaj pewności i zrozumienia w drobnej bo ledwie szesnasty rok zaczynającej dziewczynce; wzięłem ją za *bas-bleu* w zarodku i dla tego nie podobała mi się, bo znosić pedantek nie mogę. Takież samo wrażenie akurat i ja na niej wywarłem... ona mnie wzięła za jakiegoś ptimetra i trzpioła, bo z właściwą sobie przenikliwością dostrzegła, że grzecznie, ale potężnie żartował z jej filozoficznych marzeń i z całego ogromu nauki, w tej jesz-

cze zielonej główce zawartego. Nie podobałiśmy się tedy sobie wzajemnie!

Któżby mógł w owym momencie przewidzieć, że jakeśmy się lepiej ocenili i wzajemnie poznali, Bóg tej znajomości dwóch dusz poczciwych pobłogosławił na długie lata. Że panna ta, którom w lat kilka potem wychodzącą za przyjaciela mojego Franciszka Malewskiego do ślubu prowadził, że jednym słowem pani Helena Malewska, kobieta pełna dobroci i światła, i przykładna żona, i dobra matka licznego potomstwa, będzie oto już rok z górą dwudziesty najlepszą, zawsze stałą po dziś dzień moją przyjaciółką.

Nieprędko już potem w Paryżu młodszą jej siostrę Celinę wyswatałem za Mickiewicza, wygnańca, i tym sposobem dwóch szkolnych i nierozłączonych przyjaciół więzami powinowactwa ścisłej jeszcze pomiędzy sobą złączyłem.

Szymanowska muzykę swoją na ten raz zaczęła od kompozycji własnej, która wtedy w Petersburgu robiła furorę, od nokturnu „*Le murmure*“, świeżo ułożonego. Słyszałem go już był po wielu domach. Brzdąkały go ledwie nie wszystkie kobiety stolicy i toś tylko przy otwartych oknach, idąc po ulicy, słyszał. Ale jakim on był, kiedy miał żywą duszę, poznać to tylko było można pod ręką Szymanowskiej. Za tem poszły inne kompozycje. Wywijała to wszystko, jak z płatka. A główną cechą wszystkiego była ekspresja, gust i życie.

Zaciągnięty do jej domu ledwie nie gwałtem — wyciągnięty z niego być musiałem przez Malewskiego, takem się u niej w oczarowaniu zapomniał!



Zdurzony masą talentu i czucia w muzyce, dowcipem, uprzejmością i gościnnością w obejściu się z ludźmi, jakie tam znalazłem, wyrwany stamtąd być musiałem i stracony, jak Telemak jaki, z tej oczarowanej wyspy przez mojego Mentora, który się z temi skarbami już był u niej oddawna oswoił. Pierwszym skutkiem tej pierwszej wizyty było, że ja, co choć nie bardzo biegle, ale z wielkiem, jak mówiono, czuciem grałem na fortepianie, wróciwszy do domu, natychmiast instrument mój nazawsze przed sobą zamknąłem i, jako niegodny partacz, nigdym już odtąd do dziś dnia ani razu klawisza nie dotknął!

Polak nie mógł się nie cieszyć i w słuszną nie urość dumę, widząc, że Bóg nam dał tak niepospolitą rodaczkę. Nie można było nie mieć dla niej odrazu tej przychylności, przyjaźni, szacunku, uszanowania, na jakie i talentem, i rozumem, i nieszczęściem, i prowadzeniem się, i poświęceniem się swoim dla dzieci, i nakoniec oddaniem się dla rodaków zasługiwała.

Dom jej stał zawsze otworem dla tych wszystkich Polaków, którzy wyższem ukształceniem i konduktą warci byli tego zaszczytu. Nie anonsowano ich nawet nigdy, wchodzili do jej wielkiego salonu, jak krewni, jak bracia. A tak od niej zawsze traktowani byli bez względu na obecność najznakomitszych osób w stolicy, jakżeby sami do rzędu znakomitych ludzi należeć mieli. Ten szczególny takt w obejściu się z gośćmi swoimi, żeby wszyscy pod jeden strych poszli i równą, a jednostajną grzeczną gościnnosc w jej domu zaznali, posiadała w wysokim stopniu. W mieście, arystokratyczną dumą przesiąkniętym, Polacy ledwie że nie jedynie i wyłącznie u niej znajdowali

sposobność poznania się z ludźmi, na najwyższych stojącymi szczeblach. Do czego ona oprócz powszechnie przyjętego na świecie, a najczęściej jałowego jednych z drugimi salonowego zbliżania, jeszcze treścią zręcznie i trafnie wprowadzonej rozmowy cudownie przykładać się umiała. Był już u niej w przyrodzeniu dar nieporównany odszukania, wygrzebania i wyprowadzenia na jaw wyższej i światłej strony każdego człowieka, co się u niej znajdował, i tym sposobem zainteresowania wzajemnie osób, humorem, wiekiem, nauką i pozycją na świecie bardzo od siebie dalekich.

Jej ujmująca grzeczność, otwartość, naturalność, ciągle musujący dowcip, jej nauka, jej niepospolity talent muzyczny i piękna postać przy nieposzlakowanej konduicie różniły całym niebem dom jej od domów innych europejskich artystek. Ten właśnie powszechny dla niej szacunek był przyczyną, że w jej salonie dawały się widzieć ledwie nie codziennie najznakomitsze osoby płci obojej. Z ogromnej ich liczby wymienię te tylko przynajmniej, które mi tu na pamięć po tylu latach przychodzą, nie mówiąc już o mnóstwie cudzoziemców i cudzoziemek podróżujących, którzy nigdy poznać jej nie zaniechali. Widywałem w jej domu często: księżnę Kurakin, jedną z najpoważniejszych dam dworu, księżnę Barbarę Golicyn i panią Diwow, córki hr. Rumiancowa, księżniczkę Annę Wołkońską, córkę sławnego ministra dworu, całą zacną i utalentowaną rodzinę sekretarza stanu Lwowa, panią Dierżawin, panią Szyszkow Narbuttównę z domu, żonę ministra oświecenia, pana Middletona z familją, posła Stanów Zjednoczo-

nych Ameryki Północnej, barona Palmstjerna, ambasadora szwedzkiego, hr. Simonetti, ambasadora sardyńskiego, p. Potemkina, posła rosyjskiego przy dworze bawarskim, bar. Bourgoing, ministra francuskiego, kawalera O'Sullivan, sprawującego interesa Holandji, ks. Ksawerego Lubeckiego, genialnego ministra finansów Królestwa Polskiego, hr. Grabowskiego, ministra sekretarza stanu K. P. z siostrzenicą i wnuczką, tajnego radcę Turkułła, dzisiaj ministra s. st. Kr. Polskiego, Jana hr. Zamoyskiego, generała Kosseckiego, Fryderyka hr. Skarbka, generała Łubieńskiego, księcia Gedroycia i mnóstwo innych. Oprócz Mickiewicza, Juljana Korsaka i Aleksandra Chodźki, trzech jeszcze nasi ustnej mowy albo genialnego sztrychu poeci: Oleszkiewicz Żelwietr i Orłowski — ścisłą przyjaźnią byli z nią złączeni. Cóż powiedzieć o artystach cudzoziemskich? Jacy tylko zjechali kiedy do Petersburga, jak w dym się do niej zaraz rzucali i zawsze uprzejmą gościnność, światłą radę, szczerą pomoc i protekcję znaleźli. Lubo się natychmiast, jak tylko we własne porośli pierze, niewdzięcznością wyplącać umieli...

Szymanowska z dumą prawdziwie wzniosłą przyzwanej od Boga na tę misję artystki nie znała, nie rozumiała, nie znalazłaby nawet, gdyby sama chciała, miejsca w sercu swoim na wszystkie nędzne, niskie uczucia.

Wychowana w poczciwym i bogobojnym rodzicielskim domu, przejęta uczuciami tej szlachetnej duszy, która w dobrze pojętych wyższych społeczeństwa sferach bez względu nawet na różnice

uprzywilejowanych kast towarzyskich urodzonym zdaje się być przymiotem, obcą była intrygom, chciwości, zawiści i innym wadom poziomym, tak powszechnie poniżającym moralną wartość artystów. Ona zapominała zawsze o sobie i dla każdego artysty, dla każdej artystki, cudzoziemskiej czy słowiańskiej, drzwi jej domu stały otworem, wszelka protekcja, pomoc, dodanie odwagi, a czasem i wsparcie pieniężne były im zapewnione. Pochwały i zachęcenia sypały się z jej ust cnotliwie wymownych nawet dla takich osób, które, ulegając zarozumiałości, wrzodowi wieku naszego, w niewykończonym dzisiaj jeszcze talencie obiecywały coś więcej na przyszłość. Ta szczerza z duszy idąca abnegacja własnych korzyści i interesów nieraz sprawiła, że wdzięczny protegowany zaraz sam na jej miejscu stanąć zamyslił, że pod nią szyć i dołki kopać natychmiast zaczął, że jej pocziwy chleb, który ona teraz dla tylu osób własną ręką zapracowywać musiała, odebrać i sam go na karty, trunki i wszelką rozpustę roztrwonić za najświętszy artystyczny miał obowiązek! Kobieta pełna rozumu i przenikliwości odgadła w lot natychmiast, przeczowała to pierwiej od wszystkich ją otaczających, ale robić dobrze nie przestała dlatego. I świeży znowu z za morza przybyły talent znowu w niej znalazł opiekunkę i matkę...

Trzeba było być w Petersburgu, przypatrzeć się tym wielkim intrygom rosnącej co dzień w geometrycznym postępie ambicji, chciwości, podłości, trzeba było to widzieć, co ja tyle razy widziałem, żeby umieć ocenić całą wspaniałość postępków i uczuć tej niepospolitej kobiety. Trzeba było widzieć tak,

jak ja widziałem, że nieraz dosyć jej było słodkim okiem niezaprzeczonej piękności spojrzeć tylko na jakiego potężnego magnata, który właśnie całemi latami zebrał tego spojrzenia, żeby zabić, zgubić na wieki przyszłość niewdzięcznego człowieka, co jej szkodzić się starał, a ona akurat tego wzroku na ten cel nie użyła nigdy.

Szymanowska, kiedy jej Bóg odebrał majątek, nie chcąc być nikomu ciężarem, własną pracą los swój i dzieci zapewnić z dumnie do góry wzniesionem czołem postanowiła, bo tak uczciwemu człowiekowi przystoi, ale chciwie szukać złota, oddać się zawiści, intrygom, potwarzy, taka, a tak powszechna już dzisiaj podłość ani jej nigdy na myśl nie przyszła.

Gra Szymanowskiej była pełna ekspresji i czucia; w każdym trąceniu klawisza odzywała się jej dusza, a własne chwilowe wrażenia umiała przelać w swojego słuchacza, że je także całym z nią sercem pojmował. Widziałem i słyszałem wielu najpierwszych w Europie artystów, ale rzadko w kim spotkałem się w równie jasnym i delikatnym pojęciu każdego wyższego melodyjnego odcienia.

Epoka, kiedy ją poznałem, była już śpiewem łabędzia prawdziwej muzyki, to jest muzyki mówiącej do duszy; już się zaczynała i dobrze była podrosła muzyka, mówiąca tylko do oka i zadziwiająca rozum, bo muzyka biegłości i mechanizmu palców. Ta biegłość dzisiaj doszła już do tego stopnia, jakiego ani Szymanowska, ani żaden z ówczesnych artystów domyślić się prawie nie mogli, ale zato za jej czasu było daleko więcej czucia i gustu...

Ówczesni artyści mówili: „Bracie mój, skłoń ucho twoje do mojego śpiewu, słuchaj, jak pod ręką moją czarujące rodzą się dźwięki i jak one wielbią i jak roznoszą w przestrzeń chwałę Stwórcy naszego. Słuchaj tych męskich tonów, co szerzą po kuli ziemskiej rozgłos bohaterskiej sławy, wszak czujesz oto w tem słodkiem pieniu dwóch serc sobie oddanych duchowe małżeństwo? w tych — smętne niedoli naszej odbicie? a tutaj znowu wszystkie razem zmieszane krewkości naszej i cnoty, i wady, i słabości, i zbrodnie?...”

O, Szymanowska śmiało tak powiedzieć mogła! Nie było w niej jednego tonu, jednego uderzenia struny, żeby się w duszy, czy jęk boleści, czy jad nienawiści, czy radość szczęścia, czy żałoba smutku, czy uśmiech nadziei, czy obłęd miłości, czy konwulsyjne drgania rozkoszy nie odezwały... A wszystko to było okryte jakąś ogólną sinawą barwą niebieskiego eteru, jakimś odległym przecuciem dalszych wiecznych losów, jakimś urokiem serdecznej tęsknoty, którą Bóg wlał wprawdzie w dusze wszystkich prawie ludzi, ale szczególnie w nasze słowiańskie plemię. Dosyc powiedzieć, że latające wolno po jej pokojach kanarki, jak się tylko bywało do fortepianu zebrała, jak gdyby rozumiały, że jej dusza podówczas z Bogiem rozmawia, siadały na jej pulpicie i uważnie jej dźwięków słuchały. Teraz mnie kto bezwątpienia po dzisiejszemu zapyta: „Byłaż ona prawdziwie narodową?” Śmiało i z ręką na sercu odpowiem: „Była! ale była nią tylko w części, bo jej nie dali być nią zupełnie. I w tem nie jej wina, ale wina naszego narodu, wiecznie oziębłego dla wielkich na-

szych talentów. Rozbierzcież każde jej dzieło, oceńcie ducha każdej jej stronicy, przypatrzcie się temu, co w licznych rękopisach po niej zostało, zastanówcie się nad niemi, wszędzie ona przeczuwa, czego nam potrzeba, wszędzie, gdzie tylko może, z uniesieniem, z radością chwyta ona i rzuca się na nasze krajowe motywy. Ale jakże daleko z niemi w naszej niewdzięcznej Polsce dojszby mogła i jak daleko doszła nawet z tem, co utworzyła? Nie dość, że wam na niej samej, na jej losie tego dowodów? Oto w cudze ulecieć musiała strony i cudzem do końca życia żyła powietrzem."

Nie mogła tedy Szymanowska być w ścisłym znaczeniu tego wyrazu narodową muzą tak, jak do tego wszelkie miała usposobienie i żądze: naprzód, że w czasie, kiedy ona żyła, duch artystyczny narodowości tlał jeszcze w dawnym popiele, jeszcze wiatrem właściwego czasu rozdmuchanym nie był i jeszcze nie zaczął się ani wyrabiać, ani rozwijać, owszem genjusz naśladownictwa w całym podówczas u nas żył blasku; potem, że będąc w takich okolicznościach czysto narodową najmniejszej nie pozyskałaby sławy, której wartość, znając się na swojej wyższości, bardzo cenić umiała i sprawiedliwą padała jej żądzą. A z czysto polskim utworem nie wyszłaby wtedy przy całym swoim talencie za pierwsze wrota polskiego kraju — cóż dopiero mówić o reszcie Europy. Nakoniec, że bardzo jeszcze młoda zakończyła życie, nie miała więc czasu wysnuć z siebie wszystkiego, co w jej duszy leżało. Ale powie mnie tutaj kto z boku: „Cóż znowu ciągle chwalisz, a chwalisz,

przecież nie była świętą? przy światłach muszą być cienie! Wykaż nam jej wady!"

Chcę sobie jej wady przypomnieć; przypominam, przypominam, przypomnieć nie mogę! Już ciż jakieś tam, jak każdy człowiek mieć musiała, ale te były zapewne tak drobne, tak domowe, tak za firankę alkowy i granicę gotowalni nie wymykające się nigdy, że obcego człowieka nie uderzały w oczy. Widziałem ją w różnych okolicznościach i była zawsze taką, jak być należało. I w tem właśnie znajduję nowy dowód tej wielkiej wyższości, że i patrząc na nią przez lat wiele zbliżając i po latach dwudziestu, kiedy już przed wzrokiem moim zasłania ją mogiła i kiedy jej obraz w oddaleniu tylko przede mną staje, pamięć moja same w niej tylko zawsze okrągłe widziała i widzi kontury, nigdzie szorstkości, nigdzie garbu lub kolca!

Obdarzona dowcipem za trzydzieści dowcipnych kobiet wprowadziła ona zawsze w lot każdą śmieszność w człowieku, ale ten łup zostawał wyłącznie przy niej, nie pozwoliła mu nigdy chodzić z triumfem po świecie.

Szymanowska pomimo całej dobroci i miękkości serca, pomimo całej duszy, jaką w każdą muzykę wlewała, a więc nie czuła być nie mogła; zdaje mi się, że się zakochać wtedy przynajmniej, kiedy ją poznałam, już nie była w stanie. To zatem, że w życiu swoim, tak młodo na świat puszczona, żadnego nigdy nie zrobiła esklandru, żadnej nie dała sobie zarzucić miłosnej intrygi, było zapewne skutkiem jej rozsądnego prowadzenia się, ale więcej było skutkiem szczęśliwej natury. Zresztą i czas jeszcze



miała przed sobą. Umarła bowiem w 41-ym roku życia swojego, jeśli, jak mi córka jej pisze, rodziła się 14-go grudnia 1790 roku, a wyglądała młodszą. Kochających ją było dosyć, ona, cała dzieciom oddana, miała wprawdzie w sobie dużo tej miłej salonowej kokieteryj, bez której kobieta staje się prostą tylko samicą, lubiła grzeczności i nadskakiwania mężczyzn, ale tylko jako zabawkę, jako przyjemny hołd jej talentom, jej dowcipowi, jej wdziękom oddany. Lubiła to może jako triumf, jak niewinną zemstę nad zazdrosnemi jej damami, jak małą szcztkę, dawaną od czasu fałszywym przyjaciółkom swoim, ale tego, co nazywają miłosną instrygą, nie prowadziła nigdy. Dla tego też dom jej pełen otwartości i szczeroty zachował zawsze te wszystkie przyzwoitości i dobrego tonu odcienia, których napróżno w domach innych artystek w życiu mojem szukałem i których niedostatek zawsze mnie z ich towarzystwa usuwał, że nie powiem wypędział — tak było dla mnie nieznośnem.

Czynność Szymanowskiej ciągła, ustawiczna, niezmordowana była godną podziwu. Trudno było pojąć, jak przy takim rodzaju życia, do jakiego ją okoliczności zagnęły, na wszystko wystarczyło jej czasu. Wizyty jej oddawane, ciągłe ranki i wieczory muzyczne, na które się tłumy amatorów do niej zbiegały, ciągłe prośby artystów, przybywających do Petersburga, o pozwolenie pokazania próbek ich talentu, dla których spraszać do siebie musiała wszystkie znamienitości stolicy, godziny lekcyj, najpierwszym w kraju domom dawane, edukacja własnych córek, osobiste nad instrumentem doskonale-

nie się i praca, liczne kompozycje, z których wiele niewydanych po niej zostało, wszystko to, pochłaniając całe dwadzieścia cztery godziny dnia każdego, zdawało się przekonywać, że ta kobieta, jedynie tylko macierzyńską miłością i poświęceniem się ożywiana i pobudzana, była w stanie tak wielkim trudom wydołać.

Dodajmyż do tego niezliczone korespondencje, do których obyczajem wszystkich dam wysoko ukształconych i zmuszoną była i sama jeszcze z siebie wielką miała ochotę. Jest to do dzisiaj powszechna kobiet, na wielkim świecie żyjących, czy zaleta, czy wada. Stół jej piśmienny założony był stosami najrozmaitszej wielkości listowego papieru, na którym ona po kilkadziesiąt biletów, żartując i bawiąc się rozmową z obecnymi, rozpisywała i zamęczała ich roznoszeniem destynowanego *ad hoc* lokaja swego, starego, poczciwego Augusta. Styl jej był przyjemny i łatwy nietylko w listach, ale nawet i wtedy, kiedy dla zabawki napisała jakąś literacką bluetkę; charakter ręki miała piękny, kiedy chciała, to jest kiedy cokolwiek powolniej pisała. Ale jej rzadko na to stawało czasu; mam dotąd mnóstwo jej bilecików lejącym piórem o jednym tylko albo o dwóch wierszach pisanych — a takich codzień do różnych osób wylatywało z pod jej ręki po trzydzieści najmniej. Mieszkanie jej duże, skromne dosyć, ale bardzo przyzwoicie ubrane, koniecznie musiało być przestronne, bo oprócz salonu i buduaru dla gości trzeba było w niem jeszcze pomieścić siebie, dwie córki, dwie siostry — Kazimierę i Julję, i brata Teodora, który u nas dla cienkiego głosu



JAQUES

KAZIMIERA WOŁOWSKA



także za pannę się liczył, i nakoniec trzeba było dać miejsce kuchni i usłudze. Jedyne syn jej Romuald uczył się wtedy i mieszkał w Instytucie Dróg i Mostów i, po jej śmierci dopiero zostawszy oficerem, niedługo potem na Kaukazie życie zakończył.

Jak ona biedaczka temu wszystkiemu w tak kosztownem i zbyt kownem mieście pracą swoją wydołać mogła i nietylko długów nie zrobić, ale jeszcze jakiś fundusz po sobie zostawić potrafiła, był to już sekret jej rzadkiej rządności, rozsądku i taktu. Nietylko tam nigdy nie było widać ściskania się i skąpstwa, ale owszem każda okoliczność wykazywała obserwacyjnemu oku ten szczęśliwy i wolny od wszelkiego przymusu dostatek, tę w każdym względzie rozsądną wygodę i komfort, które rozum i serce nad rotchildowskie skarby w życiu przenosi. Kutwiarstwo Paganiniego, chciwość Catalani, żarłocstwo Rossiniego i rozhukane na cztery wiatry wybryki innych sławnych artystów i artystek nigdy ani na jeden moment nie powstały w jej przykładnym domu, nigdy ani na moment nie zmasały jej szlachetnej duszy. Była to zawsze młoda, piękna i dobrze wychowana pani, która w niedoli nie zapominała ani na chwilę o wewnętrznej własnej cnotą wyrobionej godności i której Bóg wprawdzie odebrał bogactwa ziemskie, ale bogactwo duszy najzupełniej w jej posiadaniu zostawił tak, że nietknięte i nieskalane dzieciom oddała w spuściznie. Nieraz też wielki ochmistrz i gospodarz jej dworu, siostra jej pocziwa, Julja starała się na dawanych nam przedziwnych Szymanowskiej obiadach obok francuskich wymysłów zrobić rodakom miłą niespodziankę i postawić

przed nami daleko ponętniejszy talerz litewskiego chłodniku, polskiego barszczu albo półmisek naszych wybornych zawijanych zrazów i topniejącej, jak lód, w ustach duszonej kapusty. Te chwile na wesołej biesiadzie, wolnej od wszelkiej obmowy, w poczciwym domu strawione wśród kobiet dobrych, jaśniejących wszystkimi wdziękami umysłu i ciała, liczę i liczyć zawsze będę do najszczęśliwszych chwil życia mojego. W tak przyjaznej oddawna byliśmy już ścisłości, kiedy okoliczność, którą natychmiast opowiem, wprowadziła na moment między nami dysonanse i fałszywe akordy; opowiem tutaj tę bagetkę umyślnie dla tego, żebym lepiej dał jeszcze poznać całą szlachetność jej duszy.

Człowiek bardzo niedobry, a tem gorszy jeszcze, że ciągle przed ludźmi udawał baranka, i że sam o sobie nie pytany opowiadał każdemu, jak wielkim kiedyś był łotrem i jak go potem łaska Boska, światło religji i rady poczciwego Oleszkiewicza zmieniły, prawdziwy Rodin z „Wiecznego Żyda“, dał powód do tego.

Nie mogę jednak wstrzymać się, żebym tu wprzód nie powiedział słów kilka o tym osobliwym człowieku. Nie z powodu charakteru jego, bo łotrów daleko większych od niego tak pełno chodzi ciągle po świecie, że już to nikogo nie dziwi, ale z powodu szczególnego daru, szczególnej własności jaką on w sobie niewątpliwie posiadał. Ta własność, ten dar tak w nim, jako w innych jemu podobnych ludziach różnego stanu spotykanych niekiedy na drodze życia mojego, był i zostanie już dla mnie do

śmierci wieczną fizjologiczną i psychologiczną zagadką.

Jest, jak wiecie, u ludu naszego podanie, że w złowionym w pewnej epoce i pod pewnemi względami nietoperzu znajdują się dwie kosteczki: kruczek i widełki, że kto je posiada, ten dotknąwszy kruczkiem każdej, jaką zechce kobiety, wprowadza ją w zapamiętałą ku sobie miłość, jakże której widełkami się dotknie, odpycha ją od siebie w nieprzełamanym wstręcie. Widziałem, jak powiadam, ludzi wszelkiego stanu, panów, chłopów, Żydów, Cyganów, którzy chyba że już te bajeczne mieli przy sobie kosteczki, bo za nimi rzeczywiście kobiety, do których się tylko choć żartem udali, bez żadnej pamięci szalały, bo dla nich jedna po drugiej bezwstydne nawet robiły głupstwa. Sam teraz we włości mojej mam takiego chłopaka, którego i dziewczęta, i stare baby, i mężatki rozdierają na wszystkie strony i wyrwiają go sobie jedna przed drugą. Staralem się z takimi ludźmi wejść w jakieś stosunki i jakkolwiek ich poznać. Każdy z nich był brzydki, najczęściej głupi, jak stołowe nogi, nieporządny, pijak albo podły łotrek. I ani moralnie sondowani przeze mnie, ani materialnie opatrzeni żadnego na sobie i w sobie nie okazali śladu, któryby w jakikolwiek sposób mógł usprawiedliwić tak ogólne kobiet za nimi szaleństwa. Proszę wytłumaczyć, czem się to dzieje?...

Pan Adam Rogalski był właśnie jednym z tych ludzi w wyższej klasie. Brzydki, jak mała, i nawet z miny do mały podobny, drobny, chudy, wargi grube naprzód wystające a pod niemi także wy-

stające zęby mający, chociaż bardzo niegłupi, dosyć oświecony, a nawet biurowy urzędnik zdolny — z miny już cuchnął łotrem i nie mógł, jakby się zda wało, naturalnym sposobem takiego na żadną światową pannę wywierać wpływu, jaki wślad za nim chodził. Do której dziewczyny, choćby najlepiej wychowanej i dozorowanej, przysiadł się, warjowała za nim! A on z niemi postępował, jak człek niesumienny, już kilka razy do kilku haniebnych zapomnień się dał im powody, a potem razem z owocem błędu szydę i podle od siebie odepchnął. Nawet żona jego śliczna, rozsądna, wysokiego rodu i pełna cnoty kobieta, stała się żoną jego tylko dlatego, że w domu Ministrowej oświecenia znaleziony z nią został gdzieś tam w ubocznym pokoju w tak dwuznacznej i bliskiej wielkiego upadku pozycji, że gospodyni domu i za swój i gości swoich honor ująć się musiała i prawie natychmiast poprowadziła go z nią do ślubu, grożąc prześladowaniem urzędowem, jeśliby tego dopełnić nie chciał. Ale on na biedę zbałamucił był za jednym razem i siostrę żony swojej, sławną z piękności kobietę, która miała bez żadnego porównania młodszego, przystojniejszego i daleko więcej od niego wartego męża. Długo intryga ta była ścisłym sekretem, ale się potem dosyć komicznym wykryła sposobem. On ciągle żonie swojej powiadał, że od dzieciństwa pisze swój dziennik i chowa oto w tem biurku. Ale klucz mechaniczny od biurka zawsze i statecznie nosił na sobie. Żona śmiertelnie w nim zakochana mdlała z ciekawości, żeby też zajrzeć do tego dziennika. Chciała się z niego dowiedzieć szczególnie, jakie były daw-



niej stopniowania jego zapamiętałego do niej przywiązania i co on o niej myśli teraz w duszy swojej, kiedy już żoną jego została. Po dwóch, czy więcej latach raz w dystrakcji mąż zdjętego z siebie kluczyka akurat w biurze zapomniał. Brawo! Żona rzuca się do dziennika i, lękając natychmiastowego męża powrotu, jak się spostrzeże, te tylko karty już odkrywa, które zapisane były od czasu, jak się z sobą pobrali. I zaraz na trzeciej stronicy czyta najdokładniejsze opisanie występnej i zbrodniczej z jej własną siostrą intrygi... Ten niedobry człowiek nic świętego na świecie oprócz pieniędzy i ich marnotrawstwa nie widział. Do tego wzdychał tylko i wszystko temu celowi poświęcał.

Już raz w pierwszej młodości, chodząc jeszcze na Uniwersytet w Wilnie, rozkochany w sławnej podówczas z piękności aktorce Izabeli Górskiej, nie mając jej czem ozłocić, zbałamucił *ad hoc* garderobną starej i strupieszalej kokietki Morykoniowej i, udając przed babą, że się do niej samej umizga, przy pomocy tej garderobnej skradł wszystkie brylanty jej pani i natychmiast ofiarował je Górskiej. Dowiedziano się o tem zaraz nazajutrz. Kradzież odebrano, kawaler dla ocalenia honoru rodziny zmuszony był z Wilna do Petersburga się wynieść. Tam, uprzedzając goniącą za nim opinię i szyderskie przycinki, sam zgóry, niby już nawrócony na drogę cnoty, każdemu tę swoją opowiadał przygodę. Po 1831 roku do Warszawy z Rządem Tymczasowym się przeniósł, gdzie, piastując znakomite i korzystne urzędy, ciągle cnotę udawał i, książki do nabożeństwa drukując, ciągłym, jak się okazało potem, ta-

jemnym policyjnym był agentem. Póki był w Petersburgu, przyszło mu na myśl wydawać satyryczne pismo p. t. „Bałamut“. Dostał na to przywilej, gorliwie się tem zajął. Nie wiem dlaczego, aż do śmierci swojej wielką dla mnie okazywał zawsze życzliwość. Tłumaczył ją tem, że mi jest wdzięczny za wyświadczoną mu kiedyś przysługę, żem go raz w czasie iluminacji i fety w Peterhofie, w ścisku zemdlącego dostrzegłszy, i od zemdlenia flakoniem wody kolońskiej i od rzezimieszków moją około niego pilnością ratował. W nadziei, że do tego pi-semka będę mu artykułów dostarczał, pan Rogalski przysyłał mi zawsze numery „Bałamuta“. Widywaliśmy się z nim czasem i w domu Szymanowskiej, gdzie się pokazywał z żoną niekiedy, ale częściej w domu ministra oświecenia Szyszkowa.

Już sobie „Bałamut“ bodaj od trzech z górą miesięcy szczęśliwie wychodził i najczęściej nudził, kiedy mię raz jeden znajomy Polak jadącego na ulicy zatrzymał i powiada: „Ach, Morawski, jakżeś ty jadowicie te baby obchłostał! Nie wiedziałem, że masz tak ostre pióro!“

— „Ja? Jakie baby? Przeżegnaj się piętą!“

— „A Szymanowską *e tutti quanti*? Cóż — albo nie?“

— „Dalibóg nie rozumiem, co ci się roi!“

— „At, gadaj, i zapiera się jeszcze. Wszyscy już o tem wiedzą!“

Nie czując się do niczego, pożegnałem tego pana, który nigdy u Szymanowskiej nie bywał, i pojechałem dalej. Wróciwszy potem do domu, znalazłem inkryminowany numer, przebiegłem go, nig-

dziem nawet najmniejszej aluzji do Szymanowskiej znaleźć i domyślić się nie mógł. I dziś nawet nie wiem, jaki to był artykuł, co się do niej stosował. Co mi o tem weszło przez jedno ucho, wyszło natychmiast przez drugie; byłem nazajutrz u Szymanowskiej równie grzecznie i przychylnie, jak zawsze, przyjęty. W parę dni potem po jakimś proszonym, nie pamiętam już u kogo, obiedzie wziął mnie na stronę Malewski i z uczuciem wymawiał w imieniu Szymanowskiej, że tak niesłuszną i ostrą potwarz na zacny dom rzucił.

O! tu już byłem do żywego dotknięty! Zapewniłem go słowem honoru, że potwarz właśnie przez nich na mnie jest rzuconą, że gotów jestem wszelkimi możliwymi środkami dowieść im wszystkim, jako artykuł wspomniany nie wyszedł z pod mojego pióra, jako do tego momentu nie wiem, ani się domyślam, który z urywków, w tym numerze zawartych, stosuje się do pani Szymanowskiej i że mi nawet okoliczność, która wywołała podobną krytykę, zupełnie dotąd nie jest wiadomą. Tem więcej, że w życiu nigdy żadnej złej myśli o tych damach nie miał. Kiedy jednak człowiek delikatny i uczciwy, który za punkt honoru w życiu swoim położył nigdy źle nie mówić o domu, w którym bywa, kiedy człowiek, który obecnością swoją równy może zaszczyt domowi temu przynosi, jak mu tam wzajemnie robią ci, co go przyjmują, mógł na podobne zasłużyć podejrzenie, kiedy pani Szymanowska, powtarzając codzień przede mną: „*Vous gagner à être connu*“ mogła na jedną chwilę przypuścić, że ja jestem w stanie tak niegodnie postąpić, — pomimo

całej mojej niewinności i należnego dla tych dam szacunku noga moja u nich nie postanie nigdy.

Taki był los życia mojego! Ludzie nawet najbliżsi mojego serca przypisywali mi czasem cnoty, których nie miałem, i zawsze garściami rzucali na mnie wady, których serce moje nie umiało się nawet domyślić.

Zdaje się i tak mnie zapewniono, że to był poszept i niecny manewr pana Rogalskiego, chcącego wszelkie od siebie usunąć podejrzenie. Może też i same kobiety na tak niesłuszną i krwawiącą najdrażliwsze serca mojego fibry trafiły drogę. Tegom już dla szczerego do tej rzeczy wstrętu nigdy dochodzić nie chciał, a dotychczas, powtarzam, jaki to był artykuł — nie wiem.

Odtąd już dwa czy więcej miesięcy zdarzało mi się tu i owdzie spotykać z panią Szymanowską na wieczorach i balach. Przekonana zupełnie o niewinności mojej, dowiedziawszy się, że właśnie sam Rogalski to napisał, mając już nawet bruljon tego wszystkiego, jego ręką ułożony, podwoiła dla mnie z dziećmi swojemi pełne wdzięku grzeczności, prosiła podawnemu na obiady, wieczory. Nie przyjmowałem ich nigdy, również grzeczną zawsze na to dając wymówkę. Tymczasem los, krzyżujący wiecznie osobliwszym sposobem wszystkie najlepsze obmyślane w karierze mojej postanowienia i plany, gotował mi wielkie przesilenie, którego nigdy ani domyślać się nie mógł, chociażem już był z wielu wysoko stojącymi ludźmi w ciągłej styczności. Plaga okropna, a wówczas sto razy okropniejsza, niż dzisiaj — cholera — pierwszy raz zbliżyła się do granic Rosji. Prze-

strach i przerażenie — dreszcz po całym wywołały kraju. Cesarz na wstrzymanie, jeśli można, postępu tej klęski wyznaczył komisję, która się miała udać na miejsce, oprócz tego polecił wysłać ze stolicy pięciu lekarzy w sam krater tego zabójczego wulkanu. Zawistni i złośliwi ludzie, między którymi Żyd ze szklanem okiem, niejaki dr. Friedeburg, i Szwed, dr. Svederus, główną grali rolę, dowiedziawszy się o tem wcześniej, chcąc mnie pozbyć się na zawsze, wetknęli i mnie pomiędzy tych pięciu kandydatów do śmierci. Kiedy mnie to ani na myśl przyjść nie mogło, rozkaz monarchy kazał mi we dwadzieścia cztery godziny udać się w drogę do Saratowa, gdzie już śmierć połowę miasta skosiła i tam czekać na dalsze rozkazy.

Cesarz po podpisaniu tego natychmiast do Nowogrodu wyjechał. Trzeba wiedzieć, że wtedy nikt nawet z lekarzy, którzy podówczas w największej części byli w Petersburgu, ani wyobrażenia nie miał, co to jest cholera. Od pierwszego do ostatniego wszyscy tyle o niej słyszeli, co o żelaznym wilku. Mniemano jednak powszechnie, owszem z zupełną twierdzono pewnością, że jest daleko bardziej zaraźliwą od dżumy i że dosyć, żeby mucha z chorego na zdrowym usiadła, żeby już zdrowemu śmierć natychmiast w oczy zajrzała. Dotąd jeszcze kwestja zaraźliwości cholery nie zupełnie rozwiązana. Ja może cokolwiek więcej od innych wiedziałem już to z przeczytania dawniej jeszcze dwóch lub trzech książek lekarzy angielskich, już z objaśnień, nauczyciela mojego Józefa Franka, który nieraz ze mną o tej osobliwszej chorobie poufnie rozmawiał:

przy takich jednak wyobrażeniach łatwo pojąć można, jak miłe uczucie sama myśl o niej we mnie wzbudzała...

Ci, co o jej strasznych zniszczeniach czytać będą, nie zechcą do tego przyłożyć wiary tak, jak my nie łatwo zniszczeniom dawniejszej ospy i lepry wierzymy. A jednak tak było! Niech Bóg następców naszych uchowa od tego, na cośmy patrzyli. Z pięciu nas, na tę fetę naznaczonych, czterech zatrwożyło się w duszy, położyło się do łóżek i świa-  
dectwa urzędowe o fałszywych obłożnych chorobach swoich przysłało rządowi. Ja, wyznam to szczerze, wstydzilem się być mianym za tchórza. I jakkolwiek, Bóg wie o tem najlepiej, myśląc, że z zupełną pewnością, że pocztą, galopem dzień i noc pędząc po najokropniejszych drogach, na śmierć oczywistą pojadę, rozkaz jednak monarchy z pokorą przyjąłem i natychmiast wybrałem się w podróż bez względu na materialne z tego powodu kłopoty i straty.

Ten rodzaj heroizmu przy bijących w oczy przeciwnych postępkach moich kolegów sprawił taki, zupełnie przeciwny skutek od tego, jakiego oczekiwali moi zawistnicy, że imię moje rozeszło się błyskawicą po całym mieście i było na ustach ledwie nie każdego mieszkańca stolicy. Mnóstwo znajomych i nieznanomych różnego stanu ludzi zbiegało się do mnie, żeby rzucić okiem przynajmniej na tego męczennika nauki. Lokaje, furmani, bogaci, ubodzy czekali na mnie na schodach i rzucali mi się do nóg, błogosławiąc i o wzajemne prosząc błogosławieństwa. Oleszkiewicz, Malewski, Małachowski płakali ciągle, jak dzieci; łzy i łkania naj-

obojętniejszych nawet dla mnie osób przez całe dwadzieścia cztery godziny, zostawione mi do wybrania się w drogę, nie ustawały w moim mieszkaniu. Ja tylko jeden z suchym okiem i mocną w Opatrzność wiarą po niem się krzątałem.

Jeżeli był kiedy w mojem życiu moment, gdzie dusza moja radowała się z tego, że jest jeszcze dużo dobrych ludzi na świecie, to ten bezwątpienia... Mamże dodać, że ci, którzy najwięcej i najznakomitszych ode mnie odebrali przysług, nie pokazali się, nie pożegnali się ze mną.

Przeznaczenia koniem nie objedziesz. Ja z tyłu epidemij zdrowy, żywy i ze szczęśliwszą zmianą powodzenia wyszedłem. Tych, co się załękli, w Petersburgu cholera co do nogi odrazu pożarła i ci, co mnie wystrychnęli na pewną, jak myśleli, zgubę, już dawno leżą pod ziemią. Pokój niech będzie ich popiołom, bom im dawno już przebaczył...

W tej mojej niedoli i ruinie i tak wątlej podówczas jeszcze sytuacji, bom się w przeciągu 24 godzin ledwie że nie wszystkiego, co miałem, pozbyć się i ledwie że nie na wiatr wyrzucić musiał, Szymanowska zapomniała o sobie, o naszych kwasach, o powadze płci swojej i tylko pamiętała o mnie, o tem, co nazywała mojem nieszczęściem: sama łzami zalana wpadła do mojego mieszkania, co mogła dla ulżenia tej przykrej pozycji robiła. Mam dotąd jeszcze drobne, ale drogie dla mnie pamiątki, ofiarowane mi wtedy przez nią dla ulżenia niewygód podróży.

Z własnego domysłu poruszyła mnóstwo znakomitych osób do starań za moim losem, dostarczyła

mi kilka pism rekomendacyjnych do władz południowej Rosji — słowem zrobiła wszystko, co może zrobić siostra, przyjaciółka, matka!... A chociaż zapisanem już było w księdze życia mojego, że we trzy dni po wyjeździe moim ze stolicy pozycja moja zmienić się miała zupełnie, chociaż to nastąpić miało, że z pokornego urzędnika wynieść się miałem odrazu cudownym sposobem na protegującego i dającego rozkazy tym właśnie, którym rekomendowany byłem, nikt jednak w dniu wyjazdu mojego przyszłości odgadnąć nie mógł. Odwaga, której dałem dowód, tchórzostwo moich współkolegów uderzyły mężnego, szlachetnego i pełnego wzniosłości człowieka hrabiego Zakrewskiego, ówczesnego ministra wewnętrznych interesów państwa, jadącego tamże z zupełnem *alterego* Cesarza. A jadącego dlatego, że się nikt z matador, otaczających Cesarza, takiej misji podjąć także za nic na świecie nie chciał.

Spotkawszy mnie na drodze do Moskwy, znając już moje nazwisko, zaraz mnie przy swojej zatrzymał osobie. Ale to, co Szymanowska dla mnie robiła i starała się zrobić, zostało i po ostatni dzień życia mojego zostanie dowodem jej anielskiej duszy i prawem na stali wyrytem do wiecznej mojej wdzięczności.

Odtąd tedy znowu dawne wróciły stosunki. Ale te złote chwile niedługo nam trwały.

Tużając się blisko roku po wszystkich zakątkach Rosji, wróciłem nakoniec witany łzami szczerej radości od całego Szymanowskiej domu. Niestety! ledwie że nie tuż za mną wdarła się do stolicy cholera mściwa, rozszożona, zabójcza. Okropność, któ-



ra ona mnie otaczała dotąd w miejscach dla mnie zupełnie obcych, o wieleż razy zwiększyła się tutaj, robiąc mnie ciągłym świadkiem mąk i konania samych tylko przyjaciół i dobrych znajomych. Boże mój wielki, wyjmij te chwile z mojej pamięci! I Szymanowska nasza w dniu 25 lipca 1831 roku, jeszcze przed chwilą w oczach moich zdrowa, wesoła i hoża, stała się ofiarą tego morderczego powietrza. Nie wyszło kilka godzin srogiej męczarni, znoszonej z dziwną odwagą i niepodobną do wiary spokojnością umysłu, i zmarła, a jedna z wielkich ozdób płci swojej, jeden z wielkich zaszczytów naszego kraju stanął w zastępstwie za nas przed Bogiem.

Śmierć jej nawet w tym krwawym momencie powszechnym i głośnym żalem, a rzewnemi przyjaciół i znajomych łzami uczczoną i z głębi duszy opłakaną została.

Szymanowska posiadała i zostawiła dzieciom swoim rzadkiej wartości albumy, o których już wyżej nieco mimojazdem wspomniałem. Albumy te należą do umysłowych skarbów kraju naszego, chociaż się w prywatnem ręku dotąd znajdują. Wywołały one w swoim czasie powszechną zazdrość Europy i rzeczywiście do niepospolitych klejnotów liczyć się powinny.

W ciągu kilkoletniego pobytu Muzy naszej zagranicą i w Rosji, w ciągu długiego pobytu swojego w rodzinnym kraju, słowem, gdzie tylko była ta zacna kobieta, umiejac sobie zakarbić przyjaźń i szacunek wszystkich i zostając w bliskich ze wszystkiemi niepospoli-

tymi ludźmi swojego czasu stosunkach, starała się i potrafiła zebrać i skupić w jedno własnoręczne pamiątki i podpisy najznakomitszych gwiazd duchowego horyzontu całej Europy. Ludzie ci różnych narodów, a różniejszych jeszcze dążeń z ochotą spełniali jej życzenia, chętnie wtłaczali się w jej pamiętniki, ciesząc się i chełpiąc z tego braterskiego zbliżenia, które wszystkich przedstawicieli ówczesnej europejskiej sławy pod jedną i tak gościnną strzechą zebrało. Takich albumów miała trzy.

Jeden w bogatej drogiemi kamieniami ozdobnej oprawie, dar księcia Cambridge, brata angielskiego króla Jerzego IV-go, zawiera w sobie autografy i podpisy sławnych poetów, historyków, wojowników, malarzy i t. d., dostał się on córce Szymanowskiej Helenie Malewskiej. Drugi stanowi zbiór z niemałym kosztem i trudem zebranych autografów najslawniejszych dawnych kompozytorów muzycznych i nowoczesnych autorów z umyślnie przez każdego z nich na pamiątkę dla Szymanowskiej napisaną muzyką. Ten zbiór znajduje się w Paryżu w ręku córki jej Celiny, małżonki sławnego poety Adama Mickiewicza. Trzeci, wypełniony także nazwiskami różnych znamienitości krajowych i zagranicznych wszelkiego rodzaju, przeszedł był w dziale do syna jej Romualda, który wysłany na Kaukaz jakby już wcześniej zgon swój nieszczęsny przeczuwał i cały zbiór z Kijowa odesłał darem siostrze swojej Malewskiej i tym sposobem od wiecznej straty zachował.

Pisma publiczne całej Europy w owym czasie wiele mówiły o tych rzadkich albumach, jak o rzeczy

nadzwyczajnie z natury swojej zajmującej, ciekawej i nieocenionej. Biograf Szymanowskiej, który przecież kiedyś znaleźć się musi, dużo szczegółów i wspomnień w tych źródłach odszukać potrafi, czego ja, oddalony od świata pustelnik i wieśniak, zrobić nie mogę.

Thomas Moore, Chateaubriand, Casimir Delavigne, Benjamin Constant, Karamzin, Koźmian, Canning, Beranger, Niemcewicz, Jouy, Goethe, Osiński, Kryłow, Rostopczyn, Humbold, Dawydow, Paër, Miss Siddons, Cherubini, Clementi, Beethoven, Weber, Mercadante, Rossini i tylu innych zgromadzonych tam genialnych gości zapewniają temu jedynemu może w swoim rodzaju zbiorowi rosnącą z każdym dniem w otchłani przeszłości zapadłym wielostronną a niczem niedającą się obliczyć cenę. (A. III.)

*Zacząto 1-go a skończono 18-go maja 1849 roku w Ustroniu*

---



**KOSZAŁKI — KOBIAŁKI**



*I*

*DWIE ANEGDOTY*





Ciągnie mnie coś za język, żebym wam opowiedział dwie anegdoty, które mi na myśl przychodzą. Dziś jeszcze tu i owdzie są one ludziom wiadome, jako spadek dykteryjek i gawęd zacnych ojców naszych, ale za lat kilka, jak już i nas nie stanie, przy tylu innych drażniących wypadkach i zajmujących powszechną świata uwagę brednie te w wieczną pograżą się niepamięć. Kto wie, może ta karta na co się kiedyś komukolwiek przyda. Zacznijmyż!

1.

Wiadomy jest z nowoczesnej historii wpływ Stackelberga, posła imperatorowej Katarzyny II-iej, na Stanisława Augusta. W Warszawie rzeczywiście królował Stackelberg, dawniej jeszcze z Królem złączony masą przyjaznych stosunków i wspomnień i łudzący go zawsze nadto stałą ideą zapamiętałej miłości Katarzyny ku niemu. Ideą, która tego nieszczęśliwego a dobrego skądinąd Króla nie opuszczała do końca życia narodu. Rząd francuski błyskawicami, lansadami tylko, kiedy niekiedy, zdawał się chcieć pomagać Polakom. Baczne na wszystko, a genialne Katarzyny oko pojmoowało całą niedołężność i bezskuteczność takich nie mających żadnej podstawy wysokoków Francji. Nie lękała się ich tedy Katarzyna doprawdy przy stopniowem wypełnianiu planów swoich i w duszy żartowała z nich

sobie. Ale żeby bez nieprzyjaźni pokazać i udać, co się zawsze przyda, że to wszystko niby boleśnie czuje, chciała drażnić drażliwość francuską drobiazgami, lalkami, bredniami. Chciała, żeby jej posłowie u zagranicznych dworów przy każdej zręczności czy dowcipem, czy żartem, czy łamaniem wszystko u francuskiego dworu znaczącej etykiety okazywali tej błazeństwami bawiącej się Francji, że ich Monarchini nie jest z Francji tyle, ileby sobie chciała, zadowolona. Raz jeden z podobnych posłanników Francji, którzy się od czasu do czasu pokazywali w Warszawie, przybył do tej stolicy z poleceniami rządu swojego. Prosił natychmiast o posłuchanie dla przedstawienia swoich wierzitelnych listów. Otrzymał je. W dzień naznaczony wchodzi do gabinetu Króla, nie lubiącego etykiety, i widzi tam wszystkiego dwie tylko osoby. Jedna z nich, cała w gwiazdach i wstęgach, we fraku suto złotem haftowanym, rozłożywszy bez ceremonji poły, grzała się przy ogniu kominka. Druga w jedwabnym racymorowym fraku wielce skromnie ubrana o kilka kroków przed pierwszą stała. Francuz, przyzwyczajony do zbytków i przepychu Wersalu, domyślił się zaraz, że tak swobodnie grzejący się przy ogniu i tak błyskotliwie odziany człowiek jest właśnie Królem. Do niego się tedy odwrócił, krótka swą mową wypalił i list wierzitelny podaje.

Aż oto właśnie w tym momencie ten u komina stojący człowiek po wysłuchaniu już całej perory pośła wskazuje ręką na owego skromnie ubranego socjusza i rzecze: „Mylisz się pan — oto Król“.

Łatwo się domyślić, że sto wiader wrzątku na głowę posła, co takiego umiał uciąć byka, wylało się raptem.

Francuz jednakże fantazji nie stracił. A obróciwszy się do króla Stanisława, inny do niego, a stosowny do wydarzonej okoliczności powiedział komplement.

Król ze zwykłą sobie łaskawością uprzejmie wysłuchał, a cienia nie dając pochopu do żartów z grubjańskiej Stackelberga śmiałości, na obiad u siebie zatrzymał.

Ale Francuz do żywego był tknięty i wściekał się w duszy na Stackelberga. Czuł dobrze, że cała pomysłność misji jego, w tym razie fatalną śmiesznością z góry okrytej, spęta się, jeśli mu się nie uda w ciągu tegoż jeszcze dnia sutą wzajemnością odpłacić się Stackelbergowi. Na twarzy jego jednak nic widać nie było. To już talent dyplomacji europejskiej aż do dnia dzisiejszego włącznie, którego nam wszystkim, a mnie szczególniej zazdrościć trzeba!

Stackelberg, nie posiadający się w duszy z radości, był cudownie dowcipny, grzeczny, wesoły i tegoż dnia jeszcze sztafetę o tym zabawnym wypadku, tak silnie upokarzającym Francję, dworowi swojemu wysłać postanowił.

Francuzowi ciągle kamień na sercu leżał!

Po obiedzie zasiadł Król do zwykłego wista. Stakelberg, poseł francuski i któryś z poufałych Króla polskich magnatów byli przypuszczeni do zaszczytu tej partji.

Obeszło już kilka kolei, kiedy Francuz zadana przez Stackelberga damę zabija waletem i już lewą zgarniać dla siebie zaczyna. Stackelberg zatrzymuje go i robi uwagę: „Ależ pan waletem moją damę chcesz zabić!”

Francuz z najzimniejszą krwią, rozpatrzywszy na stoliku karty, bierze się za czoło i powiada: „Prawda! To dla mnie nieszczęśliwy dzień jakiś: drugi raz już dzisiaj biorę lokaja (*valet*) za króla!...”

Tem jednym słowem całą swoją reputację w okamgnieniu poprawił.

Stackelberg aż do krwi usta swoje przygryzł.

## 2.

Dwór francuski, również albo może i więcej od innych dworów zepsuty, ale z innej zupełnie strony patrzący na domowe i pokojowe intrygi rosyjskiego dworu, znając słabości Katarzyny II-ej, postanowił wyprawić do Rosji posła, odznaczającego się również piękną powierzchownością jak i wielkim dowcipem. I hrabia Ségur, posiadający te dane, bardzo młody i silny człowiek, akredytowanym przy dworze rosyjskim został.

Katarzyna, jak kobieta, wiedziała wyśmienicie, co w domu u siebie robi. W tych wszystkich rzeczach czystą krew słowiańską sto razy więcej od innych europejskich poród ceniła. I robiła słusznie. Ale dwór jej cały i faworyci, zobaczywszy Ségura, zatrwożyli się w duszy. Drżeli jak zmrożeni. A może on czasem faworytem zostanie!

Natychmiast tedy zrobił się spiszek. Postanowili przy każdej zręczności szykanami, drwinkami, śmiesznością okrywać go i drażnić.

Tak właśnie było i za mojego czasu po rewolucji lipcowej 1830 r. Marszałek Mortier, dla innych powodów szykanami dworzan drażniony, nie dał się i pokazał, że równie językiem i dowcipem, jak szablą władać dobrze umiał.

Na obiedzie tedy, danym dla francuskiego posła, hrabiego Ségura, przez kanclerza państwa Bezborodkę, pomiędzy innymi potrawami podano prosię, podlane sosem z tartego surowego chrzanu zmieszanego z także surową śmietaną. Potrawa najzupełniej narodowa ruska. Ségur, okiem, francuską kuchnią zepsutem, spojrzawszy na to skądinąd bardzo smaczne danie, uczuł, że mu braknie śmiałości, nie wziął nic za swój talerz tego prosięcia. Bezborodko, rzadkiej głowy i rzadkiego dowcipu człowiek, jako gospodarz tuż obok siedzący, chcąc Ségura ukąsić, śmiejąc się niby dobrodusznie, powiada głośno: „Hrabio, czemuż tego skosztować nie chcesz? To przecież Francuz! Wszak to ciągle mówi: *qui, qui!*”

Ségur wręcz na to z najmłodszym uśmiechem: „Tak! To rzecz osobliwsza! Póki to małe, może to i Francuz. Ale jak wyrośnie staje się prawdziwym Moskalem!”

The first part of the book is devoted to a general history of the United States from its discovery to the present time. It is divided into three volumes, the first of which contains the history of the discovery and settlement of the continent, the second the history of the colonies, and the third the history of the United States from its independence to the present time.

The second part of the book is devoted to a general history of the United States from its independence to the present time. It is divided into three volumes, the first of which contains the history of the discovery and settlement of the continent, the second the history of the colonies, and the third the history of the United States from its independence to the present time.

The third part of the book is devoted to a general history of the United States from its independence to the present time. It is divided into three volumes, the first of which contains the history of the discovery and settlement of the continent, the second the history of the colonies, and the third the history of the United States from its independence to the present time.

The fourth part of the book is devoted to a general history of the United States from its independence to the present time. It is divided into three volumes, the first of which contains the history of the discovery and settlement of the continent, the second the history of the colonies, and the third the history of the United States from its independence to the present time.

*II*

*ŚMIERĆ KRÓLA STANISŁAWA AUGUSTA*





---

Król Stanisław August Poniatowski pochowany jest w Petersburgu w kościele katolickim św. Katarzyny. Kościół ten po jezuitach wiecznym ich nieprzyjaciołom dominikanom oddany dotąd, Bóg wie na jak długo, w dominikańskim ręku zostaje! Wielka ale nadzwyczaj skromna i prosta płyta z kamienia, na linii środkowej przed kratkami presbiterjum położona i ciągle przez lud pobożny chcąc nie chcąc deptana, ma na sobie napis grobowy, oznaczający miejsce, gdzie leży ciało tego nieszczęśliwego monarchy. Zebrane kawałki rozerwanego kula armatnią występnego przed swoją ojczyzną francuskiego generała Moreau, rozerwanego, jakby Polska nasza, tak, że mu tułów sobie, a nogi sobie rzleciały po świecie, zaraz przy babińcu na prawo za żelazną kratką w tymże kościele są złożone i piękna tablica z białego marmuru o tem ostrzega. Kto po nas żyć będzie, dowie się daleko lepiej od nas, jakie były prawdziwe powody, dla których Stanisław August po abdykacji swojej do Petersburga sprowadzić siebie pozwolił, kiedyby chciał to i bez abdykacji sto razy z każdego miejsca uciec mógłby zręcznie. Tak mnie przynajmniej ojciec mój, żywy świadek ówczesnej podróży Króla po Litwie, zapewniał. Nie z pod takiej to straży, naprzykład, jaka była wtedy naokoło króla Stanisława Augusta,

czy nasz cnotliwy Leszczyński z Gdańska, czy niedawno ojciec nasz święty, Pius IX. wymknął się z Rzymu. Może to była pocziwa chęć zamknięcia raz na zawsze tym postępkiem wojny domowej, tak łatwej w nieszczęśliwej a zawsze burzliwej Polsce. A Król miał jeszcze gorliwych i zapalonych przyjaciół, którzyby go za pretekst używali zapewne. Ale najpodobniej, że zawsze *idea fixa*, owa przeklęta nadzieja małżeństwa z Katarzyną II-gą, chociaż oboje byli już starzy, zmylała wszelkie działania i krzywiła wiecznie postęпки Króla, którego łatwowierność i romansowe serce przynęta, równie jak i blaskiem genjuszu swojego ciągle łudzić umiała zdradliwa kobieta.

Bądź co bądź kazano mu mieszkać i rzeczywiście zamieszkał w Petersburgu. Zamieszkał w danym sobie pałacu, Marmurowym zwanym, pałacu faworytów, bogatym wprawdzie, ale strasznym, ale czarnym, ale ponurym, ale patrzącym na kazamaty twierdzy, ale grobowym pałacu. To też tam i umarł!

O najbardziej do prawdy przybliżonym powodzie śmierci zupełnie już wówczas na nic niepotrzebnego Stanisława Augusta prócz innych brudniejszych plotek, których powtarzać nie chcę, tak mówiono mi w Petersburgu, a szczególnie tak mi nieraz mówił niejaki pan Swendorski, staruszek, za czasu mego archiwista Sekretarjatu Stanu nowego Królestwa Polskiego, zmarły w r. 1831 z cholery. Był on jednym z sekretarzy i dworzan Króla i z nim razem do Petersburga był przywieziony. Toż samo twierdził i Józef Grabowski, rodzony brat ministra sekretarza stanu, Stefana. Ten, wszystko w karty na dworze

zdetronizowanego króla kiedyś przegrawszy, poróżniony z rodziną, w bezżennej starości swojej zamieszkały ciągle, ale wielce ubogo w kosztownym Petersburgu, rad był przy kieliszku dobrego wina gawędką za szlachecki ofiarowany mu obiad zapłacić.

Obadwaj — i Swendarski, i Grabowski — cośkolwiek pewnego wiedzieć przecież mogli.

Naco wiecznie podejrzawać trucizny, kiedy dosyć i takiej, jak powiem zaraz, obrazy dla człowieka, pełnego czucia swojej godności, żeby się słowo zamieniło natychmiast w truciznę.

Dawano ciekawe i nowe widowisko w teatrze. Przyjechał na nie Król i zasiadł w łoży swojej. Przybył z orszakami i cesarz Paweł. Wszystko, co żywym było w tej sali, powstało i stało.

Powstał, rozumie się, i dobrze w dworskich ceremonjach wyćwiczony Król. Ale po pewnym czasie, który mu się dostatecznym na wykazanie uszanowania zdawał, oddawszy ukłon Cesarzowi, ufny w majestat i nieszczęsnego położenia i królewskiego charakteru swojego, na nowo w głębi łoży usiadł.

Tymczasem Paweł jeszcze był nie siadł. A dostrzegłszy siedzącego już Stanisława Augusta, posłał do niego z tem, aby wstał i stał dopóki Cesarz nie siądzie.

Wstał też i stał, przez mgnienie oka, do żywego dotknięty nieszczęśliwy Król. Ale natychmiast źle się poczuwszy wyjechał, i nim do siebie wrócił już mu część członków odjęło.

Przyłączyła się gorączka — w kilka dni nie żył.

Ciało jego do grobu z wielką wystawą odprowadzał sam cesarz Paweł, widocznie gniewiony na sercu kamieniem robionych sobie samemu wyrzutów i żalu. Nienawidził on wprawdzie wszystkich matki swojej kochanków. Ale wobec zwłok Poniatowskiego, zwracając uwagę na godność wszelakiego tronu, przypominał sobie zapewne, jak zupełnie inaczej przy dopełnionej nawet przez szwedzką królowę Krystynę nad Monaldeschim zbrodni, jak przy wielkiem zrzuconych z tronu Stuartów nieszczęściu, prawdziwie wielki monarcha umiał szanować cień nawet korony!

Zaraz po śmierci Stanisława Augusta wszystkie jego papiery a w tej liczbie i pamiętniki Króla, własną jego ręką pisane i z kilku składające się tomów, których żadnemu z dworzan nie pokazywał nigdy, opieczętowano i do dworu ruskiego monarchy zwieziono. (A. IV.)

---

*III*

*ALEKSANDER MICHAJŁOWICZ KOCHOWSKIJ*



---

Kiedybyś się już znudzony piaskami Merecza, rozżalony zupełnym upadkiem obdartej z dachów i rozerwanej na poły Olity ku Puniom przybliżał, na parę staj od miasteczka ujrzałbyś przed dwudziestu jeszcze laty jakby jaką oazę. Ujrzałbyś wesoły, schludny, kształtny i niezwykłym tutaj staraniem utrzymany dwupiętrowy pałacyk, który piękne cieniste okalały drzewa, maskując tą sztucznie urządzoną zasłoną wszystkie do życia wiejskiego potrzebne mniej poetyczne domostwa. Tuż obok w kilku ładnych i wytwornych klombach i pod bujną murawą okrytych łączkach mnóstwo i białych, i zwyczajnych zawsze bawiło się pawiów. Pałacyk, wzniesiony nad brzegiem Niemna, śliczne i z tej, i z drugiej strony rzeki odkrywał widoki. Przed dwudziestu jeszcze laty wszystko tu żyło życiem wesołym a, co najwięcej pocziwem, ale odrębnem i sobie właściwem życiem, niepodobnem zgoła do życia Litwy. Wszystko to na sobie nosiło cechę pobratymczej raczej wprawdzie, patryarchalnej, ale w oczy bijącej obyczajny.

Był to pałacyk ruskiego pana, przesadzonego ze wszystkim, co ruskie, na tę naszą ziemię, na ziemię, gdzie wszystko jeszcze podówczas było tutaj mniej więcej litewskie czy polskie. To śliczne wiejskie mieszkanie zwało się Nieczujki. Dzisiaj już tutaj

same ruiny! Za lat parę już nawet i śladu Nieczujek nie będzie! Niechajże ślad poczciwego i zacnego człowieka, dawnego ich pana, na tej mojej karcie przynajmniej zostanie.

Aleksander Michajłowicz Kochowski, generał rosyjski, rodem był ze smoleńskich okolic. Posiadał tam dobra, 1200 dusz liczące, a był starszym bratem przyrodnim owego sławnego Jermołowa, którego tak powszechnie znano, jako bożyszczę i najzieleńszą nadzieję Rosji, i który dzisiaj jeszcze do największych jej ozdób bezwątpienia należy. Ta rozległa miłość ku niemu całego narodu, te wielkie na jego niezaprzeczonych talentach i męstwie cparte nadzieje były powodem, że na tak niepospolitego człowieka krzywem u góry patrzono okiem. Że go na polocie jego wstrzymano. Że skrzydła własnym jego nadziejom podcięto. Że, jednym słowem, wielkie zdolności swoje marnie zażrzebać i, tlejąc od tylu lat beczynnienie, własną sławę swoją przeżyć rad nie rad musiał.

Kochowski za Katarzyny jeszcze zaczął był swój zawód wojskowy i w nim daleko postąpił. Dziwny to był czas dla Rosji ten wiek Katarzyny! Nikt dzisiaj o nim nie mówi, owszem, umyślnie każdy jakoś mówić się strzeże. Dzisiaj wszędzie i we wszystkim świeci tylko Piotr Wielki i jego okres. Może dlatego o tej niepospolitej kobiecie tak dzisiaj milczą, że za jej życia tyle o niej mówiono. Ale kolej i na nią znów przyjdzie, bo mówić jest o czym! Śród niepodobnej do wiary ciemnoty ogólnej zdarzali się często za jej rządów ludzie, niespodziewanie i sami przez się wzniesieni nad poziom, posiadają-



cy wielką i głęboką naukę, wielkie przyrodzone zdolności. Zdarzali się ledwie nie co moment ludzie, posiadający wielki polor społeczny przy powszechnem w kraju brutalstwie, wielką i nieskazitelną cnotę przy powszechnem publicznych i prywatnych obyczajów zepsuciu. Długi wpływ potężnego i na kraj wschodni działającego Tatarów rządu zaszczerpił tu i obyczaje i wielkie wady Wschodu.

Piotr I., znowu słusznie zapewne Wielkim zwanym, kijem tutaj od Zachodu i postęp zachodni, i jego złą stronę gwałtownie napędził. Byłyż tu przecie jak i wszędzie i własne rodowe grzechy... Z trzech stron zatem zło tutaj szerokiem wpływało korytem! Jakiegoż to trzeba ducha, żeby ten straszny potop w sobie zwyciężyć!

Kochowski był właśnie jednym z tych rzadkich, odznaczających się samorodną i wyższą cnotą rosyjskich ludzi. Młody jeszcze, miał już w 1797 roku stopień generał-majora. To, jeśli nic więcej, dowodzi przynajmniej znakomitości i wpływu rodu jego u dworu. Zwyczaj był bowiem podówczas zapisywać tylko co urodzonego syna do wojska, jak skoro ojciec jego dobre u góry miał plecy. Życie takowego niemowlęcia w pieluchach liczyło mu się za rzeczywistą służbę wojskową, ze służbą ojczyźnie w boju. I nieraz wychodzący z pod szkolnej różgi siedemnastoletni młodzieniec tak był już starym i doświadczonym żołnierzem i tyle w samej rzeczy liczył lat służby, że się, nie wiedząc jak, to pułkownikiem to czasem nawet generałem zobaczył. W Prusiech u Fryderyka Wielkiego o tej samej porze szło nieco przeciwnie: sześćdziesiątletni starzec

jeszcze porucznikiem bywał. A rzadko się kto, służąc i przez całe życie dla niego krew lejąc, dosłużył stopnia majora! Co kraj, to obyczaj. Kochowski w randze generała był świadkiem koronacji cesarza Pawła. Wiadomy jest wszystkim czarodziejski urok, jakim siebie Katarzyna umiała otoczyć. Wiadome do niej i bojarów i ludu ruskiego silne przywiązanie. Wiadomy żal po niej. Rozum, łagodność w obejściu się, wyrozumiałość, przystępność, sława, przez nią na poczynający się w Europie naród ściągnięta, wzbogacenie i powiększenie kraju przez liczne w rozmaitych strefach zabory, miłość ku niej do entuzjazmu w Rosjanach podniosły. Genjusz tej osobliwej kobiety tworzył wszystko z niczego. Szanując i ceniąc wielkie zalety, czy olbrzymie wady ciała w faworytach swoich, wybierała na to, jak słusznie, samych tylko Rosjan, bo z nimi nikt się na tej drodze i dotąd zrównać nie może. Ale potrafiła im się hojnie za te trudy odwdzięczyć, umiając ich i w chwilach zapomnienia się nawet natchnąć wzajemnie wielkimi zaletami lub, co tu także na jedno wychodzi, wielkimi wadami własnego wielkiego ducha. I często też z prostego źdźczalego kozaka, z prostego barczystego draba wojsk swoich rozbudzić siłą genjuszu swojego umiała oddanego jej duszą i ciałem wielkiego dyplomata, administratora lub wodza. Kochowski ze szczerym zapałem dzielił te powszechne ruskiego ludu dla Katarzyny uczucia. Śmierć tymczasem zabrała niespodziewanie tę wielce występłą przed Bogiem, tę prawdziwie wielką przed swoim narodem mocarkę. Kraj, jakby piorunem, tą stratą rażony, przeszedł

pod władzę nowego, a ledwie już nie pół wieku żyjącego pana. Miał więc dosyć czasu nabierać o nim wszelkich języków.

Cesarz Paweł, jak wiem od tych, co z nim w blizkich codziennych zostawali stosunkach, był człowiek najlepszego, a nawet miękkiego serca i do urojenia posuniętej cnoty. Przepelniony uczuciami rycerskiego honoru, pełen prawdziwej monarszej wspaniałości, szczodry. A nawet w stanie zwyczajnym umysłu swojego, kiedy go nic nie drażniło gwałtownie, pełen czystej i zdrowej logiki. Kaziła i zacierała to wszystko w tak wielkim panu jedyna nieszcześliwa słabość: popędliwość, do zapamiętałości posuwana często. Tę wadę, którą i na jego własną i na poddanych jego zgubę dała mu natura, wadę, któraby może przy innych łagodniejszych wpływach wrodzoną dobrocią serca jego także złagodzoną być mogła, rozwijały umyślnie złych ludzi drażnidła, ciągle w rosnącym z latami jego postępie ledwie że nie do ostatecznych posuwane granic. Bo przyszło już było do tego, że życie jego raczej ciąglem wytężonem we wszystkich kierunkach prześladowaniem, raczej pełnem niesłusznych bolesnych i krwawych kolców męczeństwem, niżeli życiem szczęśliwego zawsze, bo troski władzy wolnego następcy tronu, niżeli nawet życiem człowieka nazwać by się mogło.

Tak przebył Paweł czterdzieści dwa lata, trapiiony co chwila nieprzerwanym ciągiem upokorzenia, nieprzerwaną niedolą i serca i materialnego bytu!... Lało się złoto potokiem do rąk faworytów, Pawłowi nieraz hrabina Kutajsowa po dziesięć

rubli asygnacyjnych, które wprawdzie podówczas jeszcze na równi ze srebrem chodziły, pożyczać musiała. Nieraz głupi, zarozumiały dworak, działający w duchu tajemnych, rodzinnych dworu swego zamysłów, węchem dochodząc, że się tem dobrze pani swojej zasłuży, ważył się bezkarnie uchybić dziedzicowi największego tronu na świecie.

Rozum francuski bezwzględnie dawał wtedy ton całej Europie. Uczeni rosyjscy, rozumowaniom cudzoziemców zawsze posłuszni, ze świeżem sercem i dobrą wiarą przyjęli i wessali w siebie francuskich mędrców nauki. Zbliżały się one na oko do szorstkich, czerstwych, ale pocziwych cnót republikańskich z czerstwością i szorstkością dzikiego jeszcze narodu w pewnym stopniu i względzie niejako pokrewnych. Szczerze tedy przez samych mistrzów przyjęte, szczerze ledwie że nie od kolebki młodemu księciu przez nich wpajane zasady podniosły w nim jeszcze wyżej wrodzone poetyczne o cnotcie ludzkiej marzenie i zrobiły z niego jakiegoś nieskażonego bajecznych czasów rycerza, trzymanego pod złotym kluczem złęgo czarnoksiężnika, czekającego na to, aż mu nakoniec dobry genjusz jaki te żelazne pęta pokruszy, te lane z ołowiu bramy stworzy! Niestety, dopiero śmierć matki, słuchajcie dobrzy ludzie! dopiero śmierć matki tym dla niego dobrym genjuszem być miała! Dostyc już było i tego jednego dla prawdziwego i zacnego serca nie-szczęścia.

Poczęty i spłodzony wśród epoki, w której nawet same chwile rozkoszy matki dzielić się tem gwałtownem uczuciem z myślą o strasznej polityce

musiały, Paweł cesarz przyniósł na sobie piętno tego straszliwego czasu. Był on małego wzrostu i bardzo, bardzo niepiękny! A oddech przytem jeszcze miał głośno sapiący! Wchodząc w ducha owego czasu, przyznać należy, że te wady ciała nieszczęsne wielce były z wytwornością wycacanego i o wdzięk szczególniej ubiegającego się dworu, a nawet z majestatem jego niezgodne! Od kolebki już zatem powzięty do niego jakiś wstręt lubiącej wszystko, co piękne, matki, matki, co dzieci jego dlatego, że piękne, kochała, pieściła, — a później znowu nieufność i polityczne trwogi odtrącały brzydkiego na twarzy syna od lskniących się wszystkiemi zbytkami czasu tej Semiramidy dworców. Oddalony do Gatzyna, podejrzewany ciągle, lekceważony przez wszystkich, co się pomimo chytrności swojej na przyszłość nie umieli oglądać i w nieśmiertelność Katarzyny doprawdy wierzyli, Paweł pozbawiony był żywej duszy, któraby go kochała i była mu szczerze oddana. Chociaż otoczony na oko i w piśmie publicznych odpowiednią godności jego promienistą tęczą, był w rzeczy samej strzeżony, szpiegowany i poniewierany na każdym kroku. Przez całe 42 lata życia swojego czuł on, krwią oblewając serce, że nie mógł nikomu zgoła śmiało i zupełną ufnością myśli swojej powierzyć. Bo każde jego słowo, każde w słusznem oburzeniu sarknięcie przekręcone, skrzywione, skażone, zatrute natychmiast sztafetą odniesione było. A za takim sarknięciem szła zaraz jakaś wrzekoma i od niechcienia niby zesłana kara, jakieś nowe ścieśnienie węzłów, mniej lub więcej młodemu panu dotkliwie. Prawość jego

naprzykład, wzdrażała się gorącym rumieńcem i spienioną żółcią na samo wspomnienie losu Piotra III-go, na nadużycia domowe i na różne pałacowe wstydy! Oburzała się szczerze na rozćwiartowanie żywcem tej szlachetnej różnostronnie wykształconej, poczciwej w duszy, choć swawolnej i burzliwej Polski, a szczególnie na tyle marnie rozlanej krwi jej męczenników! Ale tem samem właśnie niefortunny ten człowiek i dwór matki swojej i lud, jej własną rozłechtany rozkoszą, a już wcześniej i oddawna zręcznie, jakby wilkiem jakim, następcą tronu straszony, bardziej jeszcze na siebie najniesłuszniej oburzał. Stan znowu tego ciągłego upokorzenia, tej wiecznej zależności, niewoli, drażniąc co chwila wrodzoną już w nim porywczosć, oblewał jeszcze powoli serce jego jadem gorącej, mściwej i gorzkiej żółci. A tym sposobem z najlepszego z natury swej człowieka przemienił go powoli w rozsrożonego lwa. Ofiara nieszczęsnego zbiegu wypadków monarcha ten równo z pierwszym dniem panowania swojego całą poławą narodu zgóry na siebie rozjątrzył, wprowadzając odrazu wbrew przeciwny matce swojej systemat. Łaskę bowiem, karpysowi najczęściej uległą, chciał czystą sprawiedliwością; rozwiąłość — surowością obyczajów; zbytki chciał oszczędnością zastąpić. W takiego jednak rodzaju kryzysach, gdzie całe miliony stworzeń albo się ludźmi, albo większemi jeszcze zwierzętami stać mają, zawsze — czy naród, czy władca krwawo ucierpieć musi! Postanowienia te, może i lekki jaki odcień zemsty w sobie noszące, naprzód spodlonych dworzan dotknęły. Dworzan, przesią-

kłych półwieczną babią intrygą, a wyuczonych dobrze wszelkich szachrajstwa dworskiego wyskoków. Poczuli zaraz węchem dworskiego szpica, że tak długo przez niech lekceważony księżę, a dzisiaj monarcha, chociażby i chciał nawet, nie może, doprawdy, nie może zapomnieć tak długich, tak piekielnych, a tak niezasłużonych krzywd swoich. Paweł zaczynał nie od zemsty wprawdzie, ale od tego, co mu się sprawiedliwem być zdało, choć to inaczej pojmowali ludzie. Pogrzebał ciało albo już raczej męczeńskie prochy swego ojca razem z matki swojej groźnem, potężnem, ale i występniem ciałem, a pogrzebał je z powinną i najgłębszą pokorą, z uszanowaniem cnotliwego syna. Ale samo zbliżenie tych martwych już szczątków do siebie, tych ciał, które już tak wielka i od tak już dawna rozdzielała przepaść, dla wielu żywych jeszcze było okropnem na dzisiaj, a złą na potem przyszłość znamieniem! Gorzej dotknął jeszcze zaraz licznych faworytów matki swojej albo ich rodziny, odbierając im niebacznie, choć słusznie, jako kradzież publiczną, część tych wielkich bogactw, jakie za zasługi, o których rodzaju cały świat wiedział, ze wspaniałości chwilowej zmarłej monarchini byli otrzymali. Wszystkie więc ich pałace w stolicy natychmiast bez żadnego wyjątku stały się własnością publicznego skarbu. Rozjątrzyło to do żywego, bo jakże rozjątrzyć nie miało, całą masę arystokracji nowej, z zasług łoża wprawdzie w wielkie pierze porosłej, ale tem potężniejszej, tem bardziej silnej, że arystokracja ta przez długi ciąg rządów Katarzyny miała czas stare bojarstwo i podbić i pod nogi swoje

podesłać, a protekcjami swojemi miała czas je nawet przywiązać do siebie. Sarkać więc zewsząd groźnie zaczęto. Potworzyły się partje. Świeża jeszcze potęga Zubowa najsilniejsze sprężyny intrygi w swoje zabrała ręce. A tymczasem zbyt gwałtowne działania niehamowanego w porywczosci swojej mocarza silniejszy jeszcze teraz i śmieiej zuchwały, bo na podstawie straszliwego spisku oparty, znajdowały opór. On znowu Paweł, silniej karać ich za ten opór zaczął, po różnych końcach niezmiernego państwa swojego rozesał, gdzie tylko mógł do śmiecia i błota po sam pas ich wgniatał, żelaza na ręce i nogi nakładał i tem bardziej jeszcze wszystkich na siebie oburzył. Robiono po nim wiele daleko gorszych i samowolniejszych od niego rzeczy. A jakoś to jednak uszło i udać się mogło. Tak to wszystko zależy od tego niepojętego przeznaczenia, od osób, od losu osób i natury czasu. Ku temu zaś monarsze, co tylko żyło, wszystko zawzięta, a niesłuszną w duszy karmiło nienawiść.

Zdawało się, że wszyscy sobie podali ręce i dali słowo w stolicy, żeby go doprowadzić do największej samowolnej władzy nadużyć, żeby go jak najprędzej w całym narodzie obmierzić. Kobiety i młodzież, także dwie wielkie polityczne sprężyny, wściekały się na niego za krój odzieży szkaradnej, który prawem dla mężczyzn przepisał. Prawda, ubiór ten dla prywatnych na codzien był bez najmniejszego smaku, lubo w paradnej odzieży pozbawionym nie był jakiegoś rodzaju powagi i wdzięku. Ale i co tylko najszlachetniejszego ten człowiek wymyślił obracało się natychmiast przeciwko niemu



samemu i w ręku nieprzyjaciół jego w tejże samej chwili w zabójczą zamieniało się truciznę. Tak, na przykład, widząc i znając trudności, które przystępu ludowi do niego wzbraniały, ceniąc, jak cenić należy, wszystkie wyboje, roztopy, przepaści tej wąskiej drogi, po której zbliżyć się do niego ludowi dawano, kazał on przed swoim pałacem żelazną wystawić skrzynię, dokąd przez zrobiony, jak w skarbonce otwór każdy mógł wrzucać prośbę, skargę czy listy do monarchy swojego, które wprost do własnych rąk jego codzień odnosić miano. I cóż? Oto zaraz od pierwszego dnia nie znalazło się nic innego w wypełnionej po brzegi skrzyni nad groźby, paszkwile, wiersze złośliwe i obrzydłe karykatury, wymierzone na samego cesarza! Wyjeżdżał, na przykład, na miasto, a zawsze wyjeżdżał konno. Wyjeżdżał otoczony przychylnymi tylko, jak mu się zdawało, ludźmi. Tuż za nim jechał naczelnik policji. Chmara policyjnych wyżłów ze wszystkich pięt i rogów ulicy unosiła się nad jego przejażdżką. Nikt się obcy do niego na oko nie zbliżył i zbliżyć się nie mógł. A jak wrócił do siebie i rozbierać się zaczął, z za wielkich butów jego palonych, z zanadrza, z kieszeni, z za szerokich pól nawet jego munduru wypadało tysiące kartek, karteczek, zrzyneków papieru pełnych żółci i najzjadliwszych na niego ucinzków. Wszystko się więc sprzysięgało na ciągłe, na ustawiczne drażnienie tego dobrego, ale razem nadzwyczaj popędliwego człowieka! To też się im na koniec dokazać swego udało, jak nie można lepiej.

W ciągłej gorączce zbolełego i rozkrwawionego serca, rozsrożony, jak pantera, Paweł nie miał już

w sobie siły oprzeć się zemście i wszelkie w sobie samym stargał wędzidła! karał!... i karał!... Syberja, wszystkie rosyjskie fortece, wszystkie kazamaty, wszystkie więzienia pełne już były, jak oko! Kurjerzy i feldjegry ptakiem (!) latali wzdłuż i w poprzek całego państwa i w tak zwanych kibitkach co moment, co mgnienie oka kogoś schwyczonego, Bóg wie, gdzie więzili. Dobra tych ludzi konfiskowano natychmiast, a ich rodziny najniespodziewaniej z dostatków i wygod o żebraczym musiały iść chlebie. Przyszło więc zatem do tego, że nikt w całym państwie ani na minutę wolności ni własności swojej pewny być nie mógł! Oddalonych ze służby publicznej, a powszechnie wykluczonymi po rusku zwanych, znalazło się raptem, jak maku, po całym kraju. A każdy z nich wył wielkim głosem swe żale, a każdy sypał przekleństwa, a nikt się nie chciał i nie śmiał już w narodzie odezwać z usprawiedliwieniem albo pochwałą przed ludem, z czystą i zdrową radą przed samym monarchą. Stan kraju był okropny! Oburzenie, zawziętość i wściekłość stały się powszechnemi.

A mimo to wszystko z duszy swojej Paweł był dobry, chociaż w czynach swoich zdawał się być doprawdy wyrodkiem. Wspaniałość jego nie miała granic. Kiedy wynagradzał lub dawał, dawał jak monarcha. Jeśli prześladowając zażartych nieprzyjaciół swoich lub tych, których mu za nieprzyjaciół spiskowi stawili, jeśli karząc urzędników, łupieżców, zabierał im łupiestwem nabyte majątki, to je, nic z tego dla siebie nie biorąc, godniejszemu, jak mniemał, w tejże samej chwili zawsze oddawał.

Dać, darować było jego życia rozkoszą. I to już pewna, że gdyby jeszcze kilka lat pożył, aniby jeden skarbowy majątek przy skarbie nie został. Wszystkoby to przeszło w ręce prywatne. Historia powiedziała wiele i więcej jeszcze powie o tym bardziej nieszczęśliwym, niż złym człowieku, a za prawdę godnym lepszego losu. Nasze dzieje minąć go nie mogą i opisać go muszą, jako wspaniałego, a raczej szlachetnego i słusznego oswobodziciela Kościuszki. Wiele jest o nim bardzo z ust do ust tylko chodzących powiastek. Załączę z nich tutaj kilka mniej całemu światu wiadomych, a słyszanych od osób, które mu do ostatniej godziny wierne dotrwały. Osób, które w kilkadziesiąt jeszcze lat po jego zgonie w oczach moich ze łzami wdzięczności wspominały o nim, choć im i następne panowania niechęcią czuć się nie dały. Znam to dobrze, że treść tych powiastek ani na samego człowieka, ani na jego majestat, ani na epokę nawet jego do żadnych wyższych nie posłużą poglądów. Najwięcej będzie, jeśli, rzucając jakiś promyczek światła na samoistność charakteru potężnego włodarza, w tej chwili, kiedy ziemską najwyższą wola wszędzie musi przechodzić przez tak cierpkie tamy, porohy, łamańce, wspomnienia moje dadzą jakiś cień idei, jak w rządach samowładnych też sama nawet wybredna wola błyskawicą spełniać się dawała i daje. Odrzucam owo sławne, a na razie opacznie i szkodliwie dla niego pojęte odprawienie przez Pawła osobiście liturgji, bo to w bezwzględnym naczelniku i urodzonym patriarsze panującego wyznania mogło mieć swoje ważne polityczne cele. Przy-

zwoiciej może dzisiaj o tem jeszcze nie mówić... Ale inne są dykteryjki!

Był, naprzykład, sławny w Rosji autor nazwiskiem Kapnist, który pomiędzy innemi napisał powszechnie dziś znajomą, a po dziś dzień wielbioną u nich komedję pod tytułem „*Jabieda*“, jakbyś po naszymu powiedział „*Pieniactwo*“. Wystawił on w niej żywemi na swój czas rysami i trafnie dobranym językiem całe przekupstwo, ździerstwo, matactwo i łotrowstwo urzędników rosyjskich. Jak ją dano na publicznej scenie, uszczęśliwieni widze, czcząc na uczynku schwytaną naturę, ledwie nie skonałi z radości. Cieszyli się hucznie, jak się cieszą ludzie, jeszcze w kluby dobrego wychowania nie wzięci. Ale urzędnicy wszelkiego stopnia zawstydzeni, jeśli to być mogło, takim wizerunkiem, krwawą w nim upatrując niecnoty swojej obrazę, ledwie że nie pękli od wściekłego gniewu. Natychmiast więc zrobił się spisek. Przedstawiono Cesarzowi okropne niby przez Kapnistę zrobione zgorszenie i zgubne zuchwalstwem jego sprawione już skutki. Wytknięto jawne dążenie do sponiewierania monarszej władzy w najbliższych tej władzy organach i te twierdzenia całą górą kłamliwych najeżono zarzutów. Błagano zatem, jak o zbawienie państwa, o wzbronienie sztuki i o przykładne na czas potomny ukaranie złośliwego i źle krajowi życzącego autora. Paweł zrazu uwierzył i po swojemu kazał natychmiast wywieść Kapnistę na Sybir. To było rano. Rozkaz co do joty, *con amore* w tejże chwili spełniono. Po południu Cesarz ochłonał, pomyślał i zwątpił, czy dobrze zrobił. Więc nie zwierzając

się z tego nikomu, rozkazał, żeby na prywatnym jego teatrze w Ermitażu sztukę tę przed nim samym te goż wieczora grano. Wszedł Paweł na teatr z synem tylko swoim, Aleksandrem. Żywej duszy więcej nie było. Zaczęto sztukę. Po pierwszym akcie Cesarz, co moment klaskający w dłonie, wysłał pierwszego pod ręką będącego feldjegra, żeby natychmiast zawrócić Kapnistą, a wróconemu dał od razu rangę radcy stanu, przeskakując nad przyjęty tu zwyczaj niższych klas kilka, bo Kapnist był wtedy tylko asesorem kolegi. Obdarzył go potem hojnie i łaską swoją do samej śmierci zaszczycał.

Oficer jakiś czy doprawdy zawinił, czy tylko rozgniewał Pawła. Cesarz pod sąd go oddał. Wyrok uprzedzonego już sądu odebrał mu stopień i miejsce w służbie, a przytem wrócić mu kazał do rodziny swojej i tam ciągle pod nadzorem policji zamieszkać. Cesarz dekret potwierdził. Tymczasem przy objawieniu go i spełnianiu oficer oświadczył, że jest podrzutkiem i że w dzieciństwie opuszczony od rodziców włóczyć się musiał o żebraczym chlebie. Że ani miejsca urodzenia swojego, ani rodziców, ani rodziny nie znał nigdy i nie zna i że to, co miał, własnej tylko zasłudze i męstwu był winien. Jakże tedy wypełnić ukaz monarszy? Minister sprawiedliwości, wówczas prokurorem(!) państwa podobno zwany, donosi o tem z największą nieśmiałością Pawłowi. Ten, zawsze jeszcze gniewny na oficera, po chwili namysłu powiada: „Przebaczyć mu nie mogę. Ale kiedy nie ma miejsca zamieszkania, kiedy żadnej nie ma rodziny i o to tylko idzie, dać mu w Witebskiem na wieczność majątek do trzechset dusz;

niech tam sobie mieszka." Tym tedy sposobem człowiek, co miał ponieść karę, odrazu półpankiem został.

Freitag, kapitan artylerji konnej, na leże zimowe do Wilna i okolic jego przybyłej, wysłany był przez szefa swojego, Kapcewicza, do Petersburga dla zakupienia wojskowych ubiorczych zapasów. Był to młody, wcale nie szpetny i przewięzisty chłopiec, który już nieraz w życiu swoim na niespodziewane trafiał miłości i biernie nawet czasem na nie przywabiany bywał. Znał się już tedy na sobie, ufał silnie szczęściu swojemu, ale nie znał stolicy! Zdawało mu się wszakże, że się już dobrze w grzeczność światową wdroył, był więc siebie pewny i kontent najzupełniej z siebie. Po dwóch czy trzech dniach pobytu szedł sobie na przechadzkę po Zamkowym wybrzeżu nad Newą, gdzie właśnie tuż prawie przy pałacu cesarskim stał piękny dom Pawła kochanki, Łopuchinówny, a potem w zamęściu Gagarynowej. Dom ten i po dziś dzień odznacza się pomarańczarnią, urządzoną kiedyś dla niej na najwyższem piętrze. Gawroniac się tedy i, jak mówią, zbijając bąki, postrzegł mój Freitag w tym zupełnie sobie niewiadomym domu młodą w oknie stojącą kobietę. Domyślił się więc, jak parafjanin, że i grzecznie i bardzo dowcipnie będzie, kiedy się tej nieznanajomej damie ukłoni. Jakoż ukłonił się z wielce wdzięcznym uśmiechem. Dama oddała mu ukłon i Freitag z triumfem szedł sobie dalej. Ale nie uszedł i stu nawet kroków, kiedy go napędził i przed same oczy zajechał feldjegier. Zabrał go z sobą w kibitkę i zawiózł, gdzie? — na Sybir! Cóż to

było? Dama, z okna patrząca, była właśnie księżniczka Łopuchinówna. Za nią siedział Paweł, zakryty firanką. Ukłon i uśmiech młodego i pięknego oficera obudził w nim podejrzenie, które tym, jak opowiedziałem, sposobem natychmiast uchylić za słuszne i stosowne uznał. Kapcewicz i cała artylerja konna w Wilnie długo pojąć nie mogli, gdzie przepadł ich piękny Freitag. A ten dopiero aż za Aleksandra wrócił z wygnania. Ale już po takiej lekcji i dobrze nawet znajomym damom niechętnie i bez ochoty się kłaniał.

Ponieważ tu wspomniałem o Łopuchinównie, nie odstępę, jak myślę, bardzo od rzeczy, jeśli wam opowiem, jak się ona księżną Gagarynową stała. To dosyć ciekawe. Paweł podówczas był mężem najpiękniejszej podobno w Europie kobiety, Marji Teodorówny, z domu Wirtemberskiej. Szczęśliwy był z nią, a daleko szczęśliwszy niż z pierwszą żoną, Darmsztadzką, która, jak to już drukiem nieraz ogłosiły dzieje, z wielu względów truła mu życie. A prócz tego więcej była szpiegiem skarg i myśli męża swojego, czerniącym go zdradliwie przed jego matką, niż małżonką pełną słusznego współczucia dla jego nieszczęść. Wiadomo więc, że Paweł, uszczęśliwiony tą drugą żoną, nie wdawał się nigdy w postronne miłostki. Ale w Moskwie w czasie koronacji samej bies go jakiś podkusił. Wpadła mu w oko panna Łopuchinówna i natychmiast stała się jego kochanką. Znał to do siebie Cesarz, że wprowadzie duszę jego kochać można było, że położenie jego na świecie, obudzając idealnie najwyższą próżność każdej kobiety, mogło mu ręczyć za wszelką

u każdej z nich powolność, ale czuł i to dobrze, iż go żadna kobieta dla ciała kochać nie była w stanie. Stał cię więc podejrzliwym, zazdrosnym i pilnie, jak tylko mógł, a mógł wiele, szperał i śledził, czy przedmiot jego miłości czystą dochowuje mu wiarę.

Ale wszelkie wytężone ku temu celowi starania, wszystkie wierności jej serca pilnujące smoki nic nigdy w pannie Łopuchinównie odkryć nie zdołały, coby tej wierze jakikolwiek mogło przynieść uszczerbek. Na inny zatem jeszcze puścił się środek. Raz w poufnej, a jak się zdawało serdecznej, rozmowie wynurzył się przed nią, jak sam to dobrze czuje, że być kochanką, chociażby nawet cesarza, jest mniej więcej fałszywym położeniem na świecie. Że chce jej tedy, póki żyje, dać najwyższy dowód przywiązania swojego, wydając ją za mąż. Że żąda tego, żeby mu tylko wymieniła osobę, do której najmniej ma wstrętu, a on słowem swoim cesarskim zapewnia, iż ta osoba natychmiast nietylko mężem jej zostanie ale jeszcze obleczoną będzie w najwyższe kraju zaszczyty. Mówił, zdawało się, szczerze i z zupełnym wylaniem duszy. Było zaś tak. Panna Łopuchinówna, mieszkając jeszcze w Moskwie, jak zwykle panny, siadywała z robótką przy oknie i widywała codzien prawie idącego pod jej oknami na zmianę warty pięknego oficera, księcia Gagaryna. Jak to często bywa u dziewcząt, powoli z samego patrzenia i nudy zakochała się w nim nie żartem. Ale Gagaryn, Bogu duszę winien, nic o tem nie wiedział, nawet panny nie znał. Tak szło sobie odednia do dnia owe silne a niedzielone uczucie, kiedy je



nagle miłość Pawła gwałtownym wirami upojenia we wszelkich dalszych nadziejach zatarła, a raczej w daleki serca zapędziła kątek. Dopiero po oswojeniu się z tą nową pozycją swoją na myśl jej znowu przychodzić zaczął ów piękny Gagaryn. Te właśnie wspomnienia coraz już być częstemi zaczęły, kiedy ją, jakby umyślnie przez kogoś namówiony, Paweł swoją logiczną i przekonywającą szczerością naglić począł o wybór męża. Wymieniła więc Gagaryna. Natychmiast w jej oczach wyprawiony feldjegier w ile można najkrótszym czasie chwyta po nocy twarzym snem śpiącego Gagaryna w Moskwie i lotem ptaka stawia go w domu Łopuchinówny. Wiadomo, co za Pawła znaczyła kibitka, a co feldjegier! Gagaryn dzień i noc wieziony, nawpół ze strachu umarły, wprowadzony raptem do jasno oświeconej sali, widzi przed sobą ołtarz, widzi popa w całej powadze duchownych obłóczyn(!) Widzi i Cesarza, prowadzącego i oddającego mu w drżące ręce młodą, strojną i piękną kobietę, z którą mu ledwie już nieodchodzącemu z trwogi od zmysłów zaraz formalny ślub dają. Nie śpiąc kilka nocy z rzędu, Gagaryn pewny był zrazu, że się mu to wszystko w gorączce przyśniło. Nakoniec przetarłszy oczy, a był człowiek sprytny, całą treść z tego, co go spotkało, wycisnął i nie gniewał się wcale na to swoje nieszczęście. Ale jakże wielki był smutek i rozpacz jego improwizowanej i zakochanej w nim małżonki, jak wielkie zadziwienie samegoż budującego już ogromne zamki na lodzie małżonka, kiedy, odstąpiwszy od ślubnego ołtarza, miał tuż zaraz z własnej dłoni Monarchy wręczone wierzytelne, listy, mianu-

jące go posłem we Włoszech, dokąd go tejże chwili czekająca już u bramy i wszelkich wygod i pieniędzy pełna zawiozła karetą. Z tem jednakże straszmem zastrzeżeniem, że, jeśliby kiedykolwiek do żony swojej odezwać się poważył, czekać go najpewniej będzie nieprzyjemny i dłuższy nieco od włoskiego wojaż, bo tylko do Kamczatki, — nie dalej. Tym sposobem mocarz - kochanek idealnego nawet pozbył się rywala.

Za Pawła kobiety i metropolici obowiązani byli surowym ukazem, spotkawszy Cesarza, wysiadać z karety i stać na jej stopniu dopóty, dopóki ich Cesarz nie minął. Wszystkie zaś inne bez żadnego wyjątku osoby wysiąść z pojazdu, zrzucić płaszcze i stać na bruku pod najsurowszą odpowiedzialnością w takim przypadku były powinny. Siestrzencewicz, metropolita katolicki, prałat, ponsowego kapelusza i sutanny, chociaż nie był kardynałem, używający ciągle, wielki Pawła faworyt, dworak, jakich mało, a przytem gorliwy w służbie urzędnik, raz dotknięty fluksją z obwiązaną twarzą jechał, nie chcąc jej opuścić, na sesję Duchownego Kollegjum. Jak na licho spotkał się z Cesarzem, zawsze konno jadącym. Wysiadł zatem i stał wedle przepisu na stopniu karety. W kilka dni potem były pokoje u dworu. Siestrzencewicz, który nigdy ich nie opuszczał, pogodziwszy się już z zębami swojemi, śmiało stanął w szeregu. Paweł, zbliżywszy się do niego, przemówił łaskawie słów kilka, a potem śmiejąc się dodał, że się przed kilku dniami z takim gustem prałat po twarzy swojej chustką obwinał, iż

go zrazu wziął był za kobietę. Rozmowa, jak zwykle, szła we francuskim języku.

— „*Sire, vous me flattez*“, rzekł na to z głębokim ukłonem, dobrze, jak się dotąd wszystkim zdawało, we dworskich miodowych frazesach wytrawiony prałat. Jakież było jego zdziwienie i trwoga, kiedy Paweł na to raptem wielkie i nawisłe brwi swoje nasrożył straszliwie i wręcz mu odrzekł: „*Votre Eminence devrait savoir, que l'Empereur ne flatte jamais personne!...*“ Poczem odwrócił się od niego i do śmierci swojej, która wprawdzie nie dalej jak w kilka miesięcy potem nastąpiła, nigdy już ani jednego słowa do Siestrzencewicza nie wyrzekł. Otóż wam — „Łaska pańska, gust kobiecy, pogody jesienne!“

To coś zakrawało na tę ledwie że nie o półwieku późniejszą syna jego, cesarza Mikołaja odpowiedź, która mu w swoim czasie tyle poszanowania zjednała. Hecog Wirtemberski, rodzony wuj Cesarza, główny naczelnik Korpusu Dróg i Mostów w Rosji, zaraz po wstąpieniu Mikołaja na tron prosił go o jakąś łaskę i to po kilka razy. Cesarz stale odmawiał. „*Sire, je suis cependant votre oncle*“, rzekł niezwykle z oporem i tem odmawianiem do żywego dotknięty Hecog. — „*L'Empereur n'a point d'oncle*“ — odrzekł mu natychmiast Mikołaj...

Paweł zbytków znosić nie mógł, ile sam ledwie że nie w zupełnym był wychowany niedostatku. Znał on z doświadczenia, jak się łatwo bez wielu rzeczy obejść na świecie można. Ogłosił więc prawa zbytkowe, nazaczył krój sukien, przepisał rodzaj pojazdów, ilość koni i posługi dla każdego stanu

i rangi i tym podobne obostrzenia, raptem narzucił trwoniącemu marnie bogactwa ludowi swojemu. Stosowano się do tych praw wielce niechętnie i z wrzącą pod sercem ku panującemu złością. Kto mógł, jak mógł, wykręcał się od tego. Młody syn bogatego kupca w Petersburgu, Kusow, który przez wiele lat był potem „głową”, jak oni mówią, a po naszymu wójtem czy prezydentem stolicy, jechał raz w wytwornych i kosztownych sankach po Morskiej ulicy w paradnej i bardzo drogiej sobolowej szubie. Na nieszczęście natknął się na Pawła, jadącego konno po Newskim. Kusow, postrzegłszy Cesarza, tyle tylko miał czasu, że wyskoczył z sanek i, tę swoją paradną szubę na śnieg zrzuciwszy, stał przed nim wyprężony, jak struna. Uderzyło Pawła tak drogie futro na tak młodym i nieznanym chłopaku. Zatrzymał się więc i zbliżyć mu się do siebie kazał. „Kto jesteś?” — „Kusow.” — „Co to za Kusow?” — „Syn pierwszorzędnego petersburskiego kupca...” Cesarz, odwróciwszy się do jadącego za nim oberpolicmajstra, powiedział na to: „Dać mu natychmiast w policji pięćset pałek. Niech błazen zna, że on chłop, chociaż się i waży chodzić w sobolich szubach.”

Nie było co robić! Zaprowadzono biedaka do domu policji. A tymczasem, niby od niechcenia, uwiadomiono o tem jego starego ojca. Ten, z mańki zażyty, przywiózł z sobą paratonery na tę piorunującą wolę Cesarza. Za 25 000 rubli asygnacyjnych w oddzielnej izbie bito pałkami puchową poduszkę. Kusow, jak najęty, niby z bólu wrzeszczał na całe gardło. I zaraz o spełnionym rozkazie przesłano

wierny Monarsze raport. Ale wróćmy do Kochowskiego.

Ślepe przywiązanie narodu do Katarzyny nie dozwalało podówczas nikomu prawie ocenić stanu duszy jej syna. Nikt względnem pobłażaniem, wyrozumiałością, powolnością nie uczcił nieszczęśliwego człowieka, nieszczęśliwego monarchę. Kochowski bez względu na to, że świat miał i ma zawsze daleko gorszych tyranów od Pawła, był jednym z tych ludzi, co się tylko wściekali na skutki, nie chcąc здаwać sobie sprawy z przyczyny. Należał więc całym sercem do tej wielkiej partji zażartych nieprzyjaciół Pawła, która tego mocarza nareszcie zwalczyła. A raz przejąwszy się tem uczuciem, młody, śmiały, drażliwy, niedoświadczony, zuchwały, a przytem silnego ducha i prawego serca nie mógł się nakoniec z prześladowaniem nie spotkać. Rzucił więc służbę i, wróciwszy do dóbr swoich, zniechęcony do reszty nietylko otwarcie na Pawła bluzgał, co mu ślina do ust przyniosła, nietylko, że do siebie zapraszał i wzywał wszystkich tych, których prześladowały wyroki cesarskie, ale jeszcze i na domu swoim wystawił napis: „Tu wykluczonym dają przytułek.“ Zbiegło się więc do niego dużo takich ludzi, małych i wielkich. Żyli na jego koszcie. Jednym z nich był ów nieszczęsny i sławny zupełną zagubą Litwy Mikołaj Nowosilcow. Słyszałem na własne uszy, jak sam Kochowskiemu przypominał, że oprócz wygód życia nie jedno mu był wtedy winien dolne odzienie! Ta niesłychana w Rosji zuchwałość doszła rychło do wiadomości Cesarza. Zabrano Kochowskiemu natychmiast majątek, a zaszła pod ganek kibitka

zawiozła go do kazamatów w Dünamünde, a po naszeniu w Diamencie pod Rygą. Przesiadział, nieborak, w więzieniu lat kilka. Osiwiał tam, jak gołąb. Ale zaszczycony łaską i względami komendanta fortecy dostawał w swojej niedoli księgi do czytania i tam, dobrze już oświecony wprzód, gruntowniejszych jeszcze nabył wiadomości. Co mu przyszło tem łatwiej, że natura dwoma rzadkimi wzbogaciła go była darami. Rzadką i zadziwiającą pamięcią i nadzwyczaj silnym, niczem niezmordowanym wzrokiem. Co raz przeczytał, już mu tego i klinem z głowy nie wybił. Czytane w dzieciństwie książki w sześćdziesiątym roku życia nie w treści ale co do słowa mógł wyrecytować bez najmniejszej nigdy pomyłki. A kiedy chciał, o trzy sążnie od siebie każdy druk czy pismo z łatwością czytał tak, jakżeby je trzymał przed sobą. Po śmierci Pawła, kiedy się nowa era dla Rosji odkryła, Aleksander od tego swoje rządy zaczął, że wszystkich przez Pawła skazanych bez braku uwolnił. Tłumy niepodobne do wiary z pod ziemi zewsząd wracały do domów. Kochowski uwolniony także nie miał już do czego wracać. Dobra jego, darowane natychmiast po konfiskacie komu innemu, zaraz potem sprzedane, w czwartej już były ręce. Aleksander, wynagradzając jakkolwiek surową ojca swojego karę, dał mu dożywociem starostwo puńskie. Tu tedy, rad nie rad, przenieść się musiał. Kochowski pod samemi Puniami obrał nad Niemnem rozkoszne miejsce, które Nieczujkami nazwawszy, wystawił z drzewa pałacyk i długi czas tu mieszkał, a nawet tu umarł. Pałacyk ten był tutaj dla nas typem wiej-

skich budowli Rosjan. Wychuchany, wycacany, śliczny na pozór w rzeczy samej był tylko blichtrzem i płótnem, ot tak, jakbyś z kart ładny domek dla dziecka wystawił. Budują to oni wprawdzie w okamgnieniu tak, że sam sobie, patrząc na to, wiary nie dajesz! A budują wyłącznie z okraglaków. Potem zewnątrz opierzają deskami, kitują i malują olejno. Wewnątrz gładzą ściany, pociągając je płótnem, które naprzód z klejem pobielą, a później klejowemi farbami powleką. Tu zawsze dla szczurów i różnego robactwa obiecana ziemia! Ale na oko to bardzo piękne, zgrabne, wytworne. Ruskie „aby jak” (*как nibud'*) w całym tu swoim majestacie panuje. W Nieczujkach jednakże oprócz tego widoku, przypominającego czy trwałe cudzoziemskie wille, czy papierowe rosyjskie dacje, inna jeszcze dla każdego Polaka bywała szkoła. Tutaj on, kiedy chciał tylko i umiał, mógł z pożytkiem dla siebie na przyszłość odrębnym zupełnie od naszych obyczajów przypatrzeć. Tu go całującego jej rękę piękna wzajemnie w czoło pocałowała generała synowa. Tu na stół mu podano niesłyszane wprzód nigdy „gramatki, razciągajki, sajki, bliny, kulebiaki, wiazigi, bielugi i małorosyjskie sała”. Tu, jeśli nie włożył łyżeczki do wypróżnionej swojej filiżanki z „czajem”, podawano mu ten czaj ciągle a ciągle, choćby sto razy. Przez grzeczność, chcąc nie chcąc, musiał zrazu szlachcic, nieborak, wypijać ten potop, że ledwie nie pękł. Ale kiedy mu coraz dalej ten czaj nieszczęśny tkano a tkano, dopiero tak niepojętym gościnności zbytkiem do ostatecznej przywiedziony rozpaczy ledwie, że nie ze łzami oświadczył nakoniec,

że już picie siły jego przechodził! Wtedy z wdzięcznym i pełnym dobroci uśmiechem oświecano go, że sam temu winien i że w Rosji zwyczaj nakazuje włożyć łyżeczkę w kubek filiżanki, jako znak, że gość już syty herbaty. Mógłby wprowadzić był szlachcic na to swoje tutaj położyć zarzuty, ale czuł, że mu czasem pomyśleć, jeżeli nie powiedzieć, by mogli: *vac victis!* Niewiadomość tego obyczaju wielu naszych Polaków nieraz arcykomicznie całym jeziorem herbaty zalała. Zwyczaj ten jednak bardzo słuszny i dogodny jest szczególnie w Rosji, gdzie zwykle wszyscy piją herbatę bez żadnej miary. Rozlewa ją, jak wszędzie, dama, gospodyni domu, jej córka lub ktokolwiek z familji. Każdy przyzna, że dla damy jest to rodzaj małego męczeństwa i lekkiej tortury. Ręce jej słabną a żar samowara bucha w twarz ogniem piekielnym i powiększa mękę. A tu mimo to wszyscy piją a piją. Dobrze więc, kiedy wypróżnione filiżanki łyżeczkami, tu i owdzie wstawionemi w kubki, ostrzegą tę nieszczęśliwą czaju szafarkę, że się już rączki dłużej mordować dla wszystkich gości nie mają.

Kochowski był mąż niepospolitej nauki w stosunku do oświecenia ówczesnych Rosjan a i gruntowniejszej daleko od dzisiejszych rosyjskich uczonych. Był to mąż zdrowego zdania, poczciwej i szlachetnej duszy, prawego, czułego i miłosierdzia pełnego serca. Zwyczajem Rosjan uprzejmy i w rzadkim sposobie gościnny mnóstwo miał około siebie rezydentów i rezydentek, obowiązanych tylko jeść i pić smaczno i bawić się dobrze w domu jego. Co niedziela wszystko się z całej okolicy puńskiej



po Mszy świętej do niego na obiad zjeżdżało i tu bez różnicy fortun i urodzenia wszystko jednostajnie grzecznie i po ludzku bywało przyjęte. Dawnem uprzedzeniem i ruskiej krwi ciągłym przywilejem Kochowski nienawidził Polaków, chociaż pradziad jego bodaj z nich kiedyś pochodził. Nie taił się zgoła przed nimi z tą nienawiścią, wyłączając, rozumie się, zawsze obecnych. Jednakże podług mnie więcej mu ta nienawiść na ustach niż w sercu zasiadła, bo w postępkach jego znać tego nie było. Owszem, każdy Polak to, co starzec sobie gadał, za czczą tylko dziada przechwałkę uważać musiał. Nietylko, że tu żył ze wszystkimi dobrze i, komu był w stanie, pomagał, ale nawet tak dobrze, pocziwiec, zapomniał po rusku, a tak się znowu nie chciał przez upór wyuczyć po polsku, że ciągle mówił najdziwaczniej mieszanym językiem i polskie przysłowie „mości dobrodzieju” najzupełniej sobie przyswoił w wyrazach „mospan dobrodziej” tak, że już bez tych słów w obliczu nawet najznakomitszych, a żdziwionych tą mową Rosjan nigdy obejść się nie mógł. Do tej jego wrodzonej dobroci duszy przykładadała się niemało wpływem wielkiej łagodności swojej zacna niewiasta, kiedyś żona dozorczy kazamatów w Diamencie, która wspólnie z mężem swoim słodziła niešťczęsną Kochowskiego niewolę. Kochowski, już starzec, jak owdowiała, przez wdzięczność połączył się z nią węzłem małżeńskim. Żyjąc w wielkiej z ojcem moim przyjaźni i często się z nim bardzo z powodu bliskiego sąsiedztwa wzajemnie widując, stary generał przychylił serca swojego i do mnie i, w każdym zdarzeniu życzliwość mnie okazując,

rad ze mną w długie wchodził rozmowy. Słuchać go trzeba było koniecznie i zawsze z przyjemnością, chociaż się człowiek bardzo jeszcze młody podówczas nie zawsze w duchu na zdanie jego mógł zgodzić. Drażliwy i dosyć porywczy z natury wpadał ledwie nie we wściekłość na samo wspomnienie cesarza Pawła, tysiączne a coraz nowe na niego miotając przekleństwa. Jedenby Annibal chyba zrównać się z nim mógł w starej długiej, silnej, namiętnej, nieubłaganej nienawiści i złości. Każdy więc unikał przed nim imienia tego cesarza. Ale ja tyle byłem szczęśliwy czy nieszczęśliwy, że on sam ze mną zawsze pierwszy o nim mówić zaczynał. I wtedy głos, ruchy, wzrok tego bieluchnego starca robiły go na chwilę pełnym życia młodzieńcem i kazały patrzeć na niego jakby na cudnego jakiegoś proroka, który, rumieniąc się za przeszłość, skutki jej jasno widzi w przyszłości.

Kochowskij, ciągle czytaniem zajęty lub w rozmyślaniu cały zatopiony, był wielce około siebie niedbały. Umyć go codzień, uczesać, wychuchać, wycackać musiała żona własnymi rękami. On się tylko, jak piłka, z boku na bok przy tej czynności przewracał, a księgi z ręki nie puszczał. Jużciż wprawdzie z odzieżą jego żona nie złamała głowy. Kończyło się wszystko w domu na letnim surducie i starych pantoflach. Reszta stroju była często po szkocku, bo nic prócz koszuli na sobie nie miał i mężczyzn wszystkich bez wyjątku w tem ubraniu przyjmował. Dla dam tylko i dla ojczyma swojego, starego Jermołowa, ubierał się, jak należy, ale go to kosztowało dużo, bo przytem był bardzo otyły,

a ściśniętym być nie lubił. Ten obyczaj ruskich ludzi nieprzykrywania przed cudzem okiem nagości swojej zawsze się i Polakom i cudzoziemcom wydawał ich narodowym bezwstydem. A tak jednak nie jest zupełnie. Pochodziło to z niedawno jeszcze wprowadzonego nawet w ich stolicach zwyczaju, że się obie płcie wspólnie do łaźni schodziły i do patrzenia na siebie wzajemnie w stanie zupełnej nagości doskonale przywykły. Jeszcze w pierwszych latach wieku tego ojcowie lub matki rodziny w najniewinniejszej myśli zapraszali w soboty i piątki do łaźni swojej razem z sobą i córkami swojemi wszystkich znajdujących się u nich pod tę porę gości. Tuż za tem pito zwykle herbatę w pokoju, na ochłodzenie się od gorąca pary przeznaczonym i obok łaźni będącym. Owszem, widoki łazien w Moskwie, gdzie obie płcie razem tej narodowej używały rozkoszy, pięknie i starannie sztychowane, cesarzowi Pawłowi dedykowane były — tak to każdy naturalnem znajdował. Wiadomo, że sławny Potemkin przyjmował cudzoziemskich ksiąząt i ambasadorów w papuciach i w jednej tylko króciutkiej koszuli bez żadnego innego przykrycia. Wszyscy to brali za zwierzęce brutalstwo, a to w największej części był tylko skutek narodowego zwyczaju, podpieprzonego jakąś ilością narodowej dumy.

Syn Kochowskiego, Mikołaj, z pierwszego małżeństwa spółdzony, u nas tutaj wychowany, piękny, miły i bardzo dobry, jak się zdawało, człowiek, powszechnie tu był kochany. Mówił doskonale po polsku i ze wszystkiego już wogóle nikt go za Rosjanina tu nie miał. Nie mogę

pominąć dziwnej okoliczności, o której on sam w domu naszym zaraz po powrocie swoim z Paryża z wojskami rosyjskimi i którą w dalszym ciągu za powrotem z Kaukazu powtarzał. Niech to sobie każdy wytłumaczy, jak zechce. Oddany bardzo młodo do wojska pod opieką stryja swojego, Jermołowa, Mikołaj Kochowski był w 1815 roku w Paryżu w najniższej oficerskiej randze. Czy dla żartu czy przez trzpiotalską ciekawość, czy nawet może i ufając kabale, udał się do sławnej panny Le Normand, żeby mu przyszłość jego przepowiedziała. Wieszczka po odbyciu dosyć długich tajemniczych obrzędów zapewniła go, że widzi przed sobą całe przeznaczenie jego. „Jesteś,” rzekła mu: „pod opieką jakiegoś dzisiaj już nawet możnego człowieka, który lada chwila w większe jeszcze zaszczyty i potęgę urośnie. To, zdaje się, twój krewny. Zaraz za powrotem do kraju weźmie on cię z sobą w daleką, bardzo daleką podróż. Rangę, order, promocje w całej służbie wojskowej, wszystko się to na ciebie, jak gradem, posypie. I kiedy się już każda myśl twoja, jak z płatka, w skutkach wywijać dla ciebie zacznie, gwałtowna choroba na obcej ziemi, na wielce nieprzyjaznej ziemi, sprzątnie cię bardzo młodego ze świata.” Jermołow, naznaczony nadzwyczajnym posłem do szacha perskiego, bierze wkrótce naszego Mikołaja na adjutanta. Podwyższają mu rangę. W Persji szanują dwojako i jako oficera ruskiego i jako synowca posła. Szach zdobi go osypanym brylantami orderem Lwa i Słońca. Cesarz Aleksander swój znowu order na nim zawiesza i mianuje go

kapitanem gwardji swojej. Dotąd wszystko, co tylko wieszczka mówiła, sprawdziło się co do joty. Kochowski w Tyflisie wraca raz z obiadu od stryja. Czy coś zjadł za wiele, czy się zaziębił trochę, ale mu coś niedobrze. Kładzie się do łóżka. Wyrzuca wprawdzie z pod poduszki przyczajonego skorpiona, ale go zaraz zato w nocy ukąsiła owa straszna tyfliska pluskwa. Nadbiega na to wezwany gruziński znachor. Ten mu jad owada natychmiast skutecznie złagodził, ale, widząc mimo to wzmagające się bóle głowy i ciepło, dodał, że chory objęty jest razem i miejscową gorączką. Maligna się wzmagą. Zapalenie mózgu i trzewiów idą po sobie bez przerwy. Chory osłabiony zupełnie w wolnych od marzeń i bredzeń chwilach czuje, że już dla niego przyszła owa ostatnia przepowiedziana godzina a oddziwić się mądrości panny Le Normand nie może! Przygotowuje się tedy do śmierci. To proctwo sprawdziło się dotąd od słowa do słowa! I na czem-że się skończyło?

Oto Kochowski wyzdrowiał, ożenił się, spłodził kilkoro dzieci i żył jeszcze potem dwadzieścia lat zgórą! Tak! Ale tymczasem jakież to wielki stosunek prawdy do kłamstwa. Wiele bardzo podobnych przypadków kazałoby się, odrzuciwszy pychę z serca, domyślać, że nauka tak zwanej kabały nie jest prostym szalbierców wymysłem i że ma jakieś niewiadome nam dotąd zasady. Ale że tak, jak wszystko, co nasze, ulega z różnych powodów częściowemu pomyłkom, zawodom, przeszkodom. Tak było zapewne w opisanym przeze mnie teraz zdarzeniu. Wiadomo, że taż sama wróżbitka

przepowiedziała Bernadottemu koronę — i tak się stało.

Mikołaj Kochowski, tak zrazu dobry i poczciwy chłopak, syn tak zacnego i dostojnego ojca, człowiek, jak już mówiłem, pośród nas wychowany i miany przez nas wszystkich Polaków za brata, z biegiem czasu zmienił swój charakter.

W 1831 roku, wszedłszy na nowo w randze pułkownika do wojska, jak wilczek, hodowany w domu, kiedy się znów do lasu dostanie, wrócił do swojej tak długo w nim ukrytej natury i bardzo się wielkich a ciężkich nadużyć względem Litwy dopuścił. Tak dalece, że wśród największego rewolucyjnego rozgwaru(!), wśród największej Rosji przeciwko tym prowincjom nienawiści i zawziętości same władze rosyjskie oddać go za to pod sąd za rzecz sprawiedliwą uznały. Zakończył po tem wkrótce to niedobre życie, unosząc z sobą wielu zrabowanych i niewinnie skrzywdzonych ludzi przekleństwa. Ojciec jego stary poczciwiec, gdyby się o tem dowiedział, drugi razby umarł!

*„Aetas parentum, pejor avis tulit nos nequiores  
mox daturos progeniem vitriosiorem“.*

---

*IV*  
*CAULAINCOURT W PETERSBURGU*

DECLARATION

I, the undersigned, do hereby certify that the foregoing is a true and correct copy of the original as the same appears in the records of the County of [ ] State of [ ]

Witness my hand and seal of office this [ ] day of [ ] 19[ ]

Notary Public for the State of [ ]

My commission expires on the [ ] day of [ ] 19[ ]

Subscribed and sworn to before me this [ ] day of [ ] 19[ ]

Notary Public for the State of [ ]

My commission expires on the [ ] day of [ ] 19[ ]

Subscribed and sworn to before me this [ ] day of [ ] 19[ ]

Notary Public for the State of [ ]

My commission expires on the [ ] day of [ ] 19[ ]

Subscribed and sworn to before me this [ ] day of [ ] 19[ ]

Notary Public for the State of [ ]

My commission expires on the [ ] day of [ ] 19[ ]

Subscribed and sworn to before me this [ ] day of [ ] 19[ ]

Notary Public for the State of [ ]

My commission expires on the [ ] day of [ ] 19[ ]

Subscribed and sworn to before me this [ ] day of [ ] 19[ ]



W ostatnich i najświetniejszych latach panowania Napoleona — Caulaincourt, księżę Vicencji, poseł jego w Petersburgu, czy z rozkazu pana swojego, czy też z własnego domysłu sypiąc wszędzie złoto, jak Krezus, dawał sobie u dworu tony, wszelką przechodzące miarę. Dosyć, naprzykład, powiedzieć, że raz na balu u Cesarzowej-matki obraził się tem, że Marja Teodorówna otworzyła bal swój z jakimś panującym niemieckim księżęciem bodaj meklemburskim, a nie z nim. I kiedy go zaraz potem przez szambelana swojego do następującego tańca wezwwała, ośmieliwszy się złożyć rzecz na niezdrowie, odmówił z goryczą i natychmiast bal opuścił. Cierpiano to, bo nie można było inaczej! Oddano potem w dziesięciornasób! Można sobie wyobrazić, jakie fantazje musiał znowu od siebie dokazywać cały dwór posła tego aż do ostatniego kuchcika i forysia włącznie. Jaki pan, taki kram! Jest dawny zwyczaj w Petersburgu odbywać, komu na to staje, w dzień 1-go maja publiczną, nogą za nogą, przejażdżkę po ulicach tuż za miastem leżącego Jekaterinhofu. Tam się jeszcze aż dotąd znajduje drewniany pałacyk Piotra Wielkiego, zachowany, jak był za jego czasów. Pokoje w nim wielce ubogie i skromne ozdobione są faworytalnemi landszaftami Piotra Wielkiego, przedstawiającemi z jednej stro-

ny widoki znośne, na obrocie zaś wielkie swawole i brudy. Wszakże zaledwie kto z ludności Petersburga wie o tem, co to jest ten domek, i nikt na niego nigdy uwagi nie zwraca.

Ale żeby pogawronić się na te tysiące wytwornych pojazdów, na które wszystko się sadzi i grosz swój ostatni oddaje, żeby czas ubić jakkolwiek, niezliczone tłumy ludu ze wszystkich klas społeczeństwa udają się tam i pieszo i konno. Tak, że czasem gładkie makadamizowane ulice w Jekaterinhofie, jak beczka śledzi nabite są ludźmi. A ta różnorodność, ta mieszanina, ta pstrocizna kolorów, ubiorów, wyrazów twarzy, przepychu, dostatku i nędzy, to pomieszanie się i splecenie z sobą wszelkiego rodzaju i różnych narodów, ludzi i koni na jeden raz dosyć zajmujący dla oka sprawiają widok. Pojazdy mają sobie przez policję przepisany i wytknięty szyk pewny, niedozwalający wyprzedzać się wzajemnie. Mają one wykazane drogi, kędy wjeżdżać w linję, a kędy wyjeżdżać powinny dla uniknięcia przypadków. Tak tego rozumnego rozporządzenia wszyscy pilnować są obowiązani i tak to już wrosło w zwyczaj, że nawet rodzina monarsza i sam monarcha, którego tu wszyscy za wyższego nad prawo mają, święcie się tego pilnuje. Wyznać też trzeba, że na całym świecie trudno coś pod tym względem znaleźć doskonalszego. Plan dróg, jakich się pojazdy i ludzie, konno jadący, trzymać powinni, tak jest ułożony trafnie, że nie było przykładowo nigdy jakiegokolwiek bądź nieszczęścia w tak licznych zebraniach i to z ludem, co nie jest tak delikatny i przyzwoity, jak włoski, ale który się gwałtem pod koń-

skie kopyta i pod koła karety tłoczy i ciśnie. Zebrania takie na wielką wspólną przejażdżkę i przechadzkę całej ludności miasta nie w jednym Jekaterinhofie tylko się odbywają. Częste są one i po innych punktach miasta w obu stolicach. W Petersburgu, naprzykład, między innemi bywają na wyspie Jełagina, na placach miasta w czasie zapust i Wielkiejnocy; pieszo na mogiłach smoleńskich, w fortecy, i w Ogrodzie Letnim na Zielone Świątki, gdzie sobie brody dawnym zwyczajem wypatrują żony z pomiędzy dziewcząt, umyślnie na ten cel po obu stronach wielkiej alei rzędem stojących. Nazywają to powszechnie wyrazem *hulańje*. Tam gdzie są naznaczone lub dozwolone w dzień imienin cesarza lub cesarzowej, lud prosty z łaski monarchy znajduje nieraz dla siebie czopy z wódką, kwasem, pierogami i różnemi innemi przysmakami, a przed rozejściem się po północy zwykle bywa bezpłatny fajewerk.

Raz tedy 1-go maja na takowem *hulańju* woźnica pana Caulaincourt, Rosjanin, brodacz, cham, ufając w powagę i dumę swojego pośła i pana, który się nieco spóźnił z przyjazdem, postanowił ominąć naznaczoną kolej i naprzód wyjechać. Powiedziałem, że tego w Petersburgu pod żadnym względem nie wolno. Posłowie cudzoziemscy dlatego, żeby ich pojazdy natychmiast od ludu poznane i szanowane były, mają tu oddzielną i sobie właściwą liberję, a każdy z nich jeszcze własną swoją barwę. Urzędnik policyjny, kwartalnym zwany, a takich tu podówczas całe chmary zobaczysz, dostrzegłszy tę swawolę woźnicy, chociaż widział, że

to pojazd posła, podbiegł natychmiast i zatrzymał go w przepisanej kolei. Ale woźnica zuchwały złażał go za to, a nawet, odważywszy się ściągnąć go biczem, chciał dalej jechać. Trafił jednakże na swego. Kwartalny, bowiem posadziwszy natychmiast pierwszego za kark schwytanego kuczera na kozłach szanownej posła karety, ściągnął na ziemię galonowanego zuchwalca i, odprowadziwszy na bok, ze dwieście przynajmniej basów czyli pletni wysypać mu kazał. Naturalnie, że to przez chwilkę jakąś zrobiło mitręgę, w skutek której tegoż jeszcze wieczoru Caulaincourt w urzędowym piśmie ujął się za służbę swojego i o formalne zadosyćuczynienie prosił. Wszystkie perswazje i dowody próżnemi były. W razie odpowiedzi odmownej żądał paszportów! Dano więc przez grzeczność dla posła dymisję temu zacnemu winowajcy. Ale, podniósłszy go natychmiast w randze, nagrodziwszy go sumą pieniężną, wysłano na daleko znaczniejszą i korzystniejszą posadę do innej gubernji. Cały lud Petersburga klaskał w dłonie i cieszył się, że policjant tak dobrze umiał się znaleźć.

---

V

*KISIELEW — SPERAŃSKI — BUTIAGIN*



Generał inżynierów Chomentowski, zupełnie zrusiały już Polak, główny kiedyś kwatermistrz drugiej armji pod Wittgensteinem, w której naczelnikiem sztabu był generał hrabia Kisielew, dzisiaj od lat wielu minister dóbr państwa, — Chomentowski, mówię, siwy i zgrzybiały już staruszek, poznał się ze mną w jednym ze znakomitych domów stolicy. Nie wiem, zaco mnie upodobał i rad zawsze ze mną przestawał. Owszem sam szukał do tego zręczności. Owóż człowiek ten wielokrotnie przede mną powtarzał to, że Kisielew, dziś tak wszystkiem w państwie trzęsący, był jednym z najzapaleńszych apostołów, jakie panowały w tym spisku, który skutkami swojemi zakrwawił pierwsze dni panowania dzisiejszego monarchy Mikołaja I, i że za największy dowód zdolności i szczęścia Kisielewa uważa umiejętność jego zasłaniania się i ukrycia zręcznie tak, że żadna plama, żadne podejrzenie ani prześladowanie na niego nie padły. Chomentowski powiadał mnie, że gotów był na to wykonać przysięgę, jako wszystkie papiery, tyczące się rzeczy spiskowych, wychodziły do oficerów armji w kształcie służbowych odezw z kancelarji naczelnika sztabu pod urzędową sztabu pieczęcią, którą Kisielew w oczach swoich zawsze przykładać kazał. Pieczęć ta, rozumie się, zupełne bezpieczeństwo występny

papierom dawała. Powiadał i to, że na parę tygodni przed wykonaniem zamachu na Białą-Cerkiew przez Murawjewa-Apostoła on sam, Chomentowski, widział się i mówił z agentem Sperańskiego, w interesach spisku tego przyszanym. Że na tę chwilę nie rozumiał do czego ten agent dążył w swoich z nim rozmowach i że się dopiero potem domyślił, o co rzecz szła.

Sperańskiego opisała już po części, ale zapewne lepiej jeszcze potem opisze historja. Ale go historja nie pozna. Człowiek ten, jeden z największych współczesnych ludzi publicznych w Rosji, bodaj że nigdy odgadnięty nie będzie. Znałem sam trochę tego starca. Ale znam go daleko lepiej przez tych, co z nim blisko znajomi byli. Jeżeli był kiedy chytry i niepojęty człowiek na świecie, to on zapewne. Sperański kochał się w chytrości, bawił się z nią, jak kot z myszą, jak dziecię. Ona była ciągłym jego żywiołem. W domowym nawet pożyciu, jak tylko kogo chwalił bardzo, jak się unosił nad jego zdolnością, obiecywał protekcje, był bardzo dla niego grzeczny i uprzejmy, o zakład, że zawsze diabła nosił w zanadrzu! a często i o zgubie tego człowieka myślał. Przyniosłeś mu do przejrzenia naznaczoną robotę, jak ją obejrzał, przeczytał i nic nie powiedział albo z lekka pochwalił, to było pół biedy, albo i dobrze. Niechże tylko chwalić i uwielbiać i unosić się nad nią zaczął! — bywaj zdrów, cała robota nie podobała mu się najpewniej. Nazwisko Sperańskiego przypomina mnie rzeczy, które zachować dla pamięci warto, jeśli się dadzą zachować. Nie jeden strach nad tem, jak orzeł lub ja-



strząb, nad trwożliwym unosi się gołębiem. Dyplomaci, a nawet obeznani z pamiętnikami pierwszej ćwierci bieżącego wieku wiedzą zapewne, że po upadku Napoleona monarcha rosyjski nie zostawił w Paryżu swojego posła, ale że był nim nawpół urzędownie szambelan cesarza Aleksandra, Butiagin, który się z córką owego sławnego awanturnika, księcia de Nassau, ożenił się i potem długo sukcesyjny proces o Denassowskie w Warszawie prowadził. Francuzi w dziełach swoich najrozmaiciej nazwisko jego łamali. Budziakin, Butakin, Bukiadin i temu podobne miana zewsząd mu dawano. A on się doprawdy Butiagin nazywał. Przypadek poznał mnie z Butiaginem. Wracając w jednej karecie z jakiegoś wielkiego balu i blisko godzinę w rozległym Petersburgu strawiwszy, nimeśmy się do mieszkań naszych dostali, podobaliśmy się sobie jakoś wzajemnie. — Oprócz dwóch, zda mi się, synów na pensji, a może i maleńkich córek Butiagin miał śliczną z czarnemi oczyma i dojrzewającą już córkę, która mu, jeszcze nie tak staremu wdowcowi, trochę kaniem na sercu leżała i gniotła. Nie wiem dlaczego i zaco, dosyć, że radby był wówczas wydać ją za mnie. Te stosunki sprawiły, że pomimo całej ostrożności mojej Butiagin nieraz się rozgadał przede mną o swojej przeszłości. Do tej otwartości ust dyplomaty często się, wyznać trzeba, i sławny stuletni wspólnego znajomego naszego, Józefa Sękowskiego, przykładał „Ermitaż”, wino przedziwne tego nazwiska. Cesarz Aleksander lubił Butiagina. Sam, wielce chytry i skryty a pozorem otwartości i uprzejmości chwytający za serca, często zamiast po-

słów urzędowych i głośnych, albo i niezależnie od ich obecności po zagranicznych dworach wysyłał na świat takich, jak Butiagin, niby nic nie znaczących i szukających tylko zabawy ludzi, szambelanów lub podczaszych swoich. A ci często większe rzeczy, niż posłowie robić umieli. Takim więc ludziom zwykle ten monarcha najważniejsze sprawy publiczne polecał i rzadko źle na tem wyszedł.

Owóż, kiedy szło o przeciągnięcie na swoją stronę długo i uparcie chwiejącego się następcy tronu szwedzkiego, Francuza, Bernadotte'a, kiedy szło o to, żeby się on otwarcie wrogiem Napoleona pokazał, Butiagin nato wysłany do Sztokholmu został Napoleon był wtedy już bodaj w Litwie. Ale jeszcze w całej potędze i uroku swoim. Bernadotte nadzwyczajnie ostrożny nic Butiaginowi na piśmie nie dawał. Chodząc po sali, mówił tylko, każąc mu słowa swoje zapisywać. Te potem Butiagin na pamięć w głowie swojej zaklinować musiał, a papier natychmiast palono. Wszakże wiele rzeczy i na piśmie w rękę Butiagina zostało. Owóż między pozostałymi temi rzeczami zostało i to, że Bernadotte wyraźnie Cesarzowi kazał te słowa powiedzieć: „Ostrzegam Cesarza, opierając się na niezawodnych danych, że chowa pod sercem straszliwego węża, nie domyślając się jadu jego. Tym wężem jest Spe-rański”...

Znałem w swoim czasie wiele ludzi na świecie, rzadko jednak spotykałem równie miłych, równie ugrzeczionych i wkraść się w ufność umiejących, jak był Butiagin. Co się z nim potem i z przesłiczną córką jego stało, nie wiem. Dotąd zapewne już

nie żyje ojciec, bo już wtedy niepierwszej był młodości, a od tego czasu około dwudziestu lat minęło. Omijając wiele i bardzo wiele innych od niego słyszanych anegdot, o których roztropność w dzisiejszym czasie na zawsze zamilczeć każe, powiem tu o jednej potocznej, z publicznem nie mającej związku, która od niego początek wzięła i której część przynajmniej, jeśli nie wszystko jest prawdą.

Spotkałem go raz w niedzielę na bulwarach Admiralicji roztargnionego, z przewróconą twarzą, rozdrażnionego, niepodobnego do siebie. „Co panu?” rzekłem zdziwiony.

— „Ach! nie wiesz, jakie mam zmartwienie! Dwóch synów oddałem na naukę do sławnego Anglika Coopera, który tu najpierwszą utrzymuje pensje. I cóż? Oto, przyszedłszy wczoraj do mnie na chwilę odpoczynku, skarżyć się ze łzami zaczęli, że sam Cooper nakłania ich wszelkimi możliwymi środkami do sromotnej ze sobą swawoli! Że się oni na tę sodomę zgodzić nie chcieli, ale że cała już pensja kozłowi temu uległa! Idę do Benkendorfa donieść mu o tem i prosić o sprawiedliwość”.

Cesarz cichaczem kazał zarządzić śledztwo i przekonanego o haniebną zbrodnię Coopera ze wszelkimi na niej dowodami, w paszporcie jego zamieszczonemi, na okręt wsadzić i do Anglii pod strażą odesłać! Cooper, przywiózłszy sam na siebie takie zgubne oskarżenie, stosownie do istniejących pod tym względem praw angielskich zatrzymany zaraz na brzegu w kilka dni potem na ziemi ojczyściej powieszony został.

---



*VI*

*ZEMSTA DOKTORA*

ANTHONY STONE

Przed wielu już laty doktor Lebenshelfer przybył do Petersburga, szukając losu. Żeby się dać poznać, choćby tylko naprzód z imienia, postarał się o przedstawienie w kilku znakomitych domach. A potem cały się oddał swojej nauce, praktyce niesienia pomocy bliźnim swoim, zostawując resztę opiece Opatrzności. Już był sobie tym sposobem większą połowę roku w tej stolicy przepędził, już miał swoją maleńką klientelę, kiedy go raz na samem wsiadaniu do pojazdu spotkał suto po wszystkich szwach szamerowany i galonowany lokaj i oddał mu śliczny, glansowany, pachnący bilecik, w którym tylko to stało: „*Mr. le Docteur de Lebenshelfer voudra bien avoir l'extrême complaisance de passer aujourd'hui avant midi chez Mme la Princesse de XXX. Rue XXX No XXX*“. Nie mógł się doktor wydziwić, skąd się wziąć mogło to zaproszenie. O tej księżnej, pani wielkiego imienia, a większej jeszcze piękności słyszał już nieraz, wiedział, jak wysokie miejsce zajmuje na wielkim świecie. Wiedział, jakie ją ciągle otaczało mnóstwo dworskich lekarzy. Skąd się tedy wziąć mogło takie wezwanie? Skąd to zaproszenie prawie nieznanego w stolicy doktora do takich złocistych i tysiącną intrygą wysadzonych i obramowanych progów?

Odbywszy inne wizyty, około południa zajechał więc do Księżny. Wprowadzono go natych-

miast. Księżna była w łóżku. Prześliczna jej główka ścisnięta była leciutką, pajęczynową chusteczką, jakby jakim białym obręczem. Cierpiała wyraźnie. Rzucała się to w tę, to ową stronę. W ciągu tych rzutów z pod tego obręcza długie jej krucze wywinęły się warkocze. Ustawicznie jej toczono i alabastrowe ręce chwyciły się za głowę i co moment śnieżne odkrywały ramiona. Drażniło ją i oburzało przy tem widocznie uporczywe wśród tych ruchów usuwanie się pokryć, wystawujących mimo jej woli prześliczny biust na sprofanowanie okiem tuż przy niej siedzącego przybysza. Wszystkie tu były znaki, wszystkie zjawiska spazmów. A na biedę Księżna miała jeszcze skomplikowany ze spazmami atak owej świętej migreny, która jest ciągłym usłużnym satelitą światowych kobiet i która im pomaga ciągle panować nad całym światem, nim się co nowego i skuteczniejszego ku temu celowi nie znajdzie. Tymczasem roje cierpień, jęków, wzdychań, łamańców, kaprysów całym frontem przed Doktorem stały! To, dalibóg, nie żarty; największy rycerz, największy mędrzec, jak małe dziecko, przed takimi szykami uciecze. Doktor się jednak nie stropił, bo miał zawsze przy sobie, jak ów zamawiacz węzów, talizman własnych, i cudzych doświadczeń.

Do najciekawszych, najosobliwszych, najoryginalniejszych, najsilniej zajmujących, najbardziej zadziwiających, najmniej przerażających i strasznych, najkomiczniej zabawnych i pociesznych a wogóle nakoniec do najmilszych cierpień i chorób należą spazmy. Spazmy, *les vapeurs*, zawojowały były kiedyś prawie całą cywilizowaną Europę, przez dwa blisko



wieki trzymały ją pod władzą swojego trzewika, pod berłem żelaznem. Ojcowie, synowie, bracia, lekarze, księża, a najwięcej i najmocniej mężowie zamęczeni tem byli przez kilka jedno po drugim idących pokoleń i prawdziwy krzyż na tym świecie nosili.

Powoli doświadczenie pradziadów, dziadów, ojców i wnuków, razem w jedną ubrane ideę czy wiązkę, zaczęły w prawnukach wyradzać pełne herezji podejrzenia, a wkrótce potem i przekonanie, że spazmy są wierutnym fałszem, że są wykrętem chytrej kobiety, żądającej w braku pragnionej dziś otwarcie emancypacji woli swojej straszyć podówczas czy męża, czy ojca niebezpieczeństwem przerażającej choroby. Zmieniła się tedy powoli opinja ludzi. I to, co dawniej śmiertelną w rodzinie obudzało trwogę, potem za naszych już czasów o tyle było cenione, że jak tylko się mąż dowiedział, że żona jego ma nie więcej jak spazmy, jeszcze na środku pokoju nakrył się czapką. A jak się tylko ona na jego głowie dobrze bez żadnych przeszkód trzymała, szedł czy do klubu, czy do przyjaciół zabawić się w bostona lub wista... Jakże sobie wytłumaczyć tę straszną podówczas a w dalszym czasie za kaprys tylko uważaną niemoc?

Jak mnie się zdaje, nieznanym nam materialnym przyczynom, na które nikt podówczas nie zwrócił uwagi, a tem samem i nas sędziami owego czasu dzisiaj zrobić nie mógł, jakiś obyczaj nowy, jakiś zwyczaj, wprowadzenie może w codzienne użycie jakiegoś mniej dotąd znajomego pokarmu albo napoju — co ja wiem? — może droga, po której ziemia bieg swój

odbywa, napełniona jakimś eterycznym a sobie właściwym wyziewem — zrodziły tę chorobę. Może z biegiem czasu oswojenie się z tem wszystkim ciała ludzkiego zmniejszyło zgubne pierwiastkowych przyczyn działanie. Zawsze to pewna, że spazmy były i musiały być kiedyś rzeczywistą chorobą. Nadto tam było podówczas ludzi rozumnych każdego stanu, co fałsz odkryć mogli, a jednakże go nie odkryli. Że się pod skórkę spazmów kaprysy i figle żon, sióstr i córek podszywać zaraz i podówczas zaczęły, w tem dziwu niema. Bo dotąd nawet niema choroby, niema przerażenia i strachu, z którychby spazmy nie umiały utworzyć najdoskonalszego portretu. Każdą one naśladowują chorobę, a zawsze w przesadzonym i pełnym trwogi widoku. Spazmy — to wielka bieda dla rodzin, to największy szkopał dla lekarza, jeśli się od dzieciństwa w wyższych nie znajdował społeczeństwa sferach! O tę skałę najczęściej się sława lekarzy na drzazgi rozbija, jak tylko niema obserwacyjnego ducha.

Ja, niestety! z przyjściem mojem na świat wpadłem już tylko na sam koniec ogonka owych sławnych spazmów. A szkoda! Zawsze je od dzieciństwa lubiłem. Dzieckiem będąc, już słyszałem pobożnej babki i cnotliwej matki mojej rozmowy, zaprawione ciąglem natrząsaniem się nad spazmami modnemi różnych dam im znajomych. Owszem były już i teatralne sztuki, co to i u nas nawet wyszydzać umiały. Z postępem lat i zdrowszej uwagi dostrzegłem, że spazmy takie, jak się tu i owdzie pokazują w dzisiejszym wieku, byleby odgadniętymi były, żadnych za sobą złych nie prowadzą skutków. Trochę

łzów u góry, dużo czegoś podobnego u dołu całą tę zwykle straszną kończyły burzę.

Uważałem więc zawsze spazmy za poezję chorób, za poemat sztuki lekarskiej.

Ja nienawidzę chorób w ogólności. Bo kiedy każda z nich, najmniejsza nawet, była i jest zawsze gotową prawdziwie smutnym uwieńczyć się końcem, spazmy przeciwnie przy wszystkich najbardziej przerażających zjawiskach, kończą się zawsze wesoło, pogodnie i ledwie nie uśmiechem. Dusza więc lekarza o główny wypadek, o życie bliźniego spokojną być musi. A te wszystkie wyprężania się i łamanie tego ślicznego, białego, pulchnego, atlasowego ciała kobiety, a najczęściej pięknej kobiety, ta konieczność dotykania się ręką twoją do tego ciała, które samo przyrodzenie dla nas, mężczyzn, stworzyło; ten szum i rozmach całego domu, przerażonego bańką mydlaną, ta powaga lekarza, który, władając sekretem choroby, tak łatwo niedostępnym bojaźni pokazać się i zimną krew swoją zachować może; ta cała komedja, powiadam, porównana z bolesnym, obmierzłym lub doprawdy przerażającym innych chorób widokiem, staje się tej dobroczynnej, ciekawej, ale męczeńskiej lekarskiej sztuki prawdziwym kwiatem, prawdziwą poezją.

Powiedziałem, że spazmy umieją wszystkie, a wszystkie naśladować choroby. I w tem właśnie cała ich potęga. Na to mi kto powie: „Jakże dojść do ich poznania?”

Znajomość świata, bystrość oka, duch obserwacyjny, zimna krew, czysty rozsądek, wiadomość domowych stosunków, wstręt do wleczenia się nie-

wolniczo za jakimkolwiek lekarskim systematem — oto są *criteria* na takie лихо.

Lekarz na wszystko wszędzie umiejętnie patrzeć obiema oczyma i wszystko, co widzi, zgłębiać powinien, ale nigdy, że to rozumie, nie ma pokazać...

Ale, umiejąc patrzeć, zawsze i wszędzie udawać musisz, że w to, co widzisz, sam pierwszy najmocniej uwierzysz; kobiety, gdybyś nawet jak straszdyło jakie wyglądał, niańczyć i nosić będą za to ciebie na rękę! Instynktem poznają one, żeś je odgadnął, ale widząc, że umiesz być dyskretnym, chociaż się z tem nie wydadzą nigdy przed tobą, zaraz stąd ciebie cenić wysoko zaczną, że masz więcej rozumu od ich mężów, braci, synów, kochanków. Będziesz znowu bawołem, jeśli kiedykolwiek tak, jak nasz wielki Jędrzej Śniadecki, powiesz otwarcie: „To błazeństwo, to przejdzie zaraz. Na to dosyć parę łyżek rumianku; tu niema czego mnie robić!”

Jemu się tylko jednemu takie brutalstwo, jako oryginalność, udawać mogło. Nie życzę tak robić każdemu. Bo to wiecznie powtarzam, że najlżejsza nawet zemsta kobiety, straszniejszą jest zawsze od najniebezpieczniejszych jej spazmów.

Wróćmy do naszej Księżny.

W momentach, kiedy mówić mogła, Księżna opowiedziała Doktorowi, że, słysząc od takiej a takiej swojej znajomej o cudownem uleczeniu jej przez niego od straszliwej migreny zapomocą zewnętrznego a wielce przyjemnego w użyciu lekarstwa, udała się do niego po ratunek od tej okropnej, a nieznośnej choroby. Doktor Lebenshelfer nie był nowicjusz. Dostrzegł on w tem wszystkim i prawdy i fałszu.

Jak Archimedes ową koronę, tak on chorobę na właściwe składowe rozdzielił części. Widział on dobrze całą masę niewinnej kokieteryj chorej swojej, która w szamotaniach się od bólu to mu plecy, to piersi, to białą odkrywała szyję. Leczył on już oddawna i skromne także kobiety. Znał od pierwszego rzutu oka z czego się składają ich nocne stroje, kiedy są chore doprawdy, a jakie kładą, kiedy chcą w połowie z choroby, a w połowie z ludzi żartować. Wiedział dobrze Doktor o tem, że te wieczne, niewinne ze strony kobiet zastawiane lekarzów pastki są prostym, instynktownym tylko a codziennym żarciem, bezgrzeszną młodych kobiet swawolą, są próbą, czy też doktora jeszcze można czemkolwiek zadziwić.

Takie próby ostudzają im jakoś zawsze srogie nerwowe cierpienia. Z zimną tedy krwią, obojętawszy chorą i jej milutkie figielki, Doktor przepisał z największą powagą lekarstwo, spokojność i zupełną w domu cichość zalecił. Udał, że się szczerze nad mękami chorej kobiety lituje.

Pod wieczór migrenę jak ręką zdjęło. Chora siedziała już na sofie nieco po turecku. Czasem tylko nieposłuszne swej odzieży poprawiała poły, z pod których się czasem malutka wysuwała nóżka. Ścisnęła kilkakrotnie z wdzięcznością oddalającego się Doktora za rękę. Prosiła, żeby odtąd dom jej uważał za własny. Oświeciła, że dwa razy na tydzień ma stół dla przyjaciół otwarty, na który raz na zawsze pocziwego Lebenshelfera zaprasza. Żałowała nakoniec, że interesy męża zmuszały go na

kilka tygodni oddalić się do Moskwy, ale że go się już w krótkce zpowrotem spodziewa.

Książę XXX był synem jednego z najznakomitszych rosyjskich magnatów; pana całą gębą, z majątku, szlachcica pełnego szlachetności z owych najświetniejszych czasów, z czasów francuskich Ludwików; człowieka zawiędłej piękności, której wiek spożyć nie mógł; męża niepospolitej głowy, wielkiego znaczenia u swojego dworu, a nie mniej znajomego całej Europie. Ale przytem zwyczajem owych czasów swawolnika i rozpustnika, posiadającego całą bibliotekę z oprawnych w kształcie książki sprośnych minjatur. Zbytkujących na wiele takich i tak powszechnie o nim znajomych rzeczy, że samo ich cieniem nawet okryte wspomnienie, jużby tu zaraz imię jego wydało.

Jedyny syn jego, mąż naszej właśnie damy, niestety, tylko po nim odziedziczył imię. Miał wówczas za lat trzydzieści. Był brzydki — a co gorzej — był głupi, jak stołowe nogi. Z powodu wysokiego urodzenia swojego piastował wysokie dworskie urzędy, a i do tego nawet zaledwie był zdolnym. Tak miał twarz nikczemną, taki nieszczęśliwy układ, że ja sam — Panie, odpuść ciężkie grzechy! — raz o mało najfatalniejszego z nim nie dopuściłem się głupstwa.

Będąc na wielkim raucie, po wypiciu herbaty szukałem komubym ze sług, ciągle wiercących się pomiędzy tłumem gości, oddał próżną już filiżankę. Szedłem tedy w kierunku drzwi salonu, kiedy na szczęście w ścisku spotykam posuwającego się człowieka, mającego najzupełniej minę lokaja i na do-

bitkę trzymającego coś dużego pod pachą, co wziąłem za tacę tym sposobem z powodu ciasnoty niesioną. Idę więc prosto do niego. Ale na ten raz łaska losu była nade mną. Człowiek ten, zagadnięty przez kogoś, nim do niego doszedłem, odwrócił się i z wielkiem zadziwieniem mojem postrzegłem na tylnym lewym jego fraka guziku wielką szambelańską niebieską kokardę! To co trzymał pod pachą, był duży balowy składany kapelusz. A wszystko razem stanowiło Księcia jegomości. Taki tedy był syn starego magnata z prawego łoża. Bo mnóstwo nieprawych jego dzieci pod różnemi nazwiskami uwiijało się po obu stolicach. Ale każdy z nich daleko staranniejszej i szczęśliwszej uległ był formacji. To przypomina mnie mimowolnie starą anegdotę o księciu de Roquelaure, sławnym z wielkiego i jadowitego dowcipu i z tego, że był fatalnie brzydki, ułomny, a przytem i ospowaty. Idąc raz przez ulicę z innym magnatem w Wersalu, spotkał dwóch prześlicznej urody i piękności hajduków. Roquelaure, patrząc na nich z zazdrością, trąciwszy łokciem towarzysza swojego rzekł: „*Voyez comme nous les faisons*“ — i, obracając wzrok na siebie samego, dodał: „*et comme ils nous font!*“

Tak tedy i w Petersburgu i w Moskwie było! Zobaczyłeś, naprzykład, na balu prześliczną pannę. Pytasz się, kto to jest? Dama czy mężczyzna odpowiadali z zimną krwią natychmiast: „To naturalna córka kniazia XXX“. „A któż jest ten młody piękny mężczyzna, co tak ładnie tańczy?“ — „To naturalny syn jego żony.....“

Żona sobie, a mąż sobie bezkarnie broili!..

Mówię, że to było jeszcze zostało w obyczaju obu stolic, jako skutek panowania Katarzyny II-ej i Aleksandra I-go. — Cesarz Mikołaj dopiero wzorowem w rodzinie własnej pożyciu i przykładem powoli zmienił ten obyczaj, który się tam nikomu w owej epoce nie wydawał bezwstydem. Tak do wszystkiego przywyknąć można. Wszyscy byli jednostajnie grzesznymi, a więc nikt się już o to rumienić przed światem nie mógł. Pomimo smutnych i żalonych kraju naszego kolei, pomimo niejakich swawoli naszego ostatniego króla, i duchem czasu i bezżennością jego łatwo usprawiedliwić się dającego, nigdy przecież w ostatnich życia swojego chwilach kraj nasz nie przechodził, na szczęście, przez tak wysokie stopnie zepsucia! Bywały niekiedy, może nawet często, tak, jak i wszędzie, usterki; wszędzie się znalazł taki rodzaj potomstwa, ale o tem nie wiedziała nigdy cała jak jest publiczność. Nie chełpiono się z tego. A wzgarda wszystkich upokorzyłaby natychmiast taką bezwstydną zuchwałość kilku swawolnic kilku swawolników. Zepsucie możnych przez własną ich winę wprowadziło to lekceważenie i poniewierkę, jaką ich większa część europejskich ludów dzisiaj okrywa!... Ale co ma to do rzeczy. Odwiedzmy lepiej naszą pacjentkę!...

W wyższem towarzystwie nie mówiono nigdy o tym domu „Książę XXX“, ale tylko „Księżna XXX“ „Będziemy na obiedzie u Księżnej, na balu u Księżnej“... O Księciu nigdy, jakby go nie było, chociaż był tuż i ciągle się o ludzi ocierał. Tym sposobem po miastach lud boży, sam często nie wiedząc dla-



czego, ocenia i nazywa domy, przodkujące w wyższym towarzystwie, żonę w nich głową domu czyniąc. W Warszawie nikt bywało dawniej nie powiedział, na przykład: „Będziemy u księcia Maksymiljana Jabłonowskiego“. Ale wiecznie i zawsze: „Będziemy u księżnej Jabłonowskiej, u księżnej Teresy.“ Toż samo dzisiaj. Nikt tam nie powie: „Byłem u hrabiego Augusta Potockiego.“ Wszyscy mówią: „Byliśmy u pani Augustowej Potockiej...“

Stosunki Księżnej z doktorem Lebenshelferem wracały co tydzień. Zawsze coś i gdzieś Księżnę bolało i kłuło. Wszystkie jej pozy, wszystkie miejsca, gdzie się i choroba i piękna chora najpoetyczniej wydaje, przebrały się już wielokrotnie dla nieszczęśliwego doktora. Doktor wcale nie był głupi. Znał wyraźnie, dokąd prowadzą te wszystkie dążenia. Poznał i męża nakoniec i przez niego te wszystkie nadspodziewane wypadki sobie tłumaczyć umiał. Ale wśród tych ciągłych młodej, pięknej i pełnej dowcipu kobiety drażnień i gabań, jeśli nie serce Doktora nieboraka, to przynajmniej zmysły jego uległy czarodziejskiej, a ciągle powtarzanej wdzięków przemocy! Rzecz wielce niebezpieczna, od której się lekarz koniecznie, jak może, wstrzymać powinien. Nasz Doktor ośmielany ciągle a ciągle, wprawdzie po światowemu, po miejsku, pożądliwie — ale się doprawdy w Księżnej zakochał. Po pewnym czasie takich romansowych szarmydlów, bo tego innym czynem nazwać nie można, przyszedł nareszcie moment, kiedy siły Doktora materialne nad przeczącą siłą jego duchową wzięły przewagę. Schwyciony w zdradliwe sidła pięknej Cyrcei, ośmielany,

ciąglem jej nadskakiwaniem, Doktor nakoniec przemówił do niej silnym językiem namiętnej żądz. Jakież było zadziwienie jego, kiedy mu ta potulna, ta milutka, ta bez przerwy drażniąca go kobieta natchmiast postawiła się jeżem i z miną pełną pańskiej wyniosłości i pychy powiedziała mu, że w tem widzi, jak u nas mówią, większą poufałość jak znajomość, że się pan doktor wcale na sobie nie zna, że sobie nadto pochlebia, że od niego do niej bardzo daleko. Jednem słowem, z tonem, który tylko albo cnotliwe, albo chytre kobiety przyjąć umieją, oświadczenia uczuć jego wzgardliwym uśmiechem i szyderstwem przyjęła.

Doktor, człowiek wielce drażliwy i dumny, ledwie że tam na miejscu trupem nie padł, takie na niego wiadro lodowatej wody wylano! Wściekała go ta wymówiona a tylko mniemana niższość położenia jego na świecie. Jednakże, jak lew, co się już po raz drugi na chybioną zdobycz nie rzuca, zniósł grzecznie cały potok tej szyderskiej lawy i, ukłoniwszy się nisko, jak niepyszny, wysunął się za drzwi i dom ten w duszy na zawsze pożegnał. Że człowiek w tych rzeczach dostanie chucha, cóż robić? To chodzi po świecie. Przychyliwszy uszy, gdzie się nie uda, znieść tę biedę musi i gniewać się nie ma zaco! Prawdziwa obraza ma właśnie żądło swoje w sposobie, jakim człowiekowi dają harbuza, czy grochowy wianek. Tu i słowami i miną Doktora upokorzyć chciano — i to go bolało.

Spuściwszy nosa, nasz Lebenshelfer jeździł po swoich chorych, medytując w czasie podróży nad

niepojętymi chytrściami, zdradami, kapryсами, fantazjami kobiet.

Pięknie też przed samym sobą powiedział kazanie o pańskich dumach i psychach.

Ale coś się z nim stało, kiedy, wróciwszy do domu, znalazł tam czekające na niego od Księżnej opieczętowane pudełko. Otworzył je. Bo siła rozdrażnionej namiętności a bardziej rozdrażnionej miłości własnej wzięła na ten raz górę nad jego rozumem. Spodziewał się nieborak znaleźć tam żal, skruchę, pokorę tej dumnej niewdzięcznicy. I cóż tam znalazł?

W wąskim z tektury pudełku leżał duży zwitek papieru, w którym znaczna ilość złota była objęta. Księżna ze wzgardą zapłacić chciała Doktorowi za jego wizyty, bo na papierze był napis.

*„Recevez votre salaire“.*

Śmiertelnie tym ostatnim krwawym postępkim dotknięty, nasz Doktor kilka dni przedręczył się z sobą samym i nie wyszedł z domu. Nie przyjmował nikogo. Chorych nawet swoich innym lekarzom powierzył. Ale też zaraz przysiągł się zemścić i równie krwawe na swojej przyjaciółce wywołać poty. Pudełko więc, pieniądze i wszystko, nietykane, jak było, do sekretnej w biurze swoim zamknął szuflady, a zaklął się, że się do nich nigdy nie dotknie, chyba tylko na zemstę nad Księżną.

Minęło kilka miesięcy. Doktor starannie unikał wszystkich miejsc, gdzie się z tą damą mógł spotkać. Tymczasem czy przypadek jakiś, czy rachunek sprowadzać zaczął Księżnę właśnie do tych to-

warzystw,, w których się doktor Lebenshelfer ustawicznie znajdował. Spotkali się z sobą nakoniec.

Doktor przy wszelkiem uszanowaniu, dla płci należnem, udawał, że nie zna Księżnej. Damy otaczające, Bóg wie dlaczego, prezentowały jej tego nieznanego doktora. Sława jego niby służyła za pretekst do tych zapoznań. Oboje więc grali komedję. Powoli Księżna nowe na Doktora stawiać zaczęła zasady. Doktor udawał, że był z kamienia, a w duszy, co mógł, z zimną krwią robił, żeby Księżnej zawrócić głowę.

Wzajemnie sobie w tym względzie posługujące damy pomogły. I doszedł nakoniec Doktor do mety. Nie występując, Boże broń, z żadnem oświadczeniem się, a ciągle wzdychając, znudził tem Księżnę do tego stopnia, że się mu ona sama ze swoją miłością pierwsza odkryła. Doktor przyjął tę wiadomość z najszczerzem uniesieniem nadspodziewanego szczęścia i tem do reszty zobowiązał Księżnę. Naznaczono nakoniec i miejsce sekretnej schadzki. Księżna tam sama siebie przewyżzyć się starała, żeby i terażniejszą uwieńczyć miłość i zatrzeć ślady dawnej piekielnej obrazy. Doktor został najzupełniej szczęśliwy. Księżna, w nowe wpadając ostateczności, u nóg jego dziękowała za chwile, które mu była winna. Rozstali się nakoniec w zupełnem zmysłów upojeniu. Dano sobie na jutro nową godzinę...

Doktor wracał do siebie, sadząc przez kilka schodów, żeby się prędzej dostać do swego mieszkania, i konwulsyjnie z radości zacierał ręce! Otworzył nakoniec biuro, dobył z niego nietknięty dotąd

ów krwawy paczek ze złotem, który mu przed pół rokiem Księżna przysłała, popatrzył na niego przez chwil kilka z szatańskim uśmiechem, z szatańską rozkoszą i, opieczętowawszy na nowo, odesłał go pod adresem tej improwizowanej kochanki.

Księżna odbiera od Doktora pismo. Otwiera je z uniesieniem, z radością, serce bije, mgli się w oczach; otwiera i znajduje — cóż? Oto rulon własnego swojego złota z jej własnoręcznym, a zabójczym teraz dla niej nadpisem: „*Recevez votre salaire*“...

Doktor nigdy już odtąd księżnej XXX nie widział. A zdawało mu się zawsze, że jej pod każdym względem dobrze zapłacił.

*Pisałem dnia 4 marca 1850 roku.*

---



VII

*PIERWSZE PÓŁROCZE LEKARSKIEGO ŻYCIA.*





---

Pałac niedawno niepotrzebne papiery, napadłem w biurze mojem i na tę zupełnie przeze mnie zapomnianą powiastkę, którą przed dwudziestu blisko laty, bo w 1831 roku, napisałem był w Petersburgu.

Jest ona dosłownem powtórzeniem tego, com wówczas *impromptu*, należąc mimowoli do gry w powieści, w pewnem towarzystwie wybredzić byłem zmuszony.

Powodem do tego, jak sobie przypominam, była dyskusja o talencie żyjącego jeszcze podówczas malarza Orłowskiego, który, z ilu i jak się komu podobało naznaczonych punktów, układał natychmiast rysunek.

Chciano zastosować toż samo do opowiadania. Damy uparły się i rzuciły napisane przez siebie karteczki do japońskiej wazy. Każdy z mężczyzn obecnych rękę tam zanurzyć i losem po pięć karteczek wyciągnąć musiał, a potem zaraz, bez namysłu jakąś powieścią wystrzelić.

Zdaje się jednak, że spisek wyraźnie ułożony był przez te psotnicze główki na mnie jednego, dlatego tylko, żeby mnie tem z zawias i zimnej krwi wysadzić. Bo i kolej na mnie pierwszego niby z węzełków wypadła i mnóstwo prócz tego u innych mężczyzny znalazło się kartek, skierowanych widocznie i jedynie na nieszczęśliwego Doktora i jego sztukę.

Karteczki, wyciągnięte przeze mnie, miały na sobie następujące napisy: 1) Pierwsze wrażenia; 2) Spiskowi; 3) Miłość i krew; 4) Doktor i śmierć; 5) Posag i żona.

Opowiadania moje, czy dlatego, że w samym już wysłowieniu i gestykulacji człowiek wiele dla siebie znajduje pomocy, czy, co podobniej, przez grzeczność obecnych więcej niż względnie i z pobłażaniem było przyjęte. Były i takie damy w tem towarzystwie, co mię prosiły, co mi kazały nazajutrz koniecznie toż samo im na papierze powtórzyć.

Takim więc sposobem ta brednia została u mnie i przepisana na pięknym welinowym papierze została u jednej jeszcze osoby, bardzo ładnej podówczas damy, która się była z przywiązania do męża doskonale wyuczyła po polsku; damy, cudownie podówczas — jak mówię — pięknej, a dziś podobno już od lat kilku — babuni!

Wtedy byliśmy oboje młodzi! A Vasselier, zapomniany i pogardzany oddawna francuski poeta, powiedział:

*„Un amant parle comme un ange  
Quand il peut bégayer trois mots.“*

Któż razem ze mną nie uczuje, któż tyleż, co ja, nie uczuje, że na takiej kanwie można było nieskończenie zajmującą w duchu terazniejszym utworzyć powieść?! Kto tego nie dojrzy, że ją silnemi i drażniącemi nadziać było można bodźcami?! Ja, zaskoczony nagle, i dla samej powagi ówczasowego stanu mojego, nie chciałem się na obrazy silnych namiętności wysadzać; miałem sobie — owszem — za jakąś powinność skleić to wszystko z bardziej prozaicznych,

ale codziennych, a co więcej prawdziwych życia wypadków... Fakty, tyjące się chorych i zdrowych, tutaj wspomniane, są najzupełniej prawdziwe. Patrzałem na nie własnymi moimi oczyma. Mój miły Boże! jak smutno temu, co tu jeszcze pozostał, pomyśleć, że i z tych, co grali role w tej powiastce, i z tych, co jej słuchali, z tych młodych wówczas, hoźych, rumianych, pełnych życia, wdzięków, wesołych kobiet, dziewcząt i chłopców, dzisiaj zostało już tylko bardzo duźo popiołu i kości pod ziemią. Nad ziemią zaś, ile wiem, zostały dwie czy trzy schorzałe i obciążone wiekiem niewiasty, jeden ksiądz w domu warjatów — i jeden ze zgniecioną duszą pustelnik!

\* \* \*

„Urodziłem się w jednym ze szlchetnych, a nawet majątnych domów Litwy. Rodzice moi zacni, poczciwi, przeczuwający potrzeby naprzód idącego wieku, nie zaniedbywali niczego, ażeby mi dać staranne i dobre wychowanie. Z dumą powiedzieć mogę, że u nich widział w domu zawsze prawdziwie starodawnych cnót przykłady. Pierwsze trzy lata życia mojego poświęcone były wyłącznie zahartowaniu ciała. Poszli po tem jak zwykle guwernerowie. Później wyprawiono mnie do szkoły wyższej, ażeby w niej i zasadniczych nauk i nieodbicie się łączącego się z publicznem wychowaniem dzieci nabrał poloru i natworzył dożywotnich na potem z kolegami związków. Przyzwyczajony od dzieciństwa do zatrudnień i pracy, wpojona już mając żądę gruntownego nabycia wiadomości, w ciągu lat kilku skończyłem zaszczytnie kursy moje szkolne i w piętnastym roku

życia zdolny już byłem do słuchania nauk w uniwersytecie.

Bliscy krewni ojca mojego mieszkali podówczas w Wilnie i domagali się ciągle, żeby mnie im przysłano. Gdy po dokładnem rozważaniu, jakiej się wyłącznie stosowanej nauce poświęcić powinienem, największą do historii naturalnej i medycyny okazywałem ochotę, a w Wilnie był podówczas jeden z najślawniejszych w Europie uniwersytetów i szczególnie się lekarskim wydziałem odznaczał, rodzice moi, korzystając z podwójnego zysku — oddania mnie opiece i dozorowi krewnych i zapewnienia dla mnie większych w nauce pożytków, sami mnie tam odwieźli.

Pięć czy sześć lat, przepędzonych w Wilnie, do najszcześniejszych życia mojego policzyć mogę. Krewni moi przy znacznym majątku i pochlebających dosyć miłości własnej urządach, dalecy od intryg i próżnej ambicji, bezdzietni prowadzili życie epikurejczyków. Ciągłe obiady, wieczore i bale przy wzorowej skąd inąd oszczędności i rozwadze robiły ich dom rajem dla tamtejszego towarzystwa. Łatwo się zatem domyślić można, że mi po pracy nie trzeba było szukać daleko rozrywek. Po kilku latach kamiennej dniem i nocy pilności, dano mi nakoniec stopień doktora. Co to była za radość. Doktor, mędrzec — w dwudziestym roku! Mimo to i rodzice, i krewni, i nauczyciele moi uważali mnie jeszcze za błazna, któremu mleko około buzi nie oschło. I dlatego sławny mój profesor F(rank) żądał, ażeby dla zbyt młodego jeszcze wieku nie puszczano mnie w świat, i czas jakiś pod jego i innych uczonych

zostawiono okiem. Zgodziliśmy się wszyscy na to z ochotą. Ja zaś tę miałem korzyść, że się więcej pośród ludzi i rzeczy mógł przetrzeć. Wkrótce kilka przykładów szczęśliwie przyniesionej pomocy, lubo to było w lekkich i mało znaczących chorobach, przy leczeniu bez żadnej nagrody zrobiły mnie pewien rodzaj małuśkiej reputacji, wielce i człokolubne serce i miłość własną łechcącej.

Kiedym się tak słodko marzeniom wesołej przyszłości oddawać uczył, horyzont miasta naszego tymczasem nagle się zachmurzył. Z początku głuche szmery chodzić zaczęły, że się tam jakieś ważne polityczne knuło przestępstwo. Spisek poprostu przeciw monarsze i jego rodzinie! Te pogłoski coraz się mocniejszymi dowodami wspierać zaczęły. Nakoniec użyte przez rząd środki żadnej już w tym względzie wątpliwości nie zostawiły. Mnożyły się codziennie areszty podejrzanych osób, napełniały się spiskowymi więzienia, komplikowały śledztwa. Wielu najpierwszych naczelników rodzin pozbawionych było wolności. Płacz, żale, skargi napełniały miasto przed miesiącem jeszcze tak wesołe i świetne. Rodząca się zawsze przy podobnych wypadkach fałszywa delacja powiększała jeszcze masę publicznej trwogi. Zaciętość czy niewinność podejrzanych osób sprawiała, że prawdy dojść nie łatwo było. Wkrótce podejrzenia padać zaczęły na młodzież, której część znaczną liczbę aresztowanych zwiększyła. Widziałeś ustawiczne po ulicach przejeżdżających żandarmów, wiozących schwycone na prowincji osoby. Za nimi wkrótce zrozpaczeni ojcowie, łzami zalane matki we własnych

przybyli powozach. Okropny i smutny był to dla wszystkich widok! Jeszcze się z nim podówczas nikt nie mógł oswoić, bo to dopiero pierwsze były początki. Niepewność przyszłości paraliżowała stan moralny każdego. Co moment dochodziły nas wieści, że ten lub ów w nocy porwany i wywieziony, Bóg wie gdzie, został!

Niedługo potem przychylne niby ostrzeżenia doszły do krewnych moich, że się i ja na owej fatalnej liście znajduję. Że lada dzień do tej wspólnej klęski należeć będę. W rzeczy samej byłem niewinny i nie wiedziałem o niczem podobnem. Wyznać jednak muszę, że pomimo tej całej czystości sumienia myśl, że co moment wolność utracić mogę i wzięty na tortury zostanę, zatrula mi jeszcze więcej i tak już cudzem nieszczęściem zachmurzone życie. Postanowiłem zatem zamknąć się w domu i czekać wypadków. Stan tem niepewności dostateczny był do wzbudzenia we mnie jakiejś melancholji, jakiejś potrzeby serdecznego czyjegoś współczucia, do czego myśl o prawdopodobnej niespokojności rodziców moich znacznie się przyczyniała. Wyjechać zaś z miasta, było to na rogatce przypomnieć o sobie i samemu oddać się w ręce!

W takiej byłem pozycji, kiedy jednej nocy obudzony zostałem nadzwyczajnie silnem do drzwi stukaniem. Przy powszechnej cichości łoskot ten był prawie przerażającym. Wszystko mi zaraz na myśli stanęło. Korzystałem z ciężkiego snu mego lokaja, ażeby przygotowany już oddawna zapas pieniędzy na prędce wcisnąć do kieszeni a, nie mając się czego

śpieszyć z otwarciem bram fortecy oblegającemu mnie nieprzyjacielowi, udawałem śpiącego.

Naostatek zbudzony służący jął drzwi otwierać...

Szczęśliwy, kto nie doświadczał tego uczucia, jakie się w minucie mającej nastąpić utraty wolności rodzi w człowieku. Do dziś dnia pamiętam to podwójne bicie serca; ten szum krwi, pędem trwogi niesionej do głowy; tę trudność oddechu w przecięniętej, jak sznurem, krtani; tę myśl, która lotem błyskawicy przeszłość i przyszłość rachuje; tę instynktowną chęć ratowania się ucieczką, która przy zupełnem jej niepodobieństwie kończy się na mimowolnem przyciśnięciu ciała swojego do najbliższej ściany! Każdy krok obudzonego już służącego, każde słowo jego, każde „zaraz“, którem cieszył niecierpliwych oblegających, każdy fałszywy ruch ręki szukającej zamku omackiem, dwa finalne tego nieszczęśliwego klucza z trzaskiem obrotu, jak sztyletem, od uszu do nóg moich sięgały!

Stało się!... Otworzyły się drzwi narozcież gwałtownie, grube przekleństwo na ospałość sługi mojego wyleciało z ust nieprzyjemnego naszego gościa...

„Czy tu mieszka doktor S....?“

„Tutaj, j. w. panie!“ odpowiedział strwożony służący.

„Prędzej ognia i — prowadź mnie zaraz do niego!“

Każde słówko w trzecim pokoju najwyraźniej dochodziło do mnie. Widzę naostatek przez szpary drzwi moich, jak się zbliża ogień! Słyszę brzęk ostróg i bijącego posadzkę pałacza!... Wchodzą!... już po mnie!

„Czy pan jesteś doktor S. . . .?” zapytał mnie z żywością młody z ogromnemi wąsami oficer dragonów.

„Tak jest”.

„Zaklinam pana na wszystko, co masz najświętszego, wstawaj natychmiast i ratuj stryja mojego, uderzonego apopleksją”.

Odetchnąłem!... Nie wyszło trzech minut, pędem strzały biegnące konie uniosły nas na dziedziniec kształtnego i dużego domu. Wsiadłem, zbierając całą przytomność umysłu nieodbicie w lekarza głowie przy podobnych wypadkach potrzebną. Oficer szedł naprzód po schodach. Turkot pojazdu ostrzegł już domowych o naszym przybyciu. Wysypało się kilka osób ze światłem. Kilka głosów razem spytało dragona: „A doktor?...”

„Idzie za mną.”

W tym momencie miękka i delikatna rączka chwyta mnie za rękę i z wyrazem rozdzierającej bóleści słyszę z ust kobiety wymówione słowa: „Ach, ratuj brata mojego!”

W natłoku ludzi, w rozruchu, który nas otaczał, nie mogłem dostrzec osoby, co te słowa wyrzekła. Ale pomimo smutnej pozycji, w jakiej się wszyscy znajdowaliśmy się, głos ten, jak wąż, przecisnął się przez wszystkie nerwy i przyszedł do serca mojego! Głos ten wstrząsnął mi duszę i ciało! W okamgnieniu wlał we mnie jakieś niepojęte czucie, którego nigdy orzec nie byłem w stanie. Głos ten po wielu upłynionych już latach tak mocno tkwi w mojej pamięci, jakby w ten moment był wymówiony! Wszystko to stało się w przeciągu jednej sekundy, kiedyśmy obaj z dra-



gonem lecieli po schodach, kiedy się nie można było zatrzymać jak u łożu chorego, kiedy czasu do rozbiegania własnych sensacyj nie było.

Warte jest zastanowienia w ogólności to dziwne głosu ludzkiego na nas działanie. Miałożby to drżenie powietrza, głosem nazwane, mieć większe lub mniejszy stosunek z budową ciała naszego, z usposobieniami przyrodzonymi duszy? Miałożby to dowodzić, że ten lub inny dźwięk głosu jest sumą, jest ostatecznym wypadkiem wszelkiego przyrodzonego powinowactwa osoby jednej do drugiej? Miałożby to być miazgą owej niepojętej sympatji, opartej na podobieństwie fizycznej i moralnej naszej budowy, lub, jak w elektryczności, na różnicy między dwiema przeciwnymi zasadami, które przy zbliżeniu się do siebie dopiero jedność stanowią? To pewna, że gdy w twoim pokoju jakie dźwięczne ciało mocno uderzysz, a blisko instrument mieć przy sobie będziesz, jaki z uderzonego ciała dźwięk wyprowadzisz, takim ci jedna z wielu strun w instrumencie bez pomyłki odpowie.

Znalazłem chorego rozciągniętego na łożku — bez przytomności. Chrapanie, okropne i przerażające wszystkich, oddawna trwało. Twarz zsiniała, piana na ustach, oczy nawpół otwarte, targania ust i wykrzywania ich ciągle, włosy, od lanej na głowę wodą w kłaki zlepioną, straszną dawały mu postać! Obnażona za łokiec prawa ręka sączyła krew czarną i spiekłą z długiej powierzchownej rany. Żona w rozpacz, poznawszy chorobę, schwytanym na prędce nożykiem chciała mu krew puścić, ale mu tylko skórę rozpruła.

Z całą energją zastosowałem gwałtownie wymaganą pomoc. Nieodstępnie pilnowałem chorego, nie miałem czasu obrócić się za siebie twarzy dla obejrzenia obecnych. Dragon, jak syn przy ojcu, wszelkie przy mnie odbywał posługi. Po kwadransie ustało chrapanie, chory otworzył zmacone oczy, zerwał się raptem, spojrzął na oficera: „To ty Augustie, cóż się ze mną dzieje?” W tym momencie uczułem kilka rąk, obejmujących moje kolana, ale gdym się chciał za siebie obrócić, nowy przerażający ryk chorego zwrócił moją uwagę. Leżał on na nowo w najokropniejszych konwulsjach. Oczy mu z orbit wyparło, gębę skrzywiło, usta granatowe, twarz purpurowa, głos podziemny, ręka i noga z prawej strony w różne kierunki z nadzwyczajną siłą i szybkością miotane, lewa ręka zupełnie bezwładna. Okropny widok! Był to pierwszy w praktyce mojej prywatnej. Nogi drżały pode mną.

Musiałem się rzucić natychmiast do nowych środków. Po godzinie przecież wszystko do porządku przyszło. Chory wrócił do życia. Mówił przytomnie i wyraźnie. Niebezpieczeństwo minęło...

Światło raziło mu oczy. Kiedym więc świecę na stosowniejsze miejsce odnosił, ujrzałem przed sobą młodą osobę, która z pewnym rodzajem zmięszania się i trwogi zbliżyła do mnie i w czułych wyrazach dziękować mi zaczęła za przyniesiony ratunek. Poznałem ją natychmiast po tym samym głosie, który mnie tak mocno przy wejściu naelektryzował. Włosy miała czarne, oczy błękitne ciemne, dwiema wielkimi łzami przy wdzięcznem podziękowaniu oblane. Biała,

blada, średniego wzrostu. Rączka i nóżka, jak u dziecięcego dziecka... Nie śmieście się, panie!

Lekarz powinien wszystko spostrzeżyć, za jednym rzutem oka wszystko obejrzeć, ocenić. Niech się tedy panie dziwić nie raczą, że to odrazu zobaczył. Wiele ja widzę, choć nie mówię!...

Upewniwszy się, że stan chorego zupełną daje nadzieję, wróciłem do siebie. Chciałem zasnąć po trudach. Ale z jednej strony widok mojego chorego w konwulsjach ciągle mi stawał przed oczami, z drugiej — głos siostry jego ciągle mi grał w uszach! Ten, kto się kiedy w takim zdarzeniu w dwudziestym roku życia znajdował, czuje, czy łatwo zasnąć w podobnych okolicznościach można. Żeby pragniony sen spuścił na nas swoją zasłonę, zmysł wzroku i słuchu koniecznie od świata odosobnić trzeba.

Na trzeci dzień znaleźmy się już z sobą dobrze w tym domu. Czy wzajemna sympatja, czy interes, ażeby mieć przy sobie jak najdłużej w czasie choroby lekarza, dosyć, że mnie tam bardzo radzi byli i zawsze zatrzymali. Miło mi było rozmawiać i z mężem i żoną. Oboje światli i bardzo przyjemni. Mąż stary żołnierz, wiele widział, wiele czytał. Pełen był dowcipu, oryginalności i otwartości rubasznej. Ale coś mi ciągle było nie po sercu. Brakowało mi czegoś! Brakowało mi owej siostry, której od tej nieszczęsnej opisanej już nocy dotąd nie widziałem jeszcze. Jakiś wstyd niepojęty mimo znacznego oswojenia już ze światem nie dozwalał mi się o nią zapytać, choć to tak naturalnem było. Czułem, że po wymienieniu tego zapytania krew mi całą twarz, jak ostatniemu gapiowi.

zaleje. Z jednym tylko dragonem mógłbym swobodniej o tem pomówić, ale ten zapewniony, że stryj wyszedł z niebezpieczeństwa, cały dzień, jak sowizdrzał, latał po mieście.

Na szósty czy siódmy dzień dopiero żona chorego prosić mnie usilnie zaczęła, ażebym nie odmówił przygotowanego w jej pokojach śniadania. Nie mogłem się od tego wymówić. Wchodzę, prowadząc pod rękę gospodynię domu. Na środku wygodnej i pięknej sofy siedziała, bawiąc dwoje malutkich dzieci, młoda i piękna kobieta. Podniosła się na moje wejście; twarz jej blada żywym pokryła się rumieńcem. To była ona! Mnie się w głowie kręcić zaczęło.

„Prezentuję panu moje dzieci”...

Aż mi się mgło zrobiło! Pomimo całej mojej przezorności i obserwacyjnego ducha, nie wiedząc dlaczego, wziąłem ją był przy pierwszym widzeniu i kołysał w myśli mojej, jak pannę. Nie wiedzieć dlaczego, pieściłem się przez tyle dni ideą, że ta miła osobą do nikogo jeszcze nie należała. Zniszczenie iluzji jest śmiercią dla wyobraźni, jest chwilowym paraliżem duszy. Oba te stany raptem mnie objęły. Zwykle wesoły i pusty, trzech nie umiałem przeliczyć. Lękałem się, żeby mnie za głupca nie wzięto, żeby się nie domyślano, sam nie wiem czego, a wszystko to zrobiłem, co mnie na tytuł gapia zasłużyć mogło! Obie damy, jak na złość, mną zajęte były. Pragnąłem z duszy, żeby mnie dano odetchnąć, żeby się rozmowa w inną stronę zwróciła. Było tam bowiem jeszcze dwóch młodych oficerów, którzy ogromne kawały jadła pod zawisłe wąsy wtykali, cali tylko śniadaniem wśród platonicznych trybylacyj moich zajęci. Jam

i tego nie potrafił, co oni! Wymuszony na mnie grzecznością gospodyń kęsek spadł mi na serwetę. Chciałem się zgrabnie masłem poprawić, ale i to het tam gdzieś zleciało na parkiet! Jednem słowem, na obu kuli naszej półsferach głupszej, nudniejszej, niezgrabniejszej istoty nade mnie w tym momencie nie było!

Szczęściem, naładowani już wojacy zaczęli ocierać wąsy i mówić. Zdawało mi się, że teraz rozsądek mój wróci do równowagi. Jako żywo! Swobodna i pełna grzecznej galanterji rozmowa ich z damami, zręczne komplementy, adresowane do młodej mojej wróżki, przyjęcie przez nią tego wszystkiego z wielce miłym uśmiechem i ujęciem obok głupiej nieśmiałości mojej — do wściekłości mnie doprowadzały! Każdy haust podanego buljonu, jak rozpalonem żelazem, palił moje piersi! Jakiś straszny wstręt do wąsów i ostróg, do szlif i mundurów w okamgnieniu zrodził się we mnie. Oto, ledwie że nie wbiłbym w każdego z nich noża, co leżał przede mną. Ale i do tej kobiety nie mniejszą nienawiścią pałałem! Śledziłbym, zda się, z zimną krwią ostatnie bicie zamierającego jej serca. Urażałbym się ostatniemu blaskowi tych cudownych oczu, ostatniemu drgnięciu białej z długimi czarnymi rzęsami powieki. Bo i czegoż się tak serdecznie do tych dwóch swoich drabów wyszczerza i wdzięczy?!...

Stan ten był nie do wytrzymania. Wyrwałem się stamtąd, jak szalony, i nie pamiętam, jak się w domu znalazłem. Zamknąłem drzwi na zamek, rzuciłem się na sofę i tam dopiero zacząłem się zastanawiać nad tem, co się ze mną dzieje. Tam po długich tergiwer-

sacjach, po długim wypieraniu się przed samym sobą, po długich ironicznych nad miłością i kobietami sarkazmatach musiałem sam sobie nakoniec pod sekretem powiedzieć: *Almaviva, du liebst!*

Miłość, jej rozmaite przyjemności i gorycze, jej niebieskie pociechy i piekielne trwogi, jej rozkosze i męczarnie, ufność, zazdrość, nadzieja i rozpacz — są od wieków tak znajomym, zwietrzałym *acompannement obligé*, tak zwyczajnym tonem i taktem tego wielkiego koncertu, który się pomiędzy nami odgrywa ciągle, że próżnoby było nudzić panie szczegółowym opisem tego, co mnie ta nowa znajomość do strawienia dała. Zresztą, bodaj, czy nie każdy z nas to wszystko, jak ospę, przeżyć w życiu musi i sam mnie prędzej lub później zrozumieć potrafi.

Mijały dni i tygodnie, a z niemi rosła coraz większa ścisłość i przyjaźń między mną a Pułkownikiem, moim dawnym pacjentem. Dnia jednego nie było, żeby czy on u mnie, czy ja się w jego domu nie znalazł. Żona jego pełna grzecznych dla mnie uprzedzeń, oboje pełni czulej przychylności rajemby mnie dom swój zrobili, gdyby pani Z. . . ., owa blada ze ślicznemi oczyma i nóżką kanarka ich siostrą, dzieliła lub poznać przynajmniej chciała cały ogień wulkanu, który mnie pożerał, gorząc od tak dawna w mych piersiach. Bliższa znajomość zerwała fałszywą kopertę momentalnej nieśmiałości mojej, rozwiązała mnie usta, zrobiła mnie znów sobą. Taż znajomość odkryła mnie w p. Z. . . . najpiękniejszą duszę, serce pełne delikatnej czułości, pełne życzliwości dla ludzi, głowę, czytaną bez pedanterji, tak się zwykle w uczonych kobietach gnieźdzącej, a tak obmierźłe dla męż-

czynn nieżnośnej. Pani Z. . . . grała, jak anioł, śpiewała, jak cherubin, tym głosem właśnie, którego dwa tylko słowa całą spokojność moją zatruiły. Jednostajna zawsze wesołość i cierpliwość robiły ją wzorem płci swojej. Pani Z. . . . wydana przeciw woli swojej i prawie w dzieciństwie została przed kilku laty przez dobrych, ale na ten moment zdurzonych szatańskim podszeptem rodziców za człowieka poczciwego, odważnego i dystyngowanego oficera, zajmującego wysokie dosyć miejsce w hierarchji wojskowej, ale brutala, ale podagryka, ale zużytego i przesyconego towarzystwem kobiet, a stąd i nie wierzącego w ich cnoty. Pani Z. . . . miała wówczas lat dwadzieścia, a mąż jej pięćdziesiąt cztery. Pomimo przywiązania swojej do żony, bo któżby nie kochał takiego anioła? pan Z. . . . wady swoje własne i kaprysy zwał zawsze na żonę i siebie w niej, jak w lustrze, zawsze chciał widzieć. Znając niedostatki, z wieku swojego idące, grozą je przykrywał, a prowadząc żonę swoją nie na nitce jedwabiu, ale na łańcuchu z karabinów i szabel wykutym, bojaźnią żonę do siebie przywiązać i wierność jej zapewnić się starał. Otoczony sztabem młodych i pięknych oficerów, w każdym z nich niebezpiecznego upatrywał rywała. Czuł wprawdzie śmieszność i niesprawiedliwość swoją, ale pomimo to, przyjmując strasznych swoich gości najlepiej, gryzł potem zaraz żonę i ciągłemi wyrzutami ją trapił. Siabe to stworzenie z uległością zносиło prześladowania, odpierała je wieczną dobrocią a nieposzlakowaną konduita wszystkich przychylność zyskała. Ale kiedy jej zdrowie, ciągłemi kłopotami dręczone, dłużej stanu tego wytrzymać nie mogło, wówczas pod pozorem nie-

winnym odwiedzenia krewnych znajdowała raz na rok sposób oddalenia się od męża, odetchnięcia swobodniejszym powietrzem i wracała na łono kochającej ją rodziny, której przywoziła nie wymówki, lecz wieczną pogodę i wesołość duszy, a wzajemnie znajdowała u niej w szczerem przywiązaniu łagodzące na zranione serce lekarstwa.

Znajomość tych okoliczności w młodym i pełnym jeszcze podówczas najwznioslejszych, najszlachetniejszych uczuć człowieku nie może nie wzbudzić nadziei, a nawet pewności, że osoba, która nigdy nie jeszcze nie знаła miłości, która w domowym pożyciu nie miała szczęścia, musi się nakoniec przywiązać do tego, kto ciągłemi zabiegami o to szczerze starać się zacznie. Kto, rzucając pod jej nogi gwałtowną namiętność, przyszłość swoją i pewną siłę charakteru, połączoną z łagodnością i pełną karesów grzecznością, da jej ocenić cały urok, jakim mężczyzna wielbioną kobietę, chociaż już innemi więzami związaną, otoczyć jeszcze cnotliwie może.

Nie szczędziłem więc niczego, co by mnie do tego danego doprowadziło celu. Ile że w duszy mojej tylko najczystsze do tej kobiety czułem skłonności. Szczęście moje, jak to zawsze w pierwszej epoce miłości bywa, zakładałem jeszcze tylko na tem, ażeby ona wiedzieć i znać mogła całą rozciągłość przywiązania mojego. Żebym to jej mógł czasem powiedzieć i bez mizdrzenia się być wysłuchanym. Żebym to jej mógł przed nią samą zrzucić gniotący kamieniem ciężar z piersi moich. Ale wszystko było napróżno!

Zostawiliśmy nieraz sam na sam. Grywaliśmy z sobą całe godziny. Akompanjowałem jej do śpiewu.



Ręce nasze w trudnych pasażach nieraz stykały się z sobą i całego mnie, jak iskrą elektryczną, wstrząsały. I kiedy myślałem, że już rzecz doprowadził do mety, że teraz czas śmiało odkryć się z tem wszystkim, co czuję, — ona zaraz, niespodziewanie, jakby w duszy mojej czytając, jakby rzecz całą przeczuła instynktem, rzuciła mi jakiś zimny żart na to, co nazywają miłością. Zaraz jakieś dowcipne, ale grzebiące koncepty stawiały mi w okamgnieniu w udanie obojętnej i pełnej respektu szacie, zamykały mi usta, odbierały całą odwagę i w rozpaczy tę dziwną kobietę opuszczać musiałem!

O wiercie mi, panie, niema na świecie takiego głupca, jakim jest młody, a prawdziwie i szczerze zakochany mężczyzna! Albo niema na ten raz wznioślejszego, szlachetnego stworzenia! A kobiety wiecznie tego nie umięją ocenić.

Długom pomimo smutnego stanu duszy mojej tem się przynajmniej cieszyłem, że mnie skądinąd zawsze pani Z.... wielkiej przychylności i przyjaźni dawała dowody. Ale wkrótce i to ustało.

Uprzejma dla wszystkich, mnie tylko jednemu wyraźnie wstręt jakiś okazywała, wyraźnie odpychała od siebie. Stałem się powoli celem jej ucinkowych i bolesnych żartów, które mię do wściekłości doprowadzały, bo z tylu powodów wzajemnie ostrzy miecz mój w pochwę wkładać musiałem. Zdawało się wszystkim otaczającym, że ją czemciś musiał obrazić. A mnie samemu wypadało wierzyć, że plotka jakaś, tak łatwa w niewielkiem mieście, na tej nieprzyjaznej stopie nas postawiła. Kto potrafi ocenić te wszystkie jadowitego smaku goryczy, tę uni-

żoną, zdeptaną, upokorzoną miłość własną, ten ból zwyciężonej w sobie chęci zemsty i odcięcia się wzajemnym dowcipem, tę bojaźń zadraśnienia językiem, obrażenia ubóstwianej kobiety! Kto pojmuje w całym znaczeniu ten wstyd miłości własnej, który chciałem nawet przed sobą samym zataić, — ten pewno podobne moim już przechodził koleje.

Spróbowałem, ażali zazdrość nie wymoże na niej czego. Zwykle to bywa, że, nie dostając tego, co się staramy, spotykamy się mimowolnie z darami, które nas same szukają. Od daty znajomości naszej, stawszy się cieniem pani Z..., bywałem we wszystkich domach, gdzie się zwykła była udawać. Tam w jej oczach grałem rolę zalotnego trzpiota, brałem się do najpiękniejszych, do piękniejszych od niej kobiet. Przyjęty czasem łaskawie, wzbudzałem w rówieśnikach zazdrość, nawet się i inne kobiety za to gniewały. Ale pani Z... zdawała się tego nie widzieć, lub z zimną obojętnością na to patrzała. Albo sobie drwiła niekiedy z tych moich stosunków!...

Zbiór moich nieszczęść duchowych wpłynął na koniec szkodliwie na zdrowie moje. Zacząłem się zmieniać widocznie. Wszelka praca, muzyka, rysunek, czytanie, zabawy — obrzydły mi zupełnie! Życie samo także mnie obmierzło. Jakaś niezwykajna znalazła się bladeść. Bolami i namiętnością przepalone osłabły piersi. Zeschłem, jak mumja!

W tym właśnie czasie list, odebrany od przyjaciela moich rodziców, doniósł mi, że matka moja w Warszawie w śmiertelnej leży pościeli. Ze w chwili, kiedy to pismo czytać będę, już jej zapewne nie

będzie na świecie! Ojciec mój był przy niej, ale mnie nie wzywał. Kochałem matkę całą duszą moją!

Przerażony, zbolały, poszedłem do pani Z... szukać w jej dobrym sercu pociechy. Spostrzegłszy zsiadła twarz moją i zbolały rysy, zrazu mnie przychylnie o przyczynę tej zmiany spytała. Ale wkrótce wiadomość tę, łzami i wymowną, chociaż naiwną opowiadane żalnością, przyjąwszy najzimniej, zostawiła mnie samego, i dobre pół godziny w dalszych przebawiła pokojach. Wróciła nakoniec. Zdawało mi się, że oczy jej zapłakane. Ale sama, wszelkie uprzedzając pytania, powiedziała mi, że jej dziecko coś jakby nie ma się dobrze i, przeprosiwszy, że mnie dłużej służyć nie może, pożegnała mnie sama, nie prosząc nawet, jak bywało zwykle, o obejrzenie tego dziecięcia.

Taki sposób traktowania ludzi doszedł już miary! A więc nie zasłużyłem i na to, żeby tu znalazł słowo pociechy?...

Jedno jej przychylnie słowo mogło mi życie oszczędzić i to znała dobrze. Bo któraż kobieta tego nie pozna? A jednakże bez żadnego względu urąga się najświęszemu smutkowi syna!...

Zbolały, wróciłem do siebie. Lekki i częsty kaszel już na schodach zaczął się mnie uprzykrzać, a nimem drzwi otworzył, krew obficie z piersi lać mi się zaczęła. Śmierć stała przede mną!... Przeszło tak parę tygodni. Przyjaciół mój Karol M(orawski) pilnował mnie, jak brata. Profesor mój F(rank) leczył mnie, jak syna. Ale kiedy się obmógł cokolwiek, powiedzieli mi obadwaj bez żadnej ogródki, że

sam, jako lekarz, znać muszę, jaką mam chorobę, i że mnie innego nie zostaje ratunku, jak udać się na wieś i oddać się mleczej kuracji, bo jestem w stanie wyższego rozwijania się suchot...

Czas pokazał, że zacny mój nauczyciel pomimo całej swojej nauki i życzliwości dla mnie grubo się pomylił... Cokolwiek bądź dr. F(rank), przypisując stan mój ówczesny nadzwyczajnym trudom nauki, zaniechanie ich zupełne radził mnie ze łzami w oczach.

Krewni moi, przerażeni tym stanem, najęli mi śliczny domek o mil kilka od Wilna. Tamem się dowiedział, że choroba matki mojej szczęśliwie się ukończyła. Odebrany listy z Wilna przywiozły mi także pozdrowienie Pułkownika i jego żony. Przywiozły mi także pożegnanie siostry jego, która odjechała do głównej kwatery...

Przygotowany do pewnej śmierci, starałem się uprzyjemnić sobie jakkolwiek ostatnie młodego życia momenty. Domek mój, oddzielony od wszelkich innych zabudowań, stał się wkrótce celem pielgrzymek okolicznych mieszkańców. Uwiadomieni o bytności nieinteresowanego lekarza, ze wszystkich stron zjeżdżali się chorzy. Mały mój zasiany kwiatami, gdzie tylko można, dziedzińczyk zapełniony był codzien szukającymi pomocy i rady. Wiele się z tego powodu zyskało znajomych. Nie mało i z tego powodu łez wtedy wylano, że taki młodziutki doktor sam już nad grobem stoi.

Od pewnego czasu przybywający dla rozerwania mnie przyjaciele nowi z zapałem wspominali mnie często o talencie i świętobliwości młodego katolic-

kiego księdza, któremu od lat dwu blisko służba kościoła w W... poruczona była. Nietylko katolicy, ale i protestanci, jacy się w okolicy znajdowali, równie gorliwie uczęszczali na jego kazania. Wieść chodziła, że ksiądz Ignacy, podejrzany o należenie do wyżej wzmiankowanego spisku, długo był więziony i wiele wycierpiał. Że niewinność jego jakim się szczególnym przypadkiem uznana została. Że rząd przy czyjejs protekcji, nagradzając gorzką swoją pomyłkę, przeprosił go za nią donośnym probostwem. Oddawna też ogłoszona w tym okręgu i niecierpliwie oczekiwana misja ks. ks. dominikanów przybyła do W. . . . nakoniec. Okoliczność ta, jak zwykle na wsi, gdzie się wielki brak przedmiotów do rozmowy czuć daje, zajmowała bardzo całą okolicę.

Kaznodzieje misyjni wybierani są zwykle z najmówniejszych, najświatlejszych w zakonie mężów, do których pobożnego natchnienia przywiązuje się jeszcze łatwo usprawiedliwić się dająca i światowa próżność. Żądza zadziwienia słuchaczy potęgą argumentów, łatwością wysłowienia, sztuką wystawienia świątobliwych i godnych naśladowania religijnej cnoty obrazów.

Wcześniej więc przewidywano ten rodzaj walki o pierwszeństwo, do jakiego sławna i pełna zapału Bożego wymowa miejscowego proboszcza i światła gorliwości misjonarzy da powód.

Zajęty podówczas pielęgnowaniem własnego zdrowia, które się z łaski Bożej polepszało coraz, uradowany przybyciem moich rodziców, których stan mój do miejsca pobytu mojego sprowadził, zapomniałem był i o misji i o księdzu Ignacym, oddając się

z rzadka wizytom u sąsiadów, przejażdżkom i tym podobnym łagodnym rozrywkom, które koniec fizycznemu cierpieniu położyć miały.

Pewnego dnia pod wieczór piękny karykl zajechał na mój dziedziniec. Oddano mnie list nieznanego sąsiada z prośbą, ażebym nie chciał odmówić przybyciu zaraz do niego dla dania pomocy żonie jego, która mocno zasłała.

Pojechałem. Po pierwszych grzecznościach zaprowadzono mnie do chorej. Była to młoda osoba, trochę może za lat dwadzieścia, bardzo przyjemnej postaci, pięknie ułożona i w obejściu się swoim wiele niewinności panińskiej mająca. Małżeństwo to za wzór cnoty, pokoju, zgody i za przykład w całej okolicy służyło. Mąż, lubo się już od kilku lat pobrali, zdawał się namiętnie żonę swoją ubóstwiać. Słabość jej mocno go przeraziła. Słabość ta zresztą ograniczała się tylko mocnym bólem głowy, który chora, pomimo, że wielce była nabożna, zaziębieniu się w kościele w czasie misji przypisywała. Chciała ten ból przemóc. Nie kładła się. Ale ją to kosztowało wiele. Zdawało mi się widzieć w niej wyraźny wstręt do zasiągnięcia rady lekarskiej. Zapewniała mnie, że mąż jej napróżno się zatrwożył, że daremnie ośmielił się mnie trudzić, że nigdy w życiu nie używała lekarstwa, że się spodziewa i tą razą wyjść obronną ręką. Uważałem w niej wszakże szczególną jakąś lęklivość i żenę. Wargę dolną ciągle była drżąca; słowa przerywane; oczy spuszczone i unikające mojego spojrzenia; uśmiech wymuszony, niepewny, połową tylko ust grający. Cały ogół powierzchownych znaków kazał mi się domyślać, że ją jakieś moralne zdejmuje cier-

pienie i że młoda i niedoświadczona, zanadto wiele penetracji przepisując sztuce lekarskiej, lęka się, ażeby pomimo jej woli lekarz nie odkrył w niej jakiegoś domowego, a głęboko chowanego sekretu.

Że stan jej miał jakiś związek z odbywającą się misją, dowodziło nadzwyczajne przyspieszenie pulsu i dreszcz ogólny, kiedy z nią mówił o jej bytności w kościele. Nie widząc jednak nic gwałtownego, przepisałem lekkie domowe środki i pożegnałem ich oboje z prośbą, żeby mi dano wiedzieć nazajutrz o stanie zdrowia tej damy, i oświadczając wszelką gotowość przybycia, jeśli stan chorej tego wymagać będzie. Nazajutrz odebrałem list z podziękowaniem męża. Żona była zupełnie dobrze i znowu pojechała na misję.

Po dniach czterech czy pięciu na nowo wezwany do niej zostałem. Tą razą zastałem ją w łóżku nieprzytomną. Stan ten trwał od kilku godzin i raptem po powrocie z kościoła zaczął się, gdzie z nabożeństwa trzecią już w ciągu tygodnia odbywała spowiedź. Chora milczała ciągle. Twarz rozpalona, silnym rumieńcem pokryta. Czarne i duże jej oczy, teraz obłąkane, zwracały się z jakimś rodzajem trwogi na otaczające przedmioty, oblewały się mimowolnymi łzami, rzucając z siebie od czasu do czasu jakiś fosforyczny ogień. Z za ust nawpół otwartych, zczerniałych i spiekłych, widzieć można było dwa rzędy perłowych zębów, wielce z temi wargami przykrą czyniące sprzeczność. Ciężkie i częste westchnienia wydobywały się z piersi. Niespokojność rąk i nóg ciągle, złączona z rozkrywaniem się bez pewnego na przystojność względu i odsłaniająca załosnym otacza-

jących oczom najpiękniejsze ciało i zadziwiające doskonałością rysunku kształty. A co było najgorszym, to to, że ręce jej zdawały się czegoś szukać w powietrzu, że zdawały się coś łapać nad sobą i obok siebie. To prędkim ruchem palców zbierała w drobne marszczki i gniotła osłaniające ją pokrycie, to znowu jakiś raptowny szatańsko-szydery uśmiech po jej twarzy przeleciał i do ust ręce jej wabił. Czasem znowu, gdy się do niej przybliżał, groziła mi palcem, marszcząc gniewliwie czoło, a usta okropnym wykrzykiwając uśmiechem... Śmierć tu już stała obok doktora.

Nie tałem niebezpieczeństwa. Mało zostawiłem nadziei. Choroba była gwałtowna. Przyczyna była zakryta przed nami. Z samych tylko symptomatów sądzić można było o środkach potrzebnych dla ciała. Ale jasno widziałem, że tu jeszcze trzeba było jakiegoś lekarstwa dla duszy. Ale jakiego?...

Rozpacz męża, dwuletnie dziecko, mające zostać sierotą, strata drugiego, którem była brzemienna, strata młodej, pięknej zaledwie żyć zaczynającej kobiety — potroiły we mnie żądzę wyratowania na włosie już tylko zawieszzonego życia. Oświadczyłem chęć i potrzebę zostawania ciągle przy chorej, pilnowania jej w dzień i w nocy i poświęcenia zupełnie szczupłych wiadomości moich na jej usługi.

Noc i dzień przebyła chora w jednostajnym beznadziejnej różnicy stanie. W połowie następnej nocy, kiedyśmy ją pilnowali we dwóch tylko z mężem, chora po niezwykłym dotąd uspokojeniu się kilka razy głęboko westchnęła, kilka wydała jęków i z wyrazem namiętnej rozpacz, chociaż ciągle nieprzytomna była, następnym sposobem mówić zaczęła.



„Nie! niema już dla mnie zbawienia!... Zginęłam na wieki... Ojciec mój, czyliż niema już żadnej drogi ratunku?... Jak to? Bóg przez usta twoje cały mój żal, całą skruchę odrzuca?... Nieszczęsna... Sama pojąć nie mogę, jak się znalazłam w tej okropnej przepaści... Ojciec mój, przez wzgląd na nieszczęśliwego męża, na tę dziecię, które noszę w mem łonie, zdejmij ze mnie to piętno przekleństwa, któreś na mnie położył!... nie daj trojgu nam razem na wieki zaginać za błędy jednej nieszczęśliwej, jednej występnej kobiety!... Ale nie! ty mnie odpychasz! ty nie chcesz pojąć całej mojej rozpacz i całej skruchy mojej!... Piekło. Piekło — powiadasz?... Ha, tak, przebrzydły starcze, widzę i czuję ten ogień, czuję, jak mnie pali, jak wszystkie żyły moje przebiega i trawi! Tak! ty jesteś sprawcą tej okropnej męczarni... bo ty mnie wiecznie, na wieki potępiasz! Jabym już jedna cierpieć powinna — ale gdzież wina mojego dziecięcia?... a ty i to dziecię na takie same męki przeznaczasz!... A ty, nieszczęsny księżu Ignacy, tyś mnie w ten odmęt, w tę piekielną, czarną przepaść pogrążył... twoje to ogniste i zdradliwe słowa... twoje zabiegi zgubiły mnie na wieki!... Ciesz się, ciesz! patrz na te krwawe płomienie! patrz na ten ogień, który mnie pożera!... Nie, ty nie ujdiesz tej samej katuszy! widzę, widzę i ciebie Ale nie, Ty, się, choć nad nim ulitujesz, Boże! On już tyle wycierpiał na świecie! Jeżeli zgrzeszył... jeśli tak święte przełamiał śluby, to jego pałace, ogniste na cześć Twoją słowa, iluż zato ludzi do Twojej nawróciły chwały!...“ Umilkła. Zdawało mi się w ten moment słyszeć jęk długi, przeciągły, od okna idący. Mimowolnie zwró-

ciem głowę. Ale znowu zupełna wszędzie nastąpiła cisza. Mąż jakby osłupiał od bezsenności i smutku, żadnej baczniejszej na te słowa nie zdawał się zwracać uwagi. „Skąd się też to biorą podobne brednie i takie dziwaczne myśli?” powiedział tylko, podnosząc się z krzesła.

Ja myślałem znacznie inaczej. Tych kilka słów pomieszanej i u grobu stojącej kobiety dosyć dla mnie było, żeby pojąć przyczyny tak silnej choroby. Wielkie moralne nieszczęście, silna miłość w kobiecie, świętymi obowiązkami i bojaźnią Bożą skrępowanej, miłość do człowieka, również świętymi związanego ślubami, miłość, drażniona nieprzełamaną przeszkodą, gwałtowne obudzenie się religijnych uczuć, uspiionych dotąd światowem życiem i namiętnego kochanka gruchaniem, srogość, nieugięta starego spowiednika, stałe odmawianie wszelkiego słowa duchowej pociechy, stłumienie wszelkiej zbawienia nadziei — wszystko to jasno przede mną stało. Wiedziałem już, jak się spękały ostatnie struny naprężonej wyobraźni, jak się zgmiotły kółka maszyny, utrzymującej porządek materialnego i duchowego życia. Na nieszczęście sztuka nasza żadnego na to nie ma lekarstwa!...

Cały dzień następny znowu milczenie, znowu stan wczorajszemu podobny. Pod wieczór złe wzmagać się zaczęło. Noc do pewnego czasu była jakaś spokojna. Ale około północy znowu bredzenie wczorajszemu podobne, znowu około okna słyszałem westchnienia. Potem wszystko już galopem do złego dążyć się zdawało. Siły opadły. Sprężystość ciała zniknęła. Ręce i nogi lodowate. Oddech głęboki, przerywany, jęczą-

cy. Serce słabo i zrzadka biło! Koniec zdawał się bliski.

Kto sobie wyobrazić potrafi stan duszy mojej przy łóżku tej nieszczęśliwej! Wszystkie starania żadnej nie przyniosły ulgi. Myśl, że może kto inny skuteczniejszą mógłby dać pomoc, że w mojem ręku było jej życie, że przez nieumiejętność i nietrafność zatrzymać go nie byłem w stanie, trawiła mnie ciągle. Bo i mnie samemu nie chciało się wierzyć, żeby tak młode i pełna sił osoba jak świeca zagasnąć miała. Przy politowaniu nad jej stanem stawały mnie także na oczach komeraże, sądy i plotki, jakie się zaraz zaczną na mój rachunek. O, moment taki jest zawsze jednym z najdotkliwszych dla każdego lekarza, czy go ze strony filantropji, czy ze strony egoizmu oceniać zechcemy....

Było już po północy. Księżyc, wysoko zawieszony, jasnym promieniem ziemię oświecał. Noc była piękna. Chora leżała bezwładna. Mąż wzrok swój w nią utopił i bez przerwy śledził najmniejsze jej poruszenia, liczył każdy jej oddech, z którym się życie stopniowo ulatać zdawało. Gorzko płakał, chwiejąc się pomiędzy rozpaczą a nadzieją. Ostrzegłem go, że czekam przesilenia, którego albo nie wytrzyma chora, albo znowu będzie mu wrócona. A on ją kochał, jak życie swoje, — więcej nad życie! nad wszystko!

Zajęty cały wynalezieniem środków orzeźwienia upadających sił, trzymałem ją w tym momencie za rękę. Uroczysta cisza panowała wszędzie. Wtem chora raptem się z łóżka zerwała, podniosła się i przeraźliwym krzykiem wołać zaczęła: „Mężu mój... mężu, żegnam cię!... przebacz... umieram... umieram!”

I w mgnieniu oka straszne konwulsje miotać nią zaczęły. Dreszcz przeszedł mnie po ciele. Siła jej rzutów straszna była; większa daleko, niżby się było można w takim jej stanie spodziewać. Znalazła się w niej nagle jakaś zadziwiająca sprężystość, odsadzająca jej ciało horyzontalnie więcej, niż na całe ćwierć łokcia od pościeli swojej. Ruch był tak prędkim, tak dziwnym, z takim całego ciała wyłamywaniem złączony, że dostrzec go szczegółowo i zliczyć było niepodobieństwem. Ale razem z tem i ciepło wracać zaczęło. Uspokoila się wreszcie nieco. Nadzieja we mnie wstąpiła. Zawołałem do męża: „Wygraliśmy bitwę. Żona pańska żyć będzie!” Przytomność umysłu nie wracała jeszcze. Ale to zwykle tak bywa i o to mało się zwykle troszczy lekarz, rzecz swoją znający. Tymczasem chorej rozwiązały się usta i w manji mówić zaczęła: „Ignacy, czuję i czułam, że jesteś przy mnie! Ale wszystko odtąd napróżno. Wszystko się już między nami skończyło... Bądź zdrow na zawsze! Widzieć już więcej ciebie nie będę... Tak Pan każe... Poświęćmy resztę naszego życia żalowi za błędy, któreśmy się skazili...”

Przypadkiem zwróciłem w tym momencie oczy ku oknu, — a może i nie przypadkiem. Nie bez wzdrygnięcia się postrzegłem jakąś ogromną figurę, twarzą przyklepioną do szyby; skoro mnie dojrzała, raptem się ku ścianie cofnęła. Mąż na ten moment w przeciwną obrócony był stronę.

Będąc już o chorą spokojny, wymknąłem się z pokoju, szybko z domu wybiegłszy, ku owemu miejscu najciszej zwróciłem. Bokiem o ścianę oparty czło-

wiek wielkiego wzrostu stał około krawędzi okna. Głowę tak miał ku jego ramie zbliżoną, jakby się słowom, w pokoju, mówionym, przysłuchiwać pragnął, a tak się tem zajął, że o dwa kroki przed nim już byłem, a jeszcze mnie nie postrzegł. Postrzegłszy nakoniec, szybkimi krokami jął zmykać. Po chwilo-wym namyśle puściłem się za nim. Długa samodzia-łowa siermięga zawadzała mu w biegu. Ja lżejszy byłem. Co sekundę brałem nad nim górę. Jużemy więcej stu kroków ubiegli, kiedy trudnością przebycia stojącej przed nim zagrody w biegu swoim bardziej jeszcze spóźniony, raptem się do mnie odwrócił. Księżyc całą swą tarczą oświecił twarz nieznanomego. Odkryta głowa, włos najeżony czy iskrzący, nos orli, usta rozwarte, zapadłą szczęką, czoło głębokimi ro-wami zorane zażartego jakiegoś zbrojcy dawały mu postać. Na nodze naprzód wysuniętej opierając ku mnie nachylone ciało, błyskał wielkim nożem i groził nim zrazu, a potem głosem, pełnem wściekłości, za-wołał: „Nie zbliżaj się? Kto ty jesteś i czego za mną gonisz?... Odejdź natychmiast, jeśli nie chcesz ot tu, na miejscu zginąć!”

„Szalony człowiecze”, rzekłem: „tobie przystoi mnie pytać! tobie, który się tajemnie, jak zbrodzień, w nóż zaopatrzony, tułasz po nocy! Powiem ci jednak, że jestem lekarz, wezwany dla ratunku pani domu tego. Ty mi teraz odpowiedz, czegoż tu szukał. Bezbożny, poco chcesz zwiększać okropność i tak już nieszczęściem trapionej rodziny. A i bezpieczeństwa własnego nie chcesz narażać. Dom ten pełen ludzi. Jednego zbrojcy tutaj za mało”.

„Prawda! zbrodzień jestem — ale nie zbójca! Powiedz mi, czy masz jaką nadzieję? Czy będzie żyła?”

„Kto?”

„Izabela!”

„Ktoż ty jesteś? Przebóg, miałżeby się tego szaleństwa dopuszczać sam ksiądz Ignacy!”

„Nieszczęście! Więc wie o wszystkim!” zawołał, załamując ręce: „Powiedz, czy będzie żyła? mów, mów natychmiast!”

„Zdaje się, że mogę ręczyć za życie. W ten moment odbyło się przesilenie choroby. Prócz mnie nikt o tem nie wie.”

„Masz szczęście!... Słuchaj, gdybyś jej z tej choroby nie wyrwał, oto ten nóż i w twoich utopiłbym piersiach... Trzecią już noc, jak — przykryty tą siermięgą — śledzę każde jej drgnienie. Ty mnie za to odpowiesz, co się z nią stanie! A biada temu staremu niecnocie, który ją, pokutującą, potępił!”

„Księżo, zastanów się tylko nad samym sobą. Zmysły się twoje zmięszwały i nie wiesz, co czynisz! Grzech ciężki leży na tobie i coraz się wzmacza i rośnie. Ona — już swoją odbyła pokutę. Niepomny stanu i obowiązków swoich, bezbożny grzeszniku, ty występłą swoją miłością zniszczyłeś spokój i szczęście i jej, i całej jej rodziny. Ty ją wtrąciłeś do grobu, ty zatruteś pożycie małżeńskie, którego świętości stróżem być przysięgłeś! Zaślepiiony szatańską mocą zbrodniarzu, ty, tak ciężkich napłodziwszy grzechów, zamiast żalu, pokory i skruchy, jak roz-

bójnik jaki, przychodzisz pod dom ten urągać jego nieszczęściu, grozisz tym nożem, chcesz mścić się nad człowiekiem, który dla miłości bliźniego kilka nocy i dni poświęcił na poprawę tego, coś ty nikczemnym popsował postępkiem! Ty, bezbożniku, przysięgasz mścić się nad starcem, nad świętym, o milion razy lepszym od ciebie kapłanem, który tę biedną kobietę na drogę cnoty chciał naprowadzić!... Księżu, tyś sam nauczał wymownie, że Bóg wszystko widzi. Kroki twoje ważą się na Jego szali! Zamiast wściekłości, która się przed własnem zastawiasz sumieniem, upokorz się, błagaj przebaczenia u Stwórcy, nie zatwardzaj występnego serca! Zastanów się, któżby w tym wściekłym i krwawym, jak ty jesteś, człowieku mógł odgadnąć i poznać posłańca pokoju i zgody!"

Słowa moje wyraźne na nim zrobiły wrażenie. Twarz jego do naturalnych wróciła rysów. „Słuchaj”, rzekł: „oto masz słowo moje. Jak tylko się dowiem, że wszelkie już przeszło dla niej niebezpieczeństwo, opuszczę na zawsze to miejsce, nie zobaczę jej nigdy i nikt się nigdy nie dowie, gdzie się ukryję. Bądź pewnym serca mojego wdzięczności. Przebacz szaleńcowi! Przebacz nieszczęśliwemu! Nie pogardzaj mną... i nie upokarzaj mnie wymówkami twojemi! Dosyć i tak już piekła biednej duszy mojej! Do-  
tąd nas dwoje tylko o tem nieszczęściu serc naszych wiedziało! Ty trzeci jesteś. Pamiętaj, że od zachowania tajemnicy bezpieczeństwo i spokojność twoje zawisły. Z grobu powstanę, żeby się zemścić nad tobą, jeśli nas wydasz z sekretu. Bywaj zdrów. A gdziebyśmy się spotkali w tych stronach z sobą, udawajmy, żeśmy się z sobą nie znali!"

To mówiąc, podał mi rękę — i odszedł.

W parę sekund wróciwszy znowu, upadł mi do nóg i, oblewając je łzami, wołał: „Dobroczyńco mój, zbawco Izabeli, powiedz, że mnie przebaczasz! Oh, ratuj ją tylko, posłańcze Boga!”

Łatwo to wszystko mówić w swobodnych życia chwilach, ale być w takich tarapatach zmęczy każdego, a tem bardziej zaledwie do zdrowia zaczynającego powracać człowieka.

Choroby nerwowe, jak nagle rozwijają się i straszą, tak się prędko i odebrane wracają zdrowie. Chora tak już równo ze dniem miała się dobrze, że, wyraźnie potrzebując spoczynku, zapowiedziałem natychmiast swój powrót do siebie.

Przed odjazdem przy śniadaniu mąż najbardziej dziękował mnie za przyniesienia pomoc. Często, nieborak, mowę do medycyny zwracał, a różnemi podstępniemi drogami i z udaną zupełną obojętnością dowiedzieć się pragnął, czy mówienie od rzeczy w chorobach ma czasem niejaki związek z rzeczywistością. Poznałem, że równo z przejściem niebezpieczeństwa trapić go zaczął wąż wątpliwej zazdrości z powodu tego, co w ustach żony powtórzone słyszał. Udałem, że nie rozumiem niczego, ale czułem, że od tego właśnie momentu całe dalsze szczęście tego małżeństwa było zawisłe... Mąż wstał od stołu zaspokojony zupełnie tak, że się tylko wyłącznie mógł oddać wewnętrznej szczerzej radości.

Już dom ten opuścić miałem, kiedy przysłany pojazd zajechał pod ganek. Pan H....., dawny gene-



rał, pełen dobroci, łagodności i nauki, zasłabł gwałtownie. Żona kazała mnie zakląć na wszystko, żebym natychmiast przyjeżdżał. Poślaniec czekał mnie naprzód w moim domu. Czasu się dużo straciło. Wieziono mnie piorunem; po drodze spotykałem gońca konnego za gońcem dla przyspieszenia mojego przybycia. Wpadam nakoniec do pokoju chorego.

Na poprzek sofy leżał nasz poważny starzec, zdając się w głębokiem śnie pogrążonym. Włos, jak śnieg, biały, długi spadał mu na czoło. Rysy twarzy zupełnie spokojne i żadnego nie wyrażające cierpienia. Usta nieco otwarte. Ręka jedna przyciśnięta do piersi, druga schylona, podtrzymująca nieco osunięte ciało, opierał się na sofie. Przy chorym otwarte leżało pismo. „Śpi sobie staruszek“, pomyślałem sobie. Żał mi było tak słodki sen przerywać. Pozdrawiam go jednak, — nie budzi się! Biorę za rękę, — zimna, jak lód. Niema pulsu!... niema oddechu!... Staruszek już nie żył! Śmierć nagła zaskoczyła go przy czytaniu świeżo odebranego listu. Odkrywam piersi, — cały tułów zsiniały! Serce mu pękło!... List donosił o zesłaniu do min w Nerczyńsku jedyne go syna, który do spisku należał i za jednego z najczynniejszych członków tego stowarzyszenia był uważany!

Tutaj śmierć upредиła doktora!

Tyle trapiących i przerażających okoliczności, na samym początku zawodu mojego spotkanych, przejęło mnie nadzwyczajnym smutkiem. Nie było jeszcze tygodnia, jak H...., dawny domu naszego przyjaciel, pełen zdrowia i czerstwości, cały dzień u rodziców

moich przepędził! Dzisiaj już tylko materjalna jego pozostała forma! Uleciało już życie! Życie, siła niepojęta, niezrównana i lotna!... a żadnej na tym pocziwym starcu, na jego obliczu nie zrobiło zmiany! Myślałem, że spi... Sen doczesny, sen wieczny.. wieczne dla rozumu naszego i dla nas samych, razem z rozumem i sercem wziętych, zagadki!... Czyliżby sen spokojny, śmierć pozorną i śmierć prawdziwą tylko się stopniami od siebie różniły?...

Już gwiazda moja tego widać chciała, żeby się na tem jeszcze klęski moje nie zakończyły!

Już, już — z miłą nadzieją wytchnienia i wypoczęcia po tylu bezsennych nocach, po tylu serca targaniach zbliżałem się do mojego domku, kiedy mnie śród drogi do ingo pojazdu przesiąść się wypadło.

Żona sędziego w W... leżała w ciężkim połoгу. W pół godziny byłem na miejscu. A miało się dobrze ku wieczorowi. Wysiadającego doktora nikt nie spotkał. Wchodzę. Pierwszy pokój zupełnie ciemny. Przeze drzwi w trzecim mocne widać światło. Pełen gorącej chęci przyniesienia rychłej pomocy, śpieszę za tym przewodnikiem... Na środku niewielkiej izby stały odkryte mary i na nich strojnie w ślubną białą atłasową suknię przybrana — młoda niewiasta. W skrzyżowanych na piersiach dłoniach trzymała jakiś święty obrazek. Sześć ogromnych świec w ogromnych kościelnych lichtarzach otaczało te zwłoki! Dziś jeszcze pamiętam te białe, w różne marszczki zebrane około mar garniowanie. Ostatnie cacka grobu — ostatni róż śmierci!

Stamtąd o parę kroków stała kolebka! Staryszka służąca pilnowała nowonarodzone dziecko. Jakże to blisko od siebie!...

Śmierć i poczynające się życie! I matka jeszcze, konając, kazała dać imię temu dziecieniu — Wiktorja! Zwycięstwo — czego? Zwycięstwo — nad czym? kto tutaj kogo zwyciężył?...

Przy osobnym dwiema mniejszemi świecami oświetconego stolika z wyrazem pełnym namaszczeniu, pobożności i skruchy w długiej czarnej sutanie, białej komży i żałobnej stule głosem donośnym i silnym ksiądz czytał psalmy pokutne i od czasu do czasu kropił ciało święconą wodą, żadnej na mnie nie zwracając uwagi. Był to proboszcz w W...., był to za świętego powszechnie miany nasz ksiądz Ignacy.

Nauczyła mnie stara służąca, co była jeszcze niańką nieboszczki, że tutaj mąż był zabójcą swej żony. Straciwszy cały majątek na karty, fraszki, chciał sobie jej posąg zapewnić, którego ta nieszczęśliwa żona, pomnąc na mające przyjść na świat pierworodne dziecko, oddać nie chciała. Chciwość męża truła spokojność żony w ciągu brzemienności. A w czasie położu ustawiczne, natrętne, brutalskie obejście się i ciągle do zrobienia zapisów zmuszanie sprawiło, że w momencie przyjścia na świat dzieciątka żona żyć przestała. Mąż w rozpaczy — że się plan jego nie udał, — wyjechał z domu natychmiast, kazawszy, jak najprędzej pochować żonę. Ja trafiłem na moment, kiedy święcie wypełniano jego rozkazy....

Dla mnie tego wszystkiego było zanadto! Tyle w ciągu kilkudziesięciu godzin okropnych widoków, tyle dojrzanych skutków słabości, niecnoty, zdrady, źle położonej ufności, rozpaczy, chciwości, tyle podłości i fałszów — nie mogły na mnie wielkiego nie wyręć wrażenia i przeciw całemu światu oburzyły mą duszę. Przekląłem i stan mój i ludzi. Przeczułem, że odtąd, wchodząc z musu w domowe sekrety, stając się powiernikiem, świadkiem tak silnie wybujałego pierwiastka złego pomiędzy nami, — z trudnością już tylko znajdę dobrą stronę ludzkości! Że wszędzie już mnie podobne, choć na różne skale, spotkają brudy. Że gorzka prawda zniszczy złudzenie, które dotychczas kołysały mą duszę, że zniszczy ideał cnoty, którą tak gorąco, tak silnie w ludziach wielbiłem, w którą z taką pociechą serca wierzyłem!...

Od tego zacząłem, żeby natychmiast opuścić te piekielne miejsce, które pomimo wdzięków przyrodzenia pierwsze poznać mi dało, czem są ludzie i czem ich towarzyskie stosunki, które mnie nauczyło pierwsze, jak są mylne pozory, jak obłudne serca, jak nieubłagane potężnych ludzi wyroki, jak fałszywe sądy nasze o wszystkim.

Uprosiłem rodziców moich, żeby mnie stamtąd wywieźli. W kilka dni byślimy do drogi gotowi. Pozostała mnie ostatnia pożegnalna wizyta u mojej pacjentki. Znalazłem ją tyle już silną, że się przechadzać mogła. Kiedyśmy zostali sami, po pewnych wdzięczności oświadczeniach rzekła mi ta kobieta ze łzami: „Staraniom pana winna jestem życie! Masz jednak, bo dobrze wszystko pamiętam, prawo myśleć,

zem go nie warta. Ja i sama mam takie przekonanie — i Bóg to widzi. Wiesz o wszystkim. Ufam szlachetności młodego człowieka, że to wszystko, co wiesz, wieczną niepamięcią pokryjesz. Nie śmiałybym wszakże panu o tem wspominać, gdyby cudowne wyleczenie się moje tej razem dla mnie dobroczynnej nie przyniosło ulgi, że stan serca mojego, jak to dobrze czuję, zupełnie się zmienił. Razem z chorobą zgasły i występne namiętności! Z radością widzę, że osoba, dla której na chwilę o najświętszych zapomniała obowiązkach, dzisiaj zupełnie obojętną się stała dla mnie. To, co dla niej czułam, jest już teraz, jak punkt odległy i ciemny, który się dlatego tylko wyrzył w mojej pamięci, żebym resztą życia mojego błędy moje okupić i odpokutować mogła. Do pociech gorzkiego odtąd pasma dni moich należałoby bezwątpienia to przekonanie, że człowiek, co mnie wydarł z rąk śmierci, ze wzgardą o mnie wspominać nie będzie”.

Twarz jej i ton głosu miały cechę prawdy. Uwierzyłem temu wszystkiemu tem łatwiej, zem wiedział, jak gwałtowne nerwowe choroby, burzące cały porządek organizacji, najczęściej podobny na silne namiętności wywierają skutek.

W parę dni byłem już w drodze. Zatrzymawszy się na chwilę w W...., znaleźliśmy całe miasteczko w zamieszaniu i trwodze z powodu nagłego i niespodziewanego zniknięcia miejscowego proboszcza. Szukano go wszędzie napróżno. Zostawione sprzęty, papiery, nawet jakaś ilość pieniędzy w proboszcza szafkach i składach, jego namiętne postęпки kazały mi się domyślać, że skończył odjęciem sobie życia.

Myliłem się! Los gotował nam obudwom jedno jeszcze straszne po wielu latach spotkanie!...

---

„Hrabina T...“, zawołał lokaj — i weszła na wszystkich nas szczęście, dama, na którą właśnie z partją wista czekano“.

*Pisałem to w 1831 roku w Petersburgu.*

*Przepisałem ze starego żółkłego i zdartego bruljonu w 1850 r. 15 marca w Ustroniu i zdaje mi się teraz, że źle zrobiłem. Trzeba było spalić...*

---

*ANEKSY.*





## *I. Józef Sękowski.*

a) ...Kiedyś, kiedyś w połowie drugiej ćwierci bieżącego wieku, kiedy nikt jeszcze o nim nie słyszał, Kraszewski znudzony litewską groblą wileńską cenzury, która z pedantów zwykle była złożona i nietylko rzeczy prawem wzbronionych, ale i takich, co się jej samej niewartemi druku zdawały, przez sito swoje przepuszczać nie chciała, kiedyś, mówię, Kraszewski wysłał pierwszą bodaj ze swoich powieści do Petersburga. Przy niej był list do nieznanego mu podobno znakomitego urzędnika, a przyjaciela mojego z prośbą o wyrobienie dla tego utworu prawnego obrzezania stołecznej cenzury. Byłem raz u tej osoby właśnie, kiedy mnie swój z tego powodu odpowiadała ambaras. Cenzorem ksiąg polskich był wtedy Józef Sękowski, ciągle ze wszystkimi Polakami oprócz mnie jednego zadarty. Jakże się udać z tem do niego! Chciano więc nazad Kraszewskiemu rękopism jego odesłać. Zważając, że może to być zarodek przyszłej krajowej sławy, że dobrochętnych i ochoczych początków tłumić nie trzeba, dostrzegłszy nadto w tej niedojrzalej robótce na kilku przebieżonych tu i owdzie stronicach błyskawice wielkich zdolności i niemałego talentu, nie chcąc ich zrażać trudnościami, jakie młodym ludziom na początku ich piśmiennego za-

wodu zawsze zachodzą drogę, zawiozłem sam ten rękopism do Sękowskiego, zaklinając go, żeby przez wzgląd na mnie pozwolenie druku podpisał.

W kilka dni potem Sękowski, surowy sędzia, osądził, że powieść ta funta kłaków nie warta, ale że dla miłości mojej podpisze cenzurę, bylebym ja znowu z mojej strony na jeden jego zgodził się warunek. To jest na to, żeby nie w tekście poprawić, ale żeby on sam na okładce mógł własną ręką napisać lekcję i ostrzeżenie, że nazwiska win reńskich i innych są niemiłosiernie pokaleczone w tej powieści przez nieznamość geografji i przez nieznamość zupełną świata w autorze książki. Cóż było robić z upartym dziwakiem? Zgodziłem się tedy na to żądanie cenzora. I wszystko zaraz najlepiej poszło...

*(„Pół słowa o I. J. Kraszewskim i innych”).*

b) Józef Sękowski, sławny nasz orientalista, lingwista, uczony, literat, wdawszy się w tłumaczenie sag skandynawskich, nieraz krytykował ze zwykłym sobie nadzwyczaj bolącym dowcipem prace tych, którzy się temuż samemu zawodowi oddali. Pomiędzy takimi był autor, mieszkający w Moskwie, który pod artykułami swojemi podpisywał się czy zmyślonem, czy prawdziwem nazwiskiem — Russow.

Ten tedy Russow, rozdrażniony ciągłemi drwinami Sękowskiego, odcinał mu się, nieborak, jak mógł, ale drasnąć Sękowskiego czemsiś istotnie ja-dowicie dowcipnem nie mógł. Aż raz w jednej ze swoich krytyk Sękowski tego za broń użył, że kto się wdaje w badania tego rodzaju starożytnej lite-

ratury, powinien koniecznie znać wiele języków. I wyliczył je prawie wszystkie, jakie były na świecie. Bo sam był polyglotą. Russow odpowiedź swoją na to tak zakończył: „Co zaś do potrzeby koniecznej znajomości wielu języków, której krytyk, nie wiedząc, czy je posiadam, ode mnie wymaga, powiem mu to, co pewien Turek Grekowi, chwalcemu się przed nim, że zna wiele języków, powiedział: „Ty posiadasz siedem języków i każdym z nich mówisz tylko nieprawdę”. Sękowski do krwi usta sobie przygryzł.

(„*Plotki. Czterdzieści i oko*“.)

## II. Aleksander Orłowski.

...Niedawno, w rok przynajmniej po napisaniu wspomnień moich o Orłowskim wpadła mi w ręce rzecz Smokowskiego, którą w „Niezapominajkach” Korwella o tym sławnym malarzu napisał. O mój Boże! On Orłowskiego widzi tylko przez jakieś czy cudze, czy własne pryzma, widzi go tylko ze strony pieniędzy i daje mu jakąś panującą nad wszystkim chciwość, której człowiek ten nigdy w życiu ani domyślać się nawet nie umiał. On go brudzi jakimiś cudzemi wadami. Któż winien, że może i swojemi złotemi oczyma na tego niepospolitego człowieka patrzył? A jednak to zdanie w książce zostanie i nadal! I znajdują się ludzie, co temu chcąc — nie chcąc zawierzą! Orłowski chciwy! A ten o kuciu grosza nigdy nie pomyślał. To taka wielka choć może najniewinniej wpleciona potwarz. Jakże było nie pojąć człowieka, co wszystkie swoje roboty, znając ich ówczesny walor, wszyst-

kim darmo zawsze rozdawał. A kiedy coś z tego chciano u niego kupić, bajeczne w rzeczy samej na to nakładał ceny. I toby miało chciwość oznaczać? Nie, to był tylko kaprys znania się na sobie, na swojej godności, na swoim nieporównanym talencie. Tenże Smokowski powiada w treści, że Orłowski natrząsał się i w karykaturę obracał dawnych Polaków, że był dla nich ze wstrętem zewnętrznym. O ślepoto! o ciężki grzechu naprzeciw (!) wielkiego człowieka! O występku czy serca, czy głowy! To tedy Orłowski z duszy całej nie kochał kontusza? A któż po nim będzie go już kochał na świecie?

(„Pół słowa o I. J. Kraszewskim i innych“.)

### III. Głupie i błazeńskie notatki, pisane w Petersburgu. w 1830 r.

„Apryl 7. Byłem wczoraj na wieczorze u A..... Plotły mi tam kobiety, że się P. żeni z Celiną. Życzę wszelkich sukcesów... Dziewczyna ładna, a po ostrzyżeniu głowy w czepeczku jak bóstwo czasem wygląda. Ma ona kilka cnót męskich, żadnej niewieściej — to nie dobrze. Z tem wszystkim każdy mąż może być z nią kontent i szczęśliwy... G... zawsze chce nam *donner le change*, umizga się do plastrona, ażebyśmy prawdziwych jego nie poznali afektów. Ja też nic nie widzę i zwiedzonego udaję.

20. Już tedy projekt małżeństwa P. z C. ułożony.

Oświadczył się nakoniec, odpowiedziano proście *à bras ouverts*, a potem dopiero zastanowiono się, czy będzie to dobrze? kobiety w ogólności coś mają nakształt polskiej natury i pierwiej zrobią a potem

dopiero myślą. Rzeczą tę opowiadano mi pod wielkim sekretem, o którym już wszyscy doskonale wiedzą. *Aurai-je ma parts* w tem lubiącem serduszką na rachunek dawnej przyjaźni i pamięci, żem się kiedyś nieco podobał? Nie wiem...

3-go Maja. Wyszedł prospekt na pismo satyryczno-humoryczne pod tytułem „Bałamut”. Redaktorem jego ma być Rogalski. Proponuje mnie, żebym do tego należał. Nie zgodziłem się. Nie wiem, jaką twarz będzie miała ta nowa córka polskiego dowcipu, gnieźdzącego się w tutejszej stolicy. Prócz tego spodziewam się, że to dziecię będzie krótko żyło. Nie łatwo być zawsze a osobliwie perjodycznie w sobotę dowcipnym. Dodajmy cenzurę i zapewne nieraz *ekshalowane* osobiste niesmaki, które się tam wcisną. Połowy tego dosyć, aby to pismo albo samo z siebie, albo z woli rządu wychodzić przestało. Właśnie w tej chwili, kiedym te niezgrabne robił sobie uwagi i myślał o wielu komerażach, stąd wyniknąć mogących, wszedł do mnie przysły redaktor i wśród rozmaitych innych nowin dał mi i tę, że się Glaubicz na mnie za artykuł w „Bałamucie” mający być umieszczony, a który jego miłostki z panią C... maluje, serdecznie rogniewał. Nigdy tego nawet nie miał myśli, pisząc o nim i o kobiecie, która mnie w domu swoim ludzko przyjmuje i której córkom winien jestem kilka przyjemnych platonicznych momentów. Wyperswadowałem przecie Glaubiczowi myśl jego. Zgodził się ze mną i przeprosił, że mię o tak płaski artykuł mógł posądzić. Ale oto jest pewny przykład nieporozumień i podejrzeń z podobnego rodzaju pisma wyplýwa-

jących. Co to będzie potem, kiedy przed urodzeniem się „Bałamuta” tyle już korowodów...

8 maja. Dzisiaj niby to moje imieniny. Spodziewałem się, że z tego powodu debitorowie moi wrócą mi na wiązanie co winni. W deszcz największy jeździłem, przemokłem i dostałem... chucha.

Dziwna rzecz S . . . . a chce *à toute force renouer* przyjaźń, na wieki zerwaną. Przysłała mi bilet z powinszowaniem *avec sa soeur et ses filles*. Wdzięczność moją na zbliżające się ich imieniny podobnąż posyłką oświadczę.

*Elles judaissent*. Zawsze krew palestyńska w tych ludziach wstaje. W oczach mnie łaszczę a wszędzie, gdzie bywam, rozgadała, że się na nią za prośbę leczenia służącej rozgniewałem. Ja, co im wszystkie baby, kucharki, słowem wszelkie ich i cudze graty na każde zawołanie *gratis* leczyłem i służącą, o której mowa, także wyleczyłem, miałbym się o to gniewać?

12 maja. Znalazłem dzisiaj, późno przybywszy na wieczór do A....., panią S. z córkami; z matką mało mówiłem i to chyba, kiedy do mnie dama podeszła. Córki mnie zaraz obsiadły. Chciały koniecznie, abym coś o projektowanym małżeństwie powiedział. Ale na złość dziewczynom nic nie mówiłem. Nie wytrzymały podług zwyczaju kobiet i same mnie o tem obszernie doniosły. Tak tedy oficjalnie uwiadomiony zostałem z narzeczoną u bo-ku, gdzie jej kilka nauk o przyszłym jej stanie i rozmaitych sposobach oszukania męża w krótkości wyłożyłem *pour lui former l'esprit et le coeur*, jak mówią. Prosiła mnie, abym ją po ślubie, jako już samowładną

panią odwiedzał. Przynależem, byleby mnie tylko mąż za tę grzeczność ze schodów nie zrzucił. Pani S. doniosła mi, że jej syn i siostra Kazimiera tu przyjeżdżają. Jest to ta sama, którą mnie różnemi sposobami swatano za czasów dobrego naszego porozumienia, czegom ja nigdy nie chciał się domyślać, żeby nie upokarzać swatających, z którymi nigdy kuzynowstwa mieć nie życzyłem, chyba wówczas jak Rotschild, kupiwszy Ziemię Świętą, ich do Jerozalem na ministrów przywoła. S., jakem to jej nieraz mówił, mogłaby być ministrem policji. Słuch, wzrok i przytomność tudzież możność zajmowania się innemi rzeczami i rozmową przy doskonałem słyszeniu, co się w drugim pokoju z córkami szepce daje jej niepospolite do tego prawo...

#### *IV. Pamiętniki Stanisława Augusta.*

...Przeznaczenie nie objedziesz koniem! Tak się i z temi pamiętnikami stało. Jedna sekunda, — i światby je od lat dwudziestu znał już co do słowa! Śnać jeszcze pora na nie była nie przysła! A jak to było? Oto tak. Wielki książę Konstanty po wstąpieniu na tron dziś nam panującego monarchy żądał od niego, żeby mu pozwolił przepisać dla własnego sekretnego zbioru pamiętniki babki swojej i razem pamiętniki króla Stanisława Augusta, zabrane w Petersburgu z innymi papierami po jego śmierci i obok siebie przez jakiś wzgląd osobliwszy chowane. Długo się cesarz Mikołaj od tego wymawiał. Ale zgodzić się nakoniec dla spokoju świętego musiał i wysyłany od czasu do czasu feldjeger

przywoził do Warszawy bratu jego po jednym tomie z owego zbioru.

Był przy w. ks. Konstantym sekretarzem poufnym Polak, niejaki Michał Zadarnowski, który potem tajnym radcą, a bodaj czy nie senatorem, ze służby publicznej wyszedł, nie wypracowując już sobie od daty śmierci Wielkiego Księcia, ale wychorowując w Sekretarjacie Stanu Królestwa Polskiego i pensję i gwiazdy i rangi. Tem go leczono! Owóż temu Zadarnowskiemu, którego okoliczności ze mną niezależnie od chęci mojej zbliżyły i który mnie o tem wszystkim sam wielokrotnie mówił, Wielki Książę, kazawszy mu wprzód przysiąc przed sobą, że nigdy tego, co tam wyczyta, przed nikim nie wyda, wszystko to przepisać polecił. Męczył się nad tem mój Zadarnowski w gabinecie samego W. Księcia przez całe ośm miesięcy i po skończonej pracy, mówiąc nawiasem, tylko sto dukatów za trudy swoje dostał nagrody. Rękopisy te, sekretnie pod okiem Księcia opravione, złożone zostały w umyślnie na to sporządzonej maleńkiej szafie i w Belwederze w gabinecie Księcia chowały się ciągle.

Wśród buntu (!) w Warszawie w 1830 roku, kiedy czyhające na wolność Wielkiego Księcia tłumy (!) wdarły się do jego belwederskich pokojów i kiedy nienawidzony Lubowidzki, pchnięty wielokrotnie bagnetem, siedemnastu ranami krew sącząc, zaledwie uspiął (!) zatrzasnąć drzwi za uciekającym tak, jak stał, Księciem, wszystkie papiery, cały gabinet jego i wszystko, co tylko w Belwederze było,



przez dwa dni z górą zostawało w ręku powstańców i triumfującego rządu.

Nikt, taka, widać, była wola losu, przestrzając jak najskrzętniej wszystkie papiery, z pośpiechu nie zwrócił uwagi na ową maleńką szafkę. I kiedy ruchomość Księcia, stojącego na czele rosyjskich do odwrotu gotowych pułków, z Warszawy jemu wydano, oddano mu razem i ową szafkę niekniętą z wielką jego radością, gdyż o nią właśnie, jak potem nieraz wyznawał, najwięcej troszczył.

Była tedy, jak widzicie, chwila, kiedy te ciekawe historyczne skarby mogły być i dzisiejszemu pokoleniu wiadome. Na czele ludu stanął podówczas historyk Lelewel — a taka historia wymknęła mu się z pod ręki!...

*(„Z każdej chatki po chłopku.  
Od Meracza do Kowna“)*

---



## ***PRZYPISY***



**Do str. 8.** Zebrane w niniejszym tomie utwory dra Stanisława Morawskiego zaczerpnięte są z rękopisów jego, znajdujących się w Bibl. Ord. Krasieńskich w Warszawie, a oznaczonych Nr. Nr. 1, 2, 6, 9, 14, 17, 18, 20 w spisie naszym, podanym we „Wstępie” do „Kilku lat młodości mojej w Wilnie. 1818—1825” tegoż autora (Warszawa 1924). Wspomnienia o Puszkynie, Sękowskim, Orłowskim i Żelwietrze podano *in extenso*. We wspomnieniu o Oleszkiewiczzu opuszczono wywody autora o malarstwie wogóle, we wspomnieniu o Szymanowskiej analogiczne ustępy o muzyce wogóle. Nowelki p. t. „Zemsta doktora” i „Pierwsze półrocze lekarskiego życia” przystosowano do druku, opuściwszy ustępy mniej interesującą a nużące czytelnika, i zniesiono podział na rozdziały. W „Głupich i błazeńskich notatkach” opuszczono ustępy, dotyczące osób niehistorycznych, a traktujące sprawy zbyt osobiste i zupełnie bez wszelkich obsłonek.

Wydawcy uważają za swój miły obowiązek złożyć na tem miejscu podziękowanie wszystkim tym, którzy przyczynili się do wydania tego tomu, w szczególności zaś Zarządowi Bibl. Ord. Krasieńskich w Warszawie za udostępnienie rękopisów, a Dyrekcji Muzeum Narodowego w Warszawie oraz pp. sędziemu Feliksowi Czerwiakowskiemu, dyrektorowi dr. Władysławowi Kłyszewskiemu, Dominikowi Witke-Jeżewskiemu w Warszawie i p. Zygmuntowi Morawskiemu w Ustroniu za użyczenie materiału ilustracyjnego. Wreszcie Wydawnictwo Polskie w Poznaniu w osobie p. dyr. Rudolfa Wegnera zechce przyjąć najgorętsze wyrazy podziękii za nieszczerdzenie kosztów na wydanie tego zbioru.

**Do str. 7.** Wańkowicz Walenty, syn Melchjora, właściciela Kałużyc w pow. ihumeńskim, gub. mińskiej, i Goreckiej, siostrzeniec tedy Antoniego Goreckiego. Ur. 1799 r. w majątku ojca. W 1811 r. oddany do szkół jezuickich w Połocku, gdzie zaczął się kształcić w malarstwie i wykonywał wcale udatne minjatury. W 16 roku życia udał się na Uniw. Wil., gdzie słuchał wykładów fiz.-mat wydziału i kształcił się w malarstwie u Rustema. Ku końcowi studjów uzyskał nagrodę za obraz „Filoktet z Neoptolemem na wyspie Lemnos”. W 1826 r. wysłany przez Uniw. Wil. do Akad. Szt. Pięknych w Petersburgu, gdzie wyróżniał się swym talentem i zdobył dwa srebrne i jeden złoty medale. W 1830 r. osiadł w majątku rodzinnym, oddając się malarstwu i lekturze mistyków. W 1841 r. wyjechał zagranicę, cały rok bawił w Dreźnie, w 1842 r. wyjechał do Paryża, gdzie zmarł w tymże roku. Por.: W. Smokowski w Atheneum, Wilno 1845, V, zesz. 6, str. 120—171 i w Albumie Warszawskim, Warszawa 1845, str. 156.; Mikołaj Malinowski: Dziennik. Wilno 1914, pass. Charakterystyka jego, podana przez dr. Morawskiego, zgadza się z innymi źródłami; por. Ed. Tom. Massalski: Z pamiętnika, w H. Mościckiego — Z filareckiego świata, Warszawa 1924, str. 273.

Smokowski Wincenty, ur. koło 1797 r., uczył się naprzód u Rustema w Un. Wil., następnie w ciągu 4 lat w Petersburgu (1826—1830). Później był pomocnikiem prof. malarstwa w Wilnie. Zniechęcony do malarstwa jako zawodu, skończył medycynę i, uzyskawszy stopień lekarza I. kl., zamieszkał na wsi u Adolfa i Stanisława Kublickich, z których siostrą Emilją ożenił się. Długi czas potem od r. 1840 był lekarzem miejskim w Warszawie. Umarł 19 lut. 1876 w Malegianach (wedł innych w Krykianach), majątku brata żony w wieku lat 78. Wybitny malarz, rysownik, drzeworytnik, ogłosił szereg wspomnień i artykułów z dziedziny sztuki. M. inn: „Jan Rustem” — Wizer. i roztrząsanie nauk., Wilno 1838, str. 91 — 137; „Walenty Wańkowicz” — Atheneum V, Wilno 1845, zesz. 6, str. 121 — 170; Album Warszawski, 1845, str. 156; „Aleksander Orłowski” — Noworocznik „Niezapominajki”, Warszawa 1847, str. 97 — 135; „F. Smuglewicz” — Atheneum, Wilno 1847, zesz. 1, str. 179—186.

Dawe Georges (1781—1829), malarz i rytownik angielski, syn Filipa a brat Henryka, obu rytowników, malarzy. Słynny portrecista, powołany w 1819 r. przez Aleksandra I. do Petersburga, oprócz wielu portretów prywatnych w ciągu 10 lat wykonał tam koło 400 portretów generałów oraz innych wojskowych, którzy brali udział w wojnach przeciw Napoleonowi. Te portrety zdobiły jedną z galerij Zimowego Pałacu. Obecnie zniszczone podczas rewolucji 1917 r.

**Do str. 10.** Chomiński Stanisław, syn Tadeusza i Teresy z Oskierków, urodził się 1804 r. W 1824 r. skończył studja w Uniw. Wil., następnie służył w wojsku rosyjskim i studjował w Akad. Sztabu Gen. Brał udział w wojnie tureckiej 1827 — 28 r. W 1845 r. w randze pułkownika wystąpił z wojska i osiadł w własnym majątku, Olszewie. Trzykrotny marszałek pow. święciańskiego. W latach 1857—61 w randze generała był gubernatorem w Kownie. Następnie przez lat 17 gubernatorem w Wołogdzie. Um. w 1886 r. Człowiek wysokiej wartości, prawy, ogólnie szanowany i lubiany. Zdolny administrator. Pozostawił po sobie pamiętniki, w wyjątkach drukowane w „Kwartalniku Litewskim”, Wilno 1911 zesz. VI. Por. Puzynina, „Moja Pamięć” (rękopis); Kłosa, Warszawa 1886, t. XLIII. Nr. 1108; J. Gieysztor „Pamiętniki”, Wilno 1913, I. 69 sq.

Autor pamiętnika prawdopodobnie stale stykał się z Mickiewiczem podczas ostatniego jego pobytu nad Newą. Leczył go. W archiwum rodzin. w Ustroniu dochował się list bez daty Fr. Malewskiego do niego: „Odwiedź nas, Stanisławie, dziś jeszcze przed ósmą. Ja do tej godziny zatrzymam Adama, który mi nie zdaje się być tak zdrów, jak potrzeba”. Bywał też u Zaleskich, por.: list Zaleskiej z d. 6 maja 1829 r. (arch. rodzinne w Ustroniu): „Wiedząc dobrze o tem, że Pan nie lubisz, gdy kto go inwituje na obiad, dlatego z wielką nieśmiałością odważam się prosić Pana na jutrzejszy dzień, który chciałabym z przyjaciółmi kilka godzin przepędzić i z naszym wyjeżdżającym panem Mickiewiczem”....

Bliskie stosunki trwały widocznie i później, skoro bawiąc w Paryżu w 1833 r., mógł wyswatać za Mickiewicza Celinę Szymanowską. Był też stale informowany przez Kazimierę

Wołowską: por.: list jej (z 1853 r.) w arch. rodz. w Ustroniu: „Wracając od Adama, czy wiadomo Panu, że został świeżo mianowany bibliotekarzem Arsenалу i tam od kwietnia mieszka ją. Ma on pensji 2000 fr. Pisała mi Celina, że oddali dwóch młodszych synów na pensje z opłatą 1300 fr. Dosyła im się, ile można, bo tam chudo i kuso”.

Wiaziemskij książę Piotr, syn Andrzeja, (1792-1878) poeta i krytyk rosyjski wybitnych zdolności i wysokiej wartości człowiek, jeden z moskiewskich przyjaciół Mickiewicza. Bawił w Warszawie za czasów Król. Polskiego. Między jego poezjami jeden wiersz poświęcony jest „Pamięci malarza Orłowskiego” (1838).

Dellwig bar. Antoni, syn Antoniego, (1798—1831), przyjaciel i towarzysz szkolny Puszkina, poeta i wydawca szeregu noworoczników literackich, w latach 1825—1830 na swoich wieczorach literackich skupiał grono najwybitniejszych literatów rosyjskich.

Polewoj Mikołaj, syn Aleksego, (1796—1846), w latach 1825—1834 redaktor wybitnego pisma rosyjskiego „Moskowskij Telegraf”, w którym umieszczał przekłady poezji Mickiewicza, krytyk, powieściopisarz, wielki czciciel poezji romantycznej i Puszkina. Pozostawił inter. „Zapiski”, wydł Petersburg, 1888.

Muchanow Paweł, syn Aleksandra, (1798—1871), znany rosyjski zbieracz i wydawca źródeł historycznych, m. inn. o stosunkach pol. ros. w epoce samozwańców, wydał też w jęz. ros. pamiętnik Żółkiewskiego o wojnie moskiewskiej (Moskwa, 1835).

**Do str. 11.** Annibal właściwie Hannibal Abram syn Piotra (1696—1781), murzyn, ofiarowany w dzieciństwie Piotrowi Wielkiemu, ochrzczony przez tegoż i wychowany. Kształcił się w szkole inż. we Francji, służył w armji francuskiej i brał udział w wojnie hiszpańskiej. Po powrocie do Rosji wstąpił do pułku preobrażeńskiego jako inż. porucznik. Po śmierci Piotra zesłany na Syberję. Za Eizbiety powrócony do wojska szybko awansował. W 1762 dymisjonowany w randze generała en chef. Wnuczka jego, córka syna Józefa, była matką Puszkina; stąd wybitne cechy murzyńskie w jego



rysach. Na tle wspomnień rodzinnych o pradziadku murzynie osnuł Puszkina niedokończoną powieść p. t. „Arap Pietra Wielkiego”.

**Do str. 13.** Bułharyn Tadeusz, rosyjski autor i dziennikarz, Polak z pochodzenia, wydawca pism „Siewiernyj Archiw”, „Syn Otieczestwa”, „Siewiernaja Pczela”. Figura marna, ale pióro zdolne. Autor niegdyś bardzo poczytnych romansów. „Iwan Wyżygin” i „Piotr Iwanowicz Wyżygin”, oraz inter. pamiętników, wyd. w Petersburgu 1849 r.

**Do str. 21.** sg. Józef Sękowski; obszerna literatura cytow. w H. Mościckiego „Pod znakiem Orła i Pogoni”, Lwów 1923 str. 237—238.

**Do str. 24.** Konarski Michał, syn Jana i Anny, urodził się w Słonimie w 1784 r. Początkowe nauki pobierał w Żurowicach u bazylianów. Potem studjował w Un. Wil. i w 1808 r. otrzymał stopień kand. filozofji. W tych czasach oddawał się pracy literackiej, tłumacząc i przerabiając komedje i dramaty dla teatru wileńskiego. W 1809 r. wydał przekład „Nowego Belizara” pani de Genlis (Wilno, Józef Zawadzki, tomów 2. Druga edycja 1818). W latach 1808—1812 był nauczycielem u Obuchowiczów w Siennej (pow. nowogródzki). Potem uczył u Swiejkowskich na Ukrainie, wreszcie kierował wykształceniem najmłodszego syna Szczęsnego Potockiego i Zofji Greczynki — Bolesława. W latach 1822—24 odbywał z nim pogróż zagraniczną, w 1824 r. zamieszkał w Petersburgu, w 1830 r. współpracował w piśmie humor. „Bałamut” w latach 1829—1831 jęździł zagranicę, w 1834 osiadł na Podolu, gdzie gospodarował u siebie w Wyszkówce i na wielkich dzierżawach, zaprowadzając hodowlę buraków cukrowych i przemysł cukrowniczy. Ostatnie lat kilkanaście swego życia mieszkał w Odesie, prowadząc handel zbożem. Umarł tu 14 kwietnia 1861. Duży swój majątek pod wpływem dra Karola Kaczkowskiego zapisał na cele użyteczności publicznej. Dwa domy w Odesie, wartości 400 tysięcy złp. zapisał Tow. Kredyt. Ziemskiemu w Król. Polskiem na założenie szkoły w Warszawie, 25 tysięcy złp na szkoły w Odesie przy kościołach katolickim, ewangelickim i kalwińskim; 33.333 złp na stypendja dla młodzieży w Krakowie itd. Cenne książki i rękopisy, wśród których

autograf „Sofjówki” Trembeckiego, przekazał Tow. Nauk w Krakowie (ob. Polska Akad. Umiej.) Por.: Nekrolog pióra K. Wł. Wójcickiego w Tygodn. Ilustrowan. VI. 1862, Nr. 151, str. 61.; Sprawozdanie wykonawców testamentu w Bibl. Warsz. 1862 zesz. lipcowy; August Iwański „Pamiętnik” (rękopis). Dwa listy Konarskiego o Trembeckim znajdują się w „Dzienniku Wileńskim” 1815 r. zesz. 2.

*Rafflesia*, roślina z rodz. Rafflesiaceae, pasorzytuja na korzeniach drzew w gorących i wilgotnych lasach Sumatry i Jawy. Wszystkie jej narządy wegetatywne są uwstecznione do cieniutkich nitek, przenikających, jak grzybnia, korzenie żywiciela. Natomiast kwiat dochodzi do olbrzymich rozmiarów, 60—70 cm. średnicy, i waży do 5 kg.

*Victoria regia*, roślina wodna z rodziny *Nymphaeaceae*, rozpowszechniona na Amazonce i jej dopływach. Wyróżnia się olbrzymimi liśćmi, dochodzącymi do 2 m. średnicy, i wspaniałymi kwiatami o 40 cm. średnicy. Owoce jej są wielkości głowy dziecka.

**Do str. 26.** *Bogusławska* występowała koło 1811 roku w operze w Wilnie (np. w roli *Aspazji* w op. *Axur*). Później wyszła za mąż za jakiegoś *Kulisiewicza*. Por. K. Skibiński „Pamiętnik aktora”, Warszawa 1912, 55.

**Do str. 29.** *Arendt Mikołaj*, syn *Teodora*, (1756—1859), znakomity chirurg ros., słynny z dokładnych, starannych i niezwykle umiejętnych operacyj. Od 1829 r. był osobistym lekarzem ces., od 1847 r. insp. lekarskim instytucyj ces. *Marji Teodorówny*. Człowiek wielkiej zacności i dobroci.

*Dobell Piotr*, z pochodzenia Irlandczyk, kupiec, w 1817 r. mianowany konsulem ros. na Filipinach. Wykonał kilka podróży do Azji. Um. w 1852 r. Ogłosił: *Travels in Kamchatka etc* (1830), *Sept années en Chine* (1838), *Russia* (1833).

*Lubomirski ks. Aleksander* (1802 — 1893), syn *Franciszka-Ksawerego*, wojewodzica kijowsk. i gen. w. ros., i *Marji Naryszkinówny*, a nie *Potemkinówny*, fundator w 1885 r. kosztem milionowych sum schroniska dla chłopców w Krakowie, zakładu magdalenek w Łagiewnikach pod Krakowem.

**Do str. 31.** Lubecki ks. Ignacy, Stanisław, Józef (1809—1861), syn Onufrego i Eleonory Żabianki, bratanek Ministra, dziedzic na Mańkowcach w pow. wileńskim, później marszałek szlachty pow. dziśnieńskiego.

**Do str. 35.** Grecz Mikołaj, syn Jana, (1787—1860), ros. pedagog i publicysta. W 1812 r. zaczął wydawać znane pismo „Syn Ocieczestwa”, a w r. 1825 r. razem z Bułharynem również znaną „Siewiernaja Peczela”. Ogłosił parę powieści i podróży. Ciekawe pamiętniki jego ukazały się w 1886 r. w Petersburgu.

**Do str. 36.** O wizytacji szkół na Białejrusi, w szczególności zaś o metodach, używanych przez Sękowskiego, podczas tej wizytacji w stosunku do Akademji Połockiej, utrzymywanej po wypędzeniu jezuitów, przez pijarów, bardzo ciekawe wiadomości znajdują się w rękopism. pamiętniku ks. Andrzeja Michajłowicza, pijara, nauczyciela historii powszechnej w tej szkole. (Własność prywatna.)

„Podczas wakacji w r. 1826 zaczęły biegać po mieście wieści, niepłonne jak się potem pokazało, że pijarzy napawają młodzież uczuciami przeciwnymi rządowi, że utworzyli w państwie rosyjskiem cudzoziemską szkołę... Nauczyciel literatury rosyjskiej Józef Doroszkiewicz ... wystąpił z sekretnymi doniesieniami do generał-gubernatora księcia Chowańskiego, do cywilnego gubernatora Sorokamskiego, do dyrektora gimnazjum witebskiego Telczewa, naostatek do Petersburskiego Uniwersytetu. Albowiem Białoruś już od niejakiego czasu była przyłączona we względzie naukowym do Petersburskiego Uniwersytetu. Nie trzeba było długo czekać... Jakoż w samej rzeczy, w 1826 r. w miesiącu lipcu Uniwersytet Petersburski zsyła do Połocka Józefa Sękowskiego, profesora wschodnich języków, w rodzaju niby wizytatora, lecz wcale inny cel, inne zamiary mającego, męża nader zdolnego, głęboko uczonego, już znanego światłej publiczności z wydanych *Collectane'ów*, poczerpniętych z dziejopisów tureckich, objaśniających historję Polski w wojnach z Portą Ottomańską, jeszcze w polskim języku przez niego pisanych, potem słynącego pod imieniem Brambeusa. Do tych świętych przymiotów łączył złośliwe serce, nikkzemny umysł, niecne uczucia i podłą duszę

w całym znaczeniu tego wyrazu. Takie wielkie niedostatki, czy z natury, czy z wychowania wypływające, gasiły w nim te znakomite talenty i nienawistnym go czyniły publiczności. Przytem nieubłagany wróg całego zakonnego duchowieństwa i szkół, przez niego utrzymywanych, nieubłagany nieprzyjaciel narodowości i mowy polskiej, pomimo że sam był Polakiem....

Sękowski, odebrawszy instrukcje od Petersburskiego Uniwersytetu względem szkoły naszej i względem wszystkich szkół duchownych na Białejrusi, w przejeździe przez Witebsk odbiera jeszcze różne sekretne polecenia od generał-gubernatora i od cywilnego gubernatora i przybywa do Połocka, zdaje się, pod koniec lipcu 1826 r. z adjunktem Petersburskiego Uniwersytetu, Rosjaninem, którego nazwiska dziś nie pamiętam. Niewiadomo dlaczego mu był dany, czy żeby śledził i patrzył za każdym krokiem Sękowskiego, czy tylko jako pomocnik i towarzysz podróży. Sękowski zwiedza świetne mury kolegium, ogląda wszystkie bogate zakłady; zdumiewa go i zachwyca cudnej architektury przybytek Boży, gmach złotem lśniący; wchodzi do wspaniałej biblioteki, tej prawdziwej świątyni nauk, chciwie przebiega oczyma złote napisy szaf, pięknie mówi po rosyjsku i po francusku, po polsku czy się wstydzi, czy się lęka, tego zgoła nie wiem. Długo spuszczone oczy na posadzkę podnosi i zwraca na mnie, a potem obracając się do Józefa Bartoszewicza, rektora kolegium, te pamiętne słowa wyrzeczce: *Messieurs, il est deja temps de s'orientaliser et de se metamorphoser, cet à dire de se russifier*". Na te słowa niepomału zmieształ się biedny rektor i nie mógł lub nie śmiał odpowiedzieć, a mnie po całym ciele mrówki przebiegły. Wielki Boże! dopiero teraz najjaśniej poznałem, do czego zmierza ten człowiek, jakie jego zamiary na przyszłość będą. Przy pożegnaniu z rektorem powiedział, że teraz w Połocku nie może mieć żadnej czynności, bo niema ani nauczycieli, ani uczniów, a jak tylko jedni i drudzy zgromadzą się, natychmiast przybędzie na egzamen. „Piękny to będzie egzamen”, pomyślałem sobie: „wcale na co innego tu zakrawa, nie na egzamen”.

Zbierają się uczniowie i nauczyciele w wrześnie, wnet przybywa i Sękowski z adjunktem, adjutantem generał-gubernatora i z Doroszkiewiczem i zaleca wszystkim uczniom i nauczycielom, jak duchownym, tak cywilnym, rektorowi i prefektowi zebrać się do wielkiej sali akademickiej pod pozorem egzaminu.

Nader piękny był to widok, kiedy podówczas w jasny dzień trzysta przeszło obywatelskiej młodzieży, wytwornie ubranej, blisko trzydziestu nauczycieli, dojrzałych wiekiem, rozsądkiem i nauką, postępowo ze wspaniałej świątyni Pańskiej w porządku przez plac paradny do przeznaczonego miejsca. Tu czułą mówką w polskim języku powitał Sękowskiego uczeń Chodkiewicz. Nie wiem, jak mu do smaku i serca przypadła owa mówka. Wnet obraca się do rektora i cicho mówi: „Szkoła tutejsza silnie podejrzana; jej nauczyciele, mianowicie: księża — Jan Łaszkiwicz, prefekt — Eustachy Szydłowski, nauczyciel polskiej literatury, Andrzej Michajłowicz, nauczyciel historii powszechnej, i Antoni Pajewski, nauczyciel historii naturalnej, podburzają i napawają młodzież nienawiścią ku panującej religji, ku rządowi, rozplomieniają serca patriotyzmem polskim, a zatem przekaz im klucze od pokojów mi oddać, mam bowiem srogie poruczenie od rządu indagację nad nimi rozpocząć. Uczniów zaś wszystkich zamykam w tej sali, przystawiam do nich straż, dopokąd ich wszystkie książki i papiery po kwaterach obrewidowane nie będą”.

Zmięszał się rektor niepomału na tak nieoczekiwany komplement, a nie było co robić; wziął od nas klucze i oddał Sękowskiemu. Niepojętem niebios zrządzeniem straży wojennej nam nie postawiono. Czy Sękowski nie miał upoważnienia do tego, czy też może się litował nad niewinnymi ofiarami, których ostatecznej zguby nie pożądał..

Korzystając z tego zdarzenia, rektor, kiedy Sękowski poszedł z całą świtą lustrować książki i papierki uczniów klas wyższych, w kilkunastu domach mieszkających, a potem zaczął od ks. Jana Łaszkiwicza, i że upłynęło kilka godzin czasu, przysłał do mnie pośpiesznie Józefa Kowalewskiego, braciszka nader przezornego z witrychem, czy komunałem

po jezuicku, otwierającym łatwo wszystkie zamki. Wpadam do mego pokoju i unoszę wszystko sam nie wiem dokąd. Przejęty zgrozą, lecę, jak opętany, na plac, aby nie ściągnąć podejrzenia, niespokojny, pomieszany, drżący.

W papierach uczniów znalazł Sękowski bagatelę, dzieciństwo, zwyczajnie jak u dzieci. Dąsał się, szalał, jednak żadnego nie uwięził. U Łaskiewiczza znalazł listy romansowo-patriotyczne do księżniczki Lubomirskiej i odpowiedzi tej obywatelki; u Szydłowskiego i Pajewskiego nic a nic zgoła nie znalazł; ...naostatku z całą świtą wszedł do mego pokoju... Przejrzawszy ciekawie wszystkie książki, zabrał papiery, skarbowemi pieczęciami zapieczętował i uniósł z sobą. Trzymając je około jedynastu dni, nic zgoła o nich nie powiedział. Wstęp do historii powszechnej, przeze mnie ułożony i wyjęty najwięcej ze Szreka, mocno go zajął. Znalazł w nim niektóre myśli jakoby przeciw religji, co prowincjonałowi naszemu przedstawił, a do rządu jednak nie doniósł.

Przeszło rok prowadził indagację nauczycieli i uczniów, przeszło rok przewracał tę nieszczęśliwą szkołę... po brutalsku obchodził się z nauczycielami i uczniami, jeździł do Uniwersytetu Wileńskiego, tuszując sobie odkryć jakąś nić politycznego związku między młodzieżą szkoły połockiej a uniwersytecką i tem więcej zasłużyć się u nikczemnego rządu. Lecz od Pelikana bardzo źle przyjęty, wrócił z niczem do Połocka.... Używał najniegodziwszych i najzłośliwszych środków ku potępieniu pijarów, których położenie było bardzo smutne...

Dano znać pośpiesznie prowincjonałowi Józefowi Krukowskiemu o tych smutnych wypadkach, który natychmiast przybył i rozpoczął silną i długą walkę z napastnikiem.

Dominikanie i bazylijanie, utrzymujący szkoły na Białejrusi, podobnie pasowali się z tym nieubłaganym nieprzyjacielem zakonnego duchowieństwa. Sękowski niezamordowanie dzień i noc pracował, ostre i mocne posyłał pisma do rządu i triumf ostateczny po jego stronie został. Szkoły więc, przez duchowieństwo utrzymywane, jak najgorzej zwierzchności przedstawił: 1) że szkodliwe uczucia przeciw rządowi wpajają młodzieży; 2) w pogardę i nienawiść podają panującą

religję; 3) nie mają zdolnych nauczycieli; 4) młodzież rozpłomieniają polskim patriotyzmem i świetną nadzieją na przyszłość. (Ten ostatni zarzut odnosił się jedynie do szkoły połockiej)".

Oprócz tego „Sękowski napisał przeciw zakonom pamflet, a właściwiej mówiąc, brzydki paszkwil, gdzie między innymi, pamiętam, powiada: „*La Blanche Russie hérissée des couvents et des moines*”. Napisał także brzydki paszkwil imieniem uczniów szkoły połockiej na rząd rosyjski a przekupiwszy niecną kobietę, nazwiskiem Debożyńska, jej synowi, warjatowi, dał mnóstwo egzemplarzy dla przyklepiania na bramach i domach mieszkańców połockich. Tem siebie najgorzej spodził wizytator szkół białoruskich”.

**Do str. 37.** Rogalski Adam (1800—1843), syn Wincentego, urodzony w Wilnie, tamże skończył Uniwersytet. Za czasów studenckich umieszczał w „Dzienniku Wileńskim” liczne drobne poezje i artykuły prozą. W 1823 r. przeniósł się do Petersburgu, gdzie był urzędnikiem; w 1826 r. wydał w Wilnie przekład „Fontanny Baczysaraja” Puszkina; w 1830 r. wydawał od 17 maja pismo humor. „Bałamut Petersburski, pismo czasowo zbieranej drużyny” które ukazywało się co sobotę w formacie pół arkusza in folio. Sękowski objął redakcję tego pisma w 1832 r. W końcu 1831 r. wyjechał Rogalski do Królestwa Polsk., w 1835 r. został naczelnikiem wydz. w Kom. Rząd. Spr. Wewn. Duch. i Ośw. Publiczn., brał czynny udział w akcji szpiegowskiej za czasów paskiewiczowskich, zob. m. in. Kucharzewski, Epoka Paskiewiczowska (Warszawa, 1914).

**Do str. 39.** Bruloff (Briułow) Aleksander syn Pawła (1798 — 1877), brat słynnego malarza rosyjskiego Karola (1799—1852), wybitny architekt, prof. architektury w Akad. Szt. Pięknych w Petersburgu, zdolny akwarelista.

**Do str. 42.** Skarbek Fryderyk hr. (1792—1866), wybitny ekonomista, prof. Uniw. Król. w Warszawie, historyk, beletrysta i komedjopisarz, w 1828 r. był wysłany zagranicę celem zbadania stanu więziennictwa i szpitalnictwa: założył następnie wzorowe zakłady więzienne w Warszawie, Kaliszu, Płocku, Siedlcach, oraz domy poprawy w Warszawie i Sieradzu. W 1842 dyr. ubezpieczeń, w 1858 prezes Kom. Rząd.

S;prawiedliwości, w 1858 prezes Heroldji. Bawił w Petersburgu w 1830 r.

**Do str. 43.** Artykuł autora p. t., „O wodach mineralnych sztucznych w Petersburgu” w polskim rękopisie dochowały się w Bibl. Od. Krasieńskich. Wstęp — „List do Józefa Sękowskiego, redaktora dziennika p. t. „Biblioteka dla czcienija” jest datowany d. 2. list. 1834 r.

Uwarow hr. Sergjusz syn Siemiona, (1786—1855), min. ośw. ros. w latach 1833—1849, prezydent Ros. Akad. Nauk 1818—1855, który pod wieloma względami zasłużył się sprawie oświecenia i kultury w Rosji, acz był zdecydowanym wyznawcą hasła „Prawosławje, samodierżawje i nacjonalizm”. Rządy jego były jednak bardzo ciężkie dla prasy.

**Do str. 45!** Jako ślad stosunków autora pamiętnika z Sękowskim przechowały się następujące listy tego ostatniego do Stanisława Morawskiego, które podajemy modernizując tylko pisownię.

I. „Najlepszy, najpocziwszy, najszlachetniejszy, najdroższy panie Stanisławie, medycyny i chirurgji doktorze i przyjacielu! Co to znaczy, co słyszę, co powiadają! Mamże płakać? mamże się radować? mów, powładaj, wytłumacz, okrutniku! Dowiaduję się, że wyjeżdżasz z Petersburga; kiedy? dokąd? na jak długo? dla jakich przyczyn? Bądź łaskaw, objaśnij mi to wszystko. Jeśli rzeczywiście opuszczasz Petersburg, zmiłuj się, obacz się z nami przed odjazdem, myśmy już w mieście. Jeśli rzeczywiście opuszczasz Petersburg, ustąp mi choć swoje mieszkanie; ja wezmę je natychmiast. Odpowiedz mi, szanowny przyjacielu, co to wszystko znaczy i oddaj mi swoje mieszkanie, jeśli koniecznie musisz wyjechać: jedna dama, ładna i miła, jak cherubin, której wcale nie znasz, była rozkochana w tobie i chce mieszkać w twoich pokojach, żeby ciebie oplakiwać wygodniej i czulej. Ja wczoraj w nocy znowu przyjechałem do miasta i byłbym dzisiaj już u ciebie, żeby mnie głowa nie bolała. Pojutrze nieodbitcie stawię się u ciebie, jeśli nie obaczymy się do tego czasu. Tym czasem daj odpowiedź o mieszkaniu, bo ta dama umrze z roz-



paczy, jeśli nie będzie mogła żyć w tychże ścianach, gdzie mieszkał ce beau monsieur, si blanc et si blond.

Poniedziałek.

Sękowski.

II. „No to już jestem kiep, dureń, szlachcic, — padam na kolana przed tobą i proszę twego przebaczenia. Jestem w rozpacz, zem ciebie obraził, zem twoją delikatność obraził. Nigdy tego nie miałem w zamiarze. Twój list, tak niepodobny z tonu do naszych przeszłych związków, listownych i osobistych, zdziwił mię do tego stopnia, zem zrozumiał, iż chcesz jasno dać mi uczuć swoje nieukontentowanie i oziębłość ku mnie. Daję słowo honoru, zem tak rzecz rozumiał, a ponieważ mnie już znudziły te nienawiści i te uprzedzenia, które dotąd pokrywałem milczeniem, będąc nimi zewsząd otoczony, sądziłem przeto, iż to nie będzie obrazę delikatności, jeśli tak odpowiem temu, który, zadzierając moją delikatność, oczywiście nie chce, abym mu odpowiedział inaczej.

Jeszcze raz, proszę ciebie, daruj mi wspaniałomyślnie, a jeśli chcesz zrobić sobie satysfakcję, kup kij, przyjdź do mnie i wybatoż mnie, bo widzę, zem dureń. Pierwszy raz w życiu wyraził drugiemu człowiekowi, że czuję jego oziębłość, i omyliłem się na nieszczęście. Dotąd miałem za prawidło, ku tym, co chcę mnie obrażać, — milczenie najgłębsze: niech się cieszą myślą, że obrażają; ja nie dostrzegłem ni ich ni obraz. Powiem ci prawdę, zem wiele razy dostrzegał w tobie ślady kwasu, który zraża naszych rodaków we względzie do mnie, i nie dawałem temu żadnego znaczenia, będąc przekonany, iż człowiek może być bardzo zacny i szacowany, chociaż mnie w sercu nie lubi, i że ja mogę kochać go, jak szacowanego człowieka, nie wglądając w jego tajemne myśli. Sądząc z suchego tonu dzisiejszego listu, rozumiałem, żeście coś nowego do mnie upatrzyli, i że to przemieniło zupełnie ciebie, że nie chcesz być więcej znajomym ze mną. Po przeczytaniu listu powiedziałem sobie: Et tu, Brute, contra me? Byłem bardzo zmartwiony, szczególnie stąd, iż, jak mi się zdawało, chciałeś mi pokazać swoją nieprzyjaźń i pomyśliłem: Ot, ma co mnie pokazywać. Jeśli chce być moim nieprzyjacielem, to mógłby być nim, nic mi o tem nie mówiąc; ja mogę zostać jego przyjacielem, także nic mu o tem nie mówiąc.

Lecz dosyć tych eksplikacyj. Ja objawiam siebie winowajcą kryminalnym za obrazę dobrego przyjaciela: masz pole pokazać swoją wspaniałomyślność ku mnie lub swoją surowość. Wybierz to, co ci serce będzie dyktowało.

O *Revue Encyclopédique* nic nie wiem; ja nie trzymam tego dziennika, bo jest warjacki. Może i ustał: wszystkie dzinniki paryskie zbankrutują. Bellizard opowiadał mi wczoraj, że *Revue des deux mondes* nie zyskuje ani grosza, a *Revue de Paris* urok traci i utrzymuje się ze składek.

Rękopis twój odsyłam: pozwól mi jeszcze raz wynurzyć moją wdzięczność za artykuł: on był wyborny i ja po przeczytaniu jego byłem nim tak zachwycony, że powiedział żonie: *Ma foi, Morawski est un homme d'ésprits et de talent et je suis tout étonné de voir une pièce aussi bien écrite et avec tant de verve.* Zapytaj się u mojej żony; ona powie ci najlepiej prawdę, gdyż ona nie umie skłamać nawet kiepskiego komplementu i ja nie mogę jej nauczyć do tej pory powiedzieć coś grzecznego, kiedy to, co ona ma powiedzieć, nie zgadza się z prawdą. Gdybyś ją znał bliżej, przekonałbyś się, że są jeszcze serca niezeepsute i zupełnie w tym stanie, w jakim je stworzyła przyrodzenie. Mówię ci rzetelną prawdę; kiedy ją zobaczysz, zapytaj się u niej, com mówił z nią o twoim artykule; żaręczam, że ona nie skłamię nawet przez przyjaźń dla mnie." Sękowski.

**Do str. 42.** Orłowski Aleksander. Literatura o nim dość obszerna. J. Przeclawski w „*Russkoj Starinie*” 1. 16. 1876. Nr. 7. str. 553—81; W. Smokowski — Noworocznik „*Niezapominajki*” pod red. Korwella, Warszawa 1847. str. 97—135; Pamiętnik Sztuk Pięknych, wyd. przez B. Podczaszyńskiego. Warszawa 1850, str. 154—160; E. Rastawiecki — „*Słownik Malarzów Polskich*”. II. Warszawa 1851. str. 76—84; E. Rastawiecki „*Słownik Rytowników Polskich*” Poznań 1886; J. Kołaczkowski „*Słownik rytowników Polskich*” Lwów 1874, str. 43—46; Dr. Jerzy Mycielski „*Sto lat dziejów malarstwa w Polsce*” Kraków 1896 str. 193—253; Władysław Tatarkiewicz. „*Wystawa dzieł Aleksandra Orłowskiego*” — listopad 1910. Warszawa; W. A. Wereszczagin „*Russkaja karikatura*” III. A.

O. Orłowski", Petersburg 1915; Władysław Tatarkiewicz „Al. Orłowski" Monografie artystyczne. t. VII. Warszawa (1926). Ocena artystycznych walorów Orłowskiego, wypowiedziana w ostatniej pracy przez prof. Wł. Tatarkiewicza, znakomicie zgadza się ze zdaniem o tym naszym artyście, zapisanem przez hr. T. P. Tołstoja, towarzysza prezydenta Ces. Akad. Sztuk Pięknych w Petersburgu, w pamiętniku, ogłoszonym w „Ruskiej Starinie". 1873. VII, str. 123: „W latach 1808—1809 (data błędna p. w.) zjawił się w Petersburgu młody artysta z Polski. Piorunem robił on karykatury i łowił z zadziwiającym talentem podobieństwo osób, które stawały się pastwą jego niezwykle śmiesznych rysunków. Równie żwawo rysował on kozaków, Baszkirów i konie, ale tylko kozackie, słowem przedmioty doskonale przez niego poznane. Orłowski wyróżniał się swymi wielkimi zdolnościami, nie posiadał jednak najmniejszego przygotowania szkolnego, a o anatomji człowieka nie miał żadnego pojęcia. Dość powiedzieć, że nie umiał wcale narysować aktu ludzkiego. Będąc wcale nie głupim człowiekiem i umiając znaleźć się w towarzystwie, Orłowski dzięki jednostronności swego talentu rychło stał się modnym wśród młodzieży wojskowej. Ja również bardzo go lubiłem i żałowałem, że nie jest to poważny artysta. To też, aczkolwiek bardzo sobie życzył tytułu „akademika", Rada Akademji nie mogła się zdecydować na udzielenie mu tego odznaczenia"...

**Do str. 49.** Boufflers de Stanisław chevalier, następnie markiz (1738—1815), syn słynnej markizy Marji de Boufflers, przyjaciółki króla Stanisława Leszczyńskiego, znanej pod nazwą Dame de Volupté; poeta francuski, członek Akademji, w latach 1785—1788 gubernator Senegalu. Znany z dowcipu i lekkiego życia. Powiedziano o nim kiedyś: *Abbé libertin, militaire philosophe, diplomate chansonnier, émigré patriote, republicain courtisan.*"

**Do str. 50.** Orda Piotr, syn Apolinarego, sędziego ziemskiego pińskiego, sam sędzia słonimski 1845 r. członek łoży mas. „Orzeł biały".

**Do str. 51.** Marmurowy pałac w Petersburgu między wybrzeżem Dworcowem a ulicą Miljonną. Zbudowany z

marmuru, bronzu i żelaza w latach 1769—1785 według planów Ant. Rinaldiego kosztem  $1\frac{1}{2}$  miliona rubli. W 1772 подарowany przez Katarzynę II. Grzegorzowi Orłowowi. Po śmierci jego wykupiony przez Katarzynę i oddany później w. ks. Konstantemu Pawłowiczowi. W latach 1797—98 mieszkał w nim król Stanisław August, tu też umarł. Po śmierci w. ks. Konstantego odziedziczyła go ks. Łowicka i testamentem przekazała go ces. Mikołajowi dla syna jego, Konstantego, pod warunkiem, że wartość tego pałacu otrzyma nieprawy syn w. ks. Konstantego Pawłowicza z Frydrychsową, Paweł Aleksandrow. Od roku 1832 pałac ten nosił nazwę „Konstantynowskiego”, gdyż po w. ks. Konstantym Mikołajewiczu, b. namiestniku Królestwa Polskiego w 1862 r., odziedziczył go syn jego, w. ks. Konstanty Konstantynowicz, prezes Akad. Nauk, poeta i dramaturg.

**Do str. 53.** Kaniewski Ksawery (1809—1867), znakomity malarz—portrecista polski o europejskiej sławie. Kształcił się w liceum w Krzemieńcu u Pitschmana, potem w petersburskiej Akad. Sztuk Pięknych, gdzie otrzymał wielki medal złoty i stypendjum na wyjazd do Rzymu. W Rzymie bawił od 1834 do 1843, wyróżniany przez Papieża i wielki świat, poszukiwany jako portrecista. W latach 1843—1847 mieszkał w Petersburgu, malując portrety sfer najwyższych. W 1847 r. przeniósł się do Warszawy na stanowisko prof. Warszawskiej Szk. Szt. Pięknych, a potem na jej dyrektora (1865 do 67).

**Do str. 69.** Szkicownik, подарowany przez Orłowskiego dr. Morawskiemu, zachował się u jego spadkobierców dotychczas i był wystawiony w 1910 r. na wystawie dzieł Orłowskiego w Warszawie. Reprodukowano stąd parę szkiców w „Świecie” (Warszawa 1910.)

**Do str. 77.** *Vespertillo spectrum*. W „Zoologii krótko zebranej przez X. B. S. Jundziłła, w Imperatorskim Wileńskim Uniwersytecie botaniki i zoologii profesora, Tow. Warsz. Przyjaciół Nauk członka. Część pierwsza. Zwierzęta ssące”. (w Wilnie 1827 — Trzecie wydanie w niczem nie odmienione) na str. 60 czytamy: „N. Straszdyło. V. Spectrum. L. N. bezogonowy; nos lejkowaty, lancetowaty V. Spe-

ctrum. Schreber Säugethiere t. 46. A. Vampyre Buff. Gatunek ten nietoperza mieszka w Ameryce południowej, mniejszy jest od poprzedzającego (*Vespertillo Vampyrus*), a od niektórych mylnie za jednostajny poczytany gatunek. Nietoperze te szukają ludzi śpiących, a natrafiwszy twarz, ręce lub nogi obnażone, krew częstokroć tak wysysają, iż o niebezpieczeństwo życia przywodzą. Owszem konie, osły, muły i bydło napastują, tak dalece, iż według świadectwa de la Condamine, w missyi jednej nad rzeką amazońską znaczne trzody zupełnie zniszczyły. Gdy kurę lub koguta złowią, pomy krew wysysają, póki z zupełnego wycieńczenia nie zdechnie".

**Do str. 82.** Wysogierd Tadeusz, członek Rady Najwyższej Rządowej w Wilnie w 1794 r., członek Deputacji Centralnej tamże, emigrant po upadku Insurekcji, uczestnik prac patriotycznych emigracji we Włoszech po trzecim rozbiore.

Pociej Aleksander, oboźny w lit. 1794 r., adjutant gen. Jasińskiego w 1794 r., pan olbrzymiej fortuny, którą stracił między innymi na wysiłki ratowania kraju.

**Do str. 87.** O córce Żelwietra i o nim takie szczegóły znajdujemy w listach przyjaciół petersburskich, pisanych do Stanisława Morawskiego (Arch. rodz. w Ustroniu). Franciszek Malewski — d. 26 października (st. st.) 1830 r.: „Żelwietr otoczył się już dziećmi wszystkimi; córka jego niepomierne gruba. Ile razy stamtąd odchodzę, zdejmuję mię obawa, jak on to wszystko na głowie swojej utrzyma".

Adam Rogalski — d. 30 października (st. st.): „Przyjechała córka Żelwietra, malutka, pulchniutka i szczerza, jak niewinność. Dotąd jestem jej powiernikiem i mnóstwo zabawnych dowiaduję się rzeczy".

Feliks Kułakowski — d. 1 listopada (st. st.): „Córka Żelwietra od kilku tygodni jest przy ojcu; prawda, że niepiękna, o czem musisz wiedzieć, i za tłusta, ale to nie jej wina; że zaś panienska przyzwoita, młoda, z pięknymi przymiotami serca i wcale w obejściu się swoim naturalna, to wszyscy widzą i to u wszystkich jedną dla niej zaletę, którą się cieszyć oby najdłużej mogła! Pocziwy Gaspar podawnemu rad w swoim domu i ja raz albo dwa razy w tydzień weselę się u jego stołu.

Wszakże nie myśl, że „wesełę się” znaczy to samo, co „podweselam się”; bynajmniej, albowiem raz tylko w dzień św. Szymona przyszło aż do improwizacji, ale dnia tego improwizowała i cała redakcja „Tygodnika”, i najoschlejszych sentymentów prawnicy, nawet Glaubicz (Przeclawski p. w.), który, nie wiedząc z jakiego przywiązania, przed obiadem zachęcał do prędkiego odjazdu (Kułakowskiemu, jak donosi w tym samym liście, nie pozwolono mieszkać ani na Litwie, ani w Petersburgu lub Moskwie p. w.), po obiedzie zaś, zmieniawszy uczucia, ścisnął mnie w słodkich uniesieniach, pozostać na miejscu życzył.”

**Do str. 94.** Z Juljanem Korsakiem łączyły Stanisława Morawskiego stosunki towarzyskiej zażyłości. Jako ślad ich pozostało kilka listów i następujący wiersz, pisany według adnotacji naszego pamiętnikarza w 1830 r. (Arch. rodz. Morawskich w Ustroniu).

Do M. . . . .

Gościnnym obyczajem  
Porterem i herbatą  
Ugościłeś mię. — Zato  
Płacę tobie nawzajem,  
(Gdyż źle być niewdzięcznikiem)  
Pieniędzem z mej mennicy — wierszykiem!  
Ty gdzieś teraz przy boku  
Ładnych dziewcząt, w ich oku  
Śledzisz djablej pokusy.  
A pfe kusy! a pfe — kusy!  
I jam też w tej godzinie  
Był przy mojej dziewczynie.  
Ach! i dobrze mnie było!  
Cóż to komu szkodziło,  
Żem z nią chwilkę pogruchał,  
Żem jej chwilkę posłuchał,  
Gdy śpiewała lub grała.  
Ot moja wina cała!  
A ludzie ogadali,  
Niech ich piorun zapali!

Dziś samotny w tej porze  
 Palę fajkę mą w nudzie  
 I myślę, mój doktorze,  
 że kiep świat i kpy ludzie!

**Do str. 101.** Anastasiewicz Bazyli (ur. 1775 w Kijowie, um. 1845 w Petersburgu), z pochodzenia Wołoch, kształcił się w Akad. kijowskiej; następnie krótko służył w wojsku, wreszcie wezwany przez ks. Adama Czartoryskiego do Petersburgu, odznaczył się przy organizacji Min. Oświecenia. Potem był członkiem Kom. Układania Praw i sekretarzem hr. M. Rumiancewa. W 1811—12 wydawał w języku rosyjskim czasopismo „Ul”. Tłumaczył Statut Litewski (1811) oraz dzieła Tad. Czackiego i H. i W. Stroynowskich. Jako cenzor „najłagodniejszy i najlepszy”, puścił do druku „Konrada Wallenroda”, zaco dzięki zabiegom Nowosilcowa dostał dymisję w randze radcy stanu. Wielki erudyta. Pisywał poezje.

**Do str. 104.** Spitznagel Ferdynand (1760 do 1826) pochodził ze Szwabji. Kształcił się w Wiedniu, gdzie się doktoryzował. Następnie praktykował na Węgrzech. W 1792 r. za staraniem Langmajera powołany na katedrę historii naturalnej i botaniki w Wilnie. W 1802 r. po O'Connorze przeszedł na katedrę medycyny praktycznej, ustąpiwszy dotychczas zajmowaną ks. Jundziłłowi. Po przyjeździe P. Franka przeniósł się na katedrę materji medycznej, którą zajmował do śmierci. Wykładał po łacinie i po polsku. Dwa razy był dziekanem wydz. med. Gdy w 1794 r. wszyscy medycy obcego pochodzenia opuścili Wilno, Spitznagel pozostał i zdobył olbrzymią praktykę, dzięki której zebrał znaczny majątek i stał się właścicielem dwóch folwarków, a młyna i domu w Wilnie. Dodatkowo charakterystyce jego przez dra Morawskiego można przeciwstawić bardzo ujemną ks. Jundziłła („Cudzoziemcy w Uniwersytecie”. Urywek pamiętnika p. t. „Zbiór ułamk. wiad.” etc., podany w L. Janowskiego — „W promieniach Wilna i Krzemieńca”. Wilno 1923. str. 51—53).

**Do str. 109.** Oleszkiewicz Józef, syn Jana, muzyka w Radoszkowicach w woj. mińskim, ur. 1777 r. w szydłowskiej parafji na Żmudzi. W 1800 r. był uczniem

Smuglewicza w Wilnie. 1803 r. przez Al. Chodkiewicza wysłany zagranicę, bawił w Dreźnie i w Paryżu do 1807 r. Wróciwszy bawił czas jakiś na Wołyniu, gdzie ożenił się z Karoliną Andrzejowską, siostrą Antoniego, botanika i pamiętnikarza. W 1810 przeniósł się do Petersburga, nie otrzymawszy katedry w Wilnie, o którą zabiegał. W 1812 r. honorowy akademik Petersb. Ak. Szt. Pięknych. Zmarł 5 paźdz. (st. st.) 1830 r. w Petersburgu. Spis obrazów, podany przez E. Rastawieckiego i powtórzony wielokrotnie przez wszystkie encyklopedje, uzupełniamy następującymi tytułami:

1. Portret Stanisława Morawskiego, reproduk. w tomie niniejszym; własn. p. Z. Morawskiego w Ustroniu, ob. w zbiorach Un. St. Batorego w Wilnie.

2. Portret Adama Mickiewicza — Muz. Narod. w Krakowie.

3. Portret hrabiego Grocholskiego; był na Wystawie Sztuki i Zabytków Kresowych w Warszawie w 1921 r. Własność hr. Grocholskich.

4. Portret kobiety w Zbiorach państwowych w Warszawie.

5. Portret Aleksego, syna Teodora Lwowa, twórcy hymnu „Boże, caria chrań!”. Reproduk. w „Russk. Portr.” w. ks. Mikołaja Michajłowicza V. 179.

6. Portret Wasyla, syna Aleksego Miatlewa. Ibid. IV 22.

7. Portret Praskowji, córki Jakóba Miatlewowej. Ibid. IV. 23.

8. Portret Piotra, syna Wasyla Miatlewa. Ibid. IV. 24.

9. Portret Mikołaja, syna Teodora Arendta, lekarza cesarskiego. Ibid. IV. 156.

Reprodukowany tamże w t. III. portret Adama Czartoryskiego, kur. Un. Wil. znajdujący się w Muz. Rumiancewa w Moskwie, jest niewątpliwie tym portretem, który wymienia Rastawiecki, że znajdował się w Un. Wil.

Słyszeliśmy wreszcie, że w Swojatyeczach, maj. hr. Czapskich, znajdował się portret Stanisława hr. Czapskiego również pendzla Józefa Oleszkiewicza.

O Oleszkiewiczu por.: Nekrolog przez Fr. Malewskiego w Tyg. Petersb. 1830 r. Nr. 41 z dnia 15 paźdz. str. 341; E. Rastawiecki „Słow. mal. polsk.” Warsz. 1850, I. 70—72; H.



Rzewuski „Teofrast Polski” Petersb. 1851. str. 206—216; Przecławski (Cyprinus) w „Russk. Star.” 1876. XVI. str. 559 do 566. i w „Prace Kom. do badań nad hist. lit. i ośw. T. N. W.” Warszawa 1914. str. 65—91; A. E. Odyniec „Listy” Warszawa 1884. I. str. 50—53; Fr. Rawita Gawroński „Stud. i szk. histor. ser. I.” Lwów 1903. str. 270 sg.; M. Malinowski „Księga Wspomnień” Kraków 1907. 61 i „Dziennik” Wilno 1914. pass. A. Andrzejowski „Ramoty star. Det.” Wilno 1913. pass. J. Mycielski „Sto lat etc.” Kraków 1896.

**Do str. 114.** Despota-Zenowicz Ignacy, syn Michała, marsz. gub. miński., i Anny Szczyttówny, star. wita-golskiej; dyrektor w min. spraw wewn. i duch. Kr. Polsk., zdolny prawnik, ojciec Leona, sekr. gabinet. cesarza Napoleona III. Żychliński XVIII. 210.

**Do str. 115.** Naryszkinowa Olga z Potockich, (1802—1861), córka Szczęsnego, marsz. konf. targ. i Zofji de Czelicze, żona Lwa syna Aleksandra, generał-lejtnanta i generał-adjutanta Mikołaja I-go.

**Do str. 118.** Autor mówi tu o swoim artykule p. t. „O charakterach fizjologicznych europejskich pokoleń”, umieszczonym w Tygodniku Petersburskim 1830 r. Nr. 27 z dnia 27 lipca na str. 214—215, i o przypisku do tego artykułu brzmiącym: „Rodak nasz i światły tutejszy artysta p. Józef Oleszkiewicz dawno przed p. Lombard kontury głowy ludzkiej w porównaniach fizjologicznych przez dwa sześciokąty, podstawami na linii oczowej z sobą złączone, wyrażał. W rzeczy samej wymienione figury daleko trafniej i wybitniej różnice zasadnicze rysów głowy malują”.

**Do str. 149.** O śmierci Oleszkiewicza pewne szczegóły znajdujemy w listach petersburskich przyjaciół i znajomych, pisanych w 1830 r. do Stanisława Morawskiego, bawiącego wówczas na prowincji (Arch. rodz. Morawskich w Ustroniu). Tak L. Woyzbunowa pisze d. 17 października (st. st.) 1830 r.: „My tu dotąd żywi oprócz Oleszkiewicza poczciwego, którego niegodziwy eskulap Kroczkiewicz zamordował”. Franciszek Malewski — d. 26 października (st. st.): „Nie było tu ciebie i straciliśmy poczciwego Oleszkiewicza. Pomimo wszelkicia

starań niepodobna było naprawić tego, co Kroczkiewicz gwałtownem lekarstwem popsuł. Na Rogalskiego, Łaszkiewicza i na mnie włożył ostatej swej woli wykonanie. Zachowaliśmy kilka książek dla ciebie na pamiątkę po przyjacielu, którego już za powrotem w Petersburgu nie doliczysz się”.

Adam Rogalski — d. 31 października (st. st.): „Nie odpowiedziałem na pierwszy twój list, gdyż nie byłem w stanie zebrać żadnych myśli, dotknięty bolesną a niespodziewaną stratą naszego wspólnego przyjaciela, Oleszkiewicza, który 5-tego miesiąca po 12-dniowej chorobie przeszedł do wieczności. Egzekutorami swojej ostatej woli zrobił ks. Łaszkiewicza, mnie i Malewskiego, wszystkie zaś swoje rękopisma wraz z pierścieniem z Opatrznością i ojcowskiem prawie błogosławieństwem oddał mnie jednemu. Do ostatej minuty był najprzytomniejszy i spokojnie oczekujący śmierci. Kilkakrotnie wspominał o Tobie, a posłyszawszy wyznanie mojej szczerej dla Ciebie przychylności, nakazywał nam jedność i ufność w Opatrzność. Nigdy nie był ze mną tak otwarty, jak w czasie swojej choroby, nigdy mi tyle przyjaźni nie okazywał, jak w tych pamiętnych dla mnie chwilach. Łzy napełniają oczy moje”....

**Do str. 153.** Szymanowska Marja. Dane faktyczne do biografji tej wybitnej i bardzo sławnej w pierwszej ćwierci XIX. w. artystki polskiej są bardzo niedostateczne. Nikt dotychczas nie przedsięwziął jeszcze poszukiwań naukowych ani w kraju, ani zagranicę w celu zgromadzenia materiałów do jej życiorysu. Nikt jeszcze nie przejrzał sprawozdań z jej koncertów w prasie codziennej naszej jak również niemieckiej, francuskiej, angielskiej, włoskiej i rosyjskiej. Wspomnienie dra Morawskiego o Szymanowskiej jest może jednym z najpoważniejszych źródeł dla przyszłego jej biografy.

Jeden z wydawców niniejszego pamiętnika przygotowuje obszerniejszy, źródłowo opracowany życiorys tej artystki i prosi uprzejmie o łaskawe zawiadomienie go o posiadanych przez Szanownych Czytelników materiałach, wspomnieniach, listach, autografach i portretach, jej dotyczących. Łaskawe listy proszę kierować do Wydawnictwa Polskiego w Poznaniu ul. Zwierzyniecka 6, dla Adama Czartkowskiego.

**Do str. 158.** Plater Ludwik, syn Kazimierza-Konstantego, starosty dynaburskiego, kasztelana trockiego 1790 r., podkanclerzego litewskiego 1793, targowiczana, i Izabeli Borchówny, kanclerzanki w. kor.; mąż wielkich zdolności, współpracownik ministra Lubeckiego, dyr. lasów w Kr. Polskiem 1820 r., kasztelan w 1829 r., hrabia Ces. Ros. 1829 r., podczas powstania 1830/31 r. wysłany przez Rząd Narodowy do Paryża, następnie emigrant. Ożeniony był z Marią Brzostowską 1<sup>o</sup> v. Idziową Hylzenową.

**Do str. 184.** Wołowską Kazimierę, jak podaje dr. Morawski w swych notatkach (pt. Aneks IV.), swatano za niego, ale bezskutecznie. Wyszła ona potem za swego kuzyna, Wołowskiego w Warszawie; po śmierci męża oddała się całkowicie wychowaniu swej jedynej córki Celiny, zmarłej w pańienstwie. W swoim czasie Kazimiera Wołowska miała dla dr. Morawskiego gorące uczucie, o którym opowiada w liście do niego z Warszawy z d. 5 czerwca (1853): „Wiek mój już podeszły (bez przesady) upoważnia do wspomnienia przeszłości, która może da panu poznać, że serce więcej było warte aniżeli skorupka, w którą podobało się Opatrzności oblec mnie. Niestety, nie na to mi się przydało, czegom pragnęła. Kiedy mi pan mówisz, że „Bóg wie, jak chciałeś się wkraść do oczów“, to dobrze wiedziałeś, że cała twoja wartość była oceniona, ale wrodzone niedowiarstwo, a szczególnie kobietom, było powodem, że się broniłeś, uchylałeś, sądziłeś, że komploty, że jedynie chęć tych, co mnie otaczali, widzieć mnie postanowioną, powodowała wszystkiemi. Otóż byłeś pan w błędzie. Wiele czułam, wiele cierpiałam, a gdyby Bóg był dopuścił tego, o co błagałam, bylibyśmy szczęśliwi (na to wyrażenie, które mimowolnie z pióra mego wypadło, powiesz pan, że zrozumiała, a ja odpowiem, że wewnętrzne przekonanie nastreczyło mi je). Inne było moje przeznaczenie i to się spełniło. Ukochana od człowieka, któremu za najsilniejszą miłość szacunkiem i przyjaźnią odplacić byłam w stanie, po wielu nieszczęściach, jakich doznał, zapragnął raz jeszcze mojej ręki. Objawione mi życzenie matki mojej, już natenczas umierającej, skłoniło mnie do przyjęcia go za męża. Powiedziałam sobie, że on będzie szczęśliwy, i to dodało mi odwagi. Bóg złał i na

mnie spokojne i błogie chwile, które mi zastąpiły to szczęście, jakiego pragnęłam. Od straty męża nowe obowiązki na mnie ciążyły; rozumiałam je i powiedziałam, że dzieci wdowy ojczyzna mieć nie powinny. Kiedy temu lat dziesięć tak sobie postanowiłam, nie dziw się pan, że dziś wyjawiam dawne uczucia, życzenia i próżne nadzieje. To zapewne przekona pana, że wiek się wzmógł a miłość własna i ta duma, którą w ogólności przypisujesz kobietom, ustąpiła zupełnie.... Ale ten ustęp listu mego spalisz po przeczytaniu. O to błagam się z ufnością. Jest jakaś urodzona wstydlivość, która pomimo przeżytego już półwieku (à la lettre) włada mną i w tej chwili"....

Wołowska Julia podobnie jak jej siostra Kazimiera zamieszkała po śmierci Marji Szymanowskiej w Warszawie przy ul. Waliców Nr. 1109. Charakterystykę jej znajdujemy w liście Kazimierzy Wołowskiej cytowanym już wyżej: „Zdrowie jej dość służy, mało jednak z domu wychodzi, bo kaźden z lokatorów, Bóg wie, czego od niej potrzebuje. Nikt nie zachoruje, żeby po nią nie posłał, — nie wyzdrowieje, żeby jej starań nie doświadczył, — nie urodzi dziecka, żeby ona nie ukąpała i nie powinęła, — niema imięnin, aby podarkiem nie związała, a nakoniec nie umrze, aby grobu łzami nie skropiła, a pozostających słowami religji nie pocieszyła. Stąd pan wzniesiesz, że się w niczem nie odmieńniła"...

Wołowski Teodor był urzędnikiem w wydziale cenzury w Min. Oświecenia w Petersburgu i pozostawał na tem stanowisku i po śmierci Marji Szymanowskiej. W 1852 r. radca kolegjalny Teodor Wołowski, młodszy cenzor Komitetu Cenzury Zagranicznej, za wysługę lat podniesiony został do rangi radcy stanu. Gaz. Warsz. 1852. Nr. 205.

**Do str. 189.** Górska Izabela (1793—1840), wybitna art. dram. sceny wileńskiej w latach 1815—1839. Słynęła z piękności, dobrego wychowania i ułożenia. Opuściwszy Wilno, prowadziła teatr w Grodnie i Suwałkach. Por.: Jan ze Śliwina (A. H. Kirkor) „Pam. Umysłowe” Wilno 1845. II. 1—30. T. Krasieński „Dziennik” rkps. B. O. K.

Morykoniova, prawdopodobnie Marja, z Radziwiłłów, wojewodzianka wileńska, żona Benedykta Morykoniego,

szambelana Stan.-Augusta, pisarza w. lit. w latach 1784—1794, czł. Rady Nieustającej, czł. Rządu Najwyższego Lit. w 1794 r., dziedzica Towian.

**Do str. 196.** Zakrewskij hr. Arsenjusz syn Andrzeja (1783—1865), rosyjski minister spraw wewn. w latach 1828—31, człowiek mało wykształcony ale sprytny. Podczas walki z cholera w 1830—31 r. nie wykazał energii i wskutek tego dostał dymisję. W latach 1848—1859 był gen.-gub. w Moskwie.

Autor pamiętnika miał zamiar pisać studjum o cholery. W liście Fr. Malewskiego do niego z dn. 2 paźdz. 1830 r. czytamy następujące zdanie: „Arendt, który tu już od tygodnia wrócił, słyszałem, ma coś pisać o cholery. Niech cię to nie odwodzi od zamiaru, o którym mi mówiłeś przed odjazdem, pisania także. Winienesz to naprzód twemu krajowi”. Jest to piękne świadectwo zachowywania wskazówek filareckich w dalszem życiu przez byłych członków Towarzystwa. A ile dawnej przyjaźni brzmi w następującym ustępie: „Nie zapomnij też, póki jesteś w Kazaniu, napisać kilka słów do Zana; będzie to dla nich radość dowiedzieć się choć to, że byłeś blisko nich i pamiętasz o nich”...

**Do str. 197.** Z okresu śmierci Szymanowskiej w arch. rodzin. Morawskich w Ustroniu dochował się następujący ciekawy list Aleksandra Chodźki do Stanisława Morawskiego:

„13 s e m p t e m b r a 1831. Wieś Dize-Chalis. Drogi i szanowny Stanisławie! List twój, tak miły, tak przyjazny, odebrałem z rzetelną rozkoszą; był on w jednej kopercie z gazetami o dwudziestym siódmym sierpnia (Data zajęcia Warszawy przez wojska rosyjskie. p. w.). Dwie łzy rzewne, idące prosto z serca do oczu, uroniłem; jedną dla tyle krwi napróżno wylanej, drugą w pamięć naszej niegdyś dobrej przyjaciółki, Marji Szymanowskiej. Biedne jej dziewczki, co się z niemi dzieć musiało! Bóg widzi jakbym chętnie połowę własnego szczęścia okupił dobrą dołą tych niewinnych, tych czcigodnych i wartych najlepszego losu sierot! Powiedz im ode mnie kilka

słów pociechy; przyjaciół w tym zepsutym i niesprawiedliwym świecie wart czegoś; co do mnie, póki życia będę ich przyjacielem, choć to im może (na nic) nie nada. Cieszyłem się bardzo twymi nadziejami o ich lepszej przyszłości, Gutt mi jeszcze obszerniej pisał o nich. Odmieniłem się snadnie w sposobie uważania ludzi i ich obietnic, lubię wszakże wierzyć w szlachetność uczuć człowieka zwłaszcza młodego i dlatego tuszę, iż Franciszek (Malewski — p. w.) i on będą, czem się być zdawali i nie opuszczą nieszczęśliwych lecz zawsze kochanych naszych sierot dlatego tylko, że biedne. Zdała posyłam nowym stadłom moje braterskie pozdrowienia i spieszę podziękować ci za twoją dobroć i twoją przyjaźń, drogi Stanisławie, któremiś mię zaszczycał i zaszczycaasz. Ci z którymi jeszcze bliżej i ściślej żyłem, niż z tobą, ci, od których miałbym więcej prawa domagać się pamięci, nie wiem, czy zapomnieli, czy z lenistwa tylko nie raczą odpowiadać na moje liczne z za Kaukazu i przed Kaukazem wysyłane listy. Mścić się będę milczeniem, bo pogardę jeszcze nie mogę; nie przekonawszy się zupełnie, byłoby gorzko tak się oszukać. Ty tylko, mój Stanisławie, nie zapomniałeś posłać kilka wyrazów perskiemu pustelnikowi. Dzięki ci, setne dzięki! Niedostatek wiadomości z Litwy, na który się uskarżasz, ja tylko cierpię w połowie, ojciec bowiem mój, stary i z nadwątlonym zdrowiem w wilgotnych petropawłowskich kazamatach, musiał jeszcze w początku polskiego powstania odbyć trzytysięcznowiorstwową wędrówkę o mrozie do Permu, skąd miałem już kilka listów. Najstarszy brat mój, Władysław, dobrowolnie towarzyszy ojcu. Matka z 80-letnią babką i siostrą zostały w Litwie pośród jej rozruchów; wieki, jakem od nich nie miał wiadomości. Józef w Bukarescie bawi się wesoło z pięknymi Mołdawkami. Oto szczegóły o mojej rodzinie, którą twa dobroć interesuje się. O twojej podróży w koło rosyjskiego olbrzyma (Mowa tu o udziale Morawskiego w pracach komisji anticholerycznej ministra Zakrewskiego, p. w.) pierwszy raz się z twego listu dowiedziałem; winszuję, żeś się wywinął od cholery, jam ją dwukrotnie wycierpiał w Baku silniejszą, słabszą w Tyflisie, i teraz uciekłem od niej i od okropnej zarazy z Tebryzu. Najprzód koczowaliśmy kilka miesięcy w pięknych dzikich górach Liwanu, śnieg nas wypędził stamtąd i prze-

nieśliśmy się w sąsiedztwo dwumilowe tylko od jeziora Urmijskiego z brzegami i wyspami, pokrytymi skałami, któreby łącznie zawróciły głowę, prozaiczniejszą nawet, niż dzisiaj moja. Co dzień mamy tu ciepło od ośmnastu do dwudziestu stopni i najwyższe owoce, samych winogron naliczyłem już trzynaście rodzajów, oddzielnych smakiem i kształtem jedne od drugich, a cóż mówić o melonach, morelach, brzoskwiniach etc. *Faute de mieux* strzelam dropie, kuropatwy etc. i jemy codziennie wyborne pieczone ze zwierzyny mego polowania. Dostyc tu ze mnie kontenci, choć się nieraz kłócimy o Polskę. A *propos* zarazy, musisz już wiedzieć, że ona w jednym dniu w towarzystwie miłej swej siostrzyczki cholery wybiła 35000 pielgrzymów w Mecce. W Gilanie prawie się nie zostało mieszkańców. W samym Tebryzie już przeszło sześć tysięcy ofiar padło i pada; jeśli się nie uciszy zaraza będziemy zimować w jakim zdrowym mieście, jak przeszłego roku w Arbedilu, czegobym bardzo żądał dlatego, że podobne wędrówki uczą obyczajów i kraju w całej ich różnorodności i dlatego, że odmiana rozmaici nudę, która tu mię nieraz zabija i kiedyś zupełnie zabije, jeśli niepewność o losie miłych sercu nie wyjaśni się. O kobietach tutejszych przyrzekam ci obszernie napisać w weselszej chwili. Zato mi dostarcz, jak możesz najwięcej, szczegółów o interesujących niegdyś nas osobach i rzeczach. Co słyhać o Adamie? Co nasi znajomi w Petersburgu? Gdzie się obracają dobre Zaleskie, gdzie i jak? Wreszcie nie wątpię, że gdy tylko zechcesz, znajdziesz obfitość szczegółów, interesujących mnie. Czy zamierzasz usadowić się w Petersburgu i jak? Dziennik Petersburski czy się drukuje jeszcze? Kończę, bo się papier kończy, abys nie zapomniał mię. *Vale et fave*. Twój A. Chodźko“.

**Do str. 205.** Stackelberg Otto Magnus (1736—1800), wybitny dyplomata rosyjski za Katarzyny II. W latach 1767—1771 był posłem w Madrycie, w 1772—1790 był ambasadorem w Warszawie, gdzie wywierał decydujący wpływ na losy Polski. On to przeprowadził ratyfikację pierwszego podziału Polski i on właśnie „nie dał Polsce zreformować się, podtrzymując jej słabość przez rozpalenie wewnętrznych tarć... Swojemi kreaturami zapełnił Radę Nieustającą a zaufanie Króla

i magnatów wyzyskiwał na to, by kłócić ich między sobą — i w ten sposób decydować, jako rozjemca w sporach, o wszystkim". Dzięki zabiegom Potemkina został odwołany. Katarzyna nie lubiła go i maltretowała. W latach 1790—98 był ambasadorem w Szwecji.

**Do str. 208.** Ségur Ludwik Filip hr. (1753—1830), syn Filipa Henryka margrabiego de Ségur, marszałka, i Anny Magdaleny de Vernon, mąż stanu i pisarz francuski, członek Akademji, był w latach 1785—1789 ambasadorem francuskim w Petersburgu. W 1787 r. towarzyszył Katarzynie II. w jej podróży na Krym i do Kaniowa. Pozostawił ciekawe pamiętniki.

**Do str. 209.** Mortier Edward, duc de Treviso (1768—1835), jeden z marszałków Francji napoleońskiej, który do końca stał przy Cesarzu. W 1816 r. członek Izby Deputowanych. W 1830 r. był ambasadorem francuskim od rządu Ludwika Filipa w Petersburgu. W 1831 r. wielki kanclerz legji honorowej, wkońcu minister wojny, i prezydent ministrów (1834—1835). Zginął od kuli podczas rewji wojskowej.

Bezborodko Aleksander syn Andrzeja (1746—1799), pochodzenia małoruskiego, jeden z najwybitniejszych i najzdolniejszych mężów stanu ros. za Katarzyny II. i Pawła I. W 1784 r. hrabia Ces. Rzym. W 1797 r. kanclerz i książę Ces. Ros. Brał udział we wszystkich politycznych aktach drugiej połowy panowania Katarzyny II. Zob. „Sbornik imp. ruskawo istor. obszer.” t. 26 i 29.

**Do str. 213** Moreau Jan Wiktor (1763—1813), słynny generał francuski, znakomicie odznaczony w wojnach republiki w Holandji, Niemczech, Włoszech i pod Hohenlinden. Rywal Napoleona, współuczestnik spisku Pichegru, skazany na więzienie, emigrant w 1804 r. do Hiszpanji, a następnie w 1805 r. do Ameryki Półn. W 1813 wezwany przez Aleksandra I. powrócił do Europy, zdeklarowawszy się po stronie koalicji, i służył jej swą radą i talentem. Zginął 27 sierpnia 1813 r. pod Dreznem od kuli francuskiej.

**Do str. 219.** Olita, miasteczko nad Niemnem, 70 w. od Trok i 95 w. od Wilna odległe. Obecnie w Litwie. Wraz z 4 kluczami stanowiła ekonomję stołu królewskiego.



P u n i e, miasteczko nad Niemnem niżej Olity, o 7<sup>1</sup>/<sub>2</sub> mili od Trok. Słynie bohaterską obroną zamku przez Margiera w 1336 r. przed Krzyżakami.

**Dó str. 220.** J e r m o ł o w A l e k s y syn Piotra (1772—1861), wybitny generał rosyjski. W 1817 r. mianowany głównodowodzącym armją na Kaukazie, gdzie obok zdobności wojskowych wykazał równie wybitne zdolności administracyjne. W 1826 r. ścierał na siebie niezadowolenie Mikołaja I. W 1827 r. usunął się do swego majątku, gdzie mieszkał aż do śmierci. Mąż ogólnie szanowany i wyróżniany przez społeczeństwo rosyjskie, szczególnie przez szlachtę, która nie lubiła Niemców, którymi otaczał się Mikołaj. Do niego odnoszą się w „Drodze do Rosji” Mickiewicza wiersze: „Może ważniejsza pochwycona głowa, może samego wiozą Jermołowa”.

**Do str. 223.** K u t a j s o w a h r. A n n a, z domu Riez-waja, żona słynnego faworyta Pawła I. hrabiego Iwana syna Piotra Kutajsowa, z pochodzenia Turka, który z małego niewolnika stał się początkowo kamerdynerem i golibrodą, wkońcu dzięki sprytowi i umiejętności dogodzenia panu hrabią i wysokim dygnitarzem, posiadaczem najwyższych orderów i olbrzymiego majątku. Żona jego pochodziła z bogatego kupieckiego rodu, mogła więc istotnie ratować Pawła w potrzebie.

**Do str. 232.** K a p n i s t W a s y l, syn Wasyla (1757 do 1823), wybitny komedjopisarz rosyjski, pochodził z rodziny włoskiej, która w osobie ojca jego przesiedliła się do Rosji. Komedia „Jabieda”, o której mówi autor pamiętnika, ukazała się w 1798 r. i jako cięta satyra na wady urzędników ros. zyskała ogólne uznanie i wywarła wielkie wrażenie. Pomimo zezwolenia Pawła na wystawienie tej sztuki, usunięto ją z repertuaru dzięki zabiegom rozsierdzonej biurokracji i nawet za Aleksandra I nierychło pozwolono ją wystawiać.

**Do str. 234.** Ł o p u c h i n ó w n a A n n a (1777—1805), córka senatora Piotra Ł. i Praskowji z Lewszynów. Acz nie była klasycznie piękna, posiadała ładną główkę, czarne włosy, ogniste czarne oczy, prześliczne usteczka i białe ząbki. Wyras twarzy łagodny i dobry szpecił cokolwiek nos. Zjawienie się jej w 1797 r. podczas kornacji zwróciło uwagę

Pawła. Kamaryla dworska, chcąc zerwać stosunek jego z Nelidową, podszeptała mu, że Łopuchinówna zakochała się w nim. W 1798 r. na skutek zabiegów Kutajsowa sprowadzono ją do Petersburga. Rychło po przyjeździe została mianowana frejliną, macocha jej damą dworu, ojciec zaś gen.-prokuratorem i otrzymał tytuł J. O. Księcia z całym potomstwem. Do herbu dodano mu godło „Błagodąt”, t. j. przełożone z hebrajskiego na rosyjskie słowo „Anna”. Paweł widywał ją codziennie. Uczciwa dziewczyna wyznała mu, że kocha Pawła, syna Gąbrjela ks. Gągarina (1777—1850), który w randze majora znajdował się przy armji Suworowa we Włoszech. Paweł kazał go natychmiast sprowadzić do Petersburga, mianował generał-lejtnantem a po 6 miesiącach w obecności całego dworu i rodziny cesarskiej (a więc nie w tak romantycznych warunkach, jak podaje Dr. Morawski) odbył się ślub młodej pary. Miłość Pawła trwała i po ślubie ks. Gągarinowej, którą uważał on za swą jedyną przyjaciółkę. Obsypał ją zaszczytami, nadał jej wszystkie ordera, jakimi dysponował dla kobiet, a nawet krzyż maltański. Księżna była bardzo taktowną i trzymała się w rezerwie, zdala od intryg dworskich, wywierając zawsze dodatni wpływ na Pawła. Po wstąpieniu na tron Aleksandra, gdy mąż jej został posłem przy dworze sardyńskim, udała się z nim do Włoch. Umarła w Wiedniu po połogu. Ks. Gągarin w 1808 r. towarzyszył Aleksandrowi do Erfurtu, w 1809 r. do Finlandji, w 1814 r. podał się do dymisji. W 1831 r. ożenił się z baletnicą Spiridonową. Pisywał poezję i zgromadził wielką bibliotekę.

**Do str. 239.** Wirtemberski hercog Aleksander (1771—1833), rodzony brat żony Pawła I., Marji Teodorówny. Od 1794 r. służył w wojsku austriackim i brał udział w wojnach z Francją. W 1800 r. osiadł w Rosji. W 1811 r. czas krótki był gubernatorem Białejrusi. Uczestniczył w wojnie 1812 r. i oblegał Gdańsk w 1813 r. W 1822 został głównym zarządcą Ministerstwa Komunikacyj i Budynków Publicznych. W 1826 r. mianowany członkiem Rady Państwa. Słynął ze swej otyłości.

Siestrzencewicz-Bohusz Stanisław (1731 do 1826), syn strażnika starodubowskiego Jana i Kornelji Odyń-

cówny, urodził się i wychował w wyznaniu ewang.-reformowanem. Wykształcenie pobierał w Kiejdanach na uniwersytetach niemieckich. Służył w wojsku pruskim a następnie w litewskim. Jako kapitan przeszedł na katolicyzm, następnie skończywszy studja duchowne u pijarów w Warszawie, w 1767 r. został kanonikiem w Wilnie. W 1775 r. prekonizowany na biskupa mallskiego in partibus. Katarzyna poruczyła mu zarząd biskupstwa mohylowskiego a w 1783 r. otrzymał nominację na arcybiskupa mohylowskiego. Paweł I., który jako następca tronu korzystał u niego z kredytu, nadał mu tytuł metropolita unicus omnium romanocatholicarum Ecclesiarum in Imperio Rossico, obdarzył orderami Aleksandra Newskiego, św. Andrzeja i maltańskim, uczyniwszy jednocześnie wielkim jałmużnikiem tego orderu. „Je veux que vous soyez cardinal” mawiał Cesarz, ale pomimo usilnych zabiegów otrzymał dla niego zaledwie prawo noszenia purpury kardynalskiej, ale bez kapelusza. W 1800 r. dzięki zabiegom jezuitów (w szczególności o. Grubera), którzy nie mogli b. kalwinowi darować jego liberalizmu, został przez Pawła wysłany z Petersburga. Za Aleksandra, powróciwszy do łaski monarszej, rządził aż do 1826 r. Kościołem katolickim w Rosji z równą energją, jak dawniej. Rusofil i sprytny dworak umiał utrwalić swoje stanowisko. Zob. m. in. o Siostrzeńcewiczu: Loret, Kościół katolicki a Katarzyna II (Kraków 1910); ważny dziennik S-cza z 1797—1800 r. oraz korespondencję ogłosił ks. biskup M. Godlewski w czasop. „Starina i nowizna” (Petersburg, 1913—15), oraz wiele dokumentów w wyd. „Momenenta Ecclesiastica Petropolitana” (Petersburg 1906—13) i in.

**Do str. 251.** Caulaincourt Armand Augustin Louis marquis de, duc de Vicence (1773 do 1827), wojskowy i dyplomata francuski, był ambasadorem w Petersburgu dwukrotnie: w 1801 r. i w latach 1807—1810. Umiał pozyskać sobie uznanie i przyjaźń Aleksandra I., ale arystokracja rosyjska odnosiła się do niego bardzo źle, uważając go za jednego ze sprawców aresztowania i rozstrzelania ks. d'Enghien. Przeciwno temu, zresztą powszechnie krążącemu zdaniu protestował gorąco nawet w testamencie.

**Do str. 257.** Kisielew Paweł, syn Dymitra hr. (1788—1872) ros. mąż stanu, minister dóbr państwa w latach 1838—1856, faworyt Mikołaja I.

**Do str. 260.** Murawjew - Apostoł Sergjusz, syn Iwana (1796—1826), wychowywał się zagranicą, następnie służył w wojsku ros. i odznaczył się w latach 1812—1814. Wraz z bratem Maciejem był jednym z głównych kierowników spisku dekabrystów. Jako podpułkownik czernihowskiego pułku piechoty porwał w chwili wybuchu powstania swój pułk i uderzył z nim na Białą-Cerkiew. Uwięziony i sądzony, skazany został na śmierć. Wraz z innymi powieszony 13—25 lipca 1826 r. w Petersburgu.

Butiagin Paweł, pierwszy sekretarz pos. ros. w Paryżu, ożenił się w 1815 r. w Dreźnie z córką przybraną ks. Karolostwa Nassau-Siegen, Elżbietą Ekonom, Greczynką, wziętą na wychowanie podczas podróży ks. Karolowej na Krym w 1798 r. Elżbieta Ekonom była generalną spadkobiorczynią swych przybranych rodziców, i wniosła swemu mężowi resztę ich wielkich dóbr, a między innymi posiadłości w Warszawie zw. Denassowskie cz. Dynasy. W 1826 r. Butiaginowie rozstali się, a p. Elżbieta około 1836 r. wyszła za mąż za Cetnera we Lwowie. Umarła tamże w 1872 r. Butiaginowie mieli 3 córki i 2 synów.

Speranski j Michał, syn Michała (1772—1839), znakomity mąż stanu ros. Syn popa, b. nauczyciel fizyki, matematyki i krasomowstwa w seminarjum duchownem, b. urzędnik kancelarji gen. prokura, w 1802 r. sekretarz stanu w Min. Spraw. W 1803 r. otrzymał polecenie opracowania planu organ. sądownictwa. W 1806—1808 powiernik Aleksandra w sprawach organizacji państwa. W 1808 jako wiceminister sprawiedliwości zajął się komisją ułożenia praw. W latach 1810—1812 brał udział w komisji finansowej i przewodniczył komsiji dla spraw finlandzkich. W 1812 r. zesłany do Niżnego Nowgorodu a potem do Permy. Aleksander w ten sposób pozbył się dygnitarza, którego indywidualność ciążyła mu zbyt. W 1814 r. pozwolono Speranskiemu zamieszkać w majątku ziemskim, a w 1814 r. mianowano go gen.-guber. Syberji.

W 1821 r. powrócił do Petersburga jako członek Rady Państwa. Był wtedy już innym człowiekiem: zarzucił marzenia i projekty reform liberalnych, stawiał samodzierżawje i przyjaźnił z największym wstecznikiem Arakczejewem. Za panowania Mikołaja I. redagował „Zbior Praw Cesarstwa Ros.” a w latach 1835—37 był nauczycielem następcy tronu w dziedzinie prawodawstwa. Przed śmiercią obdarzony tytułem hrabiowskim.

**Do str. 262.** Bernadotte Jan Chrzyciciel (1764—1844) ur. jako syn adwokata w Paryżu, zm. w Sztokholmie jako król szwedzki Karol XIV. W 1789 sierżant, 1792 pułkownik, w 1793 gen. brygady. W 1799 r. dowódca armji dolnego Renu i minister wojny. W 1804 r. marszałek Francji, a później ks. Ponte-Corvo. Odznaczył się następnie w wojnach w Niemczech, dając się poznać jako znakomity administrator. W 1810 r. mianowany przez sejm szwedzki następcą tronu, został adoptowany przez Karola XIII. Przyjąwszy wezwanie, oddał się w zupełności sprawom nowej ojczyzny. Interes Szwecji kazał mu w r. 1813 przystąpić do koalicji. Walczył z Francuzami w Niemczech, nie wziął jednak udziału w najjeździe Francji. W 1818 wstąpił na tron. Rozumne jego 25-letnie rządy pozwoliły odrodzić się Szwecji po klęskach XVIII w. Wszystkie zalety swoje przekazał dynastji, której dał początek, a która dotychczas panuje w Szwecji.

**Do str. 263.** Benkendorff Aleksander hr. (1783—1844), faworyt Mikołaja I., wyświadczył mu wiele ważnych przysług podczas powstania dekabrystów. Od 1826 r. szef żandarmów i naczelnik III. Oddziału Kancelarji Ces. oraz dowódca Głównej Kwatery. Jako szef policji politycznej zaciężył fatalnie na życiu publicznem i umysłowem Rosji.

Jabłonowski ks. Maksymiljan (1785—1846) z Krzywina na Wołyniu, senator wojewoda i wielki ochmistrz dworu Kr. Polskiego w 1825 r., tajny radca w 1833 r. Żona jego Teresa z Lubomirskich, córka Michała z Dubna, siostra Edwarda, jednego z pierwszych romantyków polskich, i Marcelego, który zginął w 1809 r. pod Sandomierzem, słynęła z urody inteligencji, dowcipu i salonu, który prowadziła w Warszawie.

**Do str. 277.** Potocki August hr. (1806—1868), syn Aleksandra, senatora wojewody Kr. Polsk., i Anny z Tyszkiewiczów, pamiętnikarki, a wnuk Stanisława-Kostki, prezesa Senatu Kr. Polsk., kapitan wojsk polskich w 1831 r., koniuszy dworu ros., właściciel Wilanowa. Żona jego, Aleksandryna z Potockich (1818—1890), córka Stanisława, tajnego radcy, senatora ros. i Katarzyny z Branickich, wnuczka dwóch targowiczian: Szczęsnego Potockiego i Franciszka Ksawerego Branickiego, matrona ogólnie szanowana dla zalet swego charakteru, po śmierci męża właścicielka Wilanowa, który przekazała testamentem Ks. hr. Branickiemu, ojcu obecnego właściciela.

Oryginały ilustracji: Nr. Nr. 2, 4, 9. — znajdowały się na Wystawie Sztuki i Zabytków Kresowych w Warszawie w 1921 r.; Nr. 6, 7a i 7b — na Wystawie Karykatury Polskiej w Warszawie w 1925 r.; Nr. 7c — znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. Nr. Nr. 7d, 7e, 7f i 8b — reprodukowane według monografii W. A. Wareszczagina o Aleksandrze Orłowskim, wydanej w Petersburgu w 1913 r.; Nr. 5 — według fotografii, użyczonej przez p. Erazma Majewskiego z Jakobstadtu.















